



OCork Shannon



Klq̇twa Phineasa Browna

1

Newport, Rhode Island - czerwiec 1895

Audrey Smoke, w długich drossach i płóciennym staniczku, podniosła rozłożoną na łóżku suknię ślubną. Lekkie fałdy lśniącego batystu ułożyły się w jej ramionach jak bukiet białych kamelii. Serce zaczęło jej bić szybciej. Schyliła się, wsunęła głowę pod skromną falbanę i nagle spłynęła po niej miękka materia, z szelestem układając się do figury.

Odwróciła się i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Dwadzieścia pięć lat temu Lawrence Smoke wykonał je własnoręcznie w prezencie ślubnym dla żony, która zmarła na gruźlicę zimą tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku. Duża owalna tafla grubego szkła oprawiona była w sosnową ramę imitującą hikorowe drewno. Owego lutowego dnia, gdy pochowali Josephine na cmentarzu przy porcie, ojciec, jeszcze zgrzany i spocony po wielogodzinnym kopaniu zamrożonej ziemi, przeniósł lustro do pokoju córki.

- Od niej dla ciebie - rzekł. - Teraz ty jesteś panią tego domu.

Audrey miała wówczas czternaście lat i była zdruzgotana. Matkę straciła akurat w momencie, gdy zrozumiała, jak bardzo jej potrzebuje. Wtedy właśnie nabrała zwyczaju siadania u stóp wąskiego łóżka z perkalową pościelą i wypłowiałą wiśniową kołdrą nakrytą szydełkową kapą, by rozmyślać o swoich zmartwieniach. Szkoła, sprzątanie, gotowanie, pranie, marzenia - siedząc przed lustrem Audrey zwierzała się Josephine, a potem, wsłuchana w siebie, szukała w duszy matczyńskich rad.

Obecnie, pięć lat później, wciąż traktowała lustro jak oczy matki i wciąż do niego przemawiała.

Ukośne promienie popołudniowego słońca zaglądały przez pojedyncze okienko do małego pokoiku, padając na ustawione naprzeciw lustro. Zaśniła biel oślepiająca jak skrzydła mew. Audrey przyjrzała się sobie. Była prawie piękna: wijące się włosy o odcieniu miodu, oczy tak niebieskie, że niemal granatowe, brzoskwiniowe policzki i pełne usta w zaróżowionej z podniecenia twarzy, a na szyi złoty wisior, który dostała zeszłego roku od Thorne'a i zakładała w sekrecie tylko w swojej sypialni. Panna młoda w bieli. Cienka tkanina uwydatniała jędrne piersi, wąską talię, szczupłe biodra i zgrabne, wzmocnione pływaniem nogi.

Suknia powinna być z jedwabiu, lecz bawełniany batyst też wystarczy, stwierdziła. Audrey sama kupiła materiał, fason skopiowała z żurnala i nocami ścieg po ściegu pracowicie szyła. Mimo czerwcowego upału, mimo rozsadzającego jej serce szczęścia, wzdrygnęła się nagle. Jej usta bezgłośnie wyszeptały: mamusiu!... Tak, oczywiście, jestem szczęśliwa, dodała w duchu. Lecz ni stąd ni zowąd ogarnęło ją uczucie samotności i dziwny lęk.

Odbicie w lustrze odpowiedziało drżeniem.

I nagle z dołu dobiegło pukanie do drzwi od podwórza. Mocne. Trzykrotne. Znany sygnał. Thorne.

Nie może jej teraz zobaczyć! Nie w sukni ślubnej! To przynosi nieszczęście! Zobaczy ją tak ubraną dopiero w sobotę w saloniku pastora Camplina, prowadzoną przez ojca, uczesaną w loki, z bukietem z czerwonych róż i białego stefanotisu, przewiązanym długimi różowymi i białymi wstążkami. Już jako pani Cockburn po raz pierwszy publicznie pokaże wtedy złoty naszyjnik z prostokątnym wisiorkiem ozdobionym srebrnym ornamentem i małym rubinem w kształcie serca...

Przecież Thorne dzisiaj pracuje, przemknęło Audrey przez głowę. Uczy panienki z Gilt Hill manewrowania ciemnoczerwoną żaglówką. Co w takim razie robi tutaj?

Zwyczajny, jednopiętrowy, oszalowany deskami dom Lawrence'a Smoke'a stał przy Bridge Street niedaleko portu. Przez drzwi frontowe wchodziło się do warsztatu stolarskiego na parterze, drzwi tylne prowadziły na wąskie schody wiodące na górę do trzech pokoików zajmowanych przez Audrey i ojca. Stukanie od podwórza oznaczało kogoś zaprzyjaźnionego.

Puk. Puk. Puk.

Audrey ściągnęła kapę z łóżka, zarzuciła ją na ramiona i wychyliwszy się przez okienko zawołała:

- Thorne?

Narzeczony z głową zadartą do góry wyszedł z cienia. Rondo panamy osłaniało mu twarz.

Dziwne. Był elegancko ubrany, niczym dżentelmen ze wzgórza. A powinien mieć na sobie luźne portki i pasiasty kostium kąpielowy. Powinien się teraz znajdować na wodach zatoki Narragansett za sterem „The Rose”, prującej białe grzywy fal. Jego czarne, kręcone włosy Irlandczyka, zwilżone morską bryzą powinny powiewać na wietrze, a mocne mięśnie nagich ramion napinać się przy stawianiu żagla. Powinien się śmiać z córkami bogaczy siedzącymi na pokładzie w sukienkach z chłodzącej indyjskiej bawełny, chowającymi twarze za ozdobionymi falbankami parasolkami i uczącymi się zgrabnie uchylać przed przelatującym na drugą stronę bomem.

Tymczasem...

Czarne włosy, gładko zaczesane i suche, zawijały się na wysokim, wykrochmalonym kołnierzyku. Opalone na brąz ciało okrywała granatowa kurtka i eleganckie, białe, lniane spodnie. Złote guziki, wyglansowane wiśniowe buty, jakaś błyskotka w fularowym szaliku pod szyją. Nie, pomyślała Audrey, Thorne nie przypomina któregoś z Westmore'ów czy Oelrichów, on się ubrał jak do ślubu. Wygląda jak pan młody! Ale przecież to dopiero za tydzień, w sobotę, nie dziś...

- Hej! - zawołał z dołu. - Muszę się z tobą zobaczyć.

Odeszła od okienka. Nie wiadomo dlaczego poczuła dziwną słabość w nogach. Aby zakryć sukienkę, owinęła się szczelnie szydełkową narzutą i boso zbiegła na dół. Odryglowała drzwi i wpuściła Thorne'a. Setki słów cisnęły się jej na usta, lecz gdy spojrzała w twarz narzeczonego, zamilkła, obiema dłońmi mocno przytrzymując narzutę pod brodą.

- Audrey... - zaczął i położył ręce na jej ramionach. Spod ciemnych brwi błyszcząły piękne, ciepłe, czarne oczy.

Zabrakło jej tchu. Otworzyła usta, aby złagodzić ucisk w piersi.

- Tak?

- Musimy porozmawiać. Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Dziwne. Wydawało się jej, że wie, co Thorne jej powie... że tuż przed chwilą, gdy stała przed lustrem, mamusia szepnęła... Audrey nie mogła sobie przypomnieć słów. Coś o... innych kobietach? Tak. Tak. Brigit Norris. Córka garbarza.

Dwa lata temu. Groziła, że się zabije, kiedy Thorne z nią zerwał i zaczął się starać o rękę Audrey. Wyjechała do Connecticut i wyszła za mąż za mleczarza. Czyżby wróciła?

- Nie patrz. Nie możesz zobaczyć sukienki - powiedziała. - Nie przed sobotą, bo to przynosi nieszczęście. Przebiorę się, dobrze? Potem porozmawiamy.

- To tylko chwilka - odrzekł i oparł się o ścianę. - Nie będę patrzył.

- O co chodzi, Thorne? - spytała. Był taki poważny, oficjalny, inny niż zazwyczaj. - Czy coś się stało?

- Czuję się podle, uwierz mi, Aud. - Przeniósł wzrok wyżej, spojrzał na nagie drewniane schody na tle brązowej ściany. - Tak tu ciemno - powiedział. - Tak ciasno. Tak ubogo.

- Ubogo - powtórzyła za nim jak wyuczoną lekcję. - Och, Thorne. Powiedz, o co ci chodzi. Cokolwiek się stało, z pewnością znajdzie się rada... Żaglówka zatona? - Nagła myśl pozbawiła ją wszelkiej nadziei. Któraś z dziewcząt wypadła za burtę? Thorne pozwolił utonąć córce właściciela Orche Point? Audrey opadła na

stopień, lecz wciąż mocno zaciskała kapek z łóżka pod szyją. - Thorne, powiedz, co się stało?

- Nie mogę się z tobą ożenić. Żenię się z inną. Z dziewczyną, którą uczę żeglarstwa. Bogatą. Niezwykle bogatą. I niezwykle piękną. Bardzo ją kocham.

Słyszała, co mówi, słyszała tak jak niedzielne kazanie w czasach, gdy chodziła z matką do kościoła kongregacjonalistów. Thorne wygłasza mowę, pomyślała, przygotowany tekst. Wymyślił go sobie w trakcie ubierania się, powtarzał idąc Thames Street i nauczył się na pamięć.

- Jak to? - spytała. - Już od prawie roku jesteśmy po słowie.

Thorne, wciąż oparty o ścianę, przeniósł ciężar ciała na jedną nogę, drugą ugiął w kolanie, ręce skrzyżował na piersi. Utkwiwszy wzrok w górnym podeście schodów odparł:

- To stało się nagle. Tak bywa. Ślub też będzie szybko. Za trzy tygodnie. Znajdziesz sobie kogoś, Aud. Kogoś bardziej odpowiedniego ode mnie. Pewnego dnia ty też będziesz szczęśliwa, zobaczysz. Wiem, że teraz to dla ciebie wstrząs.

Jak on śmie tak do mnie mówić? Jak nauczyciel do dziecka. To władza sprawia, że tak się zachowuje, pomyślała Audrey. Ma nade mną władzę, bo mnie już nie kocha. Może nawet nigdy nie kochał...

Stojący nad nią, skuloną na stopniu, Thorne wydał się jej olbrzymem. Wzierały w niej łzy, morze łez nie znajdujących ujścia. Jej dłonie i stopy były lodowato zimne.

Wstała. Stojąc na stopniu dorównywała Thorne'owi wzrostem. Wyciągnęła ku niemu rękę.

- Żegnaj więc. Powodzenia.

Thorne ujął jej dłoń i przytrzymał w swojej.

- Będzie mi cię brakowało, Aud - powiedział. Po czym odwrócił się, przestąpił próg i wyszedł. I tylko popchnięte drzwi stuknęły o futrynę.

Zamykając je, Audrey wytarła spocone dłonie o drewno. Wróciła na górę. Tak tu ciemno, powiedział. Tak ciasno. Tak ubogo. Nigdy

przedtem tego nie zauważyła.

Słońce zniżyło się nad horyzontem i już nie zaglądało do sypialni. Nie było jasnych promieni, niebiańskiej poświaty.

Audrey rzuciła kapę na łóżko i przejrzała się w lustrze. Zobaczyła ładną dziewczynę w nowej sukience. Skromnej, letniej sukience z okrągłym wycięciem, bufkami i wąską falbaną u dołu. Na szyi dziewczyny błyszczał nie pasujący do stroju klejnot, złoty prostokąt z delikatnym srebrnym ornamentem i rubinowym serduszkem z lewej strony. Sztywnymi palcami zdjęła wisiołek i zawinęła w skrawek materiału pozostały z jej niepotrzebnej już ślubnej sukni. Przez chwilę ważyła zawiniątko w dłoni, potem schowała głęboko do szuflady komody, którą Lawrence Smoke wykonał dla córki.

- Będę musiała zawiadomić ojca - powiedziała na głos. Włożyła sandały i przyczesła włosy. - Muszę go powiadomić, że na razie zostaję.

W warsztacie stolarskim zajmującym parter domu zawsze panował półmrok. Umieszczone po obu stronach drzwi frontowych dwa okna zwrócone były co prawda na południe, lecz osadzone zbyt nisko, by wpuszczały słoneczne światło. Gdy Lawrence Smoke pracował, zapalał gazową lampę.

Audrey, wciąż ubrana w sukienkę, w której nie zostanie nikomu zaślubiona, pchnęła solidne drzwi.

Ojciec toczył stołową nogę na tokarce, obracając ją na pasie, który tarł drewno, aż iskry leciały. Audrey wiedziała, że zanim ten matowy jeszcze kloc twardego mahoniu zostanie umocowany do ramy, nabierze unikalnego blasku; Lawrence Smoke słynął w Newport ze swojej sztuki ręcznego wcierania politurę przyrządzanej z gotowanych kości i siemienia lnianego.

Zapach drewna miło drażnił jej nozdrza. Audrey przystanęła na chwilę w drzwiach i patrzyła, jak świeży pył unosi się w powietrzu, a potem osiada na podłodze. Miękki jak puch, ciepły jak piasek, rósł u stóp ojca jak złota piramida. Pomyślała o ojcu, jakim go znała w dzieciństwie. O rzemieślniku, którego podziwiała, o łagodnym

mężczyźnie, którego kochała i którego bliskość jeszcze czasami czuła.

W ciągu lat, które minęły od śmierci żony, Lawrence Smoke się zmienił. Kiedyś potrafił w kurzu i w półmroku z uśmiechem pracować cały dzień i pół nocy. Po kolacji mała dziewczynka w skromnym fartuszkun zaglądała do „pokoju tatusia”. Ojciec ciął, rzeźbił, polerował, gawędził z córką i opowiadał jej o Newport, o biedkach i o bogaczach. Słuchała siedząc w bujanym fotelu, który dla niej zrobił, i przyglądała się ruchom jego rąk. Mogłaby tak siedzieć bez końca... Jej bujany fotel. Był ze zwykłej sękatej sosny, lecz Lawrence wykonał go starannie, a potem pomalował na różowo i ozdobił ptaszkami we wszystkich kolorach. Ptaszkami z wyobraźni, szkarłatnymi, fioletowymi, żółtymi, ze srebrnymi dzióbkami i czarnymi skrzydłami. Bujak stał teraz w pokoju Audrey, w rogu, obok pieca, i nadal roztaczał swój magiczny urok...

Lecz Lawrence Smoke był słabym człowiekiem. Bez łagodnej żony stał się gruboskórny i prostacki. Był wciąż dobrym rzemieślnikiem, lecz teraz pracował milcząc, bez uśmiechu, z zaciśniętymi wargami. Nie zmywał już dokładnie politory z rąk, a kombinezon zmieniał dopiero wtedy, gdy Audrey mu o tym przypomniwała. Przerywał robotę o dziwnych porach i chodził do tawerny Grimsby'ego na Long Wharf. Zdarzało się, że nie wracał i spędzał noc w pokoju nad tawerną w towarzystwie Dolly Dowd, która nosiła głębokie dekolty, sztuczne brylanty w uszach i rozpuszczone rude włosy.

Z czasem ojciec i córka oddalili się od siebie. Wiadomość o małżeńskich planach Audrey Lawrence przyjął z ulgą.

- Ojczy - zwróciła się do postawnego, siwowłosego mężczyzny pochylonego nad maszyną.

- Tak, córko? - rzekł Lawrence Smoke nie podnosząc głowy. Pas tokarki sunął sypiąc drzewnym pyłem.

- On się ze mną nie żeni, tato. Znalazł sobie inną. Jest piękna, bardzo piękna, mówi, i bardzo bogata...

Nie, nie załamie się. Łzy odnalazły drogę do oczu, lecz nie da im upustu. Zdusi je, zawróci, skąd płyną, do źródła tryskającego w jej sercu.

Pas zwolnił, stanął. Ojciec odwrócił się ku córce. Lampa gazowa rzucała głęboki cień na jego twarz.

- Zostań tam w drzwiach, córko. W tym świetle wyglądasz jak anioł w aureoli.

Nie staraj się być miły, tato, pomyślała. Dobroć rani najbardziej. Nie wytrzymam...

- Przykro mi, ojcze.

Lawrence Smoke chrząknął. Pył drażnił mu gardło.

- Jestem szczęśliwy, że mam cię przy sobie, córeczko.

Znajdziesz innego, lepszego. Zobaczysz, jak szybko. O czymś jednak chciałem ci... - Zrobił krok naprzód, lecz stanął. - Już dawno chciałem... - Urwał. - Miałem ci powiedzieć dziś jeszcze, kiedy się umyję. - Wytarł dłonie w sweter. - Nie wchodź, pobrudzisz się. Wyjdę do ciebie. Zaczekaj na ulicy.

Audrey wycofała się i stanęła na ceglany chodniku Bridge Street. Zachodzące słońce, niczym wielka, rzucająca złocistą poświatę pomarańczowa kula, zawisło nad horyzontem. Po czarnym żużlu jezdni toczył się pusty wóz ciągnięty przez srokiego konia z kłapkami na oczach i kapitańskiej czapce na czubku głowy.

- Dobry wieczór, Audrey - pozdrowił dziewczynę woźnica.

- Dobry wieczór - odpowiedziała. Pan Kirchner i Sal. Znała ich całe życie.

Z warsztatu wyszedł Lawrence, poplamiony olejami i lepki od brudu.

- Nie dotykaj mnie, teraz, córko, ale posłuchaj, co mam ci do powiedzenia.

Audrey patrzyła na tył wozu Kirchnera. Była zrozpaczona, lecz dumna. Nie pragnęła przemówień, lecz otwartych ramion. Chciała położyć głowę na kolanach matki i zawyć. Chciała poczuć jej dłoń na czole, na włosach, usłyszeć jej spokojny, kojący, kołyszący do snu

głos, zapewniający, że wszystko będzie dobrze. Chciała, by ojciec wyrzeźbił dla niej zabawkę, którą mama ozdobi kokardą. Chciała, by mama upiekła placek z truskawkami, by ojciec się śmiał, wyprostował zgarbione plecy i opowiedział jej o Gilt Hill...

- Słucham, tato.

- Miałem zamiar ci powiedzieć albo poczekać, żebyś sama się domyśliła, kiedy już się urządzisz. Ale skoro się nie wyprowadzasz, lepiej ci powiem.

Czekała, pragnąc znaleźć się daleko stąd, nareszcie sama. Przejdzie się brzegiem do Cliff Walk, wdrapie na skałę WaterWalk i zobaczy, czy przyplłynęły wieloryby. Czasami, skuszone ławicami dobijaków, podpływały do ujścia cieśniny. Dwa, trzy, ale z rzadka. Dawniej wieloryby trzymały się z dala od tego miejsca, pływały aż za Nantucket, za półwyspem Cod, uciekając przed statkami, które na nie polowały.

Ojciec znowu coś mówił:

- Chcę sprowadzić kobietę, która by ze mną zamieszkała. Nie, nie żonę... kogoś w rodzaju gospodyni. - Skubał brodę.

- Nie myśl sobie niczego złego.

- Gospodyni - powtórzyła Audrey, jakby nie rozumiejąc.

- Ale ja się nie wyprowadzam, tato. Thorne mnie nie chce, przecież ci powiedziałam. Zostanę, będę sprzątać, gotować. Wrócę do pracy w kwiaciarni.

- Posłuchaj! - odezwał się Lawrence, przybierając ostrzejszy ton.

- Tato...

- Daj mi mówić, Audrey Alice! - Oczy mu zapłonęły, niebieskie jak jej własne, lecz ze złotymi plamkami, iskrzącymi się teraz jak pas na tokarce. Nagle spostrzegła, że wciąż jest przystojny, wciąż pełen męskiej tężyzny. W wieku czterdziestu pięciu lat ojciec nie był jeszcze stary. Siwy, tak, lecz przecież zawsze był siwy. Włosy miał gęste, falujące, a gdy się uśmiechał... Dopóki uśmiech widniał na jego twarzy, ból przeszywający jej serce stawał się mniej dotkliwy.

Uśmiechał się i teraz, ale nie do niej.

- Sprowadzę tę kobietę. Masz być dla niej miła.

- Ojczy!

- Teraz już wiesz. Więc licz się ze słowami.

- Kogo sprowadzisz, ojczy? Kim ona jest? - Ojciec nie zalecał się do żadnej ze znajomych kobiet... - Och! Chyba nie mówisz o tej... tej z karczmy!

- Słuchasz plotek, Audrey. - Lawrence opanował się. Wrócił mu spokój i upór. - Dolly nie jest pierwszą lepszą dziewczką z karczmy. Nie jest taka jak twoja matka, to prawda, ale to dobra kobieta i miała ciężkie życie. Jest przystojna i dobrze mi z nią.

Kto? Dolly Dowd? Dolly Dowd jest dziwką.

- Kiedy się wprowadzi? Lawrence potarł nos.

- Twój ślub miał być w przyszłą sobotę, powiedziałem więc Dolly, że może się przenieść tego samego wieczoru.

- I gdzie zamieszka? Gdzie będzie spała?

Znow stał się zdenerwowany, niespokojny. Splótł dłonie, rozplótł. Brudne, wielkie, powykrzywiane zrogowaciałe dłonie, które Audrey tak kochała. Czułe. Zręczne.

- Nie twoja sprawa. Chciałem dać jej twój pokój, ale skoro zostajesz, ja ją przytulę.

- Gdzie? Zamieszka w pokoju mamy? Będzie spać w twoim łóżku?

- Może.

- Nie, ojczy, nie. - To nieprawda. Nieprawda!

- Nie mów mi, co...

- To grzech! Gdyby mama wiedziała...

Audrey zapomniała o łzach. Ogarnęła ją wściekłość. Jak ojciec śmie hańbić dom matki i jej. Teraz jej oczy płonęły i ciskały błyskawice.

- Może nie jesteśmy tak elegancy i bogaci jak Belmontowie i Peerce'owie z Gilt Hill, lecz rodzina Smoke'ów jest porządna, godna szacunku i bogobojna i nie pozwolę, żeby mój ojciec, mój biedny,

zbłąkany, zagubiony, spragniony kobiecej czułości ojciec plamił pamięć...

- Dobrze! - wrzasnął jej prosto w twarz. - Już dobrze! Nie zgrzeszę. W środę się z nią ożenię. Teraz w porządku, panienko? - Zamachał w powietrzu rękami, odwrócił się i zniknął w warsztacie. Trzasnęły drzwi.

Wciąż stojąc na chodniku, Audrey usłyszała odgłos tokarki szlifującej drewno.

RRS

2

Pani Percivalowa Peerce, Suzanna Reed Peerce, przez wszystkich nazywana Dove - Gołębicą - niczym panująca królowa wytwornego towarzystwa w Newport zasiadła na obitej szkarłatnym jedwabiem kanapce w stylu Ludwika XIV ustawionej na wschodniej werandzie Whale's Turning, skąd roztaczał się widok na cały trawnik. Przyjęcie wydane przez Bayarda Lockholma było w pełnym toku i ze swojego miejsca Dove widziała w tłumie gości córkę Nicole i jej narzeczonego. Trzymali się za ręce.

Wciąż nie dowierzając, potrząsała ze zdumieniem głową. Pomyśleć, że jej Nicola - nie nosząca gorsetu, z udami umięśnionymi od jazdy konnej, z kędzierzawą czupryną niesfornych marchewkowych włosów, pachnąca raczej stajnią niż perfumami... Boże, pomyśleć tylko... Nicola złapała najlepszą partię, jeszcze zanim sezon towarzyski na dobre się rozpoczął. I to nie tylko złapała, wręcz ukradła, wyrwała Rolfa, lorda Pomeroya, markiza Denton, z wiotkich ramion Celeste Lockholm, tej marzycielskiej Celeste Lockholm z talią osy, wytworną fryzurą i najlepszymi sukniemi od Wortha. Cóż, cuda jeszcze się zdarzają na tym świecie!

Alabaster McGregor, sącząc różowawy dżin, przysiadł się do Dove. Ten pochodzący ze starej miejscowej rodziny, dobiegający czterdziestki kawaler prowadził gazetę „Newport Daily Whirl”, a ponadto był arbitrem miejscowej socjety, w jednej osobie animatorem, kronikarzem i sędzią przyznającym punkty. Wysoki, szczupły, łysy, z bladą cerą poznaczoną ciemnymi wątrobowymi plamami, odznaczał się nieskazitelnymi manierami i rodzącymi spekulacje upodobaniami seksualnymi. O jego względy zabiegali zarówno nuworysze, jak i osoby pragnące wspiąć się na szczyt drabiny społecznej. Stara gwardia też wolała nie wypaść z łaski,

szczególnie że łaska McGregora lubiła na pstrym koniu jeździć.

„Władza to mięsień umysłu” - brzmiała jedna z jego ulubionych maksym. Ćwiczył ten mięsień od czasu do czasu, by nie zwiotczał. Był zawołanym pamiętnikarzem i z upodobaniem szperał w ciemnych zakamarkach życia bliźnich. Dzieląc się monarszą władzą, pozostawali z Dove przyjaciółmi. Oddanymi przyjaciółmi. Bardzo dla siebie użytecznymi.

- Skandal, moja droga - odezwał się Alabaster, kierując wzrok w tym samym kierunku co Dove. - Twoja Nicola zaskoczyła wszystkich. Nawet ciebie. Przyznaj.

Dove Peerce przeciągnęła długimi, wypolerowanymi paznokciami po szarym rękawie surduta swojego towarzysza. Była to łagodna pieśczoła drapieźnika.

- Powiem ci coś, Ally. Śpiewam z radości, chociaż jednocześnie mam straszne wyrzuty sumienia. Biedny Percy żyje w ustawicznym bólu. Od Bożego Narodzenia cierpi na żołądek... Pamiętasz ten pasztet z bażanta? „Bój się bażanta” napisałeś, zdaje się, w nagłówku. Wiem, że powinnam się martwić o męża, lecz nogi same niosą mnie do tańca. Jestem taka szczęśliwa. Nicola zaręczona! Nicola, ta spędzająca mi sen z powiek Nicola - angielską markizą! Rolf jest naprawdę miły, nie sądzisz? Jestem w siódmym niebie.

- Tak nagle... Tak niespodziewanie... - mruzczał Alabaster. Zdjął szpony Dove ze swojego ramienia i żyłastą, upstrzoną wątrobianymi plamami dłonią wygładził kant na nogawce spodni. - A już sposób, w jaki tego dokonała, zakrawa na kryminał.

Istotnie, pomyślała Dove. Nicola bowiem dokonała podboju w jeden wieczór, podczas jednego przyjęcia, właśnie tutaj, w udekorowanej porożami jeleni jadalni Whale's Turning. A było to w maju, jeszcze przed sezonem, podczas pierwszej kolacji wydanej w tym wielkim domu, dwa dni po tym, jak John Bayard Lockhom z matką i siostrą i Rolfem Pomeroyem tu się sprowadzili. Celeste Lockholm przywiozła markiza, właściwie narzeczonego, chociaż zaręczyny nie zostały oficjalnie ogłoszone, prosto z Londynu via

Saint Moritz. Mój Boże, co to był za wieczór, wspominała Dove.

Brat Celeste, Bay, właśnie wrócił po rocznej nieobecności. Włączył się po świecie niczym Cygan, a tymczasem kończono budowę Whale's Turning. Próbował odzyskać równowagę po śmierci Virginii. Udał się wpierw do Afryki, a potem przez Egipt na Daleki Wschód. Sam. Jego matka, Edmunda, zabrała natomiast córkę, Celeste, do Paryża, potem do Rzymu, a następnie do Szwajcarii. Polowały na męża. Na męża z tytułem.

I upolowały piękną zwierzynę, sympatycznego Rolfa, lorda Pomeroya, niedawno osieroconego przez obydwój rodziców, po których odziedziczył szlachecki tytuł. Zdrowego, wysportowanego młodzieńca, zapalonego myśliwego, gracza w polo oraz narciarza. To właśnie na nartach się poznali. Młody człowiek miał twarz anioła, trochę pociągłą, typowo angielską, cerę jak krew z mlekiem, oczy niebieskie, policzki jędrne i rudoblond włosy, jakich pozazdrościłaby mu każda aktorka.

Celeste w mgnieniu oka straciła głowę i zaczęła zabiegać o jego względy. Rolf, z początku nieśmiały, wkrótce szczerze polubił dziewczynę i gdy matka z córką kontynuowały podróż do Anglii, lord Pomeroy asystował im, zaprosiwszy wprzód obie panie do odwiedzenia jego rodowej siedziby.

W Denton, a potem w Londynie, nie odstępował ich na krok i wprowadził Amerykanki do angielskiego towarzystwa Rolf należał do grona przyjaciół Edwarda, następcy tronu i był drugim w kolejności graczem w książęcej drużynie polo Pani i panna Lockholm zostały przedstawione na dworze W Balmoral grały w krokieta z królową. Dove Peerce zazdrościła im tego. Sama pragnęłaby należeć do tych nielicznych wybranek, które wybiły kulę Wiktorii z pola.

Przez całą zimę i wiosnę matka i córka mieszkały w domu Rolfa w stolicy, a gdy - w terminie późniejszym, niż planowano - wsiadały na statek „Cliffs of Dover”, zabrały lorda Pomeroya ze sobą. Anglik jednak oficjalnie się jeszcze nie zdeklarował. A powinien. Czas był

po temu najwyższy

I właśnie dlatego Lockholmowie rozpoczęli sezon towarzyski wcześniej. Chcieli, z rocznym opóźnieniem, zainaugurować. Whale's Turning, przedstawić lorda Pomeroya przyjaciołom i ogłosić, jak tylko oświadczyzny nastąpią, bliski ślub.

I mieć ten kłopot, na miłość boską, z głowy.

Cała sprawa nie ciągnęłaby się tak długo, gdyby ojciec Celeste żył. On dopiąłby swego, nim postawili stopę na angielskiej ziemi. On tak. Lecz cóż. Edmunda Lockholm miała już sześćdziesiąt lat i była wdową. „Słodki William”, jak zawsze nazywała męża, zmarł dziesięć lat temu. Wybrali się owego fatalnego dnia na spacer po Piątej Alei. Ona siedział: na sankach, on brnął pod wiatr i, wyśpiewując „It Came upoi a Midnight Clear”, ciągnął żonę. Nagle zabrakło mu tchu Staął, zachwiał się i zmarł, jeszcze zanim upadł w śnieg. Po tym wypadku Edmunda nigdy nie doszła do siebie. Nigdy nie dojdzie... Dove wiele razy Słyszała tę historię i zawsze się wzruszała.

Niemniej Edmunda spełniła swoją powinność, przyznała Dove, i dla dobra dzieci wzięła się w garść. Pragnęła ustawić Celeste w życiu, aby teraz móc skoncentrować się na synu. Od śmierci Virginii Bayard stał się trudny, zamknięty w sobie, nieobecny. W Europie nie przyłączył się do matki i siostry. Uparł się podróżować samotnie, co matka uważała za niebezpieczny symptom u jedynego syna. Biedna Edmunda. Widziała już Bayarda ożenionego z uroczą dziewczyną, i taka tragedia po zaledwie roku. W wieku trzydziestu sześciu lat Bayard został wdowcem z czterdziestomilionową, szybko rosnącą fortuną, lecz bez dziedzica.

Tak, tak, Edmunda Lockholm ma się czym martwić. Dove jej współczuła.

A teraz spadł na nią kolejny cios, tym razem zadany przez Nicole. Akurat przez nią! Przez tę trzeźwą, nieatrakcyjną Nicole. Dwudziestoczteroletnią starą pannę, od sześciu lat „na wydaniu”, bez żadnego starającego się o jej rękę.

Ile migren wycierpiałam przez tę dziewczynę, ile aspiryn zażyłam,

wspomniała Dove i uśmiechnęła się do siebie. Z nią samą rodzice nie mieli takich zmartwień. Dotąd zachowała ślady nieprzeciętnej urody. Mając czterdzieści pięć lat, była damą w każdym calu. Siwowłosa - włosy zawsze stanowiły oryginalny akcent jej urody - niebieskooka, z nieskazitelną cerą i figurą, zawsze zadbana, starannie uczesana i pięknie ubrana. To jednak, jak zawsze uczyła Nicole, było najmniej ważne. Najtrudniejszym zadaniem jest, mawiała, dbałość o zachowanie uroku, cyzelowanie dowcipu i umiejętność przyjmowania gości. Jej przyjęcia, niebanalne, dowcipne, zabawne, należały obecnie do najwytworniejszych w Newport: lżej strawne niż u pani Astor, bardziej urozmaicone niż u Benson-Wardów i mniej ambitne niż u Trippa i Clarissy Railsów... „Królowa” Dove nauczyła się towarzyskiej finezji, a w Percivalu Peerce znalazła właściwego męża, czerpiącego dochody z nie wysychającego źródła w bankach i na kolei. Zdobyła właściwych przyjaciół, wiodła szacowny żywot. Jediną skazą, której nie zdołała naprawić, była jedynaczka Nicola, brzydkie kaczątko.

Wszystko jednak wskazuje na to, że nareszcie i ta mała chmurka nad jej głową się rozplynie.

Nicola nie miała niecných zamiarów, wszyscy byli co do tego zgodni. Nie myślała o zamążpójściu. Konie i polowania stanowiły treść jej życia. Nie interesowała się fatałaszczkami ani kobiecymi intrygami. Jako przyszła dziedziczka ponad siedemdziesięciomilionowej fortuny mogła pewnego dnia zostać najbogatszą samotną kobietą w Ameryce, a może i na świecie. Była dość bogata, by nigdy nie musieć szukać męża, i wiedziała o tym. Nicola żyła dokładnie tak, jak chciała, nie skrępowana gorsetami, nie obwieszona kokardami, a jeśli mężczyznom się to nie podobało, to do diabła z nimi.

Rolf także nie zamierzał zachowywać się jak łajdak. Oboje z Nicolą byli równie zaskoczeni sytuacją co wszyscy. Tylko, oczywiście, szczęśliwsi. Szczęśliwi aż do szaleństwa.

Pojawił się jednak pewien szkopuł.

Tamtego pamiętnego wieczoru Alabaster MacGregor również został zaproszony. Edmunda, triumfująca matka, orientowała się, jakie znaczenie ma dopuszczenia dziennikarza do rodzinnego sekretu, zanim podchwyci go prasa. Chciała mu dać wyłączność na sensacyjną wiadomość o zaręczynach jej córki z markizem. Wydała kolację również po to, aby przedstawić Rolfa Dove, niekoronowanej królowej Newport. Pragnęła od niej pierwszej spoza rodziny otrzymać gratulacje.

Dove zabrała ze sobą Nicole dopiero po dłuższym namyśle. Byle tylko zmusić tę dziewczynę do włożenia sukienki! Percival, mąż Dove, znowu cierpiał na bóle okrzężnicy i nie nadawał się, jak twierdził, do emablowania dam. Dolegliwości Percy'ego zaczynały stanowić poważny problem towarzyski. Dove potrzebowała przecież męskiej eskorty. Mogłaby chodzić na przyjęcia w towarzystwie Alabastra, lecz nigdy się do tego nie posunęła. Nie chciała, by ich alians stał się nazbyt widoczny.

Lepiej niech ludzie kojarzą go z Edmunda Lockholm, chociaż od śmierci słodkiego Williama pani Lockholm nie związała się z żadnym mężczyzną i prawdopodobnie już tego nie zrobi, gdyż najwyraźniej nie miała ochoty na ponowne małżeństwo. Odpowiadała jej pozycja wdowy. Ale tego wieczoru, myślała Dove szykując się na przyjęcie, Edmunda na pewno posadzi Alabastra przy sobie i otworzy przed nim serce. Zazwyczaj sztywna - jak ciasno zasznurowany gorset, dodała w myśli Dove - Edmunda nie będzie mogła się oprzeć pokusie podzielenia się z redaktorem takimi wiadomościami.

Kto by mógł?

Tak więc Dove udała się do Whale's Turning z Nicolą, która wśród dąsów i protestów zgodziła się włożyć szmaragdowozieloną suknię obszytą przy dekolcie drobnymi perełkami. Starannie dobrany odcień sukni podkreślał delikatną cerę dziewczyny i sprawiał, że jej piegi stawały się mniej widoczne, za to włosy ufryzowane przez osobistą pokojówkę Dove płonęły ognistym blaskiem. Dłonie Nicoli zostały nakremowane, paznokcie starannie wypolerowane. Dove

nalegała, by córka włożyła wisiorek ze szmaragdem w kształcie łożki i takie same kolczyki. Wbrew własnej woli Nicola wyglądała apetycznie, ponętnie, niemal ładnie, i nawet tego nie zauważyła. Nicola była po prostu Nicolą i nic na to nie można było poradzić. Ręce miała szorstkie od trzymania wodzy i silne jak u mężczyzny, figurę krzepką, chód mocny, a głos... albo donośny i pełen energii, na przykład gdy rozprawiała o tym, jak zmusić kłusaka do biegu czy jak leczyć chore kopyta, albo płaski i obojętny, opryskliwy, gdy pytano o coś, czym nie była zainteresowana, na przykład o kapelusze czy o pejzażystów z doliny rzeki Hudson... Nie, nie, Nicola nie gustowała w salonowych przyjemnościach.

I właśnie w salonie, dosłownie kwadrans po przybyciu, ledwie zdążyły wypić łyk szampana, stała się rzecz niespodziewana;

Przedstawiony Nicoli lord Pomeroy spytał:

- Jak się pani miewa?

Na co Nicola, która nie znosiła częściej gadaniny, odparła:

- Cóż, nie najlepiej, sir. Moja klacz nie mogła ochłonąć po porannym galopie i musiałam ją okryć derką i z godzinę prowadzić po maneżu. A po wytarciu dwukrotnie kichnęła. Mam ochotę kopać z wściekłości.

Lord Pomeroy spojrzał zdumiony na hożą i roślą dziewczynę, rudowłosą jak jego własna matka, która tak niedawno odeszła do wieczności. Nigdy nie spotkał kobiety, która w taki sposób zaczęłaby rozmowę i mówiłaby jego językiem. Zapomniał o wszystkich i zaprowadził Nicole do stojącej na uboczu, krytej koralowym, tłoczonym brokatem kanapki. Ująwszy jej rękę, zajrzał jej głęboko w brązowe oczy i postawił diagnozę:

- Krup. - I przysuwając się odrobinę bliżej powtórzył: - To wygląda na krup.

- Guzik prawda - prychnęła Nicola.

Dove omal nie zemdląła, lecz widząc, że Alabaster wpatruje się w jej córkę zafascynowany, skierowała wzrok na wciąż stojącą w tym samym miejscu, gdzie ją lord Pomeroy zostawił, Celeste.

- Och, Nicolo - rzuciła Celeste bezmyślnie w przestrzeń. - Co za prześliczna suknia. Uważam, że w zieleni wyglądasz jak zjawisko. Nowa?

Nie uzyskała odpowiedzi, jakby właścicielka sukni nie usłyszała komplementu.

- Sama oporzędzasz konie, moja droga? - zagadnęła Edmunda Lockholm siedząca w fotelu ze złożonymi poręczami, lecz jej wypowiedź także została zignorowana.

Lord Pomeroy przysunął się bliżej Nicoli. Kolanem dotykał teraz zielonego jedwabiu jej sukni.

- W takim razie co? - spytał.

- Za dużo żarła - stwierdziła Nicola.

Celeste zbladła, następnie oblała się rumieńcem ciemniejszym od różowych kokard przy popielatej sukni.

- Przez zimę straciła linię. Za mało ruchu, za dużo siana. Nigdy więcej. Kiedy teraz doprowadzę ją do formy, nie pozwolę już jej tak się zapaść. Widzi pan, to wszystko moja wina. Dlatego jestem taka wściekła. Zaniedbałam ją dla innego konia. Dla wspaniałego, czarnego ogiera...

- To pani dosiada ogiera? - szepnął lord Pomeroy z błyskiem w oczach.

- Po męsku - odparła Nicola. - Pan nie?

- Po męsku! - wykrzyknęła Celeste.

- Po męsku - westchnął Rolf złapany w sidła uczucia. No i stało się. Przez resztę wieczoru Rolf, lord Pomeroy,

markiz Denton, nie zwrócił uwagi na żadną inną kobietę: ani na gospodynię domu, Edmundę Lockholm, ani na prawie narzeczoną, słynną w Newport piękność, Celeste, ani na odrobinę nadużywającą burgunda Dove.

Przyjęcie zmieniło się w koszmar; czwórka widzów w milczeniu przysłuchiwała się rozmowie zauroczonej sobą pary. Dove wzdrygnęła się na samo wspomnienie tej niewiarygodnej wymiany poglądów o prowadzeniu koni na lonży, o biegach na krótkich

dystansach pod górę, kłusie na przełaj... Straszne. Straszne! Tych dwoje zapatrzonych w siebie, oczarowanych, spijających każde słowo padające z ust drugiego, odurzonych odnalezionym szczęściem, nieświadomych, co się naokoło dzieje...

Celeste blada, wręcz zielona, piła czerwone wino niczym bywalec tawerny i nie mogła przełknąć ani kęsa. Alabaster, któremu nic nigdy nie psuło apetytu, z błyszczącymi oczyma przyglądał się rozwojowi wypadków. Racząc się szparagami i puddingiem, układał już w myślach artykuł do rubryki towarzyskiej.

A Edmunda? Biedaczka siedziała u szczytu stołu nie wiedząc, co począć, i wzrokiem zwierzęcia prowadzonego na rzeź śledziła trójkę młodych. Niemniej usiłowała robić dobrą minę do złej gry, przeproszała za nieobecność Bayarda, dopytywała się o zdrowie Percivala, rozplýwała się w zachwytach nad suknią Nicoli.

Nareszcie wstali od stołu, aby przejść do salonu muzycznego na kawę i deser. Celeste ujęła Rolfa pod ramię i z uśmiechem zagadnęła:

- Już dość nazawracałeś głowę Nicoli. Teraz moja kolej.
- Musimy jechać - oświadczył Rolf, ignorując jej kokieterijne dąsy.

Musimy? To znaczy on i Nicola! Oburzona Celeste puściła ramię markiza i cofnęła się tak gwałtownie, że przydepnęła suknię i omal nie upadła.

- Sprawdzić, jak się ma Rapunzel - ciągnął Rolf. - Jeśli się nie mylę, trzeba jak najszybciej sprowadzić weterynarza i odizolować ją od innych koni. Nie wolno zwlekać. Fisher - zwrócił się do lokaja - okrycie panny Peerce... i moje.

Celeste oniemiała. Edmunda zamieniła się w słup soli. Dove szeroko otworzyła oczy. Służba, pomyślała. Rozpowiedzą? Z obcą służbą nigdy nie wiadomo.

- I moje, Fisher - rzucił Alabaster, chwytając sytuację w lot. - Chcę na własne oczy zobaczyć tę kobyłę.

- Równy z pana chłop - pochwalił go Rolf, w geście solidarności

potrzęsając pięścią.

- Może pan na mnie liczyć, Rolf - zadeklarował Alabaster, gratulując sobie w duchu.

- A ja? - odezwała się Dove odzyskując głos i nie chcąc tracić nadarzającej się okazji do wyjścia. - Jutro, Edmundo - zwróciła się do gospodyni domu - jutro napijemy się herbaty i spokojnie porozmawiamy.

- Jadę z wami - oświadczyła nagle Celeste, jakby postanowiła nie poddawać się bez walki. Władczym gestem ujęła Rolfa pod ramię i dodała: - Gdzie ty, tam i ja, wiesz przecież.

- Oczywiście - zgodził się Rolf, po bratersku gładząc miękką dłoń Celeste, chociaż widać było, że strzała Amora ugodziła go w samo serce.

- Jedziemy wszyscy - zawołała Edmunda. Jakże dumna była Dove z przyjaciółki, która z taką godnością przyjęła poniżające zrzęcenie losu. - Fisher! Konie!

I pojechali. Dwoma powozami. Dove z Nicolą i Rolfem w jednym, Celeste, Edmunda i Alabaster w drugim.

Przybywszy na miejsce udali się prosto do stajni - Dove uniosła suknię, spisując jednocześnie w duchu jedwabną halkę na straty - gdzie znaleźli dorodną klacz, drzemącą w swoim boksie i zdrową.

Nicola poszła przebrać się w bryczesy. Wróciła w towarzystwie rozpromienionego ojca ubranego w piżamę, bonżurkę i domowe kapcie.

- Co tu się dzieje? Co tu się dzieje? - dopytywał się Percy. - Kogo ja widzę! Lord Pomeroy? Witam, witam. Edmunda, Celeste, jak się macie? I Ally McGregor! Wstąpcie potem do domu. Nevvers już szuka poncz.

Klacz wyprowadzono, a Rolf zajrzał jej w nozdrza i do gardła, zbadał dziąsła i język, przeciągnął dłońmi po tchawicy. Rapunzel miała oczy czyste, nos drożny i z zadartym łbem i ogonem, parskając, zapraszała na przejażdżkę przy jasnym księżycu.

- Chcesz zobaczyć, co potrafi, Rolfie? - spytała Nicola, wsuwając

wędzidło w pysk zwierzęcia.

- Nicolò, nie - zaprotestowała Dove, lecz Rolf z ochotą przyjął zaproszenie.

Nicolò zrzuciła derkę, podprowadziła klacz do schodków i wskoczyła na błyszczący grzbiet ulubienicy.

- Wsiadaj - zachęciła i w mgnieniu oka Rolf już obejmował Nicole w talii. Z głośnym śmiechem, jak jakaś zjawą, pogalopowali w noc.

- Straciłam go, mamó - rzekła Celeste. Lekkie drżenie głosu zdradzało, ile ta strata dla niej znaczy. - Znalazł swoje przeznaczenie.

Fakt ten był dla wszystkich oczywisty. Stali w kręgu świateł stajni i patrzyli w ślad za zakochaną parą. Wiedzieli, że teraz Nicolò i Rolf muszą wziąć ślub. Odjechali sami, bez przyzwoitki... oboje będą całkowicie skompromitowani. Nikt się nie odezwał. Tak, pomyślała Dove, chłopak znalazł swoje przeznaczenie, Nicolò też. W głębi serca, gdzieś w głębi swego jestestwa, Dove poczuła przyływ długo skrywanej dumy...

Z kwaśnymi minami weszli do domu. Celeste milcząca i trzeźwa, Edmunda z błędnym wzrokiem, Alabaster sztucznie poważny. Percy popijał poncz i przykładał sobie ukrytą w poduszce butelkę z gorącą wodą do brzucha, Dove wprawdzie liczyła brzoskwiniowe róże na dywanie, potem czerwone...

Po godzinie Nicolò i Rolf wrócili. Zaręczeni. Szesnastokaratowy brylant, jeszcze rankiem tego dnia przeznaczony dla Celeste, teraz skrzył się na małym palcu masywniejszej dłoni Nicolò.

Zapanowała ogólna radość.

A potem ogólna konsternacja. Czyż bowiem Celeste nie wyszła następnego dnia w południe z domu i nie wybrała się na morską przejażdżkę w towarzystwie jedynie tego instruktora żeglarstwa, tego domorosłego Casanowy? Czyż przez kilka godzin nie przebywali tylko we dwoje poza zasięgiem ludzkiego wzroku, zawieszeni między niebem a ziemią?

Później, nie mówiąc ani słowa matce czy bratu, dziewczyna wsiadła w ostatni pociąg do Nowego Jorku. Wciąż w towarzystwie tego osobnika, zwykłego majtka z plaży, gołego jak święty turecki; Nawet nie służącego. Przystojnego, owszem. Jak na gust Dove, odrobinę zbyt opalonego, zbyt osmaganego słonym wiatrem, niemniej przystojnego... Celeste zameldowała ich oboje w hotelu Waldorf (w osobnych apartamentach, lecz jakie to ma znaczenie!) i spędziła noc *incommunicado*.

Oburzające!

Następnego dnia, jakby jeszcze było za mało, kupiła u Tiffany'ego pierścionek. I to jaki! Zafundowała sobie klejnot godny królewskiej dłoni, dwudziestokaratowy brylant w platynowej oprawie.

Jej matka cały ten czas spędziła w ataku histerii w łóżku, a brat, uzbrojony w pistolet, przeczesał Newport. Zaalarmowano policję, błagając jednocześnie o zachowanie dyskrecji. Podejrzewano, że młoda kobieta została uprowadzona, czekano tylko na wiadomość z żądaniem okupu. Edmunda zaś była przekonana, że jej córka popełniła samobójstwo.

Wpierw Virginia, teraz Celeste...

Straszne, myślała ze współczuciem Dove, starając się panować nad twarzą.

I nagle, następnego dnia, akurat w porze popołudniowego koktajlu, Celeste zjawiła się jak gdyby nigdy nic w Whale's Turning, ciągnąc za sobą obcego mężczyznę. Tanecznym krokiem wbiegła na marmurowe schody i wpadając do sypialni matki obwieściła, że jest zaręczona! Wybraniec nazywał się Thorne Cockburn, co dla uniknięcia nieprzyzwoitych skojarzeń wymawia się jak Coburn, i był tak irlandzki i tak pospolity jak mech i ziemniaki.

Alabaster, ta tarantula, siedział w kącie i chociaż przerzucał stronice jakiejś książki, bacznie wszystko obserwował. Szczwany lis chciał odejść, lecz usłyszawszy od Celeste, że może zostać, skwapliwie skorzystał z pozwolenia. Celeste nalegała, by został i był świadkiem jej szczęścia. Poprosiła, by opublikował wiadomość o jej

zaręczynach w rubryce towarzyskiej i zechciał umieścić ją przed zawiadomieniem o zaręczynach Nicoli... Alabaster, gotów przystać na wszystko, aby zdobyć więcej szczegółów, obiecał podać wiadomość w nagłówku, napisać dwa akapity i dołączyć zdjęcie.

Dove westchnęła. Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Edmunda to ciskała gromy, to wybuchała płaczem, a tymczasem Bayard Lockholm spokojnie wyraził zgodę na małżeństwo siostry, które zresztą było już i tak przesądzone. Dove przysięgła nie tylko utrzymać zaręczyny Nicoli z Rolfem w tajemnicy do czasu oficjalnego ogłoszenia planów Celeste, lecz również wprowadzić Thorne'a do towarzystwa.

I do tej pory wszystko układało się pomyślnie, chociaż nie obeszło się bez szeptania po kątach w Casino Cafe...

Z przyjemnością powitam koniec tego ledwie rozpoczętego sezonu, pomyślała Dove. Percy wróci do zdrowia, Nicola wyjdzie za mąż i całą czwórką, ona, Percival, Nicola i Rolf, wsiądziemy na statek, który nas zawiezie do Londynu, prosto na partyjkę krokieta z królową Wiktoria...

- Kryminał? Nie powiedziałabym. Raczej jeszcze jeden dowód na to, że Irlandczycy mają niespotykane szczęście - odpowiedziała w końcu Dove na kąśliwą uwagę Alabastra. - Przyłączymy się do nich?

3

Był wczesny wieczór, słońce chyliło się ku zachodowi. Ciepłe światełka lamp gazowych płonęły w wąskich drewnianych domach. Martha Whittaker usiadła z robótką na werandzie i czekała na męża Wallace'a, który miał wrócić ze złowionymi rybami. Na rogu ulicy Trzeciej i Marsh pani Olsson, pracująca do późna w swojej piekarni, zmiatała okruchy chleba z pokrytej zniszczonym linoleum podłogi. Na Thames Street dwóch roześmianych chłopaków niosło kajak.

Tymczasem Audrey Smoke z burzą w sercu skręciła ku Cliff Walk, dróżce wyżłobionej w skałach, które wyrastały z dna cieśniny. Dróżka wiła się obrzeżem wspaniałych, zielonych trawników rezydencji bogaczy, lecz każdemu wolno było nią chodzić. W miejscu, gdzie cypel lądu zwany Gilt Hill wrzynał się głęboko w morze, Cliff Walk zmieniała się w WaterWalk, bardziej stromą, bardziej zdradziecką i mniej uczęszczaną ścieżkę. Audrey pragnęła usiąść wysoko na górze, skąd rozpościerał się widok na zatokę. Z WaterWalk powinna dojrzeć wieloryby wypuszczające fontanny wody i rozkoszujące się ciepłem zachodzącego słońca.

Musiała się zastanowić, co robić. Thorne Cockburn jej nie chce, ojciec też. Z powodu planowanego ślubu rzuciła pracę w kwiaciarni. Może wyjechać, ma zaoszczędzonych siedemdziesiąt dolarów i skończoną szkołę średnią. Nie, zdecydowała. Nie ucieknie jak Brigit Norris. Poza tym nie chce wyjeżdżać, chce zostać tu, na miejscu.

Zgłosi się do kwiaciarni. Wyprowadzi się od ojca. Może zamieszka na piętterku domu pani Burrough w pokojach, które wynajęli z Thorne'em? Były świeżo odmalowane, a w bawialni, z myślą o zimie, zainstalowali nowy piec. Thorne żeni się, jak twierdzi, z bogatą dziewczyną, nie będą chcieli tanich, fabrycznych, perkalowych zasłonek, jakie tam powiesiła. Nie będą chcieli niskiego sosnowego

łóżka z siennikiem wypchanym świeżą słomą, które było w sam raz dla Audrey... Ścieląc to łóżko, przygotowując je na noc poślubną, zastanawiała się, jak to będzie... Thorne i ona. Żona i mąż.

Matka powiedziała jej tylko, że kobiety potrzebują trochę czasu, nim się przyzwyczają, lecz że mężczyźni to lubią, nawet bardziej niż przystoi. Gdy Josephine Smoke zmarła, Audrey była zbyt mała, aby się dowiedzieć więcej. Ale jej przyjaciółka Katia, zanim wyjechała do Kalifornii, zwierzyła się jej, że to jest straszne, bolesne i upokarzające, lecz, dzięki Bogu, trwa krótko... W książkach natomiast pisali o obezwładniającym wewnętrznym ogniu. Czasami, gdy Thorne ją całował, Audrey czuła jakieś dziwne poruszenie. Spodziewała się przeżyć o wiele, wiele więcej...

Powiało chłodem od morza. Drżała w lekkiej, białej sukience, lecz pod wpływem gwałtownych uczuć krew w jej żyłach krążyła szybciej i Audrey nie zwracała uwagi na zimno. Gdyby tak skoczyć z wysokiej stromizny w niebieską toń, zanurkować i wynurzyć się daleko poza pieniającymi się białymi grzywami fal? Podpłynąć do kadłuba tamtego trójmasztowca, zakotwiczonego w bezpiecznej odległości od skał? Przyjrzała się jachtowi. W czerwonym zachodzącym słońcu płonął niczym pochodnia, egzotyczny, bursztynowożółty, z jaskrawożółtymi żaglami. Wyteńczyła wzrok. „Catbird Seat”, przeczytała napis na burcie.

Powietrze przesycone było solą. Audrey przysiadła na kamieniu. Oddychała głęboko i wypatrywała wielorybów.

Z początku widziała tylko kołyszącą się na wodzie, cytrynowożółtą, jednożaglową łódź, która nagle rozszczepiła się na wielobarwne smugi, zielone, szkarłatne, połyskliwoszare. Dostrzegła więcej łodzi i więcej żagli, białych, opromienionych różowym słońcem lub zasłoniętych granatowym cieniem. Łodzie sunęły z wiatrem. Po całym dniu wracały do Newport. Zauważyła też skify uboższych rybaków, tak płytkie, że wyglądały jak kłody drewna o barwie wymytych wodą skał. Poruszane wiosłami, wolniej zbliżały się do brzegu. Daleko za nimi, na samym widnokręgu,

kominy wielkiego parowca wypuszczały w niebo białe obłoki.

I wówczas ujrzała to, czego wypatrywała: cztery garbate olbrzymy leniwie pływały po zatoce, bliżej nawet, niż się ich spodziewała. Trzy z nich, wielorybia rodzinka, dryfowały na powierzchni, baraszkowały w blednym słońcu, wdzięcznie błyskając bielą spodnich płetw, którymi zataczały długie łuki. Na zmianę wyrzucały wysoko ogony przypominające złączone drzewcami kosy i wślizgiwały się w głębinę, nie pozostawiając na powierzchni wody ani jednej zmarszczki. Po chwili długie, czarne kształty wybrzuszały się ze spokojnej toni, strzelały nagle w niebo, zawisały na mgnienie oka w powietrzu i opadały na ławice ryb w kipiącej pianie.

Czwarty wieloryb wylegiwał się na wodzie niemal tuż pod stopami Audrey, około sto metrów od brzegu.

Za Newport Island słońce już zachodziło, oświetlając horyzont płomienną poświatą i rzucając głębokie cienie na skały. Samotny wieloryb w ciemniejącym oceanie, ogromny i czarny, od czasu do czasu wypuszczał z nozdrzy fontannę wody, która tworzyła tęczowy otok wokół jego głowy. Ssak leżał cicho, nie ruszał się. I nagle zniknął, zapadł się bez śladu pod wodę i tylko tęcza jeszcze przez chwilę unosiła się w chłodnym powietrzu.

Audrey westchnęła. Głęboko w duszy czuła pokrewieństwo z wielorybami. Wiedziała, że nie mają pojęcia o istnieniu świata, w którym żyła, niemniej ich widok działał na nią kojąco.

Odwróciła głowę i spojrzała na wielki dom zbudowany z kamienia o barwie migdałów, wysoki, ze wspartymi na kolumnkach, zwróconymi ku morzu, werandami. Klejnot z marmuru i złota na aksamitnym, szmaragdowym dywanie.

W ogrodach odbywało się właśnie huczne przyjęcie. Damy w lekkich jak mgiełka sukniach przechadzały się w towarzystwie mężczyzn ubranych w letnie, pastelowe garnitury. Towarzystwo zebrane przy nakrytych białymi obrusami stołach, ustawionych pod koronkowymi parasolami, raczyło się kolacją. W kandelabrach

wysokości człowieka płonęły świece, osłonięte szklanymi kloszami. Z boku domu, przy bramie wjazdowej, na płaczącym buku, zakwitły kolorowe baloniki. Pod markizami w cytrynowożółte i złote pasy lokaje w liberii przygotowywali przekąski i alkohole.

Śmiech kobiet, jak szmer spadających wodospadów, niósł się ku skałom. Wśród ogólnej wrzawy Audrey rozróżniała donośniejsze głosy mężczyzn, brzęk kryształowych kieliszków - oczywiście, szampan! - i wysokie tony samotnej harfy.

Audrey stała na ścieżce jak zrozpaczona sierota, nieproszony gość z daleka tylko podziwiający cały ten przepych.

Czy dla takiego świata Thorne mnie porzucił?

Czyżby, ucząc bogatą dziewczynę jachtingu, naprawdę się do niej umizgał w nadziei, że wniesie mu rajskie bogactwa w posagu?

A tymczasem ja dniami i nocami harowałam za nędzne grosze, przycinając kwiaty i układając bukiety na stoły bogaczy... Może to moje kompozycje ozdabiały dom, w którym się jej oświadczył? Może, gdy przyklęknął na jedno kolano, uderzył go w nozdrza zapach wybranych moją ręką herbacianych róż? Może po pierwszym pocałunku wysłał tamtej bukiet kamelii, pisząc na białym bileciku: „Od tajemniczego wielbiciela”? Nawet bogata dziewczyna byłaby tym mile połączona. A potem już jeden krok pociąga za sobą drugi... I to wszystko za moimi plecami, myślała rozgoryczona.

Spostrzegła, że niedaleko na skałach pojawił się jakiś mężczyzna w białym garniturze i czarnych, błyszczących trzewikach. Miał jasnobrązowe włosy, w ręku trzymał kieliszek szampana.

Gdy się zbliżył, zauważyła, że jest znacznie od niej starszy, że ma szare... nie... raczej niebieskoszare, zamysłone oczy i arystokratyczny, cienki nos. Morska bryza targała mu włosy, które opadły na czoło jak u chłopca. Wydawało się, że dobrze zna WaterWalk. Przysiadł na kamieniu, na którym przed chwilą siedziała, i podobnie jak ona zapatrzył się w morze.

- Przyszedłem tu chwilę odpocząć od zgiełku - odezwał się. Głos miał dźwięczny i niski zarazem. Wyjął z kieszeni cygaro. - Mogę

zapalić? - spytał.

Zauważyła, że mężczyzna jej się przygląda. Nie uśmiechał się, lecz nie sprawiał wrażenia przygnębionego. Wiedziała, że pytanie zadał dla formy, czekał jednak na odpowiedź.

- Nie chciałam przeszkadzać - wybąkała, drżąc w cienkiej sukience. - Przyszłam popatrzeć na wieloryby. Mieszkam w mieście. Często tutaj przychodzę. Gdybym wiedziała, że będzie przyjęcie - wskazała za siebie - nie przyszedłabym.

- Gdybym mógł, też bym nie przyszedł - odparł nieznajomy pochylając głowę i zapalając cygaro. Wypuścił kilka lekkich jak mgiełka obłoczków dymu, które odpłynęły w dal. - Tak się jednak składa, że to mój dom i moi goście, więc musiałem się pokazać.

Audrey nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Teraz wiedziała, kim jest napotkany mężczyzna. Od dzieciństwa słyszała wiele o nim i o jego rodzinie. Nazywał się John Bayard Lockholm i był prawnikiem kapitana Lockholma. W takim razie tamten dom to Whale's Turning.

Whale's Turning od dawna, jeszcze zanim Lockholmowie w nim zamieszkali, otaczała atmosfera skandalu. To tutaj w trakcie budowy zginęła młoda żona Johna Bayarda. Umarła nosząc w łonie dziecko. Rok temu. W czerwcu. Samobójstwo. Dwanaście miesięcy po ślubie, ledwie wrócili z podróży. Skoczyła z okna na drugim piętrze, z pokoju dla służby. Przyszły ojciec przebywał w tym czasie na jachcie, tym samym, który stał teraz przycumowany w prywatnej przystani.

Mówili, że palił cygaro...

Może podziwiał księżyc.

Widział, jak spadała. Popędził przez czarny jak leśne mchy trawnik na ratunek. Za późno. Straciwszy wszelką nadzieję, zaniósł ciało do czekającego na nie ukończonym podjeździe powozu, którym tu przyjechała. Woźnica, nieświadomy tragedii, spał. Powiedział, że pani uprzedziła, iż ma zamiar spędzić w nowym domu kilka godzin, przeglądając nowe meble zmagazynowane na piętrze dla służby, aby nie przeszkadzały robotnikom.

John Bayard Lockholm był zdruzgotany. Kazał ukończyć dom zgodnie z planami zmarłej żony i zaraz potem wyjechał. Udał się, jak mówiono, w podróż dookoła świata. Nie było go prawie rok. Ale teraz wrócił. Letni dom, wzór doskonałości, był już wykończony. Nowy i... już w nim straszło. Przynajmniej tak szeptano.

Wszyscy chcieliby wiedzieć, co popchnęło Virginie Lockholm, bogatą, młodą, kochaną, mającą wszelkie powody, by pragnąć żyć, do śmierci?

Audrey nie zdawała sobie sprawy z tego, że drży. Nagle zobaczyła, że Bayard Lockholm zdejmuje surdut. Zauważyła, że jego koszula uszyta była z najpiękniejszego Inu.

- Proszę - rzekł podając dziewczynie okrycie. - Włóż to na siebie.

Rumieniąc się, wsunęła ręce w podbite jedwabną podszewką rękawy, za długie, ogrzane ciepłem jego ciała. Ciasno zawięta wokół siebie zbyt obszerne poły.

- Dzięki. - Zastanawiała się, czy powinna odejść, przeprosić, odwrócić się, wracać... Wracać? Dokąd? - Nazywam się Audrey Smoke - powiedziała i dodała: - Mój ojciec, Lawrence Smoke, jest stolarzem. Pracował w pana domu, w środku. Robił, zdaje się, sekretery.

John Bayard Lockholm, z włosami rozwianymi, koszulą wydymającą się na wietrze niczym żagiel, wciąż wpatrywał się w morze.

- Znam robotę twojego ojca - powiedział. - Córka też mu się udała.

Audrey oparła się o wystający głaz, na którym siedział jej towarzysz, i zaczęła wspominać inną historię. Kiedyś, podczas mozolnego wcierania politory w skrzynię ze szlachetnego drewna, ojciec opowiedział jej dzieje założyciela klanu i twórcy majątku Lockholmów.

Kapitan Lockholm zbił fortunę łowiąc wieloryby, potem handlując rumem i niewolnikami. Był piratem, bandytą i kapitanem statku korsarskiego, mówił Lawrence, i źle skończył.

Za swoje grzechy zginął zabity na morzu.

Nikt nie wiedział na pewno, kto zabił pradziadka Bayarda. Niektórzy twierdzili, że zrobił to Abel Larcher, kapitan „Quicksilvera”, inni, że zazdrosna Margaret, własna żona Lockholma, którą zabrał ze sobą w rejs. Większość ludzi jednak wierzyła, że mordercą był rozwścieczony Murzyn, którego kobietę sprzedano. Ukrył się na „Quicksilverze”, zabił, a następnego dnia sam zawisł na maszcie. Wieść niesie, że potępieniec ten, umierając, rzucił klątwę na kapitana Lockholma, jego bogactwa, jego potomnych. Przeklął nazwisko...

- Kim był ten Murzyn? - spytała i dopiero po chwili zorientowała się, że mówi na głos. Uniosła dłoń i zakryła usta. Wybąkała przeprosiny.

John Bayard Lockholm odrzucił cygaro.

- Phineas - odparł spokojnie, jakby przygotowany na takie pytanie. - Phineas Brown, chociaż faktycznie chyba nawet nie miał nazwiska. Nadano mu je po śmierci. Formalności tego wymagały. Na świadectwie zgonu widnieje data dziewiętnastego sierpnia tysiąc osiemset ósmego roku, tego samego, w którym rząd Stanów Zjednoczonych zakazał dalszego przywozu niewolników z Afryki. Phineas trafił tu w jednym z ostatnich transportów.

- Nie chciałam być wścibska - tłumaczyła się pośpiesznie Audrey - ale w mieście ludzie rozpowiadają o bogaczach, a kiedy spotkałam tu pana i dowiedziałam się, kim pan jest, nagle mi się to przypomniało... - zająknęła się - to znaczy to, co mówią o pańskim pradziadku, kapitanie...

- Tak... Mój pradziadek, kapitan Lockholm. Legenda rodu Lockholmów. Prędzej czy później wszyscy o to pytają. - Bayard uśmiechnął się przelotnie do Audrey. - Niektórym wyjaśniam, innym nie. - Podając dziewczynie kieliszek z szampanem, dodał: - Wypij, Audrey. Zapraszam cię na moje przyjęcie.

Audrey upiła łyk złotego, musującego srebrnymi bąbelkami wina i oddając kieliszek stwierdziła:

- Wcale nie jest pan taki zimny i nieprzystępny, jak sobie wyobrażałam.

- Jestem, jestem - zaprzeczył i zaśmiał się krótko. - Na ogół jestem mało sympatyczny, raczej poważny, ciągle zajęty i mało się interesuję innymi. Niemniej, gdy stałaś tu sama, uległem twojemu urokowi.

- To znaczy, że przyszedł pan tutaj dla mnie? - Wino szczypało ją w gardle, mile rozgrzewało żołądek.

- Tylko i wyłącznie.

- I nie uciekał pan od gości? Nie przyszedłby pan, gdyby nie ja? - dociekała nie poznając siebie samej. W obecności nieznanym zazwyczaj bywała nieśmiała i traciła pewność siebie.

- Pewnie nie tak zaraz - odpowiedział. Wypił łyk szampana i znowu podał kieliszek Audrey.

- Ale tam - wskazała za siebie - jest tyle pięknych kobiet, pięknie ubranych, wysoko urodzonych, wykształconych i bardzo bogatych. Z pańskiej sfery. - Spojrzała mu prosto w niebieskie jak morze oczy. - Pan sobie ze mnie żartuje.

Jego usta ułożyły się jakby do uśmiechu.

Nie jest przystojny, stwierdziła w myśli. Nie tak oszałamiająco przystojny jak Thome. Jest atrakcyjny - i smutny. Jego też dotknął ciężki cios...

- Tak, ale je wszystkie znam od dawna. Ty za to jesteś dla mnie nowa, świeża i tajemnicza. Ile masz lat, jeśli wolno spytać?

- Dziewiętnaście. A pan? - Nagle poczuła się straszliwie odważna.

- Trzydzieści sześć. Za stary jestem dla ciebie.

Audrey cofnęła się o kilka kroków. Zachowała się arogancko, nie na miejscu. Upiła łyk szampana, z którego bąbelki już zaczęły ulatywać.

- Jak na dziewiętnaście lat czuję się bardzo staro - powiedziała, trochę urażona jego uwagą.

- Dlaczego?

I nagle zaczęła mu o wszystkim opowiadać: jak przymierzała ślubną sukienkę, tę, którą jeszcze ma na sobie; jak godzinę czy dwie temu, całą wieczność temu, zjawił się Thorne i oznajmił, że żeni się z inną, z dziewczyną, dla której stracił głowę, chociaż był zaręczony z nią. Żeni się z dziewczyną niezwykle bogatą i niezwykle piękną. I to natychmiast, tak że nie ma nadziei, że się wszystko jeszcze odkręci. Wyznała, że ojciec chce, aby się wyprowadziła i zrobiła w domu miejsce dla jego kobiety, wstrętnej ladacznicy całującej się z każdym, kto zapyta o cenę whisky w jej umazanej szminką szklance. Powiedziała, że przyszła tutaj, na WaterWalk, odetchnąć i popatrzeć na wieloryby. Ich widok zawsze działa na nią kojąco. Są tak ogromne, niezależne, jak samotne wyspy...

W tym wybuchu nie pominęła niczego, z pasją dawała upust wzbierającej w niej goryczy. Gdy skończyła, John Bayard Lockholm zapytał:

- Wiesz, kim jest ta dziewczyna?

Spostrzegła, że twarz mu zszarzała. Wyglądał obco i przerażająco. I znowu zbyt późno się zorientowała, co uczyniła. To przez ten szampan, którego bezmyślnie tyle wypiła. Wyznała swoją najgłębszą boleść obcemu, otworzyła serce przed jednym z nich! John Bayard Lockholm, ten bogacz, wie oczywiście o wszystkim. I to wie o wiele więcej! W Gilt Hill na pewno nie mówi się o niczym innym: panna dziedziczka i majtek z jachtu. I w tej chwili też plotkują o tej parze, w jego domu, na jego przyjęciu. Całe towarzystwo z Bellevue Avenue i Ocean Drive się zjechało. Śmieją się z niej, zwyczajnej biednej dziewczyny, porzuconej, zostawionej w taniutkiej ślubnej sukience, marzącej o miłości na wypchanym słomą sienniku, w pokoiku za oknem zasłoniętym od ulicy firankami ze zwykłego perkalu...

On też.

Bogaci chłopcy wszyscy są tacy sami. Przyjeżdżają na wakacje, flirtują z miejscowymi dziewczętami i robią im nadzieję. Matka ostrzegła Audrey przed nimi. Robią nadzieję, wsuwają ręce pod

spódnicę, a potem... wyjeżdżają. Wilki pożerające bezbronne owieczki.

- Nie wiem - odrzekła kuląc się w sobie. - A ty? -W swym zmieszaniu nagle przestała nazywać go „panem”.

Bayard już od pewnego czasu, zamiast na dalekie morze, patrzył na stojącą przed nim dziewczynę. Zapadająca ciemność zatarła rysy jej twarzy, nie dostrzegł więc trupiej bladości, drżących warg, łez wzbierających w oczach. Boże, szeptała w duchu Audrey, niech nie widzi, że płaczę!

- Wiem. - Szerokim łukiem obleczonej białym rękawem ręki wskazał za siebie. - Kobieta, którą Thorne Cockburn ma trzydziestego czerwca poślubić, jest Celeste Maxwell Lockholm, moja siostra. To przyjęcie jest bardziej świętem z okazji jej zaręczyn niż z okazji ukończenia mojego domu... Zaraz przyniosą więcej szampana - dodał.

Audrey opadła na skalę. Łzy nie dawały się już zatrzymać. Spływały po policzkach, wlewały się jej do nosa i gardła, tryskały na klapy surduta, którym była otulona. Nigdy nie czuła się tak upokorzona. I nigdy nie było jej tak wstyd.

- Nie, nie, tylko nie to - powiedział Bayard. - Nie rozpaczaj. Twój były narzeczony jest oportunistą, a moja siostra kretynką. Miejmy nadzieję, że będą ze sobą szczęśliwi. A ty, moja droga, zniesiesz i to, i wiele więcej. No, uspokój się, lokaj idzie. Masz. - Rzucił jej na kolana chusteczkę. - Wytrzymaj nos. To przez szampana. Nie jesteś przyzwyczajona. Taki jest szampan, zawsze cię będzie roztkliwiał.

- Nie powinnam ci tego mówić - łkała w chusteczkę.

- Nie myśl o tym. Co się stało, to się nie odstanie. Mnie to nie przeszkadza, więc i ty się nie zamartwiaj. Nie bądź dzieckiem. Znajdziemy jakieś wyjście.

Audrey podniosła głowę. My. Powiedział: „My”. Lokaj w żółtej liberii przyniósł zieloną butelkę ze srebrzystą etykietą i dwa kieliszki na srebrnej tacy.

- Dziękuję. Postaw na kamieniach. Sami się obsłużymy - rzekł

John Bayard Lockholm. Lokaj, potykając się na kamienistej ścieżce, wrócił do swoich obowiązków.

- Proszę. - Bayard podał Audrey kieliszek. Posłusznie wypić. Ten szampan był bardzo zimny, musujący. Podziałał orzeźwiająco, zatamował łzy. Wytarła oczy, odchrząknęła, pociągnęła nosem.

- Widzisz? Szampana nie można wypić za mało. Dodatkowy łyk działa cuda.

- Chyba się nie upiłam? - A jeśli? - pomyślała z przerażeniem.

- Jeszcze nie, ale jesteś na dobrej drodze. Nie chciałybyś czegoś zjeść? Mamy homara. Nadziewane kraby. Sery w różnych gatunkach. Pierogi ze szpinakiem. Usiądziemy sobie na falochronie.

Nie usiądę na falochronie, pomyślała Audrey, bo za nim znajduje się kobieta w paryskiej kreacji, wysoka, smukła jak topola, arystokratyczna jak jej brat. Gładko uczesana, a spod ledwie widocznej, opalizującej siateczki żaden włoszek nie ma prawa się wymknąć. Za tym kamiennym murem bawi się kobieta, która tak jak ja zanotowała w dzienniczku: „On chyba mnie kocha”. A potem dodała, też jak ja: „Dziś wieczór mi się oświadczył”. A potem jeszcze postscriptum, już nie takie jak ja: „Zamierzamy się pobrać natychmiast”.

Bo Audrey dopisała: „Przez rok będziemy oboje pracować i oszczędzać, a kiedy zbierzemy dość, Thorne kupi prom i weźmiemy ślub. Thorne bardzo chce mieć własną firmę przewozową i wierzy w sukces. Będziemy razem na to pracować, bardzo ciężko pracować, na firmę i na naszą rodzinę. Jak mi żal, że mamy tu nie ma...”

Tamta kobieta z drugiej strony muru nie musiała czekać, harować, zbierać grosz do grosza i nie dojadać. Paraduje dziś wsparta na ramieniu Thorne'a. Świeci niczym gwiazda...

- Zostańmy tutaj - powiedziała Audrey. - I spróbujemy wszystkiego po trochu. Dla mnie dużo homara.

- Załatwione. - John Bayard dał znak lokajowi. Mężczyzna, który musiał z daleka ich obserwować, przeskoczył przez wał ochronny i zbliżył się do nich.

- Matka i siostra szukają pana, sir.

- Nie mów nikomu, gdzie jestem, Fisher. Po prostu przynieś dwa talerze dla tej damy i dla mnie. Pełne. Dużo homara.

Audrey otuliła się szczelniej surdudem. On nie ma zamiaru odchodzić. Zostanie z nią, nie idzie do nich... Powiedział „My”!

- To chyba cudowne - rozmarzyła się - być bogatym. To lepsze niż czary, prawda? Bogatym jest się wszędzie na całym świecie.

- Cóż, na pewno lepiej być bogatym niż biednym, lecz ja twierdzę, że jeśli ktoś robi to, co chce, to dobrze mu się wiedzie. A ty co chcesz robić, Audrey?

Wieloryby w zatoce skryły się w mroku lub odpłynęły. Łodzie zawinęły do portu, nie było ich już widać w ciemności. Rybacy jedli teraz pewnie kolację przyrządzoną przez zadowolone z ich szczęśliwego powrotu żony. Daleko z prawej strony, w światłach z tawerny, widać było zarysy takielunku i masztów. Ojciec pewnie tam teraz siedzi, wyobraziła sobie Audrey, obejmuje Dolly Dowd ramieniem, prawą stopą wystukuje rytm granej melodii, a na jego ustach czerwieni się rozmazana szminka. Zamawia dwie whisky, jedną dla siebie, drugą dla niej...

- Miałam nadzieję, że zacznę dorosłe życie, to wszystko - wyznała. - Chciałam wyjść za mąż, założyć rodzinę. Pracować. Próbować czynić dobrze. Teraz nie wiem, co z sobą zrobić. Mogłabym wrócić do kwiaciarni. Nie bardzo nadaję się do innej pracy.

- Nie chciałybyś pracować dla mnie? - spytał. Z rękami w kieszeniach spodni przechadzał się tam i z powrotem po wąskiej ścieżce.

- Dla ciebie? Jako służąca?

Nie, nie przystanie na to. Nie po tym spotkaniu, gdy rozmawiali jak równi sobie, jak gdyby byli przyjaciółmi. Nie po tym, jak wylała przed nim swoje żale. Nie...

- Jestem właścicielem gazety - wyjaśnił. - Może mógłbym znaleźć dla ciebie posadę w redakcji. Nic ważnego. Zostałabyś,

dajmy na to, asystentką któregoś z redaktorów...

„Daily Whirl”. Audrey Smoke pracownicą redakcji „Newport Daily Whirl”!

- To więcej niż marzyłam - szepnęła.

- Potrafisz pisać na maszynie?

- Nie - odpowiedziała. - Ale umiem pisać i rachować. Potrafię wyheblować na gładko deskę i odróżnić dobre drewno od lichego. Umiem słuchać i wykonywać polecenia i jestem znakomitym piechurem. Idę i idę, jak koń pociągowy, i nie czuję zmęczenia...

- Koń pociągowy, no, no...

Służący w białych rękawiczkach przyniósł talerze. Towarzyszyło mu dwóch innych z latarniami. Postawiwszy latarnię na ziemi, jeden z nich rozpostarł na pobliskim gładzie biały obrus, a Fisher postawił na nim talerze. Następnie pośrodku umieścił trójramienny świecznik, dalej kieliszki, do których na nowo wlał szampana, i wykrochmalone na sztywno, wymyślnie złożone serwetki. Potem uklonił się i w milczeniu oddalił. Pomocnicy oświetlali mu drogę.

Audrey i Bayard zostali sami. Znowu sami w pałacu bez dachu. Z oceanem u stóp.

- Nigdy nie zapomnę tej nocy - powiedziała Audrey. W jej oczach odbijał się blask świec.

- Jedzmy - powiedział John Bayard Lockholm. - Umieram z głodu.

Audrey poczuła, że ona też.

Oparli się o nakryty białym obrusem gład. Na talerzu Audrey leżała olbrzymia porcja homara polanego śmietankowym, ostrosłodkim sosem, najlepszego, jakiego w życiu jadła. Wielkim, srebrnym widelcem wkładała do ust potężne kęsy. Bayard przyglądał się jej ubawiony.

- Łzy zaostwiają apetyt - zauważył.

Czyżby bogaci nigdy nie odczuwali głodu, pomyślała. Jedzenie było tak pyszne, a ona taka szczęśliwa, że nie dbała o maniery. Opychała się niczym robotnik z doków. Niebiańska ucztą. W pewnej

chwili przerwała i wypła potężny haust szampana. Spojrzała na ścieżkę, w kierunku schodów wiodących do przystani i na plażę.

Ujrzała przed sobą zjawisko. Obłok białej organzyny upiętej aksamitnymi kokardkami na morelowym, jedwabnym spodzie. Była wysoka i delikatna, miała bardzo białą cerę i bardzo ciemne włosy uczesane w koronę z warkocza. We włosach coś lśniło, brylantowy diadem nad czołem. Na szyi też miała brylanty. Sunęła ku nim, z oczami jak węgle i twarzą jak nocna mgła. Zatrzymała się nie wchodząc w krąg świateł.

- Bay - przemówiła. - Szukamy cię. Wszyscy się zastanawiają, gdzie się podziałeś.

On też ją widział z daleka. Wyciągnął rękę i gestem, jakby chwila była jak najbardziej zwyczajna, zaprosił:

- Podejdź, Celeste. Poznaj pannę Audrey Smoke, rodowitą mieszkankę Newport. Audrey, to moja siostra, Celeste.

Audrey nie wiedziała, jak się zachować. Dygać? Uciekać? Odstawiła kieliszek, w duchu podziękowała Bogu, że nie ma nic w ustach.

- Dobry wieczór - bąknęła i słów jej zabrakło. Z płonącymi policzkami wpatrywała się w rywalkę. Boże, jak ja wyglądam, pomyślała. Tonęła w surducie Bayarda. Z długich, zwiniętych w harmonijkę rękawów ledwo wystawały końce jej palców. Szyta własnoręcznie sukienka za jedyną ozdobę miała wąską falbankę u dołu. Włosy potargane, gołe i brudne od kurzu stopy w zwykłych sandałach.

Celeste Lockholm przechyliła głowę.

- Dobry wieczór, panno Smoke - rzuciła zdawkowo i zwracając się do brata, ponagliła go: - Idziesz?

- Tak. Zaraz przyjdę. Obiecuję. Opalizujący obłok sunący nad ziemią odpłynął.

- Muszę wracać - stwierdził Bayard i odłożył widelec. Audrey kiwnęła głową. Musi. Musi ją opuścić i wracać do nich. Na zawsze. Wspomnienie dzisiejszego wieczoru na całe życie zostanie w jej

sercu. Był taki dobry, tak niewiarygodnie dobry...

Dobroć rani najbardziej.

- To... to znaczyło dla mnie bardzo wiele - powiedziała jękając się. Zdjęła surdut i oddała go właścicielowi. Chłodny wiatr wydał jej sukienkę. Świece, jeszcze przed chwilą palące się jasnymi, prostymi płomieniami, zaczęły kopcić i kapać woskiem. Audrey podniosła wzrok na towarzysza. Pragnęła zapamiętać rysy jego twarzy, aby móc przywołać je w marzeniach...

- Przykro mi cię opuszczać - zaczął Bayard - ale reszta gości...

- Och, idź, proszę. I tak niewybaczalnie długo zatrzymałam cię tutaj. Wracaj. Wstyd mi. Nie powinnam była tego robić.

Włożył surdut, odwinął kołnierz i klapy, wygładził pogniecione rękawy, zapiął zroszone jej łzami poły.

- Przyślę kogoś, żeby cię odprowadził do domu.

- Och, nie. Nie trzeba - zaprotestowała. - Znam drogę. Nie chcę odchodzić, gdy jeszcze tu jesteś. Ktoś mógłby nas obserwować i pomyśleć... Ale kiedy znikniesz za falochronem, ja też pójdę. Chcę być sama. Zatrzymać to spotkanie w sobie. Zanieść do domu. Przedłużyć.

- Jesteś zabawna - odrzekł. Uniósł pasmo jej włosów, przełożył za ucho, wygładził w zagłębieniu szyi.

- Przyjdź w poniedziałek do redakcji. Gdybyś mnie nie zastała, zgłoś się do pana McGregora.

- Do widzenia. I dzięki za to wszystko. Dzięki...

Z kieszeni na piersi Bayard wyjął cygaro, nachylił się nad świecą, zapalił je i wypuścił z ust kłąb dymu.

- Smoke - powiedział i zaśmiał się. - Cóż, dobrej nocy, Audrey Smoke. - Kamyki zachręściły pod jego butami, gdy pochyłony odrobinę do przodu pospiesznie odchodził.

Audrey została na skałach sama. Zdmuchnęła świece, aby się ukryć pod osłoną ciemności. Niczym złodziej rzuciła się na jedzenie i wypila resztę szampana.

Za ogrodzeniem wirowały teraz światełka. Pośrodku trawnika

ustawiono na podeście słup z długimi sznurami kolorowych lampek, który obracał się jak karuzela. Elektryczność. Nowy wynalazek. Orkiestra grała walca. Rozbawione pary sunęły po jasno oświetlonym, obrotowym parkiecie. Suknie dam kołysały się niczym dzwony.

Audrey odwróciła się i zaczęła schodzić w dół. WaterWalk, Cliff Walk, Bellevue Avenue, i już miasto. Na Church Street skręciła w lewo, na Thames Street w prawo i dotarła do Bridge Street do domu ojca. Weszła na górę. Pokoje były puste, ojciec zapewne dalej bawił w tawernie.

Poszła do swojej sypialni, usiadła w nogach łóżka i spojrzała w owalne lustro. Wpadające przez okienko światło gazowej ulicznej latarni wystarczyło, aby się rozebrać, aby dostrzec własne zamglone odbicie.

- Mamusiu - szepnęła cichutko. - Spotkałam najcudowniejszego mężczyznę. I on powiedział: „My”. Jedyne raz w moim życiu. „My”.

Jej zbędna już ślubna suknia wydawała się ciemna i szara w mrocznej głębi lustra. Audrey wstała, zdjęła sukienkę, odwiesiła na miejsce. Umyła twarz, ręce i stopy w miednicy. Nie zapaliła lampy. Wyszczotkowała włosy i nie zdejmując bielizny położyła się.

I wtedy, z samej głębi duszy, napłynęły do jej oczu łzy. Tyle dzisiaj straciła - narzeczonego, ojca. Lecz najmocniej raniła, wręcz porażała ją świadomość, że zakochała się w mężczyźnie spotkanym na WaterWalk. Głos matki szeptał w jej sercu:

- Zapomnij o nim, córeczko. Zapomnij, kochanie. Za wysokie progi. Jutro on nawet nie będzie pamiętał twojego imienia. Złamię ci serce.

Wciąż słyszała chrzęst kamyków pod jego butami, gdy szedł w stronę wału. Ukołysana tymi dźwiękami, nareszcie zapadła w sen bez snów.

4

Obudził ją głośny śmiech. Śmiech jakiejś obcej kobiety. Niski kontralt, chrapliwy i figlarny. Dobiegał z pokoju ojca, zza ściany. Dolly Dowd.

Jedna z dziwek pracujących w tawernie Grimsby'ego, odwiedzanych przez rybaków, jak mówiono, a w sezonie letnim przez młodych dziedziców Orche Point i Gilt Hill, niedoświadczonych, rozpalonych i żądnych wtajemniczenia w arkana sztuki miłości. Dolly Dowd, karczemna dziewczka z Newport, już pod jednym dachem, już w łóżku mamusi. Już zadomowiona. Flejtuch, oczywiście, czupiradło i leń. Będzie się wylegiwać w zbyt jaskrawych, prześwitujących, wydekoltowanych do pasa halkach ozdobionych tanimi koronkami. Będzie malować usta i policzki, nawet w dzień, i będzie czekać, aż ją obsłuży, myślała Audrey. Będzie skarżyć się ojcu na swoją bezczelność, oblizywać paluchy przy stole i opowiadać niewybredne dowcipy, z jakich rechoczą mężczyźni.

A nocami będzie sapać razem z ojcem, robić to, co sprawia mu przyjemność, i weźmie go pod pantofel. Zacznie się szarogęsić, a ona nie będzie miała ani sprzymierzeńca, ani domu, który zawsze był jej. I żadna z szanujących się sąsiadek na Bridge Street nie otworzy przed nią drzwi, jeśli pozostanie tu z bezwstydnym Lawrence'em Smoke'em i z tą ladacznicą.

Audrey wstała, włożyła zwyczajną sukienkę z grubej bawełny, granatowej w żółte kwiatuszki, którą, na zmianę z drugą w brązowo-żółte prążki, nosiła codziennie, nawet w niedziele. Nie spojrzała w lustro. Wiedziała, że będzie ciemne i milczące.

Ojciec wymamrotał coś za ścianą. Skrzypnęły sprężyny łóżka. Audrey zarumieniła się pod wpływem swoich myśli. Czyżby to, co

robił ojciec, było aż tak ważne, czyżby przyjemność z obłapiania tej taniej dziwki warta była zhańbienia dobrego imienia własnego i córki?

Cóż może powiedzieć? Ugotuje owsiankę jak co dzień, zostawi pod przykrywką na kuchennej płycie, żeby nie wystygła, a potem pójdzie prosto do pani Burrough i poprosi o pozwolenie natychmiastowego zajęcia mieszkania wynajętego dla Thorne'a Cockbuma i Audrey Smoke (do wczoraj narzeczonych), którzy zgodnie z umową mieli wprowadzić się jako młode małżeństwo piętnastego czerwca, lecz czynsz zapłacili, przed kilku zaledwie dniami, od pierwszego.

Czynsz wynosił piętnaście dolarów miesięcznie. W kwiaciarni pani Maddley na rogu Thames Street i Mill Audrey zarabiała dwa dolary dziennie. Pracowała od południa do szóstej, sześć dni w tygodniu, od poniedziałku do soboty. Jeśli zostawała dłużej, zarabiała podwójnie, lecz zdarzało się to tylko w ciągu owych dwóch miesięcy złotego lata, w lipcu i sierpniu, gdy bogaci letnicy masowo zjeżdżali na wypoczynek. Przez dziesięć pozostałych miesięcy w roku często otrzymywała dzień wolny lub bywała zwalniana wcześniej, tracąc przez to zarobek. Zimą rzadko urządzano przyjęcia i rzadko zamawiano stroiki kwiatowe, których ułożenie wymagało wielu godzin. Przez większość dni nie było potrzeby usuwania szpecących liści ani kolców z róż o długich łodygach, ani układania bukietów. Nie było zamówień do domów na piękne dekoracje w kolorowych wazonach, nie było amatorów orchidei z cieplarni pani Maddley. Latem nie można było nastarczyć hortensji, z których Newport słynęło, zimą natomiast kwiaciarnia funkcjonowała jedynie dzięki pogrzebom.

Audrey przypomniała sobie pogrzeb Virginii Lockholm pochowanej dokładnie rok temu, też w czerwcu. Pogrzeb Virginii Lockholm, młodej żony Johna Bayarda Lockholma III, obecnie wdowca, który wczorajszej nocy, stojąc przy Audrey na WaterWalk, częstował ją szampanem i homarem, patrzył z góry na Newport, a

potem odszedł i tylko żwir chrząścił pod jego butami. Pogrzeb Virginii Stotesbury Lockholm, dwudziestotrzyletniej, od roku zamężnej i od kilku miesięcy brzemiennej, która rzuciła się z okna drugiego piętra Whale's Turning na oczach męża palącego cygaro na pokładzie swojego jachtu i podziwiającego gwiazdy. Pogrzeb Virginii Lockholm, samobójczyni.

Audrey przygotowywała wieńce przez pięć dni, od szóstej rano do nocy. Od okręcania łądyg cienkim zielonym drutem porobiły jej się czerwone bruzdy na palcach. Układała w olbrzymich, wiklinowych koszach wspaniałe gladiolusy, lawendowe kwiaty wistarii, róże we wszystkich odcieniach od białych poprzez różowe do tak czerwonych, że niemal czarnych jak żałoba, wplatała je w gigantyczne wieńce, przywiązywała krepą do wysokich krzyży. Chroniła palce bandażem z flaneli - rękawiczki nie nadawały się do tej delikatnej pracy - lecz rany i tak piekły i krwawiły. Na koniec oboje państwo Maddley i ona z dumą podziwiali swoje dzieło.

Pan Kirchner, dostawca warzyw, i Sal, jego srokata klacz, zabrali kwiaty wysoko załadowanym wozem do kościoła Świętej Trójcy przy Spring Street. Oby Lockholmowie, modliła się pani Maddley, nigdy się nie dowiedzieli, że nie skorzystaliśmy z czarnego powozu i zaprzęgu pary czarnych morganów! Do kościoła nie było daleko, jedna przecznica czy dwie, i Audrey, przejęta, ubrana w swoją brązowo-beżową sukienkę w prążki, zabrała się z panem Kirchnerem, który włożył na tę okazję jedyny chyba garnitur, jaki posiadał, błyszczący od starości, uszyty z granatowego samodziału. Pani Maddley zleciła młodsiutkiej pracownicy ułożenie kwiatów wokół katafalku. Dziewczynę rozpiekało poczucie dumy i jednocześnie przygniatał ciężar odpowiedzialności.

Do ostatniej minuty nie było wiadomo - i pani Maddley „od zmysłów odchodziła” - czy duchowni zgodzą się na wniesienie ciała Virginii do kościoła. Lecz lekarz sporządzający akt zgonu jako przyczynę śmierci wpisał „wypadek”, zamiast „samobójstwa”, owego grzechu śmiertelnego, za jaki winowajcę czeka wieczne

potępienie. Dzięki temu uniknięto skandalu i ceremonia mogła odbyć się bez zakłóceń.

W kościele zdenerwowanie Audrey doszło do zenitu. Nazwiska na szarfach, pięknie wykaligrafowane przez liternika wynajętego przez Lockholmów, przyprawiły ją o zawrót głowy: Astor, Belmont, Berwind, Oelrichs, Vanderbilt... Nazwiska, które rządziły tym krajem. Nie daj Boże źle ustawić zamówione przez kogoś z nich kwiaty, narazić się na niezadowolenie! Pani Maddley uprzedziła: układaj wiązanki i bukiety w koło, wszystkie zwrócone ku ławkom.

Audrey zdziwiła się, widząc trumnę już ustawioną w pustym kościele. Wspaniałe mahoniowe drewno błyszczało jeszcze bardziej niż politura Lawrence'a Smoke'a. Na wieku widniał herb Lockholmów: trzy fale z turmalinu zielonego jak woda w zatoce i platynowy żaglowiec, „Quicksilver”. Audrey wyciągnęła rękę i poranionymi palcami dotknęła herbu. Potern pogładziła mięsisty, jedwabisty jak futro norki aksamit, którym pokryty był katafalk.

Przez chwilę stała jak sparaliżowana w powodzi wieńców, wiązanek i bukietów, a potem wzięła się do pracy. Przestała zwracać uwagę na nazwiska na szarfach. Kosze z kwiatami zwiesiła z balustrady chóru, krzyże przymocowała do filarów, wieńce na ramach ustawiła na schodkach ambony w taki sposób, aby nie przeszkadzały wielebnemu Elliottowi. Trzema warstwami róż przykryła wieko trumny, zostawiając platynowo-turmalinowe godło na widoku.

I wciąż jeszcze było mnóstwo kwiatów. Poukładała je więc na ławkach, na posadzce wokół katafalku, w każdym rogu, na każdym świeczniku. Gdy skończyła, kościół wyglądał jak ogrodowa altanka, a powietrze przesyciła woń kwiatów, zmieszana z zapachem palących się świec.

Pracowała dwie godziny i nikt w tym czasie nie przyszedł. Nikt nie sprawdził, jak sobie daje radę dziewczyna z kwiaciarni, pozostawiona sam na sam z ciałem dziedziczki Gilt Hill. Audrey wydawało się to wówczas dziwne, lecz po wyjściu przestała o tym

myśleć.

Pani Maddley odebrała liczne gratulacje od wielu znakomitych rodzin w Newport, nawet sama starsza pani Lockholm i wielebny Elliott wyrazili swój podziw. Owdowiały John Bayard Lockholm przysłał list ze specjalnym podziękowaniem. Pani Maddley była bardzo zadowolona. List kazała oprawić i powiesić w kwiaciarni, a Audrey wynagrodziła pięćdziesięciodolarową premią.

Stojąc w kuchni domu ojca Audrey przypomniała sobie Virginie Lockholm. Zastanawiała się, jaka była kobieta, którą John Bayard wybrał sobie na małżonkę. Czy była bardzo piękna, obdarzona naturalnym wdziękiem, lecz z duszą naznaczoną melancholią? Czy noc po nocy, tuląc się w jego ramionach, próbowała uwolnić się od tego piętna? A czy on obejmując ją w czułym uścisku obiecywał jej gwiazdkę z nieba, byle tylko ujrzeć jej uśmiech?

Kuchnia i zarazem jadalnia Smoke'ów była długa, wąska i brzydka. Ciasny, ubogi, wyraził się Thorne o tym domu. Tak ciasno, tak ubogo, powiedział. Lecz przecież przez okienko od wschodu wpadało poranne słońce, a meble były przyzwoite i solidnie wykonane z sosny wyszorowanej do białości i za każdym razem po szorowaniu woskowanej. Ich delikatna patyna wzbudziłaby zazdrość Dove Peerce. Na własny użytek Lawrence Smoke brał tańszy materiał, lecz mierzył, przycinał, dopasowywał na klin z taką samą precyzją i dumą jak dla klientów. Nasączał też własne meble owym słynnym w Newport olejem tyle samo razy, co piękne mahonie i drewno owocowe bogaczy. A Audrey, jak przedtem jej matka, dbała o meble, woskowała je i polerowała.

Czy Dolly Dowd będzie polerować proste sosnowe sprzęty Lawrence'a Smoke'a z takim samym oddaniem? Czy będzie miękko szmatką wykonywać koliste ruchy zawsze tak, jak biegną słoje, zawsze dobrze przyciskając, aby płynny wosk wetrzeć głęboko w spragnione drewno?

Audrey nienawidziła Dolly Dowd.

Mały piec stał na płycie z czarnej blachy, wiadro drewna na

podpałkę obok. Środek izby zajmował długi stół z sześcioma krzesłami w stylu Windsor, a na belkach pod sufitem wisało kilka szerniałych rondli. Nie było tu ozdób - z wyjątkiem stojących w dzbanku stokrotek przyniesionych przez Audrey z ogródka już kilka dni temu. W rogu, wciśnięty pomiędzy stół a gazową lampę, stał fotel z tapicerką z końskiego włosia, w którym po kolacji Lawrence Smoke czytał gazetę.

Kuchnia była czysta, lecz naga i surowa, choć sosnowe meble ładnie lśniły. Brakowało zasłonek w oknach, kota (Lawrence Smoke twierdził, że koty są wysłannikami szatana na ziemi), kolorowych ściereczek, serwisu do herbaty, obrazka albo haftowanej makatki na ścianie.

Jaka kobieta chciałaby tu zamieszkać, zastanawiała się Audrey. Dolly Dowd z pewnością ma lepiej nad tawerną. W oknach jej kuchni na pewno wiszą zasłonki w kwiatki, a słońce świeci cały dzień. Na parapetach stoją i cieszą oko gliniane doniczki z tymiankiem i szczypiorkiem, albo nie... wiszą na niewidzialnym drucie. Jest miejsce na bujany fotel z kolorowymi poduszkami. Stoi blisko kaflowego pieca, a w kredensie pyszni się porcelanowy serwis. Dolly ma kota - z sierścią jeszcze bardziej rudą niż jej włosy - żeby łapał myszy, i ozdobiony kokardką koszycek, żeby pupilek miał gdzie spać, i miseczkę z niebieskim szlaczkiem, żeby miał z czego pić śmietankę. Niewykluczone, że Dolly Dowd ma nawet lodówkę - och, jakże Audrey pragnęła mieć lodówkę! - w której mleko i masło jest zawsze świeże...

Audrey pospiesznie ugotowała owsiankę, nie dbając, czy się przypali. Hałasy z sypialni nie ustawały. Nieskrępowane, rozpustne... Śmiech kobiety brzmiał nisko i przymilnie, stękanie ojca - wstrętnie i głośno.

Audrey wzięła z koszyka jabłko i zbiegła na dół. Była wstrząśnięta. Czternaście lat spała w pokoju tuż obok sypialni rodziców. Czasami słyszała skrzywienie łóżka, lecz matka nigdy nie krzyczała z bólu ani też nie śmiała się z rozkoszy...

Czy Virginia Lockholm śmiała się z rozkoszy, gdy John Bayard kochał ją i pieścił?

Pani Burroughs stała w drzwiach swojego drewnianego piętrowego domu, szaroniebieskiego z białymi ozdobami, i potrząsała głową.

- Nie powiedział ci nic, córcia? Przyszedł w środę, odebrał zadatek, a w piątek wynajęłam pokoje panu Smythe'owi z Providence. Jest teraz na górze. Pije kawę. Urządza się. Wykluczone, złociutka. Jak teraz się możesz wprowadzić? Pan Smythe wynajął mieszkanie na całe lato.

Audrey stała na ganku - pani Burroughs nie zaprosiła jej do środka - wpatrując się w pulchną, siwiejącą na skroniach kobietę. Thorne zrezygnował w środę? A dopiero w sobotę, czyli wczoraj, przyszedł do niej?

A więc wiedział, wiedział już dawno!

Kilka dni? Tygodni? Zawsze? Wiedział już dawno... Nie tylko on - ta druga, piękna, bogata, też. Nawet pani Burroughs wiedziała. Ale jej, tej, którą porzucił, nie powiedział ani słowa! Pozwolił, by kończyła szyć ślubną sukienkę, by kupiła jedwabne pończochy... Takie kosztowne. Pozwolił, by... A tymczasem wszyscy, już od dawna, za jej plecami współczuli...

Thorne wiedział już w piątek, gdy przyszedł do niej na kolację. Miał już odebrane pieniądze w kieszeni. Wiedział, a mimo to ścisnął jej rękę pod stołem, a potem całował ją, gdy razem zmywali naczynia. Wiedział i milczał. Ona, ta bogata, wiedziała. Celeste... Niebiańskie imię. W piątek wiedziała, że Thorne po raz ostatni odwiedza dziewczynę, z którą zrywa. Bayard Lockholm wiedział, wszyscy w Gilt Hill wiedzieli... A ksiądz Camplin? Czy on też wiedział wcześniej niż porzuciona narzeczona, że w przyszłą sobotę nie będzie ślubu, nie będzie przysięgi przed Bogiem złożonej wspólnie przez Thorne'a Cockbuma i Audrey Smoke, bo pan młody znalazł sobie lepszą? Tylko ona, Audrey Smoke, kończąc przyszywać falbankę u dołu ślubnej sukienki, wesoło podśpiewując i od czasu do

czasu mrugając porozumiewawczo do matki, do owalnego lustra, tylko ona nie wiedziała, że została, została... odepchnięta.

- Podpisywaliśmy umowę oboje. On nie może występować w moim imieniu, prawda? Chcę się wprowadzić sama.

- Ja tam nic nie wiem. Twój narzeczony przyszedł i powiedział, że nie będzie ci potrzebne mieszkanie. Spakował te rzeczy, co przyniosłaś... - Pani Burroughs ruchem głowy wskazała za siebie. - Pudło stoi o tam, w korytarzu. Niewiele tego. Powiedział, że sobie odbierzesz. Co? Zostawił cię? Ja się na tym nie wyznaję, córcia. Myślałam, że znaleźliście sobie coś lepszego. Mogłam zatrzymać zadatek, mam prawo, ale skoro w każdej chwili mogę wynająć komuś innemu, przyzwoitemu, a wiem, że wam się nie przelewa, to oddałam. I jeszcze życzyłam szczęścia.

Audrey wyprostowała ramiona i zmusiła się do uśmiechu. Zapomniała, że jest czerwiec, że w sezonie nie znajdzie pokoju. Ceny niewyobrażalnie skoczyły w górę i utrzymują się do października. Ceny dla letników. Całość z góry. Mieli z Thorne'em szczęście, gdy pani Burroughs zgodziła się wynająć im na rok po rozsądnej cenie, i to od czerwca. Spodziewała się, że zostaną kilka lat, mówiła, i zaoszczędzą jej kłopotu z szukaniem co i rusz nowego lokatora. Nigdy nie wiadomo, na kogo człowiek trafi...

- Ktoś z Providence? Więc na pewno zostanie całe lato, prawda? Przebiegły błysk mignął w oku gospodyni.

- Zapłacił za trzy miesiące i dał depozyt. Wspomniał też, że może zostanie na jesień. Może zostanie dłużej, pani Burroughs. To zależy, powiedział bardzo rzeczowo, bardzo serio. A potem zapłacił urzędowym czekiem. Z biura prokuratora okręgowego. Cóż, złociutka. Kiedy to zobaczyłam, nie wypytywałam dalej, od czego to ma zależeć. Ja nie wtykam nosa w nie swoje sprawy, córcia. Chociaż przyznam, że lubię wiedzieć. Ale чеки urzędowe są pewne. Wiem, co mówię. To dalej już nie pytałam o nic. Nie mój interes. Pieniądze wzięłam, mieszkanie zajęte, i kwita. Nie możesz się wprowadzić. A nawet gdyby było wolne, i tak bym cię nie chciała samej. Takie

młode jak ty są zbyt płóche. Nie podoba mi się, jak mieszkają same. Nie wiadomo, z czego taka żyje i czy na pierwszego zapłaci. - Wciąż potrząsając głową, zaciskając dłonie wetknięte w kieszenie fartucha, pani Burroughs ciągnęła:

- Wejdz. Zabierz swoje rzeczy. Zawadzają. I tak czekałam cztery dni. Zrób ludziom przysługę, to ci na łeb wejdą, jak mówi mój stary. Kara czeka za każdy dobry uczynek, Marcello. Miej się na baczności, bo ludziska tylko czyhają. I powiem ci, mój Phillip dobrze gada, choć Bóg mi świadkiem, że czasami o tym zapominam. Tak jak z głosowaniem drugi raz na pana Clevelanda. Phillip mówił, że nie powinien kandydować. Jak któryś już był w Białym Domu i tam wraca, to wie, co za pierwszym razem przegapił. I nie miał racji? Patrz, co ten Cleveland zrobił, jak tylko wrócił do Waszyngtonu. Zniósł ustawę Shermana. Ha! To było dobre. Potem kazał strzelać do strajkujących u Pullmana i wdał się w aferę z Eugene'em Debsem. Zobaczysz, on zrujnuje ten kraj. Phillip mówił mi, żeby nie głosować, a teraz powtarza: A nie mówiłem?

Pani Burroughs wyszła na ganek i szeroko otworzyła drzwi z siatki. Miała małe stopy, obute w wysoko sznurowane, czarne, wypolerowane trzewiki.

- Zabieraj swoje manele i zmykaj, moja panno. Wyglądasz na ładną kobitkę, po co mam mieć przez ciebie kłopoty.

Audrey weszła do holu i podniosła z podłogi kartonowe pudło, białe, z napisem reklamującym whisky Jacka Danielsa. Wiedziała, co jest w środku: kuchenne zasłonki w róże, dwie zmiany pościeli, niebieska porcelanowa zastawa, dwa ręczniki. I biała koszula nocna z jedwabnej satyny, niemal całkiem przezroczystej. Z dekoltem.

Pudło było wypchane, ale nie ciężkie. Zabrawszy je, Audrey przeszła się do kościoła kongregacjonalistów, by porozmawiać z księdzem Camplinem.

Ulicami Thames i Spring całe Newport udawało się do kościoła. Niedziela była słoneczna, lecz chłodna. Landa, czarne z mosiężnymi okuciami, kontrastowały z błękitem nieba i zielenią zatoki. Konie

kroczyły wyniośle. Suknie dam z Bellevue Avenue wylewały się z powozów niczym skarby z kufrów sułtana.

Audrey zawsze lubiła niedziele. Lubiła iść chodnikiem i podziwiać wspaniałą paradę bogaczy. Wiedziała, że w tłumie gapiących się stałych mieszkańców Newport, ciężko harujących na swój powszedni chleb, nikt jej nie zauważy.

Teraz jednak czuła się niepewnie. Wstydziła się. Przecież w jednej z tych karet, wciśnięty w kąt obitego białawoszarą giemzą wnętrza, mógł siedzieć Thome Cockburn i przez szybkę wyglądać na ulicę. Ona go, oczywiście, nie rozpozna, dla niej będzie jeszcze jedną parą nieznanomych oczu w owalnej ramce, czarnych jak niebo przed burzą, lecz on poznają na pewno, taką pożałowania godną przybłędę w znoszonej perkalowej sukieneczynie, taszczącą kartonowe pudło, do którego wrzucił cały jej „tak niewielki, tak ubogi” posag, ich wspólną przyszłość...

Obok Thorne'a siedzieć będzie ta nowa, ubrana w olśniewającą kreację z tafty, której suto marszczona spódnica zakrywać będzie mu kolana jak intymna złota piessczota. Pod sztywnymi fałdami halek będą się trzymać za ręce i Thorne, szczęśliwy, dostrzeże nagle spoconą, sponiewieraną, dźwigającą niewygodny pakunek, rozczochraną, biednie ubraną, próbującą przejść na drugą stronę ulicy Audrey. Wskaże ją swojej towarzyszce i powie: Spójrz, Celeste. To ta kobieta, którą, gdyby nie ty, mój aniele, zmuszony byłbym poślubić.

Celeste Lockholm wyciągnie odrobinę swoją piękną szyję, spojrzy przez okienko we wskazanym kierunku i ujrzy budzącą litość, pospolitą dziewczynę. Zaśmieje się lekko, westchnie i skłoni głowę na piersi wystrojonego Thorne'a. Naprzeciw nich w powozie siedzieć będzie brat Celeste, więc powie do niego: Bay, czy to nie ta nieboraczka, z którą wczoraj rozmawiałeś na Water Walk? No wiesz, ta, co się tak objadła i wypłała trochę za dużo szampana?

John Bayard Lockholm, bez specjalnego zainteresowania, rzuci okiem na przemykającą ze spuszczoną głową dziewczynę. Potem

szybko odwróci wzrok i niezadowolony, że siostra mu o tym incydencie przypomniła, strzepnie pyłek z rękawa. Jeśli nawet, to nie pamiętam, mruknie. Ich matka, przyjrawszy się Audrey tymczasem dobrze, oprze się wygodniej, powachluje wachlarzem z piór marabuta i wtrąci: Cieszę się, mój drogi. Miną ją i odjadą rozmawiając już na inne, przyjemniejsze tematy. Thorne zacznie uważać, aby nie wspominać więcej o byłej narzeczonej, którą obracające się koła karety dla niego uśmierciły...

Wielebny Camplin, wikariusz, stał po nabożeństwie na stopniach kościoła, rozmawiając ze swoją trzódką. Audrey czekała pod hikorowym drzewem, kartonowe pudło postawiła na ziemi. Chciała ochłoniąć, uspokoić bijące przyspieszonym rytmem serce. Lecz ksiądz dostrzegł ją i sam podszedł, uśmiechnięty, ciągnąc za sobą sznur parafianek. Wziąwszy dziewczynę za rękę, powitał ją głośnym:

- Nasza panna młoda!

Kobiety otoczyły ich wianuszkami. Któraś z nich, szczypiąc Audrey w ramię i chichocząc, spytała:

- Gdzie się podziewa twój przystojny narzeczony? Wielebny Camplin był też młody, zaledwie pół roku wcześniej ukończył seminarium i nie stracił jeszcze krzepkiego wyglądu wiejskiego chłopaka od pług. Mięśnie mu jeszcze nie zwiotczały od ślęczenia nad kazaniami, wieloletnia opalenizna nie zbladła. Policzki miał jędrne, uśmiech szeroki, mały wąsik, noszony dla nadania twarzy powagi, wypomadowany i przylizany, a oczy, które stanowiły jego główny atut, były poważne i smutne, starsze jak gdyby i mądrzejsze niż tryskająca młodzieńczą werwą postać. Kobiety przychodzące do kościoła kongregacjonalistów lubiły go. Lubiły jego miły baryton, lubiły, gdy zasiadał w ich kuchniach i jadł ze smakiem, gdy milcząco słuchał ich paplaniny, śmiejąc się na koniec, zamiast prawić kazania. Mężczyźni też go lubili. Był przecież swój, prostolinijny, nie zadzierał nosa, myślał praktycznie, nawykł do ciężkiej pracy. Wiedział, co to znaczy wrócić po całodziennej harówce do domu i

nie mieć sił nawet jeść, a potem z głodu nie móc zasnąć.

Audrey lubiła go tak jak wszyscy, lecz w tym momencie nienawidziła za to, że nie wiedział, że nie jest już narzeczoną, a porzuconą, i za to, że sama musi mu o tym powiedzieć. A na dodatek, jeśli nie uda się jej go odciągnąć, musi to zrobić wobec tak licznie zgromadzonych słuchaczek.

- Czy mogłabym porozmawiać z księdzem na osobności? - poprosiła.

- Wiecie - zagadnęła pani Olsson, właścicielka cukierni - na jej torcie weselnym będą łabędzie ze śnieżnobiałego lukru, z białymi kokardkami na szyjach. Sama sobie to wymyśliła.

Kobiety wydały chóralny okrzyk zachwytu, a niewidzialna ręka ponownie uszczypnęła Audrey w ramię.

- Mnóstwo czasu trzeba temu poświęcić, ale mówię wam - ciągnęła pani Olsson - warto.

- Tak, oczywiście - zgodził się ksiądz. - Przepraszam na chwilkę.

Odeszli z Audrey kawałek dalej, nie na tyle jednak daleko, by nie słyszeć opisu arcydzieła sztuki cukierniczej wszechczasów: dwa piętra tylko, za to na niebieskiej paterze udającej wody zatoki Newport...

- Nie będzie ślubu, ojczu. Mój narzeczony zostawił mnie... Znalazł inną... - urwała, gdyż nagle poczuła, że łzy zalewają jej oczy. Tupnęła ze złością dla dodania sobie animuszu. Pomogło. Wzięła się w garść, hardo podniosła głowę i spojrzała duchownemu prosto w oczy. - Złożę ofiarę na kościół dla zrekompensowania wynikłych z tej zmiany niedogodności. Przepraszam, że zawiadamiam tak późno, ale dopiero dziś mogłam to zrobić.

Wielebny Camplin milczał. Wziął drżącą dłoń Audrey w swoje ciepłe, duże i mocne jak opoka dłonie.

- Kiedy się o tym dowiedziałaś, córko?

- Wczoraj. - Nagle Audrey spostrzegła, że jakaś kobieta idzie w ich stronę. Kobieta, której nie znała, ubrana była krzykliwie, w suknię w jaskrawobłękitne i złote pasy i błękitny czepek aż ciężki od

sztucznych owoców. Była wysoka i postawna. Wielkie, złote kolczyki podrygiwały w rytm jej kroków. Miała przystojną twarz, zaróżowione policzki i gęste, falujące włosy w odcieniu złotych, jesiennych liści. Na ramiona zarzuciła szal, jedwabny, ciemnoniebieski, wyszywany cekinami, które błyszczały i mieniły się przy każdym ruchu... - Ale wczoraj cały dzień byłam w takim szoku...

Z tyłu za kobietą podążał mężczyzna prawie niewidoczny z za jej wysokiej sylwetki. Mężczyzna był też dość wysoki, lecz szczupły, lekko przygarbiony od schylania się przy pracy. Audrey spostrzegła siwe, bujne, kręcone włosy, najlepszy szary garnitur i krawat... Nie, tego krawata, czerwonego, płomiennego jak namiętność, nie znała. Uśmiechał się tym swoim dawnym uśmiechem, którego nie widziała od śmierci matki. Rozpoznawszy ojca natychmiast zauważyła, że Lawrence Smoke jest znowu dumny i szczęśliwy.

- Tak, oczywiście - usłyszała głos księdza. - Sam jestem wstrząśnięty. W całym Newport nie ma lepszej dziewczyny. I ładniejszej - dodał. - Dla której to spódniczki cię zostawił?

Audrey potrząsnęła głową. Thorne nie zdradził jej imienia nowej narzeczonej. Nie będzie rozsiewać wiadomości, których nie jest pewna.

- Dla mnie to nie ma znaczenia, ojcze. Musiałam po prostu zawiadomić ojca, że ślubu w sobotę nie będzie...

Ta kobieta, ta wystrojona niczym bożonarodzeniowa choinka arogancka jejmość to Dolly Dowd!

Audrey nigdy nie podejrzewała, że dziwka ojca, w całej swojej wulgarnej gali, będzie taka majestatyczna. Wyobrażała sobie raczej drobną szczebiotkę, starą kocicę, której się wydaje, że wciąż jest sprytnym kociątkiem, jakąś starą kokotę z rzednącymi, tlenionymi włosami i zwiotczalym, pomarszczonym biustem. Natomiast ta kobieta była pulchna i jędrna i chociaż trzydziestkę już z pewnością skończyła, do czterdziestki miała jeszcze daleko. Ta kobieta jeszcze śmiało może mieć dzieci, pomyślała, jest w kwiecie wieku. Ta

kobieta ciężkiej pracy się nie boi i jeszcze będzie przy niej śpiewać. Ta kobieta zmusi mężczyznę, by czyścił paznokcie po wcieraniu politory w drewno i na dodatek sprawi, że będzie to robił z przyjemnością... Ta kobieta jest niebezpieczna.

- Rozumiem - odpowiedział wielebny Camplin, lecz Audrey prawie go nie słyszała. Wpatrywała się w nadciągającą niczym okręt Dolly Dowd, holującą za sobą Lawrence'a Smoke'a.

Ksiądz, skoncentrowany na rozmowie, nie przeczuwał niebezpiecznej kolizji. Ujął Audrey za drugą rękę i dziarsko pocierał swoimi dużymi dłońmi.

- Posprzeczałiście się, to nic wielkiego - pocieszał. - Twój chłopiec boi się pewnie, że cię czymś zranił...

- Nie, to nie tak, ojczu.

Dolly Dowd i Lawrence Smoke byli tuż, tuż. Bogobojna trzódka kongregacjonalistek już ich spostrzegła i nadciągała z drugiej strony.

Chcą mnie bronić, zastanawiała się Audrey, czy ze mnie drwić? Czy będę musiała tu i teraz, w samo to lazuruowe południe, obwieścić nie tylko księdzu, ale wszystkim znajomym i nieznanym w mieście, z karczemną dziewczką ojca włącznie, prawdę?

Czuła twardą gulę w gardle, lecz jakoś się przemogła. Przełknęła ślinę, zaczerpnęła głęboko powietrza i oznajmiła:

- Za trzy tygodnie Thorne żeni się z tą drugą. - Głos jej nie drżał. - To już postanowione. Miałam nadzieję, że sam ksiądz zawiadomi i wybawi mnie z kłopotliwej sytuacji, lecz najwidoczniej nie pomyślał o tym. Zresztą chyba to mój obowiązek. Ja załatwiałam formalności.

- Wiem, wiem, wszystko na głowie kobiety. Tak już Bóg sprawił - zażartował ksiądz z porozumiewawczym mrugnięciem smutnych i poważnych oczu. Wciąż trzymał Audrey za rękę.

W tej samej chwili ojciec Audrey ujął wielebnego Camplina za ramię.

- Jeśli ksiądz pozwoli - powiedział - chciałbym przedstawić księdzu moją wybrankę. I tobie też, córko.

Dolly Dowd, zadyszana po energicznym marszu, stała o krok za nim. Z bliska wyglądała jeszcze przystojniej i bardziej hożo. Spod grubego makijażu przeświecała zdrowa cera. Suknia, choć krzykliwa, była w dobrym gatunku. I ona sama, mimo profesji, głowę trzymała wysoko. Audrey poczuła woń drogich, chociaż zbyt mocnych perfum, które jak kadzidło odurzyły ją na krótką chwilę tak, że straciła kontenans. Kobieta górowała nad nią, Audrey zniknęła w jej cieniu. Wielebny Camplin najwyraźniej nie wiedział, co powiedzieć. Przeniósł wzrok z poblądłej nagle Audrey na mężczyznę, który trzymał go za ramię w uścisku mocnym jak imadło i jednocześnie ze zdumieniem spostrzegł wyrosły nagle wokół nich wianuszek kobiet. Lecz wielebny Camplin należał do gatunku ludzi ostrożnych, nigdy nie działających w pośpiechu. Czekał na olśnienie.

- Jestem ojcem tej oto dziewczyny - wyjaśnił Lawrence Smoke. Audrey dosłyszała w jego głosie ostrą nutę, która po śmierci Josephine coraz częściej dominowała, gdy się do niej odzywał.

Wielebny Camplin puścił dłoń Audrey i uwolnił ramię z żelaznego uścisku stolarza.

- Znamy się przecież, Lawrence - rzekł dobrotliwie. - Brakowało cię nam ostatnio na nabożeństwach. Zmieniłeś wyznanie, czy może...

- Ojciec - wpadł mu w słowo Lawrence - bez kobiety trudno się zebrać do kościoła, ale mam zamiar ponownie się żenić. - Popchnął swoją towarzyszkę ku księdzu. Dygnęła, kolczyki zatańczyły. Stała twarzą w twarz z duszpasterzem, dorównując mu wzrostem, a duchowny, widząc tę przystojną, lekko zadyszana niewiastę, mimo woli się uśmiechnął. - Dolores Dowd - przedstawił stolarz - ale wszyscy mówią na nią po prostu Dolly. Ksiądz też może. Na razie mieszka na Long Wharf nad tawerną Grimsby'ego.

- Pochwalony - odezwała się kobieta w złocie i błękicie. - Ładny dzień, prawda? Niedługo zrobi się tak ciepło, że można będzie popływać.

Szmer przeszedł w grupce pobożniś. Całe Newport plotkowało o mieszkankach pokoi nad tawerną. Mildred Falk, która, choć trzykrotnie zaręczona, nigdy nie wyszła za mąż, wydała z siebie okrzyk zdziwienia, lecz szybko udała, że rozwiązały jej się troczki czepka i drżącymi palcami poprawiła kokardę.

Audrey uparcie milczała.

- Jak się masz, Audrey - pozdrowiła ją Dolly. - No, no, jesteś nawet ładniejsza, niż mówił twój ojciec. Cieszę się, że cię nareszcie poznałam. - Uśmiechała się. Głos miała całkiem miły. Zdawała się ignorować fakt, że jest dla wszystkich chodzącym wyzwaniem i że jej obecność w kościele jest co najmniej niestosowna, nie mówiąc już o publicznym witaniu się z młodą niewinną dziewczyną, nieświadomą istoty jej grzesznego zawodu.

- Dzień dobry, panno Dowd - mruknęła Audrey spuszczać oczy.

Lawrence Smoke natychmiast wyczuł niechęć córki, zareagował więc ostro.

- Ta mała judzi przeciwko mnie, co? Same z nią kłopoty. Nastawia ojca nieprzychylnie do Dolly. Mam rację, nie, ojczy? Proszę jej nie słuchać. Bierze stronę zmarłej matki.

- Mylisz się, Lawrence - odparł ksiądz. - Twoja córka nigdy nie mówiła nic przeciwko tobie i na pewno nigdy nie przysparzała ci kłopotów. Omawiamy jej ślubne plany.

- Przecież ona nie wychodzi za mąż! Nie mówiła ojcu? On tak, bierze ślub, ale nie z nią. Pokumał się z elegancką pannicą ze wzgórza i zrejterował aż się kurzyło.

Odpowiedziało mu głośnie westchnienie pani Olsson i szmer oburzenia pozostałych słuchaczek. Wielebny Camplin próbował wszystkich uspokoić, lecz na próżno.

- Ale ja już zaczęłam twój tort - wykrzyknęła pani Olsson. - Musisz mi zwrócić...

- Ja wezmę tort - oświadczyła Dolly Dowd.

- I termin ślubu, ojczy. Wskoczmy na jej miejsce - dodał

Lawrence.

Mildred Falk, która, jak mówiono, została aż trzykrotnie opuszczona u stóp ołtarza, zapadła się w fałdy wykrochmalonej gabardyny i zemdlła.

Zza pleców Audrey dało się słyszeć czyjeś łkanie. Gdzieś na ulicy zaczął ujadać pies.

Audrey przedarła się przez otaczający ją krąg, porwała z ziemi kartonowe pudło po whisky i pobiegła przed siebie, jak najdalej, obojętne gdzie. Gdzie oczy poniosą.

Omijała całe rodziny wchodzące i wychodzące z kościoła, przepychała się przez ciżbę, uskakiwała w bok przed zderzeniem z małymi dziewczynkami w pięknych sukienkach, spod których wystawały halki ozdobione haftem richelieu. Mknęła niczym burza obok chłopców trzymanyh na wodzy przez surowo patrzących ojców, jednak kopiących ziemię czubkiem buta niczym źrebaki pragnące się wybiegać. Nie czekając już na nikogo i na nic, umykała przed karetami i końskimi kopytami. Niech patrzą, ma to w nosie. Nie wybierając drogi, gnana instynktem, dotarła do centrum i znalazła się nagle przed kwaciarnią pani Maddley.

Właścicielka była w sklepie sama. W niedzielne poranki często się to zdarzało. Herman lubił pospać, a ruch był zazwyczaj niewielki: ot, zaskoczona niespodziewanymi gośćmi gospodyni przyśle po kilka tulipanów do ozdoby stołu czy zawstydzony młodzieniec kupi bukiet, aby przed odprowadzeniem damy swego serca do kościoła wręczyć jej go z całym ceremoniałem.

Audrey pchnęła oszklone drzwi, postawiła pudło na podłodze, przygładziła rozwiane włosy.

- To ja, pani Maddley.

Rosemary Maddley podlewała właśnie zawieszono wysoko doniczki z bluszczem. Zaskoczona, spojrzała na dziewczynę przez druczane okulary.

- Audrey, dziecko, jak ty wyglądasz! Cóż, nie dziwię się - dodała. Pani Maddley była o piętnaście lat starsza, niż się przyznawała i,

w odróżnieniu od większości kobiet w Newport pomagających mężom w handlu, była ładna i szykowna. Prawie wszystkie znane Audrey sklepikarki, zamężne czy owdowiałe, dobrze sytuowane, ciężko pracujące, poświęciły swój kobiecy czar na ołtarzu macierzyństwa, dobrej kuchni i zdrowego rozsądku. Albo straciły talię i rozrosły się w biodrach, albo została z nich sama pomarszczona skóra i kości.

Audrey podziwiała panią Maddley za jej zmysł elegancji i kontakty ze śmietanką towarzyską Newport. Znała ona bowiem wszystkie damy z Bellevue Avenue i Orche Point, ich adresy w Nowym Jorku, gdzie spędzały zimę, imiona ich dzieci i wiedziała, co ich mężowie robią lub czego nie robią dla pomnożenia rodzinnej fortuny. Snując marzenia o własnym interesie, jaki miała prowadzić z Thome'em, Audrey chciała być właśnie taka jak pani Maddley, która umiała szyć, pracować na sucho i nie skąpiła dodatkowych centów na kilkanaście centymetrów materiału więcej, aby starczyło na bardziej wymyślny krój. Suknie nosiła szykowne, dopasowane, w dobrym gatunku i trwałe. Ocierając się o wytworne towarzystwo nabyła ogłady, lecz wobec Audrey nigdy nie zadzierała nosa, chociaż niektóre sąsiadki o skromniejszych aspiracjach ją o to oskarżały. Rosemary Maddley w sposób prostolinijny i bystry dostrzegała zalety bogaczy i próbowała zaszcześcić je w sobie, swoim sklepie i swoich kwiatkach.

- Chciałabym wrócić do pracy, jeśli jeszcze nie ma pani nikogo na moje miejsce - zakomunikowała Audrey zastanawiając się jednocześnie nad tym, co pani Maddley przed chwilą powiedziała.

Rosemary Maddley odstawiła konewkę. Z namysłem zdjęła ogrodnicze rękawiczki, wygładziła je i odłożyła na blat.

- Przyjęła już pani kogoś? Tak? - Była pracodawczyni wydawała się Audrey daleka i nieprzystępna. Cóż, pomyślała, wymówiłam miesiąc temu, nic dziwnego, że kogoś znaleźli.

Pani Maddley oparła się o kontuar, skrzyżowała ręce na piersi i westchnęła. Założyła niesforny kosmyk czarnych włosów za ucho.

- Nie, Audrey. Posada dla ciebie jest, jeśli na pewno chcesz

wrócić.

- Nie rozumiem... Oczywiście, że chcę. Przybiegłam nawet w niedzielę.

- Widzę, dziecko, ale ty jeszcze nie wiesz, co teraz należałoby do twoich obowiązków.

- Czyżbym miała zostać ukarana za wymówienie? - Audrey wciąż nie rozumiała. - Każe mi pani szorować podłogi i wynosić śmieci? Cóż, niech będzie. Muszę pracować.

- Och nie, nie mów głupstw, Audrey. - Pani Maddley wzięła do ręki różowy formularz ze spisаныmi zamówieniami i zaczęła czytać:

- Na ceremonię ślubu panny Celeste Maxwell Lockholm z Thorne'em Larcherem Cockburnem w kościele Św. Trójcy, niedziela trzynastego czerwca, godzina szesnasta: tysiąc białych róż, łodygi bez kolców, owinięte cynfolią; pięćset różowych, jak wyżej; trzysta białych atłasowych koszyczków, małych, po dwa różane pąki w każdym, plus białoróżowa atłasowa kokardka - do zawieszenia na drzewach w ogrodzie rezydencji Whale's Turning.

Audrey opadła na jedno z dwóch białych, żeliwnych, ogrodowych krzesełek.

- Teraz rozumiem - szepnęła.

- Tak mi przykro, kochanie. Wiem, jak cię to boli. Nie umiem powiedzieć, jak ci współczuję... ale jeśli do nas wrócisz, będziesz musiała pomagać, i to jak pomagać, przy tym ślubie. Przywitam cię z otwartymi ramionami, ale obawiam się, że trudno ci będzie pracować z sercem. Najęłam już dwie dziewczyny i jednego boskiego chłopaka, zapowiada się bowiem wspaniały sezon, ale dla ciebie też się znajdzie robota, ile tylko podołasz. Powiedz wpięrw, na co się decydujesz, a potem, co się właściwie stało. Musisz być zdruzgotana, to oczywiste. Taki przystojny, taki przedsiębiorczy...

Audrey podniosła swój pakunek i opuściła kwaciarnię.

Rosemary Maddley nasadziła różowe, lukratywne zamówienie na szpikulec i powiedziała do swoich roślin:

- Wiedziałam, że tak się zachowa. Zuch dziewczyna.

Audrey szła przed siebie, zupełnie bezwiednie kierując się w stronę portu. Czuła pustkę w głowie, ręce jej omdlewały, lecz nogi gotowe były zanieść ją na koniec świata. Stała, gdy ziemia skończyła się pod jej stopami, tam, gdzie małe, pieniające się fale zderzały się z lądem.

Ruszyła brzegiem. Na pomostach roiło się od ludzi wsiadających do łodzi wiosłowych i żaglowych. Dalej na wodach zatoki, na jachtach, bogacze sącząc szampana szykowali się do lunchu.

W końcu Audrey trafiła na pustą plażę. Postawiła swój bagaż na ziemi. Otworzyła karton z napisem reklamującym whisky i zaczęła wyciągać skromny dobytek, który, zdawało się, że całe wieki temu, z radością i dumą gromadziła. Kuchenne zasłonki w róże i pościel zawinęła w jeden ręcznik, jedwabną koszulę nocną w drugi. Potem pochyliła się i sztuka po sztuce rozbiła o kamienie niebieski porcelanowy serwis, a skorupy, niczym muszle, wrzuciła do morza.

5

Z pozoru tak spokojna, jak jej przybrane imię, wytworna Dove Peerce, ubrana w jedwabie w cytrynowożółtej gamie z kremowymi dodatkami, siedziała w rodzinnej ławce w kościele Świętej Trójcy. Percy zajął miejsce z lewej strony, Nicola i Rolf z prawej. Dove z niecierpliwością czekała na lunch. Nie z powodu jedzenia. Już dawno skazała się na dietę złożoną z warzyw, wodnistych zup i białego mięsa i chociaż czasami odczuwała głód, rzadko miewała dobry apetyt. Nie, nie chodziło o jedzenie. Chodziło o plotki.

Zastanawiała się, czy Graf Elliott ułożył dzisiejsze kazanie specjalnie po to, by jej sprawić przyjemność. Nie mogła tego wykluczyć. Jak każdy mężczyzna lubił być podziwiany, a pod duchowną sukienką krył się diabelski spryt. Niemniej pragnęła, aby się pospieszył i kończył.

Och, w tym, co mówił, nie było nic złego - rozwodził się o cudach i ślubach i zręcznie rozkładał akcenty. Lecz wielebny Elliott miał skłonność do zatłaczania o ciemne strony życia, nawet mówiąc o radosnych tematach. Teraz, na przykład, uświadamiał mającym wkrótce „połączyć się ŚWIĘTYM węzłem małżeńskim”, jakim „CUDEM jest szczęśliwe stadło nie myślące jedynie o wspólnym ŁOŻU”. Jak gdyby wszystkie pary, pomyślała Dove, właśnie tam znajdowały szczęście. Uśmiechnęła się i poklepała Percy'ego po udzie. Nigdy nie był ognistym amantem, a teraz zmienił się w kompletnego safandulę. Ale to nic. Nieważne. Już nie. Już nigdy więcej... Kaznodzieja prawił teraz o potrzebie okazywania sobie cierpliwości. I o kompromisie. I o „CHRYSTUSOWYM przebaczeniu”.

Wielebny Elliott miał donośny głos furczący niczym bandery na wietrze, toczący się po nawach niczym piłka do krokieta. Nakłaniając wiernych do cnoty, rozwodził się, jak gdyby

przemawiając do samej tylko Dove, nad przyjemnościami ciała. Mieszkańcy Newport zgodnie podziwiali go za znajomość doktryny kościelnej, lecz Dove, która kierowała się własnym rozumem oraz to i owo wiedziała, uważała go za najgorszego hipokrytę. Nie ganiła go. Cóż, lepiej być kochanym niż ekskomunikowanym. Niemniej dziwnie było słuchać, jak ten, który wczorajszego popołudnia nagi i płonący pożądaniem leżał na jej łonie, dziś grzmiącym głosem nawołuje do życia w cnocie.

Niemniej sama przypowieść jest urocza: Chrystus, gość weselny, ofiarowuje nowożeńcom w Kanie swój pierwszy jawny cud w prezencie ślubnym. Oryginalny pomysł, zmienić wodę ze studni w wino. Może jej, Dove, udałoby się zrobić to samo...

Efekt byłby oszałamiający. Religijny symbolizm i tak ładnie wygląda. Nie musiałyby się martwić o wazy do ponczu, które bez względu na rozmiary zawsze są za małe, a na dodatek ciężkie, nieporęczne, wywrotne. A wieszanie szklanych filiżanek uszkami na występach krawędzi już się opatrzyło. Tak, ta marmurowa fontanna u szczytu podjazdu nadaje się do tego idealnie. Wystarczy tylko odłączyć wodę i rurkami doprowadzić ze zbiornika wino. Drobiazg.

Szkoda, pomyślała Dove bez bluźnierczych intencji, że Chrystus nie zdecydował się na szampana. Ale ona może. Różowy szampan - nowojorski wystarczy, przecież zamówi na wiadra - tryskać będzie z ust greckiego bożka. W holu, gdzie goście zaczną się zbierać, poda dobrego szampana, w wysokich kryształowych kieliszkach, delikatnych jak świeżo zmrożony lód. Będzie żółty, francuski, wytrawny, zimny, drażniący zęby...

Szampańska fontanna sprawi, że goście będą się ruszać, a nie siedzieć jak stado żab na trawniku za domem. I oświetli się fontannę różowymi i srebrnymi lampkami. Późnym popołudniem będą świecić jak nieruchome robaczki świętojańskie, a gdy się ściemni, zaczną się skrzyć niczym iskry z czarodziejskiej różdżki.

Oddając Chrystusowi sprawiedliwość trzeba pamiętać, że szampan został wymyślony dopiero w siedemnastym wieku. Pewien

mnich z małego klasztoru we Francji odkrył właściwą technologię. Katolicy powinni Dom Perignona uczynić świętym...

Dla zabicia czasu Dove zaczęła wymyślać sukienki druhen, lecz na próżno. Graf grzmiał teraz o niewierności...

- W raju KAŻDEGO człowieka czai się wąż, a wąż w ogrodzie małżeńskim jest zaiste grzeszny i czarny. Diabelskie owoce, jakimi kusi, są ZAWSZE ZASKAKUJĄCE i nowe. Wyślizguje się spod leża, jakim jest ludzka słabość, i wskazuje drogę do grzechu, czy w południe, czy o północy. Wije się, tańczy, hipnotyzuje. Wąż ten nawiedza WSZYSTKICH. Wszystkich wabi, nęci. Słuchajcie, wy, którzy| wkrótce złączycie się węzłem małżeńskim, ostrzegam wasi przed tym GROŹNYM POTWOREM. Obiecuje rozkosze, a przynosi nienawiść. Kto raz upadnie, pogrążyć się będzie..

Dove poczuła drżenie lewej powieki. Palcem w rękawiczce dotknęła oka, aby opanować tik. Ukosem spojrzała na Baya Lockholma, chcąc dojrzeć jego reakcję na to wyraźne potrząsanie palcem przed jego nosem.

Żadnej reakcji. Nic.

Ale Bayard zawsze był taki. Niemniej w salonach śmietanki towarzyskiej Newport szeptano o nim i o Tory VanVoorst, jeszcze w czasach, kiedy była tylko sprytną Tory June, szansonistką, a dokładniej striptizerką, z determinacją polującą na bogatego męża. Mówiono, że Bay z żoną straszliwie się pokłócili owej nocy, kiedy Virginia zginęła, że on wybiegł w gniewie i samotnie popłynął do jakiegoś podejrzanego lokalu, gdzie Tory „występowała”, że śmiejąc się i bawiąc zjedli razem kolację...

Pod palcem znowu poczuła nerwowe drżenie. Uniosła lekko głowę. Widziała teraz oboje VanVoorstów siedzących w ławce na chórze. Piękność. Wybitna. Wspaniałe czarne włosy, oliwkowa, budząca zazdrość, hiszpańska cera, nawet w zimie opalizująca jakby wewnętrznym blaskiem, idealnie gładka, regularne rysy, wysokie kości policzkowe. Ubrana zjawiskowo; naprawdę wyjątkowy gust. Chociaż figura kurtyzany; biust zbyt wydatny, talia zbyt wąska,

biodra zbyt krągłe, nogi... zbyt zuchwałe. Gimnastyka, pomyślała Dove. Przysiady, wymachy nóg, godzina dziennie, świątek piątek, baletowy taniec towarzyszący rozbieraniu się przez wiele lat, co wieczór.

Dove odwróciła głowę.

Cóż. Teraz szansonistka-striptizerka nazywa się Victoria VanVoorst i jest żoną Burtona, który mógłby zakasować Percy'ego pod względem bogactwa. Burton poślubił tę lafiryndę niedługo po tym, jak Bay, pochowawszy Virginie, wyjechał w daleką, trwającą rok, podróż. Dove oczywiście nie pamiętała, kiedy Burton poznał tę kobietę. Fortuna VanVoorstów była zbyt nowa. Nie należeli do tego samego kręgu co Peerce'owie.

Wielebny Elliott przeszedł teraz od małżeńskiego grzechu do łaski rodzicielstwa. Bezpieczniejszy temat.

Dove znowu pomyślała o sukienkach drухen. Posprzeczały się o nie z Nicolą. Dove chciała, by dziewczęta z orszaku panny młodej, w sukienkach z jaskrawoturkusowej tafty z koralowym i białym szyfonem, ze stroikami z piór i koralików na głowach, przypominały egzotyczne ptaki.

Nicola wołała motyle.

- Paż królowej - oświadczyła - bardziej pasuje do Newport. Przecież nie biorę ślubu w dżungli.

- Słyszałaś - spytała wówczas Dove pokojówki, walczącej z niesfornymi włosami Nicoli - o druhnach w brązowo-czarnych sukienkach? Słyszałaś kiedy? No, powiedz.

Rosalind dygnęła i rzekła:

- Nigdy, proszę pani. Czarny na ślubie przynosi nieszczęście. Nawet goście nie ubierają się na czarno.

- Widzisz - zwróciła się Dove do córki, jakby służąca była ostateczną wyrocznią - nawet goście nie ubierają się na czarno.

- Za to deszcz przynosi szczęście - odparła Nicola. - Edmunda Lockholm mi powiedziała. Każdego dnia żałuje, że na ślubie Baya i Virginii Stotesbury nie padało.

- Nie rozmawiamy o deszczu, ale o kolorach, Nicolo - replikowała Dove.

- Bzdury - prychnęła dziewczyna, a Dove pomyślała, że dama z brylantem wielkości śliwki na palcu powinna mieć bardziej wyparzony język. - Paź królowej to najpiękniejszy motyl i nie zrezygnuję. Dwanaście drухen przebranych za motyle. Rolfowi za to będą towarzyszyć króliki.

- Króliki? - powtórzyła Dove.

- Tak. W białych jedwabnych fraczkach i kamizelkach z kieszonkami na zegarek, jak Królik w Alicji. No, wiesz, ten, co się zawsze spóźnia...

Nie, postanowiła Dove w duchu. Druhny Nicoli nie wystąpią w czarno-brązowych strojach. Za to białe fraczki i zegarki na dewizkach trzeba będzie przeżyć.

Spojrzała na córkę. W białej sukience haftowanej w srebrne lilijki, przewiązanej trójkolorową, biało-różowo-fioletową szarfą, wygląda dziś słodko. Wierci się, co prawda, szeleści spódnicą i szepcze coś na ucho ukochanemu. Gdyby tylko piętnaście kilo schudła i pozbyła się piegów, z tą grzywą płomiennych włosów wyglądałaby w sukni ślubnej jak marzenie, lecz słysząc o diecie, Nicola pokazała tylko matce język. Rolf, wciąż zauroczony rudowłosą narzeczoną, śmiał się dobrodusznie z jej wybryków i dziwił się, że Dove nie dostrzega w córce bogini. Dove natomiast ze zdumieniem dostrzegła w oczach Rolfa pożądanie, gdy patrzył na Nicole.

Teraz Nicola rysowała bieg terenowy z przeszkodami na kartce notesu ukrytego w śpiewniku z hymnami. Szkicowała trasę, analizowała każdy skok, wypisując obszernie komentarze na marginesie, które Rolf, z miną arystokraty (lub premiera, którym pewnego dnia może zostanie), nie drgnąwszy nawet, z głową pochyloną w modlitewnym skupieniu i dłońmi splecionymi na podołku, kątem oka uważnie czytał. Od czasu do czasu, w odpowiedzi na uwagi Nicoli, trącał jej udo kolaniem.

Brak manier tej dziewczyny, myślała Dove, przynosi mi wstyd. To

kobieta w połowie będąca częścią mnie, a taka dziwna. Wybacz mi, Boże, modliła się Dove, starałam się, jak mogłam. Co uczyniłam, że mnie nią skarałeś? Nigdy, przenigdy się nie dowiem...

Kazanie nareszcie się skończyło i wielebny Elliott przygotowywał się do rozdawania komunii. Dove odprężyła się. Już niedługo...

Alabaster McGregor przychodzi na lunch. I Edmunda. I Celeste Lockholm ze swoim majtkiem, chociaż oni się nie liczą. Celeste nie zna się na niczym interesującym, z wyjątkiem może instrumentu miłości opalonego na brąz samca, który musi grać słodko, oj, słodko...

Bo Dove dowiedziała się w tajemnicy od Alabastra (to naprawdę w największej dyskrecji, rozumiesz, Dove, kochanie. .. wiem na pewno!), że owego dnia, gdy Celeste wypłynęła w czerwonej łodzi w towarzystwie Thorne'a Cockburna i „zniknęła z horyzontu”, oddała się mu jak pierwsza lepsza i teraz boi się, że jest „przy nadziei”.

W ciąży przed ślubem.

Dove nie bardzo dawała temu wiarę. Celeste była damą i arystokratką i zanim Rolf porzucił ją dla Nicoli, z pewnością była dziewicą. Ally jednak przysięgał, że Edmunda wyznała mu wszystko, tłumacząc we łzach, dlaczego zgodziła się na to małżeństwo.

I, według Ally'ego, para ta zgrzeszyła, nie tylko w samo południe na łodzi, lecz później wielokrotnie w hotelu Waldorf.

Boże, czyż to możliwe, by dziewczyna polubiła „to” od? samego początku? Dove potrzebowała kilku lat, by zagustować w rozkoszach łoża.

A potem jeszcze raz rano po śniadaniu zjedzonym w łóżku, i jeszcze raz później pod prysznicem! Śniadanko godne nowożeńców, plotkował Alabaster z tym charakterystycznym uśmieszkiem, który świadczył, iż wie, że podrzuca bomby. Truskawki w szampanie, wiedeńska kawa. Przysięgał, że widział rachunek. Celeste przywiozła *corpus delicti* i wetknęła matce pod nos, chcąc wymusić kapitulację...

Państwo Burtonowie Van Voorst nie przystąpili do komunii. Ani Dove.,. Natomiast Percy, Nicola i Rolf przyjęli sakrament.

Cóż, Celeste nie będzie opowiadać o tym nieprzyjemnym incydencie, nie dziś, nie przy sałatce z krewetek, z dodatkiem rzeżuchy i łuskanych ziarenek pinii. Nie, nie. Co do samego Wielkiego Oportunisty, Thorne'a Cockburna, on z pewnością nie ma niczego ciekawego do powiedzenia. I nigdy nie będzie miał, przynajmniej dla Dove.

Przyjdzie też Zack, czyli Zachary Punt Pink, wzięty architekt, popularny wśród bogatych mieszkańców Newport.

Właśnie na pogawędkę z Zackiem Dove się szykowała. Paliła się z ciekawości, na jakim etapie jest już „gniazdko” VanVoorstów, które sobie wili na wspaniałej posesji w górnych partiach Gilt Hill. „Godsend”. Ha! Miało się nazywać „Bożym darem”.

Dove była szczególnie ciekawa, jakie to krzykliwe i wulgarne elementy Tory wymuszała na mężu i jakie ekstrawagancje stylu ci nuworysze wymuszali z kolei na zdesperowanym Zacku.

Wierni zaczęli podnosić się z ławek. Percy zdusił jęk bólu, poruszył się odrobinę, lecz pozostał na miejscu. Dove trzymała go chwilę za rękę, potem wstała. Biedny Percy. Nie był zazdrosny o Burtona VanVoorsta, dbał o niego tyle co o zeszłoroczny śnieg. Kochała pocziwca za to. Świetnie się spisał i teraz mógłby się bawić. Tylko że na to był zbyt zmęczony. I schorowany. Martwiła się tym.

I tyle było z tego powodu niedogodności. Gdy ich gdzieś zapraszano, Percy nalegał, by nie odmawiała, twierdził, że oczywiście z przyjemnością pójdzie. A potem, tego popołudnia czy wieczoru, zazwyczaj gdy była w negliżu, w samym gorsecie na przykład, Percy wzywał ją przez domofon do biblioteki.

Teraz prawie już mieszkał w bibliotece, spędzając dni i noce na skórzanej sofie, obłożony poduszkami i butelkami z gorącą wodą, notowaniami z giełdy, raportami, reklamami nowych samochodów, telefonami i szklankami mleka z koniakiem. Godzinami przesiadywał

w zacienionym pokoju i przez telefon prowadził interesy. Kiedyś biblioteka była pięknym gabinetem (dębowa boazeria, zielone adamaszkowe tapety, ryciny ze scenami polowań, kominek z marmuru w zielone żyłki), wypełnionym wonią zawsze świeżych kwiatów, które Dove codziennie własnoręcznie układała w wazonach. Lecz teraz Percy nie życzył sobie żadnych bukietów i nie wpuszczał Bethany, żeby posprzątała. Biblioteka nie nadawała się więc do pokazania, a w powietrzu unosił się zapach lekarstw, alkoholu i cierpienia.

I odebrał pieczę nad telefonem Newersowi.

Przez cały tydzień, w dzień i w nocy, siedząc w bibliotece, Percy reagował na każdy dzwonek. Gdy ktoś prosił Dove, nigdy nie wiedziała, kto jest po drugiej stronie, bo Percy albo nie spytał, albo, jeśli już to zrobił; nie przekazał Newersowi Dove musiała podejść do telefonu nie mając pojęcia, z kim będzie rozmawiać i nie mogąc zdecydować, czy w danej chwili ma ochotę pogawędzić z tą osobą.

Wzywał ją więc do biblioteki, a ona zarzucała na siebie brzoskwiniowy peniuar obszyty piórami marabuta i pozwalając, by niedbale zsuwał się jej z jednego ramienia, schodził; na dół wiedząc, co usłyszy, lecz udając, że nie wie.

- Tak, kochanie? - mówiła całując go. Potem czyniła jakąś frywolną uwagę, w rodzaju tych, jakie uwielbiał. Pytała na przykład:

- Jak sądzisz, mam iść bez pantalonów, Percy? Podobno jest upał.

- Na Boga! Nie - wykrzykiwał zawsze, a potem dodawał: - Ale zobaczmy, jak będziesz wyglądać bez nich.

Lecz ostatnimi dniami Percy był poważny i przepraszający, a ona wprost nie znosiła w nim tego.

- Dove, kochanie, boję się wyjść choć za próg. Nie panuję nad swoimi kiszkaami. Idź, złotko, i baw się wspaniale. Czy mam poprosić wielebnego Elliotta, żeby po ciebie wstąpił? Wiem, że za nim nie przepadasz, lecz zostało tak mało czasu... Jeśli się zgodzi, będzie miał u boku najpiękniejszą kobietę w Newport.

Graf Elliott nigdy nie odmawiał.

I tak to się zaczęło. Nie od razu jednak. Minęło sporo czasu. To stało się dopiero pewnej szalonej nocy w zeszłym miesiącu, podczas weekendu u Cortlandów w Kentucky, połączonego z balem z okazji derby...

Biedny Percy. Szukając najbezpieczniejszego towarzysza dla żony, znalazł najbardziej podstępnego...

Z początku protestowała, dąsała się, krzywiła. Mąż jest po to, aby się z nim pokazywać, aby się z nim wspólnie bawić. Stanowią parę, bardzo atrakcyjną parę. Ich przyjaciele nie chcą przyjmować Grafa Elliotta, chcą jego. Powyżej uszu ma już tych jego kiszek!

Jedyną rzeczą, jaka w ciągu ostatniego roku wywoływała ożywienie Percy'ego, był pomysł kupna samochodu. Wpatrywał się w prospekty reklamowe, jakby były ze złota. Dove pojazd bez konia obchodził tyle co zeszłoroczny śnieg. Smrodliwy, dymiący, zakurzony, pozbawiony stylu i w związku z tym niewart jej zainteresowania. Przecież ten Benz Patent-Motorwagen, nad którym Percy obecnie się rozwodził, nie miał nawet dachu chroniącego przed deszczem. Tripp Rails, już posiadacz automobilu, wciąż miał z nim kłopoty i maszynę często trzeba było ciągnąć końmi. Ale z tym nadętym bufonem nie było rozmowy. Twierdził, że benzyna i auta to inwestycja jego życia i przechwalał się, ile kilometrów na godzinę wyciąga. Phi! Para karych Dove zwykłym truchtem zawsze wyprzedzała Trippa i Clarissę w mieście.

Dla ciebie nawet gwiazdka z nieba, myślała Dove, ilekroć była mowa o zakupie. Obyś tylko wyzdrowiał.

Percy jednak wciąż niedomagał i nawet wydawał się całkiem zadowolony. Zadowolony z własnego bólu. Zrobił się jakby bardziej pojednawczy, chociaż w domu zawsze był spokojny, mimo zawziętości w interesach.

Ślęczał nad prospektami, lecz nie kupował auta. Dove modliła się, aby to była nieprawda, że Percy gotuje się na śmierć...

Miał szczęśliwe małżeństwo, zdobył fortunę godną faraona, jego jedyna córka robiła świetną partię, miała zostać markizą. ..

Radość Percy'ego z zaręczyn zdziwiła Dove. Może niesłusznie. Od dnia urodzin Nicoli Percy zawsze powtarzał, że jest cudowna, tak cudowna jak jej matka. Przez dwadzieścia cztery lata nigdy nie złościł się na córkę, chociaż Dove irytowała się prawie co dzień. Percy nigdy się nie sprzeciwił, gdy brała dokładki z półmisków podawanych przez Nevversa. Doszło do tego, że Dove zakazała - z wyjątkiem niedzielnych śniadań, gdyż Percy też je uwielbiał - przyrządzania smażonych ziemniaków, których Nicola pochłaniała całe góry, i przez które miała pryszczki. Gdyby nie te restrykcje, dziewczyna wyglądałaby jak perszeron.

A to jej nocne buszowanie po kuchni! Kucharka gderła, Dove zrządziła, a Percy uśmiechał się tylko i mawiał, że jego zdaniem Nicola to wzór gracji. Prawie nie zdejmowała z siebie bryczesów, ciasno opinających grube niczym kloce uda. Percy twierdził, że ma wspaniałe ciało, godne pędzla Rubensa. Nigdy go, jako ojca, nie obchodził jej brak zainteresowania kandydatami na męża, a mówiąc ściślej, ich brak zainteresowania nią! Nie wierzył, by groziło jej staropanieństwo.

I miał rację. Stuprocentową.

Jak to brzydkie kaczątko tego dokonało?

Dove czuła bliskość Percy'ego przy sobie. Dokonał zaiste heroicznego wyczynu, przychodząc do kościoła. Błady, włożył rękę do kieszeni i dotykał wątroby, by złagodzić ból. Biedny Percy...

Lecz teraz wszystko już było ustalone. Prawie ustalone. Dove odetchnie spokojnie dopiero po ceremonii, i to nie po wyjściu z kościoła, ale gdy dopilnuje wpisania aktu ślubu do ksiąg w ratuszu. Percy był równie zadowolony, choć milczał. I równie dumny.

Nie powtarzał jednak: A nie mówiłem?

Stracił dla Rolfa głowę. Dove także. Lord Pomeroy był prawdziwym angielskim skarbem. Dove była uszczęśliwiona. Po raz pierwszy, odkąd Nicola skończyła siedem czy osiem lat, nie musiała spuszczać oczu, gdy podczas podwieczorku w Casino rozmowa schodziła na jej córkę. Zdumiewające, musiała przyznać,

z dumiewające, jak wspaniale Nicola daje sobie radę.

Dove uświadomiła sobie nagle, znowu czując nerwowe drganie powieki, że zawsze była zazdrosna o córkę...

Nabożeństwo skończone.

Lord Pomeroy i rodzina jego narzeczonej ruszyli środkową nawą, tworząc śliczny obrazek na tle wychodzącego z kościoła Św. Trójcy arystokratycznego towarzystwa.

Na zewnątrz, na schodach, kochanek Dove na mgnienie oka zatrzymał na niej wzrok. Poczowała ciepło w sercu, jak zawsze, gdy wiedziała, iż wzbudza podziw, lecz nie mrugnawszy, nieskazitelna, wsparta na ramieniu Percy'ego przeszła do powozu.

W poniedziałek Percy ma wizytę u doktora Lake'a. W poniedziałek więc napatrzy się dowoli na wielebnego Elliotta. W poniedziałek, jutro... przelotnie pogrążą się w grzechu. Dove pomyślała o poniedziałkowym popołudniu i powieka znowu zaczęła jej nerwowo drgać.

Stojący przy obsypanym wczesnymi kwiatami krzaku hortensji Alabaster McGregor uśmiechnął się wąskimi wargami do Tory i Burty'ego VanVoorstow, lecz oka nie spuszczał z Grafa Elliotta i Dove Peerce, a jego umysł pracował, pracował jak maszyna...

6

Zapowiadał się długi dzień. Audrey postanowiła nie wracać do domu ojca aż do wieczora, aż tamta kobieta sobie pójdzie, pójdzie do tego miejsca, które nazywa swoim mieszkaniem.

A Lawrence Smoke zostanie w domu. Niedzielne wieczory zawsze spędzał w domu planując roboty na nadchodzący tydzień. Podczas kolacji Audrey spróbuje mu wytłumaczyć... Właściwie co? Że może ojciec nie wie, jakiego pokroju kobietą jest Dolly Dowd? Jakie kobiety kręcą się po tawernie Grimsby'ego? Nie, to na nic. To właśnie było przyczyną, dla której po śmierci Josephine chodził tam wieczorami. Chciał znaleźć kobietę. Właśnie taką.

Bo z jakiegoż by innego powodu?

Lawrence Smoke nigdy nie był towarzyski. Nigdy nie pił. Pracował w swoim warsztacie, a potem przesiadywał w domu, z rodziną. Nie miał zainteresowań, nie miał kumpli. Był samotnikiem, który nie pływał, nie żeglował, nie polował. Samotnikiem, który nawet pracował w pojedynkę, nigdy dla nikogo, tylko dla siebie. Odkąd pamiętała, zawsze był samodzielny, zamknięty w sobie i zadowolony z siebie.

To znaczy, kiedy żyła Josephine...

Audrey skierowała się teraz ku miejskiej plaży. Pościel, dwa ręczniki, koszulę nocną i kuchenne zasłonki zrolowała i wepchnęła pod pachę. Maszerowała przed siebie, kopiąc piasek. Za dwadzieścia pięć centów wypożyczyła strój kąpielowy, dwuczęściowy, czarny, wełniany, ze spódniczką obrzeżoną czerwono-żółtą lamówką. Zwyczajny, brzydki trykot, taki, jaki noszą stare panny... i porzucone narzeczone.

- Dzielną jesteś - powiedziała kobieta obsługująca kabiny. Czytała właśnie redagowaną przez Alabastra McGregora rubrykę

towarzyską w piątkowym wydaniu „Newport Daily Whirl”, zatytułowaną: „Ochy i Achy”. - Już cię tu widziałam. Często przychodzisz. Lubisz wodę, co? Od razu widać. Ja też lubiłam, kiedy tu przyjechałam z Jeoffem. Dawne dzieje. - Artretyczny, wykrzywiony palec o żółtej, suchej skórze trzymała na miejscu w gazecie, w którym przerwała czytanie. Ubrana była w nietwarzowy zielony uniform, pognieciony, bez guzika, spięty agrafką.

Audrey chciała powiedzieć coś miłego. Kobięcina wyglądała na biedną, jak ona, i samotną, jak ona. Pewnie też i niekochaną. .. jak ona.

- Ją też panią pamiętam. Jak się pani nazywa?

- Esmeralda Diego. Ładnie, prawda?

- Piękne imię - przytaknęła Audrey i ruszyła ze swym bagażem w stronę kabin.

- A moja córka nazywa się Daphne. Jeoff tak dla niej wybrał. Kiedy był z nami, nazywaliśmy się Eckkles, ale gdy nas opuścił, wróciłam do nazwiska pierwszego męża. Bardziej pasuje takim jak my. A Daphne Diego brzmi lepiej niż Daphne Dawn Eckkles, nie? Z Jeoffa przyzwoity był chłop i zostawił mi trochę papierów, chociaż na ile się rozumiem, niewiele wartych.

Audrey nie odpowiedziała.

- Obrza boska, co niektórzy z nich robią - kobieta za jej plecami nie przestawała mówić. - Nie szkoda to tej Virginii Lockholm?

Audrey wstrzymała oddech. Minęła już tę kobietę. Nie musiała się odwracać, nie musiała odpowiadać. Mogła zostawić wczorajszą rozmowę na WaterWalk tylko we wspomnieniach, matka z lustra ostrzegała przecież...

Odwróciła się jednak.

- Szkoda? - spytała.

Kobieta spragniona była po prostu rozmowy. Nudzila się. Ruchu nie było, a Audrey wydała się jej sympatyczna.

- O tu, pisze w gazecie. - Esmeralda Diego powykręcany przez artretyzm palcem postukała w zadrukowaną stronę. - Virginia

Stotesbury, tak się nazywała przed ślubem z nim, pamiętasz? W zeszłym roku. Zabiła się. Tak ludzie gadali. Dopiero co wyszła za tego Bayarda Lockholma, co to dorobił się takiego majątku i pięknego domu na wzgórzu. Wyskoczyła z okna pałacu, jaki dla niej budował. Od razu wydawało mi się to jakieś dziwne. Nie pamiętasz?

- Kobieta uniosła głowę i świdrującym wzrokiem spojrzała na Audrey. Oczy miała czarne, chociaż lekko zamglone kataraktą.

Dlaczego tak mi trudno oddychać? Dlaczego czuję taki skurcz w sercu? Audrey skinęła tylko głową i spuściła wzrok. Co ta biedaczka zrobi, kiedy oślepie, przemknęło jej przez myśl. Widziała dziwnie powykęcany palec, spuchnięty staw. Zauważyła bruzdy na żółtym paznokciu, który, niczym ptasi dziób, stukał w papier.

- Znowu o niej piszą? - zapytała.

- Jej pokojówka wróciła - odparła Esmeralda i pochyliła się, aby lepiej widzieć litery. - Francuzka. Fanni St. Flour. Też się ładnie nazywa. Przyjechała znowu z Francji za chlebem.

Tu pisze, że wzięła ją do siebie pani Van Voorst. Wiesz, ta bogaczka, co to sobie budują tę willę na Gilt Hill.

Audrey nie wiedziała. Audrey niczego nie wiedziała. Lecz kiwnęła głową i niecierpliwie ponagliła:

- Tak? I co dalej?

- No więc - ciągnęła kobieta - ta pokojówka, ta Fanni St. Flour, poszła na posterunek w Providence i opowiedziała ładną historyjkę o tym Bayardzie Lockholmie. Musiała oczyścić sumienie, tak tu pisze. Powiedziała, że oboje państwo ogromnie się pokłócili tej nocy, kiedy jej pani wyskoczyła oknem. On krzychał, że ją zabije, i teraz na nowo zaczną dochodzenie. Zacznie się rozdrapywanie starych ran, jak to się mówi. A jeśli to zrobił? To znaczy, zamordował ją? Znam tych Lockholmów. Złamanego grosza bym za nich nie dała. - Esmeralda podniosła wzrok na Audrey. - Co tobie? Tak nagle pobladaś.

- Co tam jest dokładnie napisane? Mogę zobaczyć? - Audrey pochyliła się nad gazetą.

- Proszę. Bóg świadkiem, kłopotom nigdy nie ma końca. Esmeralda była zadowolona. Udało się jej zainteresować dziewczynę i trochę się rozerwać w to spokojne, niedzielne popołudnie. Audrey zaś czytała:

„Zakrawa na zbrodnię, że po bolesnych przeżyciach zeszłego roku radość rodziny Lockholmów z otwarcia letniej rezydencji, Whale's Turning, wspaniale zbudowanej przez geniusza inżynierii, Zachary'ego Punta Pinka, oraz z rychłego ślubu panny Celeste Lockholm z młodym przedsiębiorcą Thorne'em Cockburnem zakłócają złośliwe insynuacje zwolnionej ze służby pokojówki.

Lecz niestety to prawda.

Niejaka Mlle Fanni St. Flour przez krótki czas służyła w domu państwa Lockholm jako osobista pokojówka Virginii Stotesbury Lockholm, ukochanej żony Bayarda Lockholma DL która w zeszłym roku zmarła śmiercią tragiczną. Otóż owa Mlle Fanni St. Flour po rocznej nieobecności powróciła właśnie z ojczystej Francji i zaczęła snuć rozmaite opowieści. Z pewnego źródła wiemy, iż osoba ta od razu po przyjeździe udała się na policję w Providence, by rozpuszczać plotki o burzliwej kłótni pomiędzy szczęśliwymi małżonkami, mającej rzekomo miejsce na kilka godzin przed niefortunnym upadkiem pani Lockholm z okna częściowo ukończonej rezydencji Whale's Turning.

Bayard Lockholm jest właścicielem tej gazety, moim pracodawcą i, dodaję z dumą, moim serdecznym przyjacielem. Jest dżentelmenem w każdym calu i jednym z najznamienitszych obywateli, jacy obrali sobie Newport za letnią siedzibę. Po trwającej rok żałobie, podczas której podróżował po świecie w poszukiwaniu ukojenia, rany w jego sercu są wciąż świeże. I akurat teraz, gdy zaczyna na nowo składać swoje życie w całość, pada kolejny cios.

Mlle Fanni St. Flour po tragicznej śmierci swojej pani otrzymała od pana Lockholma hojną odprawę, a mimo to ma czelność przyjeżdżać do jego miasta, do naszego miasta, ma czelność, posłużmy się metaforą, wykopywać nieszczęsne ciało z grobu i

smażyć biednego wdowca na ogniu.

Któż zatem użyczy ucha kłamstwu złośliwej, niewdzięcznej francuskiej kokietki? Oto odpowiedź: niejaki Jeremy Smythe z wydziału zabójstw (tak! zabójstw!) policji w Providence oraz pani Victoria Van Voorst, żona naftowego i samochodowego magnata, znana w kręgu przyjaciół, o ile takowych posiada, jako Tory. Właśnie zatrudniła u siebie ową francuską subretkę na sezon...

- Biedak - szepnęła Audrey.

- Może nie taki znowu biedak? Może ją zamordował? Nie pomyślałaś o tym? Może dziś nie przyznasz mi tego prosto w oczy, mała, ale ja takich tam Lockholmów znam jak zły szeląg. Parszywce. Tfu!

Audrey chciała natychmiast tam biec, pędzić na szczyt WaterWalk, wołać go po imieniu, a potem powiedzieć, jak jej przykro, powiedzieć, że wie, że zawistni, źli ludzie wzięli go na języki i stawiają pod pręgierzem. Chciała go objąć, całować jego smutne usta...

- To nieprawda - wykrzyknęła. - Jestem pewna, że on tego nie zrobił. Uwielbiał ją przecież. Budował dla niej ten piękny dom. Nosila jego dziecko. Byli tuż po ślubie.

Esmeraldę Diego łatwo było przeciągnąć na swoją stronę.

- Mówili - powiedziała - że na pogrzebie był całkiem nieprzytomny z rozpacz. A podług mnie to ludziska zawsze się kłóca. Z Joeffem to sobie czasami do oczu skakaliśmy, ale bywało też i dobrze.

Audrey odeszła. Przebrała się w długi kostium kąpielowy, potem szybkimi susami przemknęła przez plażę i skoczyła do morza. Uwielbiała ten dreszcz, jaki przeszywał ją przy pierwszym zetknięciu z wodą.

Oprócz niej na plaży było tylko kilkoro zahartowanych dzieciaków baraszkujących wśród rozbijających się o brzeg fal i jeden mężczyzna, który już wypłynął daleko w morze. Kąpał się bez czepka. Plaża zaludni się dopiero w lipcu, teraz woda północnego

Atlantyku była wciąż tak zimna, że usta siniały.

Lecz Audrey lubiła lodowatą kąpiel, uwielbiała uderzenia fal pędzonych czerwcowym wiatrem. Lubiła podpływać pod rosnącą ścianę wody. Czuła się jak ryba, silna i zwinna. Trochę dalej od lądu ocean był spokojniejszy, cieplejszy, a ona płynęła przed siebie w zapamiętaniu, dalej niż powinna... Skręciła, minęła Bailey's Beach, gdzie bogacze wystawiali kolorowe kabiny z markizami z pasiastego jedwabiu, namioty, parasole i stoliki, i podpłynęła do kadłuba złotego jachtu z żółtymi żaglami. „Catbird Seat”. Przytrzymała się łańcucha, którym był przycumowany, i oddychała zdyszana. Nie powinnam tu być, pomyślała, lecz uczepiona łańcucha uniosła się i rozejrzała dokoła.

Skąła, na której wczorajszej nocy spotkała Boyarda Lockholma, jadła z nim kraby, piła szampana, była teraz pusta i zimna, wtopiona w kamienny krajobraz. Opuszczona. Nawet mewa nie przysiadła na wystającej krawędzi. Na WaterWalk nie było nikogo, chociaż po Cliff Walk, szerszej, bezpieczniejszej, bardziej oddalonej od przepaści ścieżce, przechadzała się jakaś para. Audrey nie mogła dostrzec, kim byli, falochron wokół Whale's Turning zasłaniał trochę widok. Dalej jednak, tam, gdzie wykute w kamieniu schody prowadziły ku prywatnej przystani, przy której kołysała się łódka, dostrzegła wąski pas trawnika. Tam, gdzie wczorajszej nocy w powodzi świateł wirowały w walcu pięknie ubrane pary, skąd młoda kobieta o niebiańskim imieniu ubrana w suknię utkaną z poświaty księżyca przypląnęła ku Audrey i odciągnęła brata, by wracał do swoich, było teraz pusto...

Muszę wracać, pomyślała Audrey, wracać...

Została jednak, oszukując się, że musi wyrównać oddech po długim wysiłku, wmawiając sobie, że tylko to ją tu zatrzymuje na spokojnej wodzie, uczepioną cumy jachtu należącego do Johna Bayarda Lockholma. Johna Bayarda III, jak napisali w gazecie.

Jeśli Thorne tam jest i mnie widzi, pomyśli, że jestem głupia, uświadomiła sobie Audrey. Nawet gorzej, że mu się narzucam. I

jeszcze gorzej, że nie mam wstydu chodzić za nim, gdy on wielbi już inną...

Przecież ja nie przypląnęłam tu dla Thorne'a, kontynuowała swój wewnętrzny monolog, ale dla kogoś innego. Dla samotnika przechadzającego się po WaterWalk, którego sercem targają tłumione namiętności. Dla tego, który niczym jeleń jest zarazem potężny i narażony na niebezpieczeństwo, którego siła, subtelna i ukryta, przebija z każdego ruchu. Wczorajszej nocy wiatr to wydymał jego koszulę, to przylepił do ciała, odsłaniał przed moim wzrokiem silny tors. Pragnęłam go dotknąć. Wciąż tego pragnę.

Jaki żar z niego emanował! Na samo wspomnienie, nawet teraz, w zimnej jak lód wodzie, Audrey poczuła gorąco. Wczorajszego wieczoru, gdy zdjął surdut, powietrze zapłonęło...

Jego arystokratyczna twarz stała się nagle chłopięca, gdy rozwiane wiatrem włosy opadły mu na czoło, gdy wargi rozchyliły się w półuśmiechu. Pragnienie ujrzenia tej twarzy znowu przeszło ją bólem. A oczy... niesamowite, ciemne jak ocean w porze sztormu, oczy, na dnie których czai się prześladowająca go tajemnica.

Elegancki. Zgoda, może aż nadto. Nie dla niej. A jednak coś ją do niego ciągnęło... Przepłynęła taki szmat drogi, a jego nawet tu nie ma.

I nigdy dla niej nie będzie.

Wczorajszej nocy, już się żegnając, podszedł blisko, dotknął pasma jej niesfornych włosów. Przeszedł ją dreszcz oczekiwania. Całym sercem pragnęła, by ją objął i pocałował, by całował ją długo i gorąco i rozbudził w niej to, co kiedyś jedynie lekko drgnęło... Czuła, że chciał tego. A może i to było jedynie marzeniem, którym silny morski wiatr przewiał całe jej ciało i sprawił, że zakręciło jej się w głowie i tylko dlatego pomyślała, że jej towarzysz pragnie tego samego co ona?

Tak, tak, na pewno. Przecież jej nie pocałował. Nie próbował nawet. Gdyby naprawdę chciał ją pocałować, spróbowałby. Musiał wiedzieć, co się z nią dzieje. Mężczyzna doświadczony, światowiec,

kiedyś żonaty...

Audrey zauważyła teraz jakąś postać na tarasie. Wysoką kobietę w szafirowej sukni. Na szyi miała kilka sznurów białych pereł, wspaniale opalizujących na wydatnym biuście. Siwa, blada, o wyglądzie matrony. Wsparta na laseczce, stała pomiędzy białymi kolumienkami i patrzyła na grzywy rozbijających się o brzeg fal.

Kobieta zaczęła schodzić po marmurowych schodach ku wodzie. Nagle stanęła, odwróciła się i spojrzała na wysoko umieszczone okno. Zamknięte, martwe, puste. Jedyne w całym domu nie umyte, nie zadbane.

Nikt za tym oknem nie mieszkał. Nie miało firan, niczego nie ukrywało. To z tego okna skoczyła Virginia Lockholm. Upadek, który skończył się śmiercią. Rok temu. W czerwcu. To musi być...

Audrey zanurkowała jak foka.

Kobieta z perłami musi być Edmunda Lockholm, panią Whale's Turning, matką Johna Bayarda Lockholma i przyszłą teściową Thorne'a...

Audrey płynęła jak w transie, powoli poruszając nogami. Żar rozpalający serce zgasł zduszony wysiłkiem. W miejscu, gdzie iskra namiętności wybuchnęła gorącym płomieniem, został zimny węgielek. Czas do domu. Gdybym tylko miała swój dom...

A tymczasem pławiała się w wodzie, rozkoszowała przyjemnym zmęczeniem. Niesiona prądem poddała się rozmyślaniam. Co sprawia, że mężczyzna kocha kobietę? Ona nie kocha Thorne'a. Była w nim tylko zakochana. Jeszcze wczoraj. Szczęśliwie, błogo zakochana...

Czyż nie?

Czyż serce jej nie podskoczyło na trzykrotne pukanie do drzwi? A gdy się dopiero poznali i nie była pewna, czy on przyjdzie i kiedy, czyż nie czekała na ten sygnał, nie śniła o nim po nocach, nie marzyła we dnie o tej syreniej pieśni? Tak, tak. Marzyła. I kochała ten dźwięk. Kochała twarz oświetloną księżycem, przystojną i czułą, i czarne jak u pirata oczy płonące w ciemnościach. Kochała

pocałunki i drzenie, jakie przenikało najintymniejsze zakamarki jej ciała. Kochała jego nagi tors, mięśnie napinające się pod spaloną na brąz skórą, gdy płynął czerwoną łodzią, kochała czarne włosy powiewające niczym lwia grzywa, symbol nieokiełznanej męskości. Kochała te białe żeglarskie spodnie wilgotne od morskiej bryzy, opinające muskularne uda...

Czyżby cała ta miłość przepadła nagle, zniknęła wraz z trzaśnięciem drewnianych drzwi, wraz ze słowami: „Nie mogę się z tobą ożenić. Kocham inną”? Wraz z wyjaśnieniem, że „ta nowa” jest piękna i bogata, a ona, Audrey, pospolita i uboga?

Tak.

Dziwne i zaskakujące, pomyślała Audrey, lecz to prawda. Miłość zniknęła. Zniknęła, bo spod blichtru wyjrzało inne, nie zasługujące na miłość oblicze Thorne'a Cockburna. Chciwego, fałszywego oportunisty, który niczym pies porzuca mniejszą kość dla większej. Audrey ujrzała to wszystko w jednym bolesnym przebłysku świadomości. Ujrzała i jej miłość zgasła...

I Bogu niech będą dzięki.

Czym ona różni się od Thorne'a? Jak naiwna dzierlatka straciła głowę dla bogatego mężczyzny, którego wcale nie знаła, bo poflirtował z nią, w sposób nieszkodliwy zresztą, gdy była na dnie rozpaczy.

To, co zrobił wczoraj John Bayard Lockholm, bogacze robią cały czas. Robią to późnym popołudniem przy lampce szampana, racząc się przystawkami, kawiozem i francuskimi serami. Robią to przy późnej kolacji ponad półmiskami z bażantem, solą i truskawkami, które sprowadzają przez okrągły rok. Robią to nawet przed udaniem się na spoczynek, grając, w wista lub tańcząc. Robią to nie myśląc. W ich języku nazywa się to „salonowymi manierami” i absolutnie do niczego nie zobowiązuje.

Czym więc ona, która teraz już wie, co to miłość, choć jej nigdy nie zazna, różni się od Thorne'a? Oboje przecież zakochali się z nienacka w kims bogatym.

Audrey odwróciła się na plecy i wpatrzona w oślepiające, pomarańczowe słońce nagle znalazła odpowiedź.

Zakochała się wczoraj w Bayardzie Lockholmie nie dlatego, że jest przystojny (owszem, jest przystojny, lecz nie w ten hipnotyczny sposób, co Thorne), nie dlatego, że jest bogaty (bajecznie bogaty), nie dlatego, że czuła się zraniona i szukała sposobu ratowania dumy. Była, wciąż jest, zraniona, lecz nie zdruzgotana. Nie, nie. Aby Audrey Smoke poszła w ślady Brigit Norris, trzeba by kogoś więcej niż Thorne'a Cockburna. Nie. Ona zakochała się w mężczyźnie spotkanym na skale, bo był miły, uprzejmy i wspaniałomyślny i, co najważniejsze, także ze zranioną duszą. Wczorajszej nocy ich dusze połączone zostały niewidzialną struną, która grała melodię tak słodką jak anielska lira. Audrey wciąż czuła tę melodię w sobie, ta melodia wciąż w niej wibrowała. Ona się w nią wsłuchiwała.

On natomiast nie.

Wiedziała o tym. Mamusia z lustra jej to powiedziała, a tak naprawdę to ona sama wiedziała o tym, zanim zapytała. Mężczyźni są inni. Nie poddają się wibracjom kosmicznych strun jak kobiety. Bayard Lockholm znajdzie sobie kobietę, która go będzie kochała, znajdzie sobie partnerkę ze swojej sfery, ze świata, do którego należy. Ona będzie znała „salonowe maniery”, cokolwiek są warte. Będzie wiedziała, jak urządzić letni dom w Newport, jak zwracać się do kucharki i jak zwolnić impertynencką pokojówkę. Będzie umiała podróżować po świecie, spędzać czas na transatlantyku i na jachcie. Będzie umiała żartować z koronowanymi głowami, rozdawać napiwki w Paryżu i będzie miała o czym rozmawiać z nieznajomymi spotkanymi w hotelu. Będzie wiedziała, jak dobierać suknie i jak nosić klejnoty otrzymane w prezencie od męża. Będzie umiała wydawać przyjęcia, będzie wiedziała, kogo i kiedy zaprosić, co podać, jakie rozrywki przygotować. Będzie umiała ulżyć mu w kłopotach, osłodzić noc i umilić każdą chwilę życia. Napełni sobą jego serce, wciąż pęknięte po śmierci pierwszej żony...

Pan Smythe...

Napisali w gazecie, że niejaki pan Smythe z wydziału zabójstw w Providence prowadzi śledztwo. Czyż to nie ten sam Smythe, który sprzątnął jej sprzed nosa mieszkanie u pani Burroughs?

Audrey przekręciła się na brzuch i zaczęła energicznie płynąć do brzegu. Czyli to prawda. John Bayard Lockholm jest podejrzany o... o... nie, to niemożliwe... o zamordowanie swojej żony!

Pójdzie do gazety. Gdyby chodziło tylko o nią, nie miałyby odwagi, zbyt się boi, nie ma kwalifikacji, wiedzy. Ale chce się dowiedzieć czegoś więcej o Bayardzie. Pragnie mu pomóc. Dobrze. Jutro rano pójdzie do redakcji „Newport Daily Whirl”, zapyta o pana McGregora od rubryki towarzyskiej i poprosi o posadę, którą Bayard Lockholm jej wczoraj obiecał w obecności wiatru, gwiazd i oceanu. I nie zaakceptuje odpowiedzi odmownej.

Esmeraldę zastępowała teraz młoda, piękna dziewczyna, mniej więcej rówieśnica Audrey. Nie odezwały się do siebie.

Audrey przebrała się, zwróciła kostium kąpielowy i zaczęła powoli iść w stronę domu. Pod pachą niosła zawiniątko z bielizny pościelowej i ręczników. Po długim pływaniu czuła silny głód, lecz nie przyspieszyła kroku. Nie chciała wracać do Lawrence'a Smoke'a i Dolly Dowd.

W dzielnicy portowej było rojno i gwarno, jak zwykle w niedzielny wieczór. Mieszkańcy Newport całymi rodzinami wybrali się na przechadzkę, przy okazji kupując smażoną rybę w kiosku przy plaży. Członkowie klubu jachtowego wyładowywali swoje morskie połowy, a kawałek dalej, bliżej doków, wynajęci robotnicy oprawiali ryby jeszcze podskakujące, jeszcze poruszające różowymi pyszczkami, jeszcze usiłujące złapać ostatni oddech. Damy z Bellevue Avenue, Orche Point i Gilt Hill paradowały w powozach, prezentując piękne stroje. Towarzyszyły im starsze dzieci na kucykach. Śliczni chłopcy dosiadali wymuskanych koników rasy Welsh lub Shetland ze wstążkami przy uzdach i wypielęgowanymi, długimi aż do ziemi, ogonami. Pyszni i dumni byli ci młodzi bogacze, gdy zadzierając nosa niczym mali lordowie mijali prostych ludzi, a nawet swoich

kolegów, od których oczekiwali aprobujących spojrzeń. Mniejsze dzieci i dziewczynki, za małe jeszcze, by pokazywać się na promenadzie u boku mam, jechały w osobnych landach powożonych przez stangretów. Najmłodsze siedziały nieruchomo niczym wspaniale ubrane lale.

Audrey, z rozwianymi włosami i w przemoczonej sukience, trzymała się bocznych uliczek i zataczając koło przez Washington Square i Elm Street dotarła na Bridge Street przed swój rodzinny dom.

Czy Dolly Dowd mimo wszystko objęła rządy pod jej nieobecność? Czy będzie się teraz szarogęsić w kuchni? W kuchni Josephine, w jej kuchni? Czy zawiązawszy fartuch na sukni w niebiesko-złote pasy, z macierzyńskim uśmiechem na ustach, miesza potrawkę z kurczaka, a na stole stoją już trzy nakrycia, jak za dawnych czasów? A może są już z ojcem w jego sypialni, a zza zaryglowanych drzwi dobiega rytmiczne skrzypienie łoża, któremu wtóruje orgiastyczny śmiech Dolly...?

Audrey weszła do sieni i spojrzawszy w górę spostrzegła, że drzwi do części mieszkalnej były otwarte, co znaczyło, że ojciec jest już na piętrze. W kuchni było jasno, paliła się też lampa do czytania stojąca przy fotelu. Audrey rozpoznała ją po bursztynowej smudze, jaka przenikała przez gazowe światło sufitowej lampy. W domu panowała głęboka cisza.

Weszła na górę. Zastanawiała się, co tu zastanie. Wstrzymała oddech i zatrzymała się w drzwiach.

Stół był pusty z wyjątkiem dzbanuszek ze stokrotkami, który Audrey rano postawiła na szafce obok zlewu. Pod kuchnią nie było napalone, rondle wisiały na swoich miejscach. A Lawrence Smoke jak zwykle siedział w swoim fotelu z rozłożoną na kolanach gazetą.

Nic się nie zmieniło, tylko zamiast kubka wystygłej kawy na podręcznym stoliku stała szklaneczka rozcieńczonej wodą whisky.

- Czekałem na ciebie, córko - odezwał się Lawrence na powitanie.

- Poszłam popływać - wyjaśniła. - Przyczeszę tylko włosy i zaraz zajmę się kolacją - dodała.

Stała na wprost niego, niepewna, jak się zachować. Położyła zawiniątko na stole. Zerknęła na ojca i ujrzała mężczyznę, którego jakby nie знаła. Podbródek stracił łagodną linię, stał się zacięty. To coś nowego. W utkwionych w nią oczach zauważyła intensywność, przenikliwość i koncentrację rybołowa śledzącego upatrzoną ofiarę. To też było nowe. Układ ramion, noga założona na nogę, napięte mięśnie uda, whisky w domu... Wszystko to było nowe.

To prawda, pomyślała Audrey, on ją kocha. Bez względu na to, kim była czy jest, on ją kocha, będzie ją miał i ja nic na to nie poradzę...

Lawrence Smoke popijał, z przerwami, cały dzień. Do obiadu wspólnie z Dolly wysączyli butelkę czerwonego wina, a potem baraszkując w sypialni raczyli się whisky. Ach, jakie to było podniecające: whisky w łóżku, w łóżku, które dzielił tylko z Josephine... W którym potem samotnie spędzał noce snując marzenia o kobietach miękkich, nagich, chętnych, namiętnych i kuszących.

Potem, gdy poszedł z nią do jej mieszkania po rzeczy, ze zdenerwowania napił się znowu. Przyniósł trzy walizy, Jeszcze nie wszystko, uprzedziła Dolly, lecz więcej waliz nie miała. Wróciwszy, napił się więc jeszcze. Nie mógł sobie miejsca znaleźć. Poszedł do warsztatu, potem na górę, próbował się czymś zająć, aby tylko odwrócić myśli, nie interweniować, gdy Dolly pakowała pozostałe po Josephine buteleczki wody toaletowej, jej szczotkę i grzebień, kilka sukienek, bieliznę i trzewiki.

- To trzeba zrobić - przekonywała. Kąciki jej usteczek unosiły się słodko, a oczy błyszczały łagodnym blaskiem jak u Madonny na obrazie.

Kiwnął tylko głową.

Wiedział, że trzeba, niemniej czuł się podle. Przywykł do spoglądania na pamiątki po Josephine zaraz po przebudzeniu się, do

wspominania zmarłej. Przywykł do żalu...

Wiedział, że to na nic. Rankiem stawał na chwilę, prawie nie myśląc, by pogłodzić wieczko szkatułki na biżuterię, jaką dla niej zrobił. Delikatna skrzyneczka z drewna balsaminy, łączona na sworznie bez kleju, pomalowana w złote wzory na ciemnozielonym tle, błyszczała niczym chińska laka. Zaprojektował ją na wzór bogatego pałacu, trzy kondygnacje, a za każdym okienkiem i drzwiczkami kryła się szufladka na parę kolczyków, sznur pereł, bransoletkę z szafirami. Biedna Josephine żadnej z tych ozdób oczywiście nie posiadała i do szufladek chowała szpilki albo guziki. Kochała jednak swoją szkatułkę, która - aż do dzisiejszego popołudnia - stała nie starzejąc się tam, gdzie zawsze za jej życia, pośrodku komody.

Dolly starała się wprowadzić zmiany najłagodniej jak mogła.

- Trzeba to zrobić, najdroższy, żebyśmy mogli rozpocząć nasze życie. Ty sam o tym wiesz, a ja wiem, jak ci trudno, więc zdaj się na mnie. Zaszyj się gdzieś na godzinę, a ja się wszystkim zajmę. To trzeba było zrobić zaraz, gdy twoja żona odeszła. Teraz już jest i tak za późno.

Lawrence skinął potakująco głową. Głos odmawiał mu posłuszeństwa.

- Posłuchaj, Lawrence - ciągnęła Dolly - nie potrzebujesz tych drobiazgów, żeby o niej pamiętać. Zawsze będziesz ją nosić w sercu. Ja nie wypędzam jej ani nie usiłuję zająć jej miejsca. Przecież twoje serce i twój dom pomieszczą nas obie, prawda?

Ponownie skinął głową i dolał sobie whisky.

Teraz więc na komodzie Josephine w jego sypialni leżały toaletowe przybory i oprawione w srebro szczotki do włosów i grzebienie Dolly, a w szufladach jej halki, koszule nocne, szale i czarna bielizna. Prawie całą szafę wypełniały jej suknie - dopiero niewielka część posiadanej przez nią garderoby. Zmęczona całą tą pracą Dolly leżała na łóżku, a tymczasem on brał po kolei błyszczące flakony do ręki i oglądał wszystkie egzotyczne w tym skromnym

pokoju drobiazgi. Podobały mu się, były kolorowe i zalotne, nowe i zmysłowe. Josephine nigdy nie miała pomarańczowych, niebiesko-złotych czy jaskrawoczerwonych ubrań. Nigdy nie nosiła głębokich dekoltów ani obcisłych gorsetów, ani ogromnych kapeluszy i szykownych trzewików, które jeszcze trzeba będzie przynieść. Osobiste przedmioty Dolly były frywolne i uwodzicielskie jak ona sama. Życie zaczynało się od nowa! I Lawrence pomyślał, że będzie mu dobrze. Rozejrzył się po pokoju, w którym nie będzie już sam, który znowu stał się prawdziwą sypialnią małżeńską. Jego sypialnią, w której jest jego kobieta. Oto ona, właśnie tam, na jego łóżku. Ponętna, uśmiechnięta. Zamieszka z nim. Za niecały tydzień będzie się nazywać panią Smoke, a Lawrence Smoke już nigdy nie będzie samotny, już nigdy nie będzie tęsknił za kobietą...

Uczcili to następną szklaneczką whisky.

Potem zaniósł dwa kartonowe pudła z rzeczami po Josephine na dół i ustawił w kącie warsztatu, trudno dostępnym, niewidocznym. Odprowadził Dolly do jej mieszkania, a po powrocie usiadł z gazetą, chociaż przedtem jeszcze raz zajrzał do swojej - do ich sypialni. I nalał sobie kolejną szklanekę whisky.

Usiadł i czekał na jedyną, zdawało się, kłopot w jego życiu. Czekał na córkę, która mimo wszystko się nie wyprowadza...

Przyglądał się jej teraz stojącej jakby niepewnie przed nim. Obraz nędzy i rozpacz, pomyślał. Sukienka, granatowa w żółte kwiatki, brudna, wymięta i mokra. Włosy matowe, oblepione morską solą, skręcone od wilgoci. Na twarzy czerwone plamy od słońca. Ręce i stopy umorusane.

Lawrence kochał swoją córkę. Bardzo ją kochał. Zawsze. Lecz ostatnio, gdy patrzył na nią, przypominały mu się dawne czasy, rozpacz, o której chciał, szczególnie obecnie, zapomnieć.

Patrząc na córkę, pomyślał nagle o swoim synu. Nie, nie... Tylko nie to!

Joseph Arthur Smoke urodził się w styczniu tysiąc osiemset siedemdziesiątego drugiego roku, jedenaście miesięcy po ślubie

Lawrence'a z Josephine.

Cztery miesiące później już nie żył.

To był wypadek, najgorszy z możliwych.

Choć taki na pozór niewinny.

Z tych, jakie nigdy nie powinny się zdarzyć. I taki, za który Lawrence mógł winić wyłącznie siebie.

Bawił się z synkiem, podrzucał wysoko, dumny z tego, że chłopiec jest odważny, zachłystuje się śmiechem z radości i nawet sam jak gdyby usiłuje podskoczyć jeszcze, jeszcze wyżej.

To był niewinny wypadek.

Nie powinien był się wydarzyć.

Lawrence Smoke chybił.

Joseph Arthur złamał sobie kark spadając na kuchenną posadzkę. Przecież spadł z niewielkiej wysokości, a jednak złamał kark i zmarł w kilka godzin później. Dziecko nie wiedziało dlaczego. Nie wiedziało, co się stało. Nie wiedziało, że tatuś go nie złapał, że go zabił...

Lawrence własnoręcznie sporządził trumnę. Zaczął jeszcze tej samej nocy i skończył następnego dnia w południe, nie przerwawszy pracy ani na chwilę. Na górze Josephine w samotności czuwała przy zmarłym. Nie chciała towarzystwa innych kobiet. Całą noc i cały następny dzień siedziała w fotelu i słuchała dobiegających z dołu zgrzytów piły, hebla i uderzeń młotka, bardziej żałobnych niż bicie w dzwony. W ramionach trzymała ciało synka... Lawrence i Josephine opłakiwali swojego pierworodnego w samotności, każde osobno, oddzieleni od siebie nawet fizycznie.

Nigdy nie rozmawiali o tragedii.

On kiedyś próbował, gdy leżeli w łóżku, lecz Jo zakryła mu dłońią usta, drugą ręką pogładziła go po włosach i szepnęła:

- Nie, nie, Lawrence. Nie wracajmy do przeszłości. Nie teraz. Nigdy. Nie oglądajmy się za siebie. Kochaj mnie....

Przez długi czas nie mógł. Wydawało się, że już, już czuje wzbierające w nim pożądanie, lecz gdy zbliżał się do jej ciepłego,

wilgotnego ciała, cofał się dotknięty niemocą.

Leżeli w uścisku, milcząc, chowając się w sobie. Wyznała mu kiedyś, że w owych chwilach widzi ogród pełen kwiatów, lecz jej nie wierzył. Ogarniała go wściekłość na swoją impotencję. Wyobrażał sobie, że leżąca pod nim kobieta jest skrzynią pełną złota, że jej łono kryje w sobie tajemny skarb, a on posiada do niego klucz. Zaczynał ocierać się o nią, kołysać biodrami, coraz bardziej miarowo, próbował złapać rytm i znaleźć magiczne zaklęcie... i nie udawało mu się.

Josephine nigdy nie protestowała, nigdy go nie zniechęcała. Nigdy nie kazała mu przestać. Później, objęci, zasypiali.

Po pewnym czasie niemoc minęła i Josephine znowu zaszła w ciążę. Przyszła na świat Audrey, maleńka dziewczynka, złotowłosa i niebieskooka, do której Lawrence odnosił się z pełną czci łagodnością i którą głęboko kochał.

Była jego skarbem. Odnalezionym.

Lecz nie była Josephem Arthurem...

Lawrence pochował Josephine w tym samym grobie co synka. Na jego prośbę sosnową trumienkę - maleńką, choć wykonanie jej zajęło tak dużo czasu - wyjęto i ustawiono na wieku trumny żony, a na kamieniu wyryto oba imiona i nazwiska. Teraz leżysz, syneczku, na łonie matki, pomyślał, tak jak powinienes. A gdy przyjdzie czas na mnie, spocznę obok niej i zasypiając znowu poczuję jej czułą dłoń na plecach...

Audrey dowiedziała się o istnieniu brata na pogrzebie matki. Prosiła ojca, by jej wszystko opowiedział, lecz Lawrence potrząsał jedynie głową i zaprowadził dziewczynkę do domu. To wtedy ofiarował jej owalne lustro i oświadczył, że odtąd ona jest gospodynią.

Przez ostatnie pięć lat dorastająca Audrey coraz bardziej przypominała mu Josephine. Usiłował zapomnieć, a jednak gdy widział córkę opartą o zlew, światło gazowej lampy w jej włosach, ręce po łokcie zanurzone w wodzie, przypominała mu się Josephine.

Młodsza, bardziej złocista, bardziej wiotka, lecz jednak Josephine.

Ten widok zawsze go zaskakiwał i głęboko ranił.

A charakterystyczny gest, jakim przyglądała włosy... Dłonie przesuwające się do tyłu, wzruszająco poważny wyraz twarzy... A owo pytające spojrzenie spod długich brązowych rzęs, niewinne i zarazem zuchwałe. A uniesiony lekko podbródek, gdy nie zamierzała ustępować. A śmiech, tak samo rzadki jak u Josephine, tak samo dźwięczny... Nawet tembr głosu. Nawet stopy, wąskie, o niskim podbiciu, jak stopy baletnicy. Skóra ściągnięta z matki. A Jo mówiła, żeby nie oglądać się w przeszłość. Nigdy. Jak tego dokonać, gdy jej żywa kopia mieszka pod jednym dachem?

Nie umiał sobie z tym poradzić. Zachodził po pracy do tawerny Grimsby'ego, popijał. Nie za wiele, zawsze wiedział, kiedy przestać... Znalazł nową kobietę. Zupełnie inną od wrażliwej, spokojnej Josephine. Tryskającą życiem, ale z głową na karku i poczuciem humoru. Zmysłową, umiejącą wyeksponować swoje wdzięki. Umiejącą pomóc mężczyźnie w łóżku, gdy potrzebował podniety i poddawać się rozkoszy, gdy obywatel się bez sztuczek.

Znalazł dobrą kobietę i nie trzeba wypominać jej przeszłości. Dla niego jest dobra.

Pomyślał, że wszystko się jakoś ułoży. Audrey zaręczyła się z Thorne'em Cockburnem, chłopakiem grzecznym, pracowitym, ze smykałką do interesu. Lawrence zrobił im nawet w prezencie ślubnym dębową szafę. Stoi teraz w warsztacie okryta płachtą. Trzeba będzie ją sprzedać. Zajmuje zbyt dużo miejsca. Miał nadzieję, że przeprowadzi córkę środkiem kościoła do ołtarza, ucałuje...

Ze swojego fotela, oczami zamglonymi alkoholem, Lawrence patrzył wojowniczo na córkę. Żałował, że Thorne jej sobie nie wziął. Z całego serca żałował. No, nic. Znajdzie innego. Jest piękna, piękniejsza, niż jej się wydaje, łagodna i dobra. Podoba się, chociaż nawet o tym nie wie. Z tym, że znalezienie nowego narzeczonego trochę potrwa, a on chce, żeby wyprowadziła się już, zniknęła z jego

nowego życia...

Kochał swoją córkę... i nienawidził. Straszne, ale to niestety prawda.

- Dziękuję za kolację, Jo - rzekł. - Już jadłem. Dolly ugotowała. Chciałem ci tylko powiedzieć dobranoc. Znikam, nie będę ci przeszkadzać.

Jutro wieczorem, po całodziennej harówce, po kolacji zacnie robić ramę do lustra Dolly. Lustro już zamówił. To będzie prezent ślubny. Będzie wyglądała w nim jak prawdziwa królowa...

Wstał, wysoki, lekko przygarbiony. Gazeta spadła na podłogę. Stąpając ciężko wyszedł i zostawił osłupiałą córkę samą.

Upił się, pomyślała. Musi być pijany. Ma taki dziwny ogień w oczach i nazwał mnie imieniem mamy...

Fasada siedziby „Newport Daily Whirl” u zbiegu Thames Street i Howard nie zachęcała do odwiedzin. Budynek był wąski, jednopiętrowy zaledwie, oszalowany pomalowanymi na zielono deskami, z których płatami obłaziła farba. Okna były nie umyte, wewnątrz ciemne. Wydeptane schody po prawej stronie prowadziły do drzwi dla interesantów. Informowała o tym namalowana na ścianie strzałka i napis: Wejście. Audrey zatrzymała się przed brudną szybą. Chodnik aż wibrował od uderzeń prasy drukarskiej, rozchwiane schody drżały. Zdecydowanie nie tak wyobrażała sobie redakcję.

Niemniej poczuła się odrobinę lepiej, odrobinę bardziej na miejscu, odrobinę pewniejsza, iż sprostą wyzwaniu. Przecież, myślała stojąc przed wejściem, czego się spodziewałam? Drugiego pałacu? Gońców w liberii, lokajów dostarczających depesze na srebrnych tacach i reporterów w smokingach? Sama ubrała się dzisiaj w bawełnianą sukienkę w brązowo-kremowe pasy, a długie włosy zwinęła w surowy, ciasny węzeł na karku. Jeśli chodzi o pantofle, to mogła wybierać jedynie pomiędzy parą czarnych zimowych trzewików a brązowymi sandałami. Zdecydowała się na sandały, które trzykrotnie pucowała do połysku. Na sukienkę zarzuciła brązowy kardigan z ciemniejszą lamówką. Jeszcze w szkole wydziergała go na drutach, lecz nigdy nie nosiła. Uważała, iż ją postarza i że wygląda w nim jak stara panna. Niemniej na dziś był odpowiedni. Zamierzała zrobić zawodową karierę i bardziej dojrzały wygląd mógł jej w tym tylko pomóc.

Powtarzając sobie: „Czy mogę się widzieć z panem McGregorem? Jestem umówiona”, weszła na stopnie.

Zadźwiczwał trącony drzwiami dzwonek, lecz nikt nie zwrócił

uwagi na wchodzącą dziewczynę. W dużym pomieszczeniu, podzielonym na boksy niskimi tandetnymi przepierzeniami z pomalowanej brązową farbą dykty, znajdowały się tylko trzy osoby.

Trzech mężczyzn.

Jednym z nich był Bayard Lockholm. Siedział w głębi, odwrócony tyłem, zasłonięty sięgającą mu ramion ścianką. Zgarbiony w fotelu, słuchał uważnie swojego rozmówcy, starszego od niego o mniej więcej piętnaście lat, z porytą zmarszczkami twarzą i obwisłym, podwójnym podbródkiem. Audrey wyraźnie widziała tamtego, lecz twarz Bayarda Lockholma przypominała z tej perspektywy księżyc w nowiu: wąski profil, kontur nosa, policzka i brody oraz gładko zaczesane włosy opadające na biały kołnierzyk koszuli i surdut koloru kości słoniowej.

Trzeci mężczyzna znajdował się bliżej. Siedział w fotelu z odchylnym oparciem, a w wąskich dłoniach o długich palcach, niemal kobiecych, chociaż bez biżuterii, pokrytych ciemnymi wątrobianymi plamami, trzymał kubek kawy. Długie, chude nogi oparł o blat biurka. Ubrany był w szare spodnie w ciepłym, gołębiim odcieniu. Łysy, uszy ściśle przylegające do czaszki i wysokie, proste czoło. Był gładko ogolony i sprawiał wrażenie, jak gdyby nigdy się nie golił i nawet nigdy nie musiał się golić. Twarz miał szczupłą, prawie wymizerowaną, z szarymi jak popiół oczami i różowymi plamami na płaskich policzkach. Surdut zapięty na ostatni guzik. Na kamizelce błyszczała złota dewizka zegarka. Było w jego postaci coś kobiecego, a zarazem coś bardzo męskiego. Przerzucał stertę zdjęć spiętrzonych na kolanach.

- No? - odezwał już jakiś czas temu. - Masz jakąś sprawę?

- Czy Alabaster McGregor to pan? - Wszystko, co zamierzała powiedzieć, wyleciało jej z pamięci. Odwróciła głowę w kierunku, gdzie siedział Bayard Lockholm, lecz on nie zwracał na nic uwagi.

Szczupły mężczyzna wzdrygnął się.

- Tak, to ja jestem owym słynnym McGregorem. Czym mogę służyć? Jestem, jak widzisz, zajęty.

- Pan... pan Lockholm powiedział...

- Tak, tak. Wypluj to z siebie. Masz zamiar złożyć skargę? To trafiłaś pod zły adres, bo ja przyjmuję tylko pochwały i prezenty gwiazdkowe... Czego ty właściwie ode mnie chcesz, dzieciно?

- Pracy - odparła Audrey i opadła na stojące vis-a-vis biurka krzesło.

Alabaster McGregor prychnął, zdjął nogi z blatu i podniósł dźwignię oparcia fotela. Fotosy rozsypały się po podłodze. Audrey rzuciła się je zbierać. Mężczyzna nie powstrzymywał jej, usiłował ratować kawę.

- Pracy - powtórzył. - Po co? Skończyłaś studia dziennikarskie? To jedź do Providence albo do New Haven, gdzie robi się prawdziwe gazety. Jedź do Nowego Jorku. My nie zatrudniamy kobiet, chyba że do sprzątanania, w czym, jak widzę, jesteś wykwalifikowana. Ale tym zajmuje się pani Gottschalk i nie zamierza rezygnować z posady. Dziękuję ci więc za zebranie zdjęć... - Odebrawszy stos fotosów, wyrównał go i odłożył na bok, wierzchem do spodu. - Bardzo ci dziękuję i żegnam. Naprawdę mam moc roboty. Pilnej, jak widzisz - dodał i ruchem głowy wskazał drzwi.

Audrey usiadła z powrotem na krześle.

- Pan Lockholm obiecał mi pracę - oświadczyła. - Poczekam, aż będzie wolny. - Skrzyżowała dłonie na torebce i spojrzała McGregorowi prosto w twarz. - Poczekam tutaj.

McGregor wydał z siebie teatralne westchnienie. Oparłszy się łokciami o biurko, pochylił się w stronę natrętnego gościa.

- Co ci obiecał pan Lockholm? Co dokładnie?

- Posadę. Posadę... asystentki. Pańskiej asystentki chyba...- bąknęła. Nie uda mi się, pomyślała.

- Mojej asystentki! - Alabaster McGregor był wyraźnie ubawiony. - Jak miło z jego strony. Bóg jeden wie, jak mi była potrzebna od lat. Przewinęło się tu kilka pańienek, ale jakoś żadna długo nie zagrzała miejsca... Dlaczego sądzi pani, panno... panno...

Audrey przysunęła się z krzesłem o centymetr bliżej.

- Nazywam się Audrey Alice Smoke - przedstawiła się. - Mam dziewiętnaście lat. W październiku skończę dwadzieścia. Ukończyłam szkołę średnią w Newport. Najlepsze stopnie miałam zawsze z angielskiego. Całe życie mieszkałam w Newport, latem i zimą. Moją matką była Josephine Nally, córka rybaka, znanego ze swoich sieci na homary. Dziadek nauczył mnie wiele o wodach wokół Rhode Island. Wiem, gdzie są dobre łowiska blisko Newport i dlatego przyplływają tu wieloryby. Umieję żeglować i pływać. Należałam do szkolnej drużyny pływackiej, zajmowałam czwarte miejsce. Byłam pierwszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek przyjęli do tej drużyny, i przez cztery lata nauki w ogóle jedyną. To rzadko spotykana umiejętność u kobiet, chociaż, jak sądzę, bardzo pożyteczna. Mogę dostarczać panu informacji o prądach i kierunku wiatru i z góry uprzedzać czytelników, gdzie pojawią się ryby...

Alabaster McGregor uniósł palce wskazujące obu rąk, sztywne niczym maszty flagowe.

- Chwileczkę. Pierwszą umiejętnością, jaką musi posiadać osoba pracująca dla gazety, jest umiejętność uważnego słuchania. Zrozumiałaś?

Audrey kiwnęła głową, z trudem panując nad ponoszącą ją elokwencją.

- Rozumiem, proszę pana - szepnęła.

- Więc - ciągnął McGregor - odpowiedz sobie na jedno proste pytanie. - Odchylił się na oparcie krzesła, przybierając swobodniejszą pozę.

- Dlaczego nie ma pan teraz asystentki, tak?

- Tak - odparł Alabaster, łącząc czubki palców obu dłoni w daszek. - Dokładnie to miałem na myśli.

- Odpowiedź jest oczywista, sir. - Audrey wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy. - Bo pan sobie nikogo nie życzy.

- Świetnie, panno Smoke. Proszę mówić dalej - polecił, nie przestając bacznie obserwować dziewczyny znad stożka z dłoni.

- Znam wszystkich kupców w Newport i oni mnie znają. Znam

miasto, boczne zaułki równie dobrze jak główne ulice. Znam historię Newport i wiem, o czym ludzie plotkują. Wiem, kogo z bogaczy darzą szacunkiem, a kogo nie. Wiem, kto płaci rachunki w terminie, a kto się zanadto targuje. Jestem energiczna, umiem słuchać poleceń i uwag. Będę ciężko pracować za niewielką sumę i pragnę jedynie jak najwięcej się nauczyć. Zostanę do późna, jeśli pan każe, i pójdę wszędzie, gdzie mnie pan pośle. Bardzo potrzebuję tej pracy, proszę pana. Pan Lockholm obiecał mi posadę i nie przyjmę odpowiedzi odmownej...

- Zdumiewasz mnie, dziecko.

Sama była zdumiona swoim zachowaniem. To Bayard Lockholm, siedzący tam, w głębi, musiał dodać jej odwagi. To sprawił ten spokój emanujący z jego pleców, gdy słuchał nieznanego rozmówcy... którym z pewnością był pan Smythe z wydziału zabójstw policji w Providence i który posługując się zawilgocionymi terminami prawnymi oświadczał, iż John Bayard III Lockholm podejrzany jest o zabójstwo, o zamordowanie swojej żony, Virginii Stotesbury Lockholm, która spoczywa w zalakowanej trumnie z herbem Lockholmów na wieku.

Kościół Świętej Trójcy... Pusty... Tylko trumna ze zwłokami i młodzianka dziewczyna z kwaciarni. Audrey i Virginia nie mogą zobaczyć swoich twarzy... Czy gdyby go zapytała, Bayard Lockholm miałby coś na swoje usprawiedliwienie?

- Tak, proszę pana - powiedziała na głos.

- No tak... - Dłonie złączone, palce zgięte, kostki stukają o kostki. - Lojalnie uprzedzam, panno Smoke. Nie jestem łatwym szefem. Jestem perfekcjonistą i tytanem pracy. Wymagam dużo od siebie i od innych. Gdyby miała pani ze mną współpracować, byłaby pani zajęta praktycznie od świtu do nocy. Nie jestem miły ani wyrozumiały i nie toleruję niekompetencji. Nie płacimy wiele na początku i, mówiąc szczerze, potem też nie. Zaciśnij zęby, zanim będziesz się mogła spodziewać godziwej rekompensaty za swój trud i czas, ale sądzę, że nie utrzymasz się w „Daily Whirl” długo... No. To

by było wszystko. Kiedy chciałaby pani zacząć, panno Smoke?

- Naa... Natychmiast.

- Znakomicie. Biorę kapelusz i idziemy na lunch. Audrey dostrzegła zegar wiszący na zachodniej ścianie.

Wskazywał dwadzieścia po dziesiątej.

- Tak, sir.

- Bardzo dobrze. O nic nie pytaj. Rób, co ci każą, albo przepadniesz. Oto lekcja pierwsza. - Alabaster McGregor robił wrażenie zadowolonego z siebie, zadowolonego z niej, ze swojej nowej maskotki.

- I proszę nazywać mnie Audrey, panie McGregor. Nie jestem przyzwyczajona, by ludzie zwracali się do mnie inaczej.

- Cóż - odparł Alabaster - bez względu na to, czy nazwę cię boginią czy idiotką, ty pamiętaj, że masz zwracać się do mnie zawsze „panie McGregor”. Lubię brzmienie mojego nazwiska, dzięki Bogu. - Wstał, ruszył w stronę wieszaka na kapelusze i już gotowy do wyjścia, dodał: - Aha. Masz notatnik i ostro zatemperowany ołówek? Przydałoby się nawet kilka ołówków.

- Nie, proszę pana.

- Masz jakieś lepsze ubranie od tego łacha na sobie?

- Nie, proszę pana.

- Kto cię czesze?

- Ja sama.

- Cóż, wydatki rosną. - Sięgnął do wewnętrznej kieszeni surduta i wyciągnął wiśniowy portfel z miękkiej, jagnięcej skórki. Przerzucił pieniądze, znalazł właściwy banknot, wyciągnął go z pliku, złożył i podał dziewczynie ze słowami: - Znasz jakąś krawcową? Jeśli nie, to znajdź. Nie z tych najlepszych, na to cię nie stać. Ale przyzwoitą. Zamów dwie suknie, trzy, jeśli starczy pieniędzy. I jutro rano, o siódmej, kiedy przestąpisz ten próg, bądź bardziej odpowiednio ubrana do swojej funkcji asystentki Alabastra McGregora, dyrektora gazety i niezrównanego redaktora rubryki towarzyskiej. Idź już, a za godzinę przyjdź do Casina. Zabierzemy się do pracy. I pamiętaj,

moja zarozumiała prymusko z angielskiego, dziennikarz pracuje ustawicznie, bez względu na to, co robi i z kim rozmawia. Dobry dziennikarz nawet przy porannych ablucjach trzyma rękę na pulsie wydarzeń. A my chcemy być dobrzy, prawda?

Audrey nie wiedziała, jak odmówić przyjęcia zapomogi i nie miała odwagi spojrzeć na pieniądze. Bayard Lockholm właśnie nadchodził, a mężczyzna, którego brała za pana Smythe'a, wysoki, masywny, szedł za nim krok w krok. Wsunęła banknot do torebki. W sprawie krawcowej poradzi się Rosemary Maddley. Pani Maddley będzie wiedziała.

Bayard już był przy nich. Uśmiechał się do Audrey, lecz jego oczy były ciemne, czaił się w nich cień zmartwień, może smutku, może bezsenności.

- Dzień dobry - powitał swoją protegowaną. - Jednak pani przyszła. Cieszę się. Czy Ally dobrze panią potraktował?

- Jakże bym śmiał inaczej? - zażartował Alabaster McGregor. - W szkole była prymuską z angielskiego i wie, gdzie się znajdują wszystkie ławice małych rybek.

- Mówiłem ci, jaki to dla nas cenny nabytek. Witamy, panno Smoke, w naszym zespole. Mam nadzieję, że będzie tu pani szczęśliwa.

- Och, tak - bąknęła z trudem. - Bardzo mi się tu podoba. Dzięki, panie Lockholm. Będę ciężko pracować, żeby udowodnić, że się nadaję...

W dzień wyglądał jakoś starzej. Obco. Nie było między nimi żadnej niewidzialnej struny. Tylko jego uprzejmość i współczucie dla jej niedoli. Pewnie później będzie się śmiał z ich spotkania i tłumaczył przed siostrą: Co o tym sądzisz, Celeste? Obiecałem byłej narzeczonej Thorne'a posadę w gazecie. Była w skrajnej rozpacz. Wypłakiwała się tam przede mną...

Jego siostra zareaguje także uprzejmie, lecz bez większego zainteresowania. Co ty powiesz, Bay? - rzuci unosząc głowę znad ilustrowanego magazynu. - Jak to miło z twojej strony. Spójrz tutaj,

podoba ci się ta zielona jedwabna suknia? Poradź mi, czy Wenecja nadaje się na miesiąc miodowy?

Dobry pomysł, odpowie Bay, niedbale trzymając ręce w kieszeniach spodni. W Paryżu byłem już tyle razy, że trochę mnie nudzi... I zaraz zapomni, o czym rozmawiali, lecz później, wracając myślą do tych słów, przypomni sobie swój miesiąc miodowy z Virginią, usiądzie w nocy na ogrodowej kanapce na tarasie, wsłucha się w uderzające o brzeg fale oceanu i zacznie wspominać Wenecję, Neapol czy wyspę Bali i ich dwoje...

Wyszli.

Nie było już ani Bayarda, ani natręta depczącego mu po piętach. Alabaster McGregor zaś telefonował do Casina. Zamawiał lunch na dwie osoby: ślimaki z czosnkiem i eskalopki...

Audrey przyglądała mu się zafascynowana.

W kwaciarni pani Maddley też był telefon, lecz rzadko dzwonił, a Audrey, której nie wolno było go dotykać, nigdy nie widziała, jak się zamawia rozmowę. Aparat pana McGregora był wysoki, czarny i masywny. Ciężkie, tępe narzędzie zbrodni. Tak, pomyślała o zbrodni. Lecz bardziej jeszcze skupiła się na złowieszczej magicznej mocy tego przedmiotu, za pomocą którego można było dotrzeć wszędzie. Ściany, straż, groźby nie stanowiły dla niego zapory. Odcieleśniony głos wdzierał się do dowolnego domu, pokonywał zaryglowane drzwi niczym przybysz z zaświatów, szeptał do kogoś w jego sypialni i zakłócał spokojny sen...

Podczas lunchu w Casino rozmawiano wyłącznie o Bayu Lockholmie. Wznowienie śledztwa w sprawie śmierci jego żony, przyjazd Jeremy'ego Smythe'a, detektywa z Providence oraz powrót Fanni St. Flour, pokojówki Virginii, i opowiadane przez nią historie wywołały taki skandal i taką sensację, że całe Newport trzęsło się z podniecenia i snuło najrozmaitsze domysły.

Przy dwuosobowym stoliku przy pierwszym oknie siedziała Nicola Peerce, wspinała w czarnej amazonce z rozwianymi od galopu włosami, w towarzystwie Rolfa ubranego w elegancki letni garnitur

z tweedu.

- Przeprowadzą ekshumację- rzuciła kosztując surowego mięczaka. - Wykopywać ciało! Czy to nie wstrętne?

- Chyba tak - przyznał Rolf krzywiąc się na samą myśl. - Niemniej twierdzą, że to konieczne, aby ustalić...

- Nie, głuptasie - wpadła mu w słowo Nicola. - Nie mówię o ciele! Mówię o tym, co robią z Bayem.

- Przepraszam, Nick. Masz rację, to istne barbarzyństwo. - Rolf wypił łyk przedobiedniego koktajlu z surowego żółtka ubitego na brązowy krem z drożdżami, miodem i sokiem pomarańczowym. - Biedny Bayard. Ukrzyżują go. Nawet jeśli niczego mu nie udowodnią, będzie zniszczony. Podejrzenia, jeśli się nad tym zastanowić, to ciekawe zjawisko. Jak już raz do kogoś przyłgną, nie zmyje ich z siebie, żeby nie wiem jak mocno tarł.

- Spójrz. - Nicola zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu. - Właśnie wchodzi ta Tory VanVoorst z Zackiem Pinkiem. To ona przyjęła pokojówkę Virginii na lato. Założę się, że wie wszystko o prywatnym życiu Baya i Virginii. Możliwe, że postawiła taki warunek dając dziewczynie pracę. Albo mi powiesz, albo fora ze dwora. Niestety, nie możemy jej o to zapytać. Niech przejdzie. Nie kłaniaj się... Witaj, Zack. Mama jej jeszcze u siebie nie przyjęła, a teraz pewnie już nigdy tego nie zrobi, mimo wczorajszego wstawiennictwa Zacka. Mama nie cierpi nuworyszów, szczególnie tych, co zadzierają nosa i próbują zbyt szybko wspiąć się na sam szczyt. Ale mężczyźni szaleją za nią, tak twierdzi mama, bo zanim wyszła za Burtona VanVoorsta, nikomu nie odmawiała. Edmunda mówi, że pani VanVoorst występowała jako striptizerka na czysto męskich przyjęciach i że pozwalała mężczyznom wsuwać banknoty pod swój kostium, który składał się z trzech skąpych trójkątów.

- Nie wierzę - odparł Rolf, nie bardzo przejmując się tymi rewelacjami.

- Cóż, trzeba przyznać, że cudownie wygląda, prawda?

- Tak. Ale z tobą nawet nie może się równać - rzekł Rolf atakując

ostrygi i szykując się już na sałatkę z krabów i ciasto z marchwi na deser. - Pamiętaj, Nick, kiedy się pobierzemy, musimy uważać na służbę. Kłócić się będziemy tylko w sypialni na piętrze, bez świadków. Służba to straszni plotkarze.

- Zgoda - rzekła Nicola odrzucając bujne włosy do tyłu. - Ale kłócić się będziemy tylko dla zabawy, a nie w poważnych sprawach. Potem będziemy się kochać na zgodę, za każdym razem wybierając nowe miejsce. Raz na sianie, kiedy indziej w sali balowej. A ja nie będę ani sztywna, ani po wiktoriańsku pruderyjna, prawda? Będę odczuwała taka samą przyjemność jak ty. Nauczysz mnie.

Rolf uśmiechnął się szeroko i ujął dłoń narzeczonej.

- Masz moje słowo... - zapewnił ją. - Wiesz, Nick, dziękuję losowi za to, że nas ze sobą zetknął. Lockholmowie nie są dobrą rodziną, żeby się w nią wżenić. Nie, nie mówię tak z powodu tych ostatnich wydarzeń z Bayardem... Już przedtem doszedłem do takiego wniosku. Dlatego nie oświadczyłem się Celeste, chociaż powinienem. Bo widzisz, przy niej zawsze czułem się jakoś nieswojo, nigdy tak swobodnie jak z tobą. Zawsze coś ciemnego czaiło się za naszymi plecami... A ten facet, za którego wychodzi - Rolf zniżył głos, aby siedzący przy sąsiednich stolikach nie słyszeli - nie jest odpowiednią partią, chociaż oczywiście w końcu może okazać się przyzwoity. Cała rodzina jest... nie wiem, jak to wyrazić... jakaś pechowa... Och, idą nasze dania.

- To z powodu klątwy. - Nicola uważnie przyjrzała się porcji łososia w śmietanie, garniowanego zielonym groszkiem. - Celeste nigdy ci o tym nie wspominała? Phineas Brown ich przeklął.

Rolf wbił zęby w ociekającą masłem ciepłą bułeczkę.

- Opowiedz mi, Nick. Uwielbiam twój głos.

Nicola nie dała się dwa razy namawiać. Ich stopy splotły się pod stołem.

Alabaster McGregor traktował swój specjalny stolik w Newport Casino jako przedłużenie biurka i spędzał tu długie godziny, gawędząc o tym i owym z ludźmi, którzy aktualnie stanowili

przedmiot jego zainteresowania. Ten starannie obrany punkt obserwacyjny znajdował się blisko okna, tuż za grupą najlepszych stolików w środku sali. Oddzielony od reszty sali niskim murkiem z zielonej mozaiki, na którym codziennie ustawiano dekorację ze świeżych kwiatów, redaktor rubryki towarzyskiej mógł do woli obserwować gości, samemu nie będąc widzianym. A z wykuszowego okna roztaczał się ponadto szeroki widok na port oraz całą Thames Street. Idealne miejsce.

Uwolniony od towarzystwa nowej podopiecznej Bayarda Lockholma, Alabaster rozejrzał się po Thames Street. Nic nie umknęło jego uwagi. Zauważył Percivala Peerce'a udającego się do doktora Lake'a. Siedział wciśnięty w kąt powozu, na którego koźle siedział lokaj, Newers. Alabaster pozdrowił przejeżdżającego, który odpowiedział ukłonem, lecz się nie zatrzymał. Biedak, pomyślał Alabaster, jest bardzo ciężko chory. Ale dlaczego nie ma z nim Dove? Dove dba przecież o niego. Co, lub kto, okazał się dziś ważniejszy? Graf Elliott? A może nowa suknia na ślub Celeste Lockholm? Prawdopodobnie żaden z tych powodów.

A jednak Graf Elliott ma z kimś romans. Alabaster McGregor mógłby się o to założyć. Wczorajsze kazanie o małżeńskiej wierności go zdradziło. Po dwóch latach słuchania nauk pastora i obserwowania go w życiu zarówno publicznym, jak i prywatnym Alabaster wiedział, że Graf Elliott zawsze rozprawia na temat własnych grzechów.

Fascynowało to redaktora i stanowiło bogate źródło informacji. Gdy Graf Elliott przybył do Newport, przez sześć tygodni mówił o chciwości, chciwości i tylko i wyłącznie o chciwości. Właśnie wówczas Alabaster zwrócił na wielebnego Elliotta baczną uwagę i przypomniał sobie, że duchowny nie chciał objąć parafii, dopóki pensja i inne dochody nie będą, jak się wyraził, „współmierne z dochodami parafian”. W domu, w teczce opatrzonej nazwiskiem G. Elliott, Alabaster przechowywał kopię korespondencji w tej sprawie. Pisząc „parafianie” Graf Elliott nie miał oczywiście na myśli szarych

mieszkańców Newport...

Po chciwości przyszła kolej na obżarstwo. I właśnie wówczas, przez całe lato, Graf Elliott był na diecie. Kolejnym tematem była dobroczynność. Już wkrótce nasz duszpasterz osiągnie stan doskonałości, pomyślał Alabaster, i nie będzie miał nic do powiedzenia...

Więc gdy wczoraj Graf grzmiał jak piorun o pokusach alkowy, Alabaster ze swojego miejsca w wysuniętej do przodu ławce (aby was lepiej widzieć, kochani!) ogarnął wzrokiem twarze obecnych na nabożeństwie piękności. A nuż wyśledzi rumieniec, chichot, skrywany półśmiech. I kogo przyłapał?

Oto Dove, owa *nec plus ultra* pierwsza dama Newport, przykłada dłoń do oka... Ociera łzę? Rozgląda się dookoła niczym sam Alabaster, jak gdyby wyczuwała jego nieczyste intencje i także szukała bohaterki skandalu... Winowajcy szukają siebie nawzajem wśród niewinnych! Och, sprytna bestia, ta Dove Peerce. Alabaster podziwiał ją bezgranicznie. Gdyby była mężczyzną, niejednego mogłaby dokonać! Na szczęście dla niego była kobietą i wskutek tego miała ograniczone ambicje. Lecz może, tylko „może”, chciała i posmakować grzechu i pozostać nieskalana, a on odkrył jej tajemnicę?

Alabaster żywił taką ukrytą nadzieję. W swoim tajnym archiwum nie miał dotychczas żadnego haczyka na Dove, a tak pragnął, tak pragnął mieć coś na każdego z nich, poznać ich sekrety. Nie musiał ich wykorzystywać, ale chciał trzymać całe to towarzystwo w szachu.

Niestety, sama chęć nie wystarczy.

Rozpoznał zaprzęg z czarnych morganów, wysoko zadzierających łby, lśniących, wytwornie stawiających kopyta. Dove jechała środkiem Thames Street, zbliżała się do miejsca, gdzie siedział. Cały świat mógł ją podziwiać.

Szczury.

Pomylił się więc. Pewnie nie zdążyła z toaletą, a teraz usiłuje

dogonić Percy'ego. Cóż, trudno. I tak Graf Elliott nie jest mężczyzną, jakiego Alabaster wybrałby dla Dove. Ona zasługuje na kochanka lepszego niż pełen hipokryzji klecha.

Oto mija go idealna żona spiesząca za mężem. A on, Alabaster McGregor, mylił się. Szczury, szczury! W duchu zaczął ją przeproszać za swoje insynuacje. Gdyby zdolny był pokochać kobietę, ją obdarzyłby swoją miłością. Jest wspaniała. Pod każdym względem mu dorównuje...

Z wyjątkiem intryg.

Ukłonił się.

Dove ubrana była w białoszarą toaletę: krepdeszyn ze strusimi piórami. Zjawisko. Posłała mu pocałunek i odjechała z dłonią przy lewym oku. Palcem przytrzymała kącik powieki, jakby usiłowała opanować denerwujący tik.

W ciągu ofiarowanej jej godziny Audrey nie odwiedziła Rosemary Maddley. Poszła natomiast na Spring Street do domu towarowego Darlinga. Po drodze zerknęła do torebki. Pięćdziesiąt dolarów! Majątek!

Kupi za to kilkanaście metrów mocnej bawełny w różnych kolorach i wykroj na suknię odpowiednią dla pracującej dziewczyny. Będzie szyła dziś całą noc i jutro po powrocie też, a potem jeszcze w weekend i na przyszły poniedziałek wyszykuje sobie trzy sukienki, trzy przyzwoite sukienki, które nawet po wielu dniach intensywnej pracy nie stracą linii. Nie spodziewała się po sobie takiego praktycznego zmysłu. Alabaster McGregor będzie zadowolony. A Bayard Lockholm? Doceni w niej tę nową godność, nową dorosłość?

Biegnać, przytuliła dłonie do piersi. Dostałam pracę! Dostałam, dostałam, dostałam! - powtarzała w rytm swoich kroków. Poszuka jakiegoś pokoju u którejś z dawnych znajomych matki. Mildred Falk, akuszerka, mieszka sama. Może przyda jej się trochę dodatkowego grosza i towarzystwo? A ona zyska niezależność. Będzie ciężko pracować, aby jak najwięcej się nauczyć. Będzie grzeczna dla pana McGregora, nawet gdyby okazał się fałszywy albo złośliwy. I uczyni

wszystko, aby pomóc panu Lockholmowi... Tak, od dzisiaj w jej myślach Bayard był „panem Lockholmem” i tak będzie o wiele rozsądniej.

Musiała zatrzymać się na moment, aby przepuścić niezwykle powóz bez konia. Powóz był czarny, lśniący, odkryty, a para siedząca w nim nie zwracała uwagi na tumany kurzu, jakie wzbijały się spod kół. Kobieta miała na głowie kapelusz z olbrzymim rondem, przewiązany pod brodą długim szyfonowym szalem, którego końce powiewały za nią niczym jedwabne skrzydła. Mężczyzna ubrany był w brązowy sportowy garnitur z wysokim kołnierzem, gogle i rękawice. Zgarbiony nad czarną obręczą, która najwyraźniej służyła do kierowania maszyną, zaśmiewał się usiłując prześcignąć wielebnego Elliotta, proboszcza kościoła Św. Trójcy, mknącego po Spring Street. Biskup Elliott mocno ścigał wodze swojej gniadej klaczy, która zeszłego roku wygrała wyścig z ogierem ze stajni pana Peerce'a. Klacz mknęła pełnym galopem, rozciągnięta w prawie równą linię. Niebezpieczna zabawa w mieście, i to na dodatek niemal w samo południe. Niepodobna też do wielebnego Elliotta, którego Audrey znała jako dystyngowanego dżentelmena. Musi pędzić w jakiejś pilnej misji miłosierdzia, pomyślała, wezwany do łoża umierającego, aby dokonać; ostatniego namaszczenia olejami świętymi...

Wyścig jednak trwał i Audrey oraz inni przechodnie cofali się bojaźliwie. Kilka przejeżdżających po Spring Street powozów zatrzymało się czekając, aż rozpędzony koń i automobil oddalą się. Ktoś krzyknął: „Bierz ją, Rails!”, a jakaś dama pomachała delikatną dłonią w białej rękawiczce, lecz klacz duchownego najwyraźniej zwyciężała, wysforowując się o trzy długości przed maszyną i z każdym susem oddalając się coraz bardziej...

A więc tak wygląda codzienne życie, gdy się jest bogatym, pomyślała Audrey poirytowana zwłoką, niemniej mimo woli podekscytowana tym niespodziewanym widowiskiem. Jeśli nie chcesz, nie stosujesz się do żadnych reguł. Trudno żyć dobrze,

skoro nie ma przymusu, pomyślała. Jak się oprzeć pokusie...

Stał tuż obok niej, ujął ją pod ramię, odwracał ku sobie. Bayard Lockholm.

- Och! - wykrzyknęła zawstydzona i nagle bezgranicznie szczęśliwa.

Uśmiechał się tym swoim tajemniczym półuśmiechem. Włosy miał rozwiane wiatrem, ramiona jasnobeżowego surduta przykurzone... Więc i on znajdował się w pierwszym rzędzie widzów. Spojrzała na niego. W jego oczach nie było ani śladu radości. Patrzyły zimno, spokojnie. Były stalowo-szare jak ocean przed burzą.

- Przestraszyłem cię? - spytał, wciąż trzymając ją za ramię. - Tak? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

- Nie... - wybąkała Audrey, nie mogąc od niego oderwać oczu. Lecz przecież to prawda, przestraszył ją nie na żarty. Co za podniecające uczucie... Ciepło jego ciała! Znowu! Chciała się kąpać w tym ciepłe jak w pierwszych promieniach słońca po długiej zimie. Przyciągało ją to ciepło jak magnes... Była taka zziębnięta. Krew przestała płynąć w jej żyłach i gdyby tylko ten mężczyzna, ten postawny, wytworny mężczyzna położył dłonie na jej ramionach, gdyby gładził jej plecy długimi, silnymi ruchami, zdołałby rozpuścić bryłę lodu w jej sercu... - Cieszę się, że pana widzę - dodała w końcu. - Dziękuję za to, co pan dla mnie zrobił.

- Przecież jeszcze niczego nie zrobiłem - odparł i postąpił krok bliżej.

Dzieliła ich od siebie tylko mała przestrzeń. Gdyby mogła przysunąć się o milimetr, oparłaby się o niego, a jej głowa spoczęłaby o tu, poniżej węzła krawata. Jego ramiona oplótłoby jej kibić... Mocne, mocne ramiona przyciągnęłyby ją do jego ust...

W jednym mgnieniu lodowate spojrzenie jego oczu, spojrzenie, które ją tak mroziło, zniknęło. Twarz ożywiła się, poweselała, wargi rozchyliły się. Teraz, pomyślała...

Jakiś powóz podjechał do krawężnika. Stanął. Siedział w nim

nieznajomy, którego brała za pana Smythe'a. Przyjechał po Baya. Nie chciała, by go zabierał.

- Żałuję, że nie spotkaliśmy się w innych okolicznościach - rzekł Bay. Puścił jej ramię, cofnął się i skłonił. Promień światła zniknął z jego szarych oczu. - Mam nadzieję, że ci się powiedzie. Wiele się od Ally'ego nauczysz.

- Chciałabym się uczyć od pana - odpowiedziała. Drzwiczki powozu otworzyły się. Nieznajomy spytał:

- Jest pan gotów, panie Lockholm?

- Tak - odparł Bayard i zwinnie wskoczył do środka. -

Przepraszam, że nie mogę pani nigdzie podwieźć, panno Smoke - powiedział. - Mamy służbową sprawę do załatwienia. Może innym razem - dokończył.

Audrey przyglądała mu się w milczeniu. Dłoń, którą chciała pomachać, spoczęła na jej ustach. Dziewczyna stanęła w miejscu, gdzie stał on. Chciała jeszcze przez chwilę go czuć.

Koń ruszył ostrym truchtem, unosząc go w dal.

U Darlinga Audrey skierowała się prosto do stoiska z żurnalami i wykrojami. Jakieś dwie kobiety stały przed wielką księgą otwartą na stronie ze wspaniałymi sukniami.

Audrey rozpoznała natychmiast owe damy i stanęła jak wryta, były to bowiem pani Lockholm z córką, Celeste, przyszłą panną młodą. Z bliska Edmunda Lockholm wyglądała niczym monarchini. Cała w czerni ozdobionej kilometrami pereł: perły w uszach, pięć sznurów wokół szyi, kolejnych dwadzieścia na piersi, każdy sznur o jedną perłę dłuższy od poprzedniego. Z bliska nie wyglądała na przygarbioną czy smutną, jak wczoraj widziana z oddali. Była harda, dumna, o twardym spojrzeniu i Audrey cofnęła się z mimowolnym, stłumionym okrzykiem. Zawróciła ku ladzie po prawej stronie, na której leżały bele letnich muślinów w kwiatki, i ukryła się za nimi.

Lecz jeśli sądziła, że została zauważona, myliła się. Celeste, wyższa od Audrey, szczuplejsza, krucha, z włosami zaczesanymi do góry i schowanymi pod fioletowym ażurowym kapeluszem z

piórami, w długiej, zwiewnej sukni z lawendowej koronki, w lawendowych jedwabnych pantofelkach na niziutkim obcasiku z paseczkiem przez stopę, widziała przed sobą jedynie wzory sukien, jej matka zaś skupiła całą uwagę na oprawionym w złoto notesie, w którym złotym wiecznym piórem coś zapisywała.

- Co nagle to po diable, wiesz o tym, kochanie. Nie będę ci tego od nowa tłumaczyć. Mogłaś pójść do Wortha i zamówić całą Wyprawę u nich. A teraz jesteś związana z Priscillą, a ona jest nieobliczalna. Jeśli ta wstręciucha jeszcze raz zaproponuje kolor *ecru*, własnoręcznie ją zamorduję. Siekierą.

- Mamo - znudzonym głosem odparła córka. - Suknia jest w kolorze cielistym z aplikacją z najbielszych pereł i jest śliczna. A teraz przestań narzekać i wybierz któryś z tych modeli dla służby. Proszę.

- Ten fason, sędzę, będzie odpowiedni. Spódnica w kształcie tulipana pasuje do każdej figury, a rękawy w formie płatków nie krępują ruchów. Tak, ten, Celeste. A teraz, ile metrów potrzebujemy?

- Dwadzieścia dziewcząt o różnych figurach to kłopot Priscilli, nie nasz. Zostawmy to jej i chodźmy na lunch. Thorne czeka z relacją, jak mu poszło w banku. Mam nadzieję że wszystko załatwił, a ty, mamo, też powinnaś trzymać za niego kciuki. Od tego zależy moje szczęście,

- Moje wsparcie nie jest mu potrzebne. Ten młody człowiek dopnie swego, czy będę go popierać czy nie. Ma to wypisane na twarzy. Ciebie nie musiał długo zdobywać. - Pani Lockholm pisała coś w notesie: numer fasonu, rozmiary, ceny. - Jakie postępy - spytała zatrzasując notatnik - robi w gramatyce?

Odeszły w lewo, zostawiając katalog wzorów otwarty. Celeste ujęła matkę pod rękę i powiedziała coś, czego Audrey nie dosłyszała, co jednak wywołało głośny wybuch śmiechu pani Lockholm. A potem, już odrobinę głośniejszym głosem, Celeste dodała:

- Cieszę się, że wybrałaś „tulipana”, mamo. To był prawie

najładniejszy fason...

Zniknęły.

Audrey wyśliznęła się ze swojej kryjówki i podeszła do żurnala. Suknie balowe! Krótsze, to prawda, nad kostkę, zgodnie z nową, tak zwaną „popołudniową” modą, lecz wciąż były to suknie jak na pierwszy bal, a nie stroje dla służby. Dwadzieścia dziewcząt w takich kreacjach? Na jeden wspaniały dzień? To będzie kosztowało setki, może nawet tysiące dolarów...

To coś, czego nie rozumiem, pomyślała Audrey, ale zresztą to nie moja sprawa. Przyszłam tutaj wyszukać ubrania dla dziewcząt zatrudnionych w biurze. Lecz teraz nagle trudno jej było zdecydować się na jakiś fason i straciła zbyt dużo czasu przeglądając patrony. Nie chciała, aby pan McGregor na nią czekał. Musi coś wybrać, a potem jeszcze znaleźć odpowiedni, materiał... Trzeba się spieszyć i, jak pani Lockholm, zdecydować na coś jednego. I też, podobnie jak pani Lockholm, wybierze „prawie” najładniejszy fason...

Wybrała. Idealna sukienka do biura, stwierdziła. Na pewno. Sukienka miała wysoką stójkę przy szyi, była dopasowana w talii, a u dołu spódnicy biegł szeroki zakład ozdobiony u góry i u dołu aksamitką. Na staniczku widoczne były liczne skomplikowane pliski i zakładki oraz aksamitna wypustka, taka sama, jak przy mankietach. Nie będzie łatwo ją uszyć, lecz sukienka, choć skromna, odpowiadała modzie i wyglądała o wiele bardziej elegancko niż cała dotychczasowa garderoba Audrey. Oto strój odpowiedni dla kobiety nowoczesnej, samodzielnie zarabiającej na swoje utrzymanie, stwierdziła Audrey. Autor projektu sugerował wykonanie modelu z cienkiej popeliny. Audrey kupiła materiał w trzech kolorach, brązowym i czarnym oraz jasnoniebieskim, a aksamitkę tylko czarną do wszystkich sukienek. Wydała całą sumę pożyczoną jej przez pana McGregora, lecz postanowiła, że musi w siebie zainwestować. Na przyszłość.

A potem prawie całą drogę do Casina biegła objuczona ciężką

paczką, której sznurki wrzynały jej się w palce.

Zatrzymała się przed oszklonymi, błyszczącymi od mosiężnych ozdób drzwiami restauracji. Wewnątrz dostrzegła bukiety świeżych kwiatowa stoliki nakryte wykrochmalonymi, zielonymi obrusami w charakterystycznym odcieniu zielonych limonek, na których widać każdą plamę. Dalej stały wypolerowane do połysku ruszty, a na nich, nad niebieskimi płomieniami piekły się frykasy, jakich Audrey nigdy nie próbowała, jakich nawet nie umiałaby nazwać. Po sali uwijali się kelnerzy w białych żakietach. Oni potrafią odróżnić ekspientkę od damy, pomyślała, i potraktują mnie odpowiednio. Rozejrzała się. Po Bellevue Avenue i Ocean Drive, nigdzie się nie spiesząc, przechadzało się wytworne, bogate towarzystwo. Nie było w tym widoku niczego dziwnego... Potem spojrzała na swoje odbicie w szybie: zwykła dziewczyna, bez grosza przy duszy, bez rękawiczek, dźwigająca wielką, zawiniętą w brązowy papier paczkę przewiazaną sznurkiem. Stoi zgrzana po biegu jak dwunastoletnia dziewczynka, włosy rozwiane, szpilki sypią się z koka. Stoi, poci się pod pachami, ma zamiar wejść w krąg lepszych od niej... Tam, gdzie nie ma prawa przebywać.

Weszła, spuściła głowę. Nie śmiała spojrzeć całemu Gilt Hill w twarz.

Powietrze było aż gęste od smakowitych zapachów, sala mieniła się kolorami. Przed sobą Audrey widziała mozaikę twarzy, wśród których usiłowała rozpoznać swojego szefa. Ucieszona dostrzegła go na kanapce przed szerokim oknem, lecz niestety *maitre d'hotel* zdążył się już nią zainteresować.

Ubrany był w smoking. Miał kręcone, złociste włosy. Był po pięćdziesiątce. Trzymał się prosto, jakby nosił gorset.

- Zmykaj, mała - powiedział. Kąciki ust miał skierowane w dół, brodę zadartą. - Służba wchodzi od tyłu albo czeka na zewnątrz. No, już.

- Pan McGregor mnie oczekuje. Jestem umówiona. - Audrey wyrecytowała swoją powtarzaną cały ranek kwestię. Omal nie

podskoczyła z radości, gratulując sobie w duchu odwagi, gdyż słysząc te słowa *maitre* natychmiast skłonił się przed nią, uśmiechnął, wyciągnął ramiona jedną ręką dotykając jej pleców, drugą wskazując drogę, i przeprowadził przez całą salę.

Audrey drżała, gdy, przyciskając do piersi swoją paczkę, lawirowała między stolikami uważając, aby nie potrącić nikogo z gości. Kolana się pod nią uginały. Twarze przesuwały się przed nią jakby zamazane, zlewając się w jedno. Nareszcie dotarli do celu, do miejsca zarezerwowanego tylko dla niej.

- Ach, jesteś, Kopciuszku - powitał ją Alabaster McGregor żując grzanekę. - Siadaj, moja droga. Wyglądasz, jakbyś ledwo stała.

- Tak, sir - szepnęła Audrey i usiadła.

- Orestes - Alabaster zwrócił się teraz do złotowłosego. - Oto moja nowa asystentka, panna Audrey Smoke. Audrey - powiedział do dziewczyny - to Orestes. Orestes jest w Newport specjalną instytucją, zna wszystkich, wie wszystko, co warto wiedzieć i poza tym jest równym facetem. Prawda, Orestesie?

Maitre skłonił się przed Audrey.

- Racja, panno Smoke. Jestem równym facetem i bardzo się cieszę, że panią poznałem. Witamy w Casino. Aha - dodał na widok kelnera. - Wino, panie McGregor.

Audrey skinęła mu głową. Bała się oddychać. Obserwowała tylko, jak *maitre* przejmuje od kelnera owiniętą w serwetkę butelkę wina, pokazuje gościowi, otwiera ją, czeka na akceptujący gest, potem napełnia kieliszki. Jej także. Widziała, jak przed nią pojawia się talerz pełen dziwnych, błyszczących muszli. Specjalny talerz z kuliście ułożonymi zagłębieniami na skorupiaki.

- Aha - mruknął Alabaster McGregor - ślimaki z endywią, mój ulubiony lunch. - Delikatnie przytknął serwetkę do ust, bacznie przyglądając się speszzonej dziewczynie. - Audrey...

Słyszając swoje imię, Audrey podniosła oczy, lecz bała się odezwać.

- Wszystko będzie dobrze, moja droga. Właśnie doszedłem do

wniosku, że cię lubię. A kiedy ja coś takiego postanowię, nigdy nie zmieniam zdania. Więc będzie dobrze, zobaczysz. A teraz zabieraj się do jedzenia. Rób to co ja. Pokażę ci, jak...

- Tak, panie McGregor. Dziękuję, panie McGregor. Ja... ja także pana lubię.

- Zuch dziewczyna!

RRS

8

Praca z Alabastrem McGregorem oznaczała wejście w całkiem inny świat. Miasto, jakie całe życie znała, odmieniło się, stało się cudowne i dziwne. Niczym motyl, który przyjmuje postać gąsienicy, zanim wyrosną mu skrzydła, a potem nagle wyfruwa z kokonu, tak przebogate Newport zaczęło wirować, tańczyć, odkrywać się przed jej zmysłami. Wspaniałe? Tak. Całkiem nowe? Tak.

I przerażające. Straszne.

Albowiem gdy Audrey nieśmiało, lecz chętnie stawiała pierwsze kroki w nowej pracy, tematem dnia w Newport był John Bayard Lockholm, który, jak wielu twierdziło, zamordował własną żonę. Zabił ją, szeptano, z jego dzieckiem w łonie, i, dodawano, prawie mu to uszło na sucho. Umknąłby kary, gdyby nie odwaga zwykłej służącej, która nie mogła spocząć, znaleźć sobie miejsca, dopóki wreszcie nie spełniła swojego obowiązku.

Niewykluczone, że jeszcze się wywinie, jeśli sprawiedliwości nie stanie się zadość.

Audrey rzadko go widywała, a nawet gdy tak się zdarzyło, Bayard zazwyczaj tylko w przelocie zamieniał z panem McGregorem kilka słów. Raz, wyglądając z okna znajdującej się na pierwszym piętrze redakcji, dostrzegła go w powozie jadącego gdzieś z matką. Koń był śliczny, siwek, z wypolerowanymi kopytami, błyskającymi w zetknięciu z brukiem. Strój pani Lockholm dopasowany był do maści konia, ciemna mora i czarne koronki. Tamtego dnia Alabaster McGregor wyszedł do Bayarda. Z jego matką także zamienił kilka słów. Obserwując ich Audrey doszła do wniosku, że w młodości pani Lockholm musiała być równie piękna jak jej córka.

Celeste nigdy nie zaglądała do redakcji „Daily Whirl”. Thorne także nie. Audrey nigdy też nie widziała Bayarda w towarzystwie

jakiegokolwiek kobiety, którą wydawałby się zainteresowany.

Szkoda, myślała.

Obojętne, jedna czy tuzin, wiedziałyby wówczas, że o niej zapomniął albo nigdy nie pamiętał, i mogłaby jakoś zacząć odzyskiwać równowagę. Łudziła się, że gdyby choć raz spotkała go w towarzystwie kobiety równej mu pozycją, wyleczyłaby się z marzeń, serce przestałoby cierpieć, nie miałyby sekretów przed matką w lustrze.

- Z kim Bayard Lockholm się teraz ożeni? Interesuje się jakąś kobietą? - spytała kiedyś pana McGregora.

Alabaster zmierzył ją beznamiętnym wzrokiem. Jego twarz była blada i drapieżna jak paszcza rekina.

- A jak oceniasz swoje szanse? Audrey poczuła się głęboko upokorzona.

- Proszę sobie ze mnie tak złośliwie nie żartować. Wiem, że pan Lockholm stoi o wiele wyżej ode mnie. Tylko... tylko ostatnio widuję go ciągle samego, a przecież teraz potrzeba mu miłości... - Urwała i ze zdwojoną energią zaczęła stukać w klawisze maszyny do pisania. Po chwili, unikając jednak wzroku szefa, dodała kąśliwie: - Pan wszystko wie, panie McGregor, sądziłam, że i to też.

Zauważyła, że ociężyły pan Smythe towarzyszył Bayardowi niczym milczący cień. Nie mówiąc do siebie ani słowa, mijali zsunięte ze sobą krótszymi bokami biurka Alabastra McGregora i jej („Nie lubię, jak ktoś przede mną siedzi”, wyjaśnił Alabaster), a Bayard zawsze szedł przodem, zmierzając prosto do swego boksu. Tam siadali i rozmawiali ściszonymi głosami. Potem pan Smythe wychodził sam, nie kłaniając się nikomu po drodze. Detektywa z Providence widziała w redakcji tylko dwukrotnie, lecz ciągle o nim słyszała. Wypytywał mieszkańców miasta, przyjaciół Bayarda i... jego wrogów.

- Czy pan Lockholm ma wrogów? - spytała Alabastra. - Prawdziwych wrogów, takich, którzy świadczyliby przeciwko niemu?

Ponownie ujrzała wymizerowaną, pozbawioną uśmiechu twarz i

ostre jak sztylet spojrzenie.

- W uśmiechu ludzie odsłaniają zęby, moje dziecko. A człowiek, który sam się zgłasza zeznawać, w zaciśniętej pięści trzyma czarną gałkę... Pamiętasz Phineasa Browna?

- Ale tu chodziło o pradziadka pana Lockholma. Nie o Bayarda. Poza tym to stare dzieje, prawie legenda.

- Doprawdy? - zdziwił się Alabaster. - No, do roboty. Przepisz to. Lubię oglądać swoją twórczość w druku...

Audrey miała nadzieję, że tymczasem zawrze pokój z ojcem. Nie, nie skapituluje, ale załagodzi sytuację, okaże tolerancję i pogodzi się ze stanem rzeczy, jakiego nie może zmienić. W ciągu tygodnia poprzedzającego ślub ojciec unikał jej jednak. Wstawała o szóstej, on o ósmej. Wracała wieczorem po długiej pracy, on zdążył już zjeść, umyć naczynia... i wyjść. Później, dobrze po północy, budziły ją jego ciężkie kroki na schodach, w kuchni, w korytarzu. Nie zaglądał do jej pokoju, by sprawdzić, czy jest okryta, jak kiedyś.

Zauważyła drobne zmiany w ustawieniu rozmaitych przedmiotów w kuchni. Wiedziała teraz, że pod jej nieobecność Dolly zajmuje miejsce matki. Przychodzi, gotuje, je wraz z ojcem, przyzwyczajają się do nowego domu. A potem Lawrence odprowadza ją do jej mieszkania nad tawerną Grimsby'ego. W towarzystwie swoich nowych, a jej starych przyjaciół wypijają kieliszek lub dwa w barze i idą na górę do Dolly, do jej łóżka.

I zaczynają się śmiechy...

Potem Lawrence wstaje i dla zachowania pozorów udaje się do własnego domu. Przecież teraz chce, aby traktowano Dolly jak uczciwą kobietę. Wraca z Long Wharf na Bridge Street z nadzieją, że nie natknie się na córkę, że ona już poszła spać, usunęła się mu z drogi.

Po raz pierwszy w życiu sama w całym domu Audrey nasłuchiwała skrzypienia starych desek i miękkiego tuk, tuk mysich łapek za ścianą.

Każdej nocy przed położeniem się do łóżka rozmawiała z matką w

lustrze. Ubrana w koszulę nocną siadała po turecku na podłodze, szciotkowała włosy i opowiadała Josephine o Dolly.

- Ona jest niesamowita, mamusiu. Włosy ma takie jesienne, rdzawe jak liście klonu w październiku, i piękną cerę. Policzki jej płoną, z bezczelności czy wstydu, a może z obu tych powodów, ale oczy patrzą łagodnie i odrobinę pytająco. A kiedy on zamyka się z nią w swoim pokoju, sprężyny łóżka trzeszczą, a ona śmieje się długo takim niskim głosem... On się z nią żeni. Dla niej zapomniał i o tobie, i o mnie. Godzisz się z tym, mamusiu? Potrafisz zrozumieć? Ona ma strasznie złą opinię...

W głębi duszy Audrey czaił się cień wyrozumiałości i współczucia dla ojca. Odbierała to jako znak od Josephine.

W piątek po południu, zanim uporowała się z pracą, zapadł zmierzch. Przespacerowała się do portu, potem plażą aż do Cliff Walk, wdrapała na skały i przysiadła wypatrując wielorybów.

Nie dotarła na WaterWalk; postanowiła, że więcej tam nie pójdzie. Bayard mogły pomyśleć, że szuka okazji do spotkania z nim.

Tutaj, nad morzem, znowu był dla niej Bayardem. Takim samym Bayardem jak tamtej nocy. I tak już musi być. Nie porzuci dla niego morza. Za nic! Morze jest dla niej zbyt drogie... Niemniej Bayard Lockholm uczynił dla niej dużo, nawet więcej niż było konieczne i nie chciała, aby się obawiał, że znowu przychodzi wypłakiwać się nocą na jego ramieniu.

Bardziej niż spotkania z Bayardem Lockhoimem obawiała się, że Celeste i Thorne spostrzegą ją na krawędzi skał i pomyślą, że przychodzi tu rozpaczać po stracie narzeczonego...

Jak dawno temu Thorne wydawał się jej...

Cypel, przez który biegła ścieżka WaterWalk, zasłaniał jej widok rozległych trawników Whale's Turning, sięgających aż do wału ochronnego i opadających ku spienionym falom uderzającym o skały i ku wąskiemu pomostowi. To dobrze. Skoro ona nie może ich dostrzec, oni też jej nie widzą. Całkiem możliwe, że Thorne i Celeste

cumują właśnie „The Rose” po długiej morskiej wycieczce. Dzień był ciepły, wiał przyjemny, łagodny, zachodni wiatr od oceanu, wiatr żeglarzy, który będzie pchał żagiel, gdziekolwiek zechcesz... Teraz Thome i Celeste, zmęczeni i szczęśliwi, wdrapują się na pomost. Nagle ich zaskoczonym oczom ukazuje się Audrey, nieruchoma niczym sokół morski zacząjony w swojej szczelinie. Pomyślą, że poluje na nich, śledzi ich...

Boże, proszę, nie.

Niech już się szybko pobiorą, pomyślała. Ślub ma się odbyć za dwa tygodnie, a potem z pewnością wyjadą w podróż, która przedłuży się do kilku miesięcy. Niech wezmą ślub, to wtedy może ona będzie znowu mogła wspiąć się na swoją ulubioną skałę i o zmierzchu patrzeć tam, gdzie u wylotu cieśniny wieloryby wypuszczają tęczowe fontanny i baraszkują...

W końcu wstała. Ściemniało się coraz bardziej. Port migał światełkami. Szła powoli krętymi uliczkami. Nie spieszyło się jej do pustego, pogrążonego w ciszy domu.

Mijając piekarnię pani Olsson, dostrzegła właścicielkę ustawiającą w oknie wystawowym dwupiętrowy tort na okrągłej paterze. Wokół podstawy tortu, na niebieskiej porcelanie udającej wody Rhode Island, pływały białe bezowe łabędzie z uniesionymi skrzydłami. Na szczycie tortu, w kręgu białych konwalii i dzwoneczków, stała para małych laleczek, mężczyzna i kobieta ubrani w eleganckie stroje - on w biały smoking, ona w puszyste koronki.

Audrey przystanęła, aby podziwiać to dzieło. Tort weselny, który miał być jej, a teraz jest ojca. Nie czuła żalu, uśmiechnęła się nawet. Tort był tak śliczny, że ucieszyłby każdą pannę młodą.

- Spodoba się jej, pani Olsson - pochwaliła. - To dzieło sztuki.

Pani Olsson także podziwiała swoje osiągnięcie.

- Prawda? Jestem arcy mistrzynią tortów. W smaku też będzie wspaniałe. Do kremu dałam dużo masła, a w cięście zapiekłam pierścionek. Która z dziewcząt go znajdzie, ta wyjdzie za mąż. A co

u ciebie, Audrey?

- Dobrze. Zaczęłam pracować w gazecie. Pomagam panu McGregorowi. Dużo się uczę. Całymi dniami jestem zajęta.

- To dlatego tak ładnie wyglądasz. Co za śliczna sukienka! Sama uszyłaś?

Audrey okręciła się, aby zademonstrować swe dzieło. Zdołała ukończyć dopiero tę jedną z planowanych trzech. Brązową. Zadowolona była z rezultatów, chociaż Alabaster McGregor stwierdził, że wygląda w niej jak myszka.

- Sama. Wcale się nie kładłam. Pierwszego dnia pan McGregor powiedział, że mam wyglądać odpowiednio do zajmowanego stanowiska. Fason okazał się trudniejszy do skopiowania, niż sądziłam, ale z sukienkami tak zawsze... Panna Dowd widziała już tort? A mój ojciec?

Pani Olsson miała okrągłą figurę i twarz osoby, która lubi, swoje wypieki. Do pracy wkładała luźną suknię i obszerny, biały kitel. Zdjęła go teraz i strząsnęła z niego cukier puder.

- Jutro twój ojciec sam go odbiera. Dolly chciała, żeby miał niespodziankę. Aha, mam coś dla ciebie. Zaliczka.

- Nie, to dla pani. Całkiem zapomniałam o zaliczce.

- Nie, nie. Twój ojciec zapłacił całą sumę. Poczekaj sekundę. - Składając po drodze fartuch, pani Olsson zniknęła w drzwiach na tyłach sklepu. Wróciła z kopertą. - Dwa dolary pięćdziesiąt. Proszę. A to... to upiekłam dla ciebie. Takie frufu. Żebyś pamiętała o mnie, kiedy zechcesz zamówić kolejny tort weselny, a z czasem na pewno będzie ci potrzebny. - Odwróciła się i schyliła. Kiedy się wyprostowała, trzymała w dłoniach bezowego wieloryba z podniesionym ogonem i tryskającą cukrową fontanną na głowie. Ostrożnie podała prezent Audrey. - Masz. Nie do zjedzenia, tylko do pomarzenia.

- Och! - zawołała Audrey. - Skąd pani wiedziała? - Czyżby pani Olsson była czarownicą albo wróżką umiejącą czytać cudze myśli?

Pani Olsson zręcznymi ruchami składała arkusz kartonu w

niewielkie pudełko.

- Przecież ty wciąż opowiadasz o wielorybach, dziecko. Odkąd byłaś małą dziewczynką. Przychodziłaś tu z dziadkiem, a ja cię nazywałam „małą wielorybniczką”. Nie pamiętasz?

Audrey potrząsnęła głową.

- To chyba jakieś czary. Właśnie wracam z Cliff Walk, skąd wypatrywałam wielorybów. O zachodzie słońca żaden nie przyplłynął. Za to jeden czekał na mnie tutaj.

Pani Olsson wymościła pudełko woskowanym papierem, wzięła wieloryba z rąk Audrey i włożyła do w środka. Potem nakryła pudełko wieczkiem i przewiązała sznurkiem.

- Proszę. Na szczęście. Świat jest ogromny, moje dziecko. Pamiętaj o tym.

- Dziękuję pani. Bardzo dziękuję.

- Do zobaczenia jutro. Może to tobie się trafi kawałek tortu z pierścionkiem?

Kawałek tortu z pierścionkiem...

Lecz Audrey nie miała zamiaru iść ani na ślub ojca, ani na przyjęcie. Ojciec nawet nie powiedział, gdzie odbędzie się wesele, a na ślub wcale jej nie zaprosił.

Drzwi na piętrze były zamknięte, w pokojach nie paliły się światła. Wchodząc na górę Audrey czuła się stara i samotna mimo okazanej jej przez panią Olsson serdeczności.

W swojej sypialni wyregulowała lampę gazową, uwolniła wieloryba z pudełka i postawiła na parapecie okiennym, gdzie padać na niego będzie zachodzące słońce. Kiedy odwróciła się, spostrzegła na łóżku, na poduszce, kopertę. Otworzyła ją i zasłoniła plecami lustro.

Był to króciutki liścik napisany niewprawną ręką na turkusowym karneciku ze złotym brzegiem. Zaproszenie na ślub ojca z Dolores Dowd do kościoła kongregacjonalistów w sobotę piętnastego czerwca na godzinę jedenastą, a następnie na „przyjęcie weselne” do tawerny Grimsby'ego przy Long Wharf. Podpisano: Pełna

nadziei, Dolly.

Aha, więc tak to się odbędzie. Ani słowa od ojca. Żadnego znaku zrozumienia dla jej uczuć, żadnego pojednawczego gestu.

Siedziała chwilę wpatrzona w okno i w uliczną lampę za szybą. Będzie musiała przygotować sobie coś do zjedzenia...

Puk. Puk. Puk.

Z początku nie zwróciła nawet na ten dźwięk uwagi. Słyszała, lecz siedziała, jakby to było tylko wspomnienie.

Pukanie powtórzyło się jednak. Trzykrotnie.

Sygnał, że to Thorne.

Thorne? Jak to możliwe? Czego mógłby chcieć? Czyżby zerwał z piękną Celeste i wracał skruszony, z nadzieją, że wszystko da się naprawić? Że da się wrócić do tego, co było przed... przed jego zdradą?

Puk. Puk. Puk.

Dzięki Bogu, że ojca nie ma, pomyślała Audrey. Ale co powinna zrobić? Nie chciała widzieć się z Thorne'em. Gdyby mogła wymazać go ze swojego życia jak ze szkolnej tablicy, a potem umyć tablicę do czysta, wytrzeć do czarnego połysku, zrobiłaby to. Lecz co począć teraz? Siedzieć jak trusia? Czekać, aż Thorne zrezygnuje? Lecz przecież zobaczy światło w oknie i będzie wiedział, że ona jest w domu... Pomyśli, że się przed nim ukrywa. Ze wstydu? Ze strachu? Może wejść na górę i próbować otworzyć drzwi mieszkania. Nie są zaryglowane.

Puk. Puk. Puk.

Audrey ostrożnie zeszła po ciemku na dół. „Tak ciasno. Tak ubogo...”

- Kto tam? - spytała przez zamknięte drzwi.

- Aud? - Głos Thorne'a, zaledwie kilka centymetrów od jej ucha, był miękki i przymilny. - Aud, proszę, możemy chwilę porozmawiać? To bardzo ważne.

Otworzyła drzwi.

Stał na samym progu, jak dawniej. Włosy miał czarniejsze od

nocy, skórę bardziej złotą niż bramy rezydencji przy Ocean Drive, a twarz tak spiętą, że w pierwszej sekundzie pomyślała, że to udręka tęsknoty...

- Tak? - spytała i nagle spostrzegła, że Thorne nie jest sam. Tuż za nim stała wysoka kobieta o włosach jak lśniący heban i cerze tak białej i świetlistej jak gwiazdy. Otulona była szkarłatną peleryną z wyszywaną brylantami stójką przy szyi. Dłonie w rękawiczkach przyciskała do piersi, jakby błagała o łaskę.

- Dobry wieczór, panno Lockholm - pozdrowiła ją Audrey.

- Słuchaj, Aud, musieliśmy przyjść... - zaczął Thorne. Dopiero teraz zauważyła, że jest zdenerwowany. Nigdy przedtem nie widziała go w takim stanie. Czekala.

- Chodzi o tę straszną historię z Virginia.

- Tak? - rzekła Audrey. W jej głosie nie było zdziwienia ani ciekawości. - Słucham.

- Możemy wejść?

- Ojciec już śpi - skłamała, nawet o tym nie myśląc. Kłamstwo pojawiło się na jej ustach w wyniku całkowitego odrętwienia, uczuciowej pustki, jaka ją ogarnęła.

- W takim razie, panno Smoke - przemówiła Celeste, a jej słowa brzmiały jak tchnienie nocy - może usiądziemy w powozie. To dla nas bardzo osobista i dyskretna sprawa.

Audrey zamknęła za sobą drzwi i milcząco podążyła za dziwnymi gośćmi.

Z dala od ulicznej lampy, w cieniu hikorowego drzewa, stał zakryty powóz z dropiatym siwkiem, który Audrey już raz widziała, gdy nie zauważona przez nikogo obserwowała z okna redakcji Bayarda Lockholma i jego matkę, rozmawiających z Alabastrem McGregorem. Wsiadła do środka i zgarnęła fałdy spódnicy, nie chcąc zajmować zbyt wiele miejsca. Obite skórą siedzenie zachowało jeszcze ciepło czyjś ciała. Nie mogąc opanować ciekawości, pogładziła miękki zamsz. Noc była chłodna, lecz przyjemna, wiał słaby wiaterek i liście w koronach drzew szumiały w

swoim tajemniczym języku. Z oddali, znad zatoki, dolatywały dźwięki muzyki, szybkie i skoczne, w tawernie na pewno bardzo głośne, lecz tutaj, na Bridge Street, ledwie słyszalne.

Thorne zaczął mówić, przysuwając się bliżej i pochylając nad Audrey. Siedząca obok niej Celeste Lockholm patrzyła prosto przed siebie.

- Chodzi o śledztwo w sprawie śmierci żony brata Celeste. Detektyw Smythe wypytuje wszystkich. Do ciebie też przyjdzie. Będzie pytać o mnie. W zeszłym roku dawałem pani Lockholm lekcje żeglarstwa, pamiętasz?

Czy pamięta? Nigdy nie znała nazwisk ani twarzy dziedziczek z Gilt Hill i Ochre Point, którym Thorne asystował za pieniądze na wodach zatoki Narragansett. Nigdy nie zaprzętała sobie nimi głowy, chyba tylko wówczas, gdy kalkulowała, na ile znajomość z nimi przysporzy sukcesów przyszłej firmie przewozów promowych Thorne'a.

- A teraz wchodzę do rodziny... - Urwał i spuścił oczy. - Przyszedłem prosić cię, żebyś nie świadczyła przeciwko mnie, Aud. Moja znajomość z Virginia Lockholm była bardzo krótka i oficjalna, ale Celeste i ja znajdujemy się w bardzo delikatnej sytuacji. - Znowu przerwał i ujął dłoń nowej narzeczonej. - Bardzo się kochamy, ale wiesz, jaka jest moja pozycja. Nie jestem jej wart, oboje to wiemy...

- Och, Thorne, przestań - słodko, dziecinnie zaprotestowała Celeste.

- Nic nie wiem o Virginii Lockholm, Aud.

- Wiem o tym, Thorne.

Teraz znowu spojrzął na nią, a w jego oczach, w tych oczach, które nigdy o nic nie prosiły, dostrzegła dramatyczne błaganie.

- Powiesz tak inspektorowi Smythe'owi, gdy cię zapyta? To dla nas bardzo wiele znaczy. Dla całej rodziny.

- A ja wiem, panno Smoke - przemówiła Celeste głosem tak aksamitnym jak delikatny zamsz pod palcami Audrey - że przyjaźni się pani z moim bratem. Ostatnio tyle przeszedł. Gdyby mogła nam

pani w ten sposób pomóc, bylibyśmy pani dłużnikami.

- Możecie być spokojni - odparła Audrey. - Nie będę źle mówić o tobie, Thorne. Życzę wam wiele szczęścia. Mogę już odejść? Mam jeszcze dużo rzeczy do zrobienia.

Thorne puścił rękę Celeste, chwycił dłoń Audrey, ścisnął bardzo mocno, ucałował i puścił.

- Dzięki, Aud. Mówiłem Celeste, że można na tobie polegać. -. Wzrok mu poweselał. Znowu wyglądał tak, jakim go pamiętała. Pewny siebie, trochę pyszałkowaty.

Kiwnęła głową i nawet nie wiedząc, jak to się stało, znalazła się z powrotem na ulicy. Jej ulicy w środku miasta. Tam, gdzie jej miejsce.

Na koźle nie było woźnicy. Thome sam ujął lejce, siwek podrzucił głowę protestując przeciwko ściągnięciu wędzidła.

- Dziękuję, panno Smoke... - Stuk kopyt ominął Audrey jak obłok perfum, gdy stała i przyglądała się żółtym osiom wirującym jak milczące koła fortuny toczące się w stronę dzielnicy willowej.

Wróciła do swojego pokoju. Bezowy wieloryb leżał pokruszony na podłodze. Wiatr od morza, ten wymarzony przez żeglarzy wiatr, musiał wedrzeć się przez okno i zdmuchnąć lekką figurkę, która spadając rozbiła się w drobny pył.

Wschód słońca zastał Audrey na nogach, ubraną i spakowaną w jedną płócienną torbę. Ojciec nie zjawił się wcale wczorajszej nocy. Już nie przyjdzie do domu, pomyślała, aż dopiero z Dolly Dowd.

Wiedziała, że pan Kirchner ze swoją Sal będzie mijać dom Smoke'ów około siódmej. Codzienne, łącznie z niedzielą, przejeżdżał tędy, rankiem i wieczorem. Audrey zeszła na dół. Czekwała. Kiedy zobaczyła wóz, pomachała ręką. Na głowie miała swój niedzielny słomkowy kapelusz przewiązany czerwoną wstążką w kratkę.

- Mógłby mnie pan podwieźć?

- Czemuż by nie? - odparł i ściągnął cugle. Sal ziewnęła pokazując długie żółte zęby i wielki jęzor. - Gdzie się wybierasz w

taki piękny ranek, moja panno? Chyba nie znowu na pogrzeb? Co to był za dzień!

- Jadę do Mildred Falk. Mój ojciec się dzisiaj żeni, a ja spędzę kilka dni u niej. Niech młoda pani Smoke przyzwyczai się do nowego domu, a stara córka niech jej w tym nie przeszkadza.

- Dobra z ciebie dziewczyna. Daj, pomogę. - Pan Kirchner rzucił płócienną torbę Audrey koło swoich nóg. - Dasz sobie radę sama, hę? - spytał.

- Tak. Bardzo panu dziękuję.

- Nie ma za co. Przyzwyczajamy się, że z nami jeździsz, co, Sal? Wiooo!

Audrey lubiła pana Kirchnera. Nigdy nie zadawał osobistych pytań i był życzliwy dla ludzi i zwierząt. Świątek piątek pracował i jakby się wcale nie starzał. Zawsze wyglądał tak samo. Sal także. Pysk jej nie posiwiał, a pęciny nie zgrubiały od tamtego czasu, gdy niesiona przez mamę wyciągnęła rączkę, aby pogłaskać „konika” z wielką mordą przypominającą twarz kłowna.

- Sal nigdy się nie męczy, kiedy ciągnie wóz załadowany zbożem, arbusami i koszami kapusty? Pan też nie? - zagadnęła Audrey.

- Cóż... Coś ci powiem. Spytałem ją raz: „Sal? Chcesz odpocząć? Naharowałaś się w życiu porządnie. Nie chciałybyś poskubać trawki pod jabłonką?” A ona na to bez namysłu: „Nie, dziękuję pięknie. Od młodości przywykłam ciągnąć wóz i nawet nie zauważam, czy jest załadowany. Podobna jestem do pana. Lubię się pokręcić, porozglądać, co się dookoła dzieje...” No i masz odpowiedź, moja panno.

Pan Kirchner wysadził Aubrey na Sunshine Street, koło cmentarza.

- A pozdrów ode mnie Mildred - powiedział podając jej torbę. - Byliśmy po słowie, wiedziałaś o tym? Stare dzieje. Ale jej się bardziej podobał Hiram Ader, ten, co się ożenił z Sutterówną. Stare dzieje... Do zobaczenia. Wiooo, Sal.

Mildred Falk wynajęła Audrey przestronny pokój. Dwa duże okna wyglądały na cmentarz, gdzie leżała mamusia. Ściany obite były kremową tapetą w niebieskie kropeczki i bukietki polnych kwiatków, a na olbrzymim łożu z baldachimem leżała biała, kordonkowa narzuta. Audrey miała płacić dwa dolary tygodniowo.

Gdy przyszła, Mildred szykowałą się właśnie na ślub Lawrence'a Smoke'a.

- Przez wzgląd na Josephine - wyjaśniła. A potem z dziewczęcym chichotem dodała: - I tak bym poszła. Uwielbiam śluby. Gdy widzę ślub, czuję się znowu młoda.

Najbardziej zdziwiło Audrey, która zawsze uważała Mildred za głupią, starą, łatwo wpadającą w histerię kobietę, że wcale nie okazała zdziwienia na jej widok, nie dopytywała się, dlaczego przyszła, i nie powitała ani zbyt wylewnie, ani utyskliwie. Wystarczył jej rzut oka na dziewczynę i w lot zrozumiała jej niezręczną sytuację. Zachowuje się cudownie, pomyślała Audrey. Dobra byłaby z niej żona i matka. Cóż,, życie nie ułożyło się tej miłej kobiecie. Ani mnie...

W nowym pokoju Audrey czuła się nieswojo. Nasłuchiwała tykania zegara. Dzień, w którym ojciec żeni się po raz drugi. Tak szybko, tak wolno... Spróbowała pomyśleć, że mógłby to być dzień jej ślubu, lecz takie myśli wydawały jej się nierealne. Nie czuła się jak wzgardzona narzeczona, tak jak zapewne musiała się czuć Mildred Falk, trzykrotnie porzucana przez różnych mężczyzn. Zresztą Audrey nie znała jej historii. Jako dziecko nie dbała o opowieści o zamierzonych czasach i Mildred Falk była dla niej jeszcze jedną wyblakłą, niezbyt mądrą starą panną, coraz bardziej zaabsorbowaną własnymi sprawami. A musiała być przecież wyjątkowo atrakcyjną dziewczyną, jeśli oświadczyło jej się aż trzech mężczyzn... Nawet pan Kirchner wciąż pamiętał namiętne uczucie tak żywo, że się do tego przyznał. Panna Falk musiała mieć jednak jakąś wadę, która, odkryta późno, sprawiała, że wszyscy trzej narzeczeni w ostatniej chwili zmieniali zdanie. Co to było? Czyżby

we mnie tkwiło coś podobnego?

Stała przy oknie i spojrzała na cmentarz. Myślała, że o jedenastej pójdzie tam i posiedzi przy grobie matki, będzie z nią w chwili, gdy ojciec złoży przysięgę innej kobiecie. Nieubłagane tykanie zegara dudniło jej w głowie, chociaż starała się nie słuchać. Tik-tak, tik-tak, tik-tak! Bez ustanku. Teraz i zawsze. He uderzeń od początku świata? Tik-tak, tik-tak. Ciemne włosy bieleją, silne dłonie słabną, gorące serca stygną... Tik-tak, tik-tak, tik-tak...

Po drugiej stronie Farewell Street, bliżej rogu Sunshine, dostrzegła mężczyznę bez kapelusza, z głową pochyloną pod wiatr i brązowymi włosami opadającymi na czoło jak u chłopca.

To Bayard Lockholm przechadzał się po cmentarzu!

Był sam i sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, w którą stronę iść. Skręcił w jedną alejkę, zawrócił, skręcił w drugą. Potem znikł jej z pola widzenia.

Czyżby Virginia Lockholm także tam leżała, przykryta letnią trawą i prostym kamieniem jak Josephine? A może gdzieś, w niewidocznym stąd miejscu, stało mauzoleum z przepięknego granitu, z kolumnami niczym w greckiej świątyni, z herbem Lockholmów - trzy fale z odłamek turmalinu, a na nich platynowy żaglowiec - oprawionym w architrav, aby przypomnieć każdemu przechodzącemu, że tu spoczywa królowa?

Powinien mieć psa, pomyślała Audrey. Dużego, wiernego psa, spokojnego i zamkniętego w sobie jak on sam. Przy psie mógłby odpocząć, nawet pozwolić sobie na jakieś głupstwo, na przykład rozwalić mrowisko, wdrapać się na drzewo, pośmiać się z niczego. Pies by go za to nie skarcił, nikt by nie rozpowiedział. Z psem mógłby spacerować całymi dniami, milcząc lub gadając, w eleganckim lub w starym i wytartym ubraniu, i miałby idealnego towarzysza. Kogoś, kto nigdy się nie rozczaruje, zawsze będzie zadowolony, że po prostu może być razem ze swym panem i beztrąsko wędrować u jego boku...

Pod wpływem nagłego impulsu Audrey wybiegła z domu.

Bayarda Lockholma nigdzie nie było widać.

Na cmentarzu Audrey miała czas się zastanowić i ogarnęły ją wątpliwości, co chciała mu powiedzieć tutaj, czego nie mogła powiedzieć w redakcji „Daily Whirl”, lecz coś ją pogaśniało, jakiś lęk, którego nie potrafiła określić. Po prostu wiedziała, że musi znaleźć Baya i porozmawiać z nim znowu sam na sam. Chociaż ten jeden jedyny raz, ten ostatni raz. I musi go znaleźć natychmiast, nim będzie za późno.

Przy bramie zobaczyła stróża, lecz ominęła go. Mógłby się zaciekawić, kim jest dziewczyna szukająca grobu Virginii Lockholm tuż po tym, jak Bayard Lockholm się tam udał. Spacerowała więc pod niebieskim niebem, w czerwcowym upale, który dzięki bryzie znad zatoki był mniej dokuczliwy. Minęła grób matki, wróci tam później, a teraz musi odszukać Baya, powiedzieć mu, że wierzy w jego niewinność. Musi mu powiedzieć, że wie, iż on za nic by nie skrzywdził ukochanej osoby i niech sobie ludzie gadają co chcą.

Rozglądała się szukając okazałych kaplic, lecz nie dostrzegła żadnej. Groby były podobne do siebie, wszystkie oznaczone prostymi kamieniami. Trawa na niektórych już pożółkła od słońca. Gdzieniegdzie mogiły zapadły się pod wpływem czasu i deszczów. Kilka kopców było świeżych, jeszcze nie odarniowanych. Większość płyt wyciosana była z łupka i wbita ukośnie, aby oko Opatrzności spoglądając z wysoka mogło odczytać napis, jeśli by zechciało, i zadumać się nad dobrymi uczynkami i prawością serca. Z niektórych daty i nazwiska prawie całkowicie zniknęły, na innych cyfry i litery wryte były bardzo głęboko i porosły już mchem, najzieleńszym, miękkim i pełzającym, zacierającym pamięć. Bardzo niewiele grobów ozdobionych było kwiatami. Na jednym ktoś zasadził kwitnące pnącza. Mimo suszy roślina zaczęła wypuszczać pąki i Audrey pomyślała, że to pewnie kapryfolium, które wkrótce napelni powietrze słodką wonią. W innym miejscu dostrzegła wyschnięty, rozsypujący się wieniec, a na kilku grobach cięte kwiaty. Na zupełnie świeżym, jeszcze nie oznaczonym, leżały długie lilie

przewiązane żółtą wstążką, na sąsiednim jedna róża, gubiąca już płatki, umierająca.

W miejscu, gdzie ścieżka skręcała i opadała w dół, Audrey dostrzegła Bayarda. Stał przy mogile tak samo skromnej jak inne i tak samo jak większość innych bez kwiatów.

Zaczęła biec.

Słyszając głośnie niczym strzały uderzenia sandałów o żwir, Bayard Lockholm uniósł głowę. Brwi miał ściągnięte, twarz zaciętą.

Ścieżka schodziła teraz w dół i Audrey biegła coraz szybciej. Zdyszana stanęła, łapiąc się za pień drzewa.

- Ja... ja tylko chciałam panu powiedzieć... muszę powiedzieć. ...
- zaczęła.

- Powiedzieć? Co?

Jest zaskoczony moim widokiem, pomyślała. Bierze mnie za natręta zakłócającego mu spokój. Ordynarnie zaczepiam go w chwili najbardziej osobistej...

A jednak musi mu wszystko powiedzieć teraz, bo innej okazji nie będzie. Jeśli teraz się na to nie zdobędzie, będzie nosić te słowa w sobie, wyschnięte, ciężkie.

- Ja... wiem, że pan tego nie zrobił - wybąkała. - Wiem, że jej pan nie skrzywdził. Pan ją kochał, zawsze i na zawsze.

Ja... ja tylko... - Zaczęła się jąkać, tracić pewność siebie. Impuls, który ją tu przygnał, zniknął na widok jego groźnej twarzy. - Chciałam tylko, żeby pan o tym wiedział - brnęła dalej, spazmatycznie chwytając ustami powietrze i usiłując napotkać jego wzrok. Zrozumiał?

Śmiał się. Z niej. Okrutnie. Dłonie trzymał wciśnięte głęboko w kieszenie, tak samo jak wtedy, gdy spotkała go spacerującego tam i z powrotem po WaterWalk, gdy mówił: „Nie bądź dzieckiem, znajdziemy jakieś wyjście”. Tylko że teraz wcale nie był łagodny...

- Głupia - syknął. - Czego chcesz? Przychodzisz aż tutaj, żeby mi to powiedzieć!

Audrey opierała się o pień drzewa i ciężko oddychała. Przyglądała

się Bayardowi myśląc, jak bardzo jej oczy muszą teraz przypominać oczy psa, oczy pełne oddania i bólu, mówiące: Nie jestem dla ciebie dość dobra, tak już zostanie. Zawsze będzie mi czegoś brakowało, czegoś istotnego, bez czego... Ręką wskazała za siebie.

- Zobaczyłam pana z okna mojego pokoju, po drugiej stronie Farewell Street, i poczułam, że muszę biec tu natychmiast, że może już nigdy nie będę miała okazji... Chciałam, żeby pan wiedział, zanim inni zaczną pana o tym zapewniać i pomniejszą wagę moich słów. Nigdy nie miałam cienia wątpliwości. Wiem, że pan jest dobry. Ja... nie musiałam się zastanawiać. Po prostu chciałam.

Złośliwy uśmieszek zniknął z jego warg, lecz oczy pozostały chłodne.

- Dziękuję ci - rzekł tym beznamiętnym tonem, jaki zdążyła już przez ostatni tydzień poznać. Słyszała ów głos, gdy ponad jej głową właściciel gazety zwracał się do redaktora McGregora lub rozmawiał z kimś przez telefon. Teraz odwrócił głowę.

Ma mnie dość. Chce, żebym sobie poszła, pomyślała Audrey.

- Nie ma za co - odparła i zaczęła iść pod górę. Ponagla mnie wzrokiem, żebym szła szybciej, a może jest jeszcze gorzej? Może już zapomniał, że w ogóle z nim rozmawiałam?

Nagle poczuła gwałtowne szarpnięcie i silne palce chwyciły jej przegub.

- Nudziła mnie. - Audrey prawie nie poznała zachrypniętego, dzikiego głosu. - Od samego początku mnie nudziła. Słyszysz? Dwa tygodnie po ślubie, trzy, cztery... Zanim dotarliśmy do Istambułu... ha!... do bajecznego Istambułu, miałem jej serdecznie dość i wiedziałem, że tak będzie już zawsze.

Odwrócił ją ku sobie. Audrey była wstrząśnięta widokiem jego twarzy. Zacięta, zimna, oczy nabiegłe krwią, już nie niebieskie, lecz szare jak nadmorskie skały. Policzki też miał szare, wargi sine.

- Zresztą, co małżeństwo ma wspólnego z miłością? Audrey usiłowała uwolnić się, lecz Bayard ścisnął jej rękę aż do bólu.

- Wybrałem ją z gromady dziewcząt takich jak ona, wszystkie

tak samo ładne, tak samo ponętne. Matka nalegała, żebym się ożenił. Powtarzała, że czas najwyższy. Chciała ujrzeć swoje wnuki, mieć pewność, że ród Lockholmów nie zginie. Mówiła, że nie najlepiej się czuje, jest wdową i należy jej się ode mnie spokój w grobie. Musisz się ożenić, powtarzała mi to bez końca.

- Proszę - przerwała mu Audrey. - Ja... ja...

- Nie chcesz mnie wysłuchać? - Jego głos brzmiał jak diabelski szept z otchłani. - Chcesz mnie idealizować? Cóż, daleko mi do doskonałości. Chcesz snuć pensjonarskie marzenia, myśleć, że Bayard Lockholm nigdy nie wpada w gniew, nigdy nie traci panowania nad sobą, nigdy nie oddaje ciosów?

- Chwyć ją za drugą rękę i przyciągnął do siebie. - Więc dowiedz się, że to robię. Jeśli ktoś mnie sprowokuje, uderzam. Jesteś naiwna, Audrey. - Odepchnął ją gwałtownie od siebie.

- Nie znasz się na mężczyznach. Sądzisz, że żyję niczym bóg, bo mam duży dom i czystą bieliznę. Wydaje ci się, że jestem szczęśliwy, bo mam pieniądze. Myślisz, że dużo pieniędzy to wszystko, czego do szczęścia potrzeba. Bóg świadkiem, że do szczęścia potrzeba czegoś więcej, moja mała, piękna, zagubiona dziewczynko. O wiele, wiele więcej. - Pałącym spojrzeniem objął jej twarz i całe ciało.

Biegając tutaj nie przewidziała, że sytuacja przybierze taki obrót. Nie chciała, by tak się stało. Nie zamierzała zadawać mu bólu. Pragnęła mu jedynie powiedzieć, nie obnażając przy tym serca i nie zdradzając się z nadzieją na przyjaźń, że go kocha, lecz nie dlatego, że jest bogatym Johnem Bayardem Lockholmem III, dziedzicem Whale's Turning. Przecież kocha go za to, że jest człowiekiem honoru, najlepszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znała.

Bayard uspokoił się trochę. Z rękami w kieszeniach przechadzał się tam i z powrotem i mówił dalej martwym, twardym, gniewnym głosem:

- Jesteś naiwna i nic nie wiesz. Człowiek, w którym byłaś zakochana, porzucił cię. Sądzisz, że każdy porzucony przez ukochanego czuje się tak samo zdruzgotany jak ty. Ja nie byłem

zdruzgotany. Żal mi było jej, żal dziecka, które miało się urodzić. Ale nie rozpacziałem. Ona była głupią, rozpieszczoną kobietą, a ja czułem nawet niejaką ulgę.

Nareszcie umilkł. Po chwili odezwał się znowu, lecz teraz mówił tak, jak gdyby przedtem wcale nie wpadł we wściekłość, nie stracił panowania nad sobą.

- W tym grobie są jeszcze dwa miejsca. - Czubkiem czarnego trzewika wskazał mogiły. - Moja matka spocznie obok ojca, a ja pewnie obok Virginii. Nikt nie myśli na serio, że ją zabiłem, prawda? - Głos mu się zmienił, złagodniał, cała pasja zniknęła. Twarz też zaczęła z powrotem nabierać normalnej barwy.

Kątem oka spojrzał na Audrey, która rozcierając nadgarstki wciąż stała w miejscu, gdzie ją odepchnął. A więc nie słyszał, pomyślała. Nikt mu o niczym nie powiedział. Alabaster McGregor, który wszystko wiedział najlepiej, też mu nie powtórzył. Własna siostra, Celeste, i Thorne, przyszły szwagier, także milczeli. Matka go nie uprzedziła... A przecież wszyscy wiedzą. Czyżby pan Smythe, który kilka dni z rzędu godzinami przesiadywał razem z nim w redakcji, sam detektyw prowadzący śledztwo, też wszystko ukrywał? Czyżby mu nie powiedział, że zgłosił się woźnica i zeznał, że tamtej nocy widział Bayarda?

Ów woźnica, obecnie już nie pracujący, przysiągł, iż w świetle księżycy widział, jak dłonie Bayarda zaciskają się na szyi Virginii.

Audrey także mu nie powiedziała. Ona, która uważała się za jego przyjaciółkę, nie pisnęła słowa, uważając, że to nie jej sprawa i zostawiła czarną robotę komuś innemu, bliższemu, obojętne zresztą komu...

Spuściła głowę. Będzie ją to prawdopodobnie kosztowało posadę w gazecie i oczywiście oznacza kres marzeń, lecz on okazał jej dobroć, gdy jej potrzebowała, więc ona odpłaci mu szczerością, kiedy trzeba ujawnić prawdę.

- Ludzie mówią, że tamtej nocy strasznie się pokłóciliście o to, że ona wydaje za dużo pieniędzy.

Bayard wzruszył ramionami.

- To prawda. Szastała pieniędzmi. Kupowała wszystkiego pięć razy za dużo. Gdyby jej nie kontrolować, przepuściłaby cały majątek.

- Mówią, że kiedy pan wychodził, był pan wściekły.

- To także prawda. Potrafię wpaść we wściekłość. Sama widziałaś.

- Mówią, że pan groził, że ją zabije.

- Kłamią. Powiedziałem, że chcę rozwodu, obojętne ile to będzie kosztowało. Gdy wychodziłem, krzyczała i ciskała we mnie rachunkami. Żądała, żebym je pozbiierał i zapłacił bez słowa.

- Mówią, że popłynął pan jachtem „Catbird Seat” do ujścia zatoki.

- Wziąłem mniejszą łódź, „The Canary”.

Audrey stała koło buku, wciąż masując nadgarstki. Bayard przysiadł ciężko pod drzewem, kolana podciągnął pod brodę.

- Mów dalej - poprosił.

- Mówią, że spędził pan noc w jakiejś speluncie w towarzystwie kobiety o podejrzanej reputacji, kobiety, która za pieniądze rozbierała się przed mężczyznami. Kobiety, która później wyszła za mąż, za kogoś jeszcze bogatszego niż pan.

- Mają na myśli piękną Tory VanVoorst. To prawda. Burty VanVoorst zaprosił mnie do swojego stolika. Victoria przyłączyła się do nas później. Tamtego dnia widziałem ją po raz pierwszy w życiu i nie miałem pojęcia, że będzie się rozbierać. Zrobiła striptiz śpiewając jakąś piosenkę, która kompletnie wyleciała mi z pamięci. Polubiłem ją, nadal ją lubię. Tobie też by się spodobała. Tamtej nocy była szczęśliwa, on też. A ja... ja szukałem szczęścia. Świetnie się bawiliśmy. Oni już wtedy byli w sobie bardzo zakochani.

- Ludzie mówią, że zakradł się pan do nie wykończonego domu, bo wiedział pan, że żona przy świecach będzie oglądać meble. Twierdzą, że wśliznął się pan przez otwór w ścianie, bezszelestnie wszedł po schodach...

- Nie przerywaj, Audrey. Co dalej? Spojrzała na niego ze współczuciem.

- Dalej? Mówią, że gdy chmury zakryły księżyc, wypchnął ją pan z okna.

Bayard ujął Audrey łagodnie za rękę. Pociągnął ją, aby usiadła przy nim na trawie.

- Nie zrobiłem tego - powiedział.

- Wiem.

Bayard zapatrzył się w dal.

- Przycumowałem na przystani, zszedłem na ląd i spojrzałem na swój dom oświetlony światłem księżycy. Prawie w tej samej chwili ona wypadła. Było na tyle ciemno, że nie mogłbym powiedzieć, czy to Virginia. Z początku myślałem, że to włamywacz usiłujący uciec przez okno. Że wychylił się, żeby zobaczyć, co jest pod spodem, stracił równowagę i wypadł... Upadła bezgłośnie. Miałem wrażenie, że spada jakby w zwolnionym tempie, że minęła wieczność, zanim pokonała tę niewielką odległość. Gdy ciało uderzyło o ziemię, poczułem, jak zadrżała.

- Niech pan nie mówi dalej - poprosiła Audrey. Wstrząsnął nią dreszcz. Chciała wziąć Bayarda za rękę. - Niech pan nie budzi wspomnień.

- Pognałem co sił. Dopiero wtedy nabrałem pewności, że to ona. Pochyliłem się nad nią, odgarnąłem włosy z czoła. Miałem przy sobie zapaliki. Oświetliłem jej twarz. To nie był miły widok. Pobiegnę do bramy wjazdowej, bo myślałem, że znajdę tam powóz. Bascomb czekał. Stał przy koniu. Nigdy nie zapomnę, jak na mnie patrzył. Twarz postarzała, bielmo na oku...

Bayard odchylił głowę i oparł o pień. Przymknął powieki, jak gdyby ogarnęło go straszliwe znużenie. Cały czas wiedział, co ludzie opowiadają, pomyślała Audrey. Chciał jakby potwierdzenia...

Nagle poczuła, że jego palce wodzą po jej ramieniu. Serce podskoczyło jej do gardła.

- Wczoraj - zaśmiał się krótko - po raz pierwszy nie zostałem

zaproszony na kolację do Benson-Wardów. Moja matka i siostra pojechały beze mnie. - Oczy wciąż miał zamknięte, palce wciąż delikatnie muskały ramię Audrey. - Wyobraź to sobie. Nie ma nic nudniejszego od przyjęcia u Benson-Wardów, ale nie zostać zaproszonym, gdy wszyscy tam idą... Czyżby opinia publiczna już wydała na mnie wyrok?

Audrey starała się mówić tak samo cicho i spokojnie jak on.

- Ależ skąd. Po prostu wszyscy się interesują śledztwem.

Wróciła ta pokojówka, opowiada jakieś historie...

- Fanni St. Flour.

- Potem pana przyjaciółka, pani VanVoorst, którą oskarżają o romans z panem, zatrudniła ją na cały sezon. Ludzie mówią, że w ten sposób chce jej zamknąć usta, trzymać pod kuratelą.

Bayard otworzył oczy. Opuszką palca obrysował kontur warg Audrey. Westchnęła. Pragnęła, aby nie odrywał palca od jej ust.

- Jednak nad rodem Lockholmów musi wisieć jakaś klątwa - rzekł. - Przedtem Virginia, teraz ja... A biedna Celeste wychodzi za pierwszego lepszego, jaki się nawinął. - Bayard wyprostował się raptownie. - Nigdy tego nie rób, Audrey. Nie wychodź za mąż za pierwszego, który ci się oświadczy.

Był tak blisko. Audrey widziała, jak jego pierś podnosi się i opada. Próbowwała zgrać z nim rytm własnego oddechu.

- Nie wyjdę - przyrzekła i uśmiechnęła się lekko z tego dowcipu.

Czuła się teraz bardzo szczęśliwa. Po raz pierwszy w życiu. Jeśli zastygnie w bezruchu, może ziemia przestanie się kręcić i ta chwila będzie trwać wiecznie? Właśnie teraz ojciec bierze ślub. Może akurat w tym momencie, gdy ona siedzi u boku Bayarda Lockholma, Lawrence Smoke powtarza słowa przysięgi. Może całuje pannę młodą. A może nawet już wszyscy uczują w tawernie Grimsby'ego? Tańczą polkę albo krają tort weselny, i Dolly ostrożnie odkłada bezowe łabędzie na bok do zjedzenia tylko we dwoje, w sypialni, kiedy będą już bez ubrań...

A któryś z gości dostaje kawałek z ukrytym pierścionkiem, z tą

szczęśliwą wróżbą.

Głos Bayarda przywołał ją do rzeczywistości.

- Chcą ją wykopać - rzekł wstając. - Wczoraj podpisałem zgodę. Obawiam się, że nie powinni nas tu widzieć.

Czar przysł.

Audrey poderwała się z ziemi, strzepnęła żdźbła trawy ze spódnicy. Zastanawiała się, co powiedzieć na pożegnanie.

- Niech pan nie traci wiary, panie Lockholm - rzekła.

- Wszystko skończy się dobrze. Ludzie po prostu lubią plotkować. Dla rozrywki.

Patrzył na nią jak na obcą. Był spięty niczym lampart szykujący się do skoku.

- Ciekaw jestem, jaki smak mają twoje usta - powiedział. - Już od dawna się nad tym zastanawiałem. Wybacz, ale czekam na ekipę, która ma przeprowadzić ekshumację. Nie powinni cię tu zobaczyć.

Odwróciła się, zażenowana. Czyżby się przesłyszała? Czy Bayard naprawdę powiedział coś tak intymnego, coś...

- Audrey.

Zawróciła nieśmiało. Bała się, że dotknie jej ust.

- Nie nazywaj mnie panem Lockholmem. Dla przyjaciół jestem Bay.

Odeszła szybkim krokiem pod górę. Bayard zniknął za szczytem wzgórza. Bezgłośnie powtarzała jego imię, a wymawiając je rozchyłała wargi...

Biegiem minęła grupkę potężnie zbudowanych Murzynów z łopatami na ramionach. Popędziła do innego grobu, zwierzyć się mamusi.

Mildred Falk przyniosła kawałek tortu dla swojej lokatorki. Audrey podziękowała, lecz nie dopytywała się o szczegóły, a Mildred z własnej inicjatywy też nie zaczęła opowiadać. W swoim nowym pokoju Audrey rozkruszyła ciasto, szukając pierścionka. Znalazła jednak tylko kandyzowane wiśnie, orzeszki pistacji i migdały.

9

W ciągu dwóch tygodni, jakie nastąpiły po owej sobocie, która miała być dniem jej ślubu, Audrey pracowała z Alabastrem McGregorem, relacjonując zataczające coraz szersze kręgi śledztwo w sprawie udziału Johna Bayarda Lockholma w nagłej śmierci jego żony.

Dnie wypełniało jej przepisywanie na maszynie notatek redaktora, gotowych szpalt do jego stałej rubryki i do serwisu informacyjnego. Chodziła też na posyłki. Z ojcem od czasu przeprowadzki się nie widziała, nie napisała do niego, on też nie próbował się z nią zobaczyć. Bayarda Lockholma widywała z rzadka. Przychodził do redakcji, w swoim boksie w głębi sali konferował z panem McGregorem, podpisywał listy, które przepisywał dla niego na maszynie człowiek pracujący piętro niżej, w pomieszczeniu, gdzie stała prasa drukarska. Do niej się nie odzywał, a gdy ją mijał, nie podnosiła głowy znad roboty.

Gdy Alabaster McGregor zakomunikował jej, że ma mu towarzyszyć na ślubie Celeste Lockholm z Thorne'em Cockburnem, przeraziła się.

- Proszę - błagała. - Wydaje mi się, że nie powinnam. Widzi pan...

Alabaster opuścił powieki i unióś dłoń nakazując, aby zamilkła.

- Znam tę twoją żalną historię i guzik mnie ona obchodzi - oświadczył. - Jesteś moją asystentką i jako taka jesteś mi potrzebna. Masz spełniać moje zachcianki i stawiać się na każde wezwanie. Dosyć. Nie mówmy o tym. Spotkamy się na schodach kościoła Św. Trójcy za piętnaście czwarta. Za piętnaście, a nie za dwanaście, za dziesięć albo za trzy. Miej w torebce notatnik i ołówek. Aha, torebka. Coś małego i ozdobnego, jeśli coś takiego masz, i

spróbuj włożyć jakąś suknię, która by nie była taka... - Stojąc przed Audrey pociągnął nad jej głową nosem i dodał: - Taka pospolita jak ten z trudem dający się zaakceptować przydzwiewek, w jakim przychodzisz do pracy... Nie dziw, że w twoim życiu nic ciekawego się nie dzieje, ani że Thorne puścił cię kantem. Bierz przykład z pani Peerce. To dopiero fascynująca kobieta. Albo postaraj się wzorować na stylu panny Lockholm, przyszłej pani Cockburn. Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, wyglądasz zdecydowanie zgrzebnie. Co do mnie, w niedzielę będę się prezentować przeświecnie, Bogu dzięki, w żakiecie i jasnoszarym cylindrze. Więc nie przynieś mi wstydu. Możemy kontynuować? Jeśli się rozplączesz, wyleję cię natychmiast, moja panno. To jest pierwsze i ostatnie ostrzeżenie. Uprzedzam, że kategorycznie odmawiam pracy z beksą. Łzy są tak samo odrażające jak męczyzna, który się obnaża. Dotarło to do twojej pustej, skołatanej łepetyny?

- Moja łepetyna nie jest ani pusta, ani skołatana i wcale nie zamierzam się rozplakać - zareplikowała Audrey z godnością. - Sytuacja będzie dla mnie bardzo niezręczna, jak pan, który wie wszystko, zapewne się orientuje. Niemniej skoro od tego ma zależeć, czy utrzymam posadę czy ją stracę, stawię się w niedzielę ubrana w najlepszą sukienkę, jaką posiadam, która oczywiście będzie poniżej pańskich oczekiwań, i postaram się dołożyć wszelkich starań, żeby się panu na coś przydać.

- Aha, pisklę zaczyna zrzucać pierze... No, to na czym stanęliśmy, panno Smoke?

Detektyw Smythe przyszedł do niej do „Daily Whirl” w środę wieczorem, akurat w momencie, gdy miała już wychodzić do domu, lecz nie zatrzymał jej długo.

Powiedziała, iż jest pewna, że Thorne znał zmarłą Virginie Lockholm jedynie jako wynajęty przez nią instruktor jachtingu. Następnie detektyw w bardzo oględny sposób spytał, czy Audrey sądzi, że wiedziałaby o tym, gdyby Thorne'a i Virginie łączyły bardziej zażyłe stosunki od tych, jakie dyktowała pozycja

instruktora. Audrey odpowiedziała, że nie może być tego pewna, niemniej nie ma podstaw, aby tak źle myśleć o narzeczonym. Podkreśliła, że Thorne jest przyzwoitym mężczyzną i może wyrażać się o nim jak najlepiej. Na pytanie, czy nadal jest zakochana w człowieku, który ma zostać mężem Celeste Lockholm, odpowiedziała:

- Nie, proszę pana. W zeszłym roku oboje, Thorne i ja, byliśmy młodzi, niedoświadczeni i pasowaliśmy do siebie. Ja to brałam za miłość, on może przez pewien czas także. Lecz kiedy się prawdziwie zakochał, zrozumiał różnicę i ja, mam nadzieję, także kiedyś zrozumie.

I na tym rozmowa się zakończyła.

A teraz Audrey stała cała drżąca przed zawieszonym na drzwiach pokoju Mildred lustrem, tęskniąc za tamtym owalnym, które zostawiła w domu ojca, tęskniąc za ciemnymi plamami, jakie w jej wyobraźni były oczami mamusi.

Ubrana była w swoją ślubną sukienkę z białej bawełny, z okrągłym wycięciem przy szyi, bufkami i falbaną u dołu spódnicy. Rozpuszczone włosy, świeżo umyte, lśniące, puszyste i tak naelektryzowane, że iskry leciały, gdy je szcietkowała, spadały jej na plecy. Z gałązek hortensji zrobiła stroik, który przypięła nad czołem, a od Mildred Falk pożyczyła torebkę ze srebrnej siatki, akurat taką, w której zmieścił się notes i dwa ołówki. Mildred pożyczyła jej również róż, którym pociągnęła usta, a potem, nabrawszy śmiałości, musnęła policzki.

Pan McGregor się myli, myślała. Nie jestem może taka elegancka jak Celeste i obdarzona imieniem z niebios, ani taka wytworna jak pani Percivalowa Peerce, którą już mi kilkakrotnie pokazał w Casino jako niekoronowaną królową piękności Newport i jednocześnie najważniejszą osobistość tutejszego towarzystwa. Ale na swój sposób też jestem piękna. Błyszczę jak słońce w zenicie, oślepiająco złote i czyste. Celeste jest jak chłodna, letnia noc, a pani Peerce jak zapierający dech w piersiach, różanosrebrzysty świt. Cóż. Mniejsza

o strój, a zresztą, na kim miałabym robić wrażenie? Na tym, który kazał się nazywać Bayem, imieniem zarezerwowanym dla przyjaciół? On widział mnie już w najbardziej opłakanym stanie, pochlipującą, zalaną łzami i troszeczkę wstawioną...

No, już. Nie chciała się spóźnić. Krzywiąc się z dezaprobatą, zapięła swoje zwyczajne sandały i wyszła.

Tylko księżniczki miewają takie śluby. Tylko dla księżniczek rozpinają się girlandy zieleni przywiązując je do kolumn wraz z dwiema skrzyżowanymi różami, jedną czerwoną, drugą różową, na długich, ręcznie malowanych złotą farbą łodygach. Tylko dla księżniczek rozwija się przez środek nawy biały, jedwabny dywan i angażuje czterech harfistów, którzy usytuowani w czterech rogach świątyni grają wzniosłą pieśń.

Tylko księżniczki potrafią zapełnić kościół czterystoma zaproszonymi gośćmi, przyjaciółmi i życzliwymi znajomymi, którzy od najstarszych do najmłodszych reprezentują najświetniejsze rody w kraju. Tylko księżniczki zajeżdżają szkarłatno-złotą karetą ciągniętą przez czwórkę koni palomino, złocistych z płowymi grzywami, wystrojonych w czerwone uzdy z takimi samymi pióropuszcami. Tylko karete księżniczki eskortują złote psy, prowadzone na czerwonych smyczach owczarki szkockie w czerwonych obrożach z zawieszonymi na szyjach złotymi szkatułkami wypełnionymi ślubnymi medalami - krążkami złota z wybitymi na nich profilami panny młodej i pana młodego.

Audrey stała u boku Alabastra McGregora, przytłoczona i pokonana. Cieszyła się z jego opiekuńczego towarzystwa, dziwiła sposobem, w jaki pani Astor, sama pani Astor, zboczyła z drogi, aby go zagadnąć i zaprosić na lipcowe przyjęcie na łódkach. Drżała, gdy Alabaster przedstawił ją pani Peerce, zwracając się do owej damy po imieniu.

Pani Peerce, olśniewająco piękna w bezowoperłowej toalecie ozdobionej przy dekolcie i rękawach strusimi piórami farbowanymi na odpowiedni odcień, z włosami upiętymi w anielską aureolę,

przemówiła do niej:

- Rubryka Ally'ego zawsze była inteligentnie i zabawnie prowadzona, panno Smoke, lecz brakowało w niej odrobiny urody. Teraz ma już wszystko. Gratuluję, mój drogi. Panno Smoke, oto mój mąż, Percy.

- Miło mi - rzekł mężczyzna o zmęczonej, porytej bruzdami, niegdyś przystojnej twarzy. Opierając się ciężko na czarnej hebanowej lasce z gałką z kości słoniowej, skłonił głowę i uniósł lekko cylinder. - Gdy będziesz brała ślub, moja panno, spróbuj to zrobić w równie wspaniały dzień. Co ty na to?

Audrey spłonila się i przyrzekła, że się postara. Czuła wewnętrzną pustkę. Wszyscy byli tacy mili, tacy wytworni...

- A to moja córka Nicola, która wychodzi za mąż za Rolfa. Oto on. Panno Smoke, Lord Pomeroy, markiz Denton.

Córka pani Peerce była żywiołową pięknoscią o włosach tak płomiennorudych jak nabrzmiałe sokiem dojrzałe pestki granatu. Miała takie same rumieńce na policzkach i ogromne brązowe oczy, płonące całkiem nieprzystojnym u takiej damy nieokiełznanym ogniem. Na jej widok Audrey prawie zaparło dech w piersi. Była taka krągła, cerę miała tak białą, a na jej szyi i rękach szmaragdy skrzyły się w popołudniowym słońcu niczym łuski ryb wyskakujących wraz z morską pianą ku niebu.

- Słyszałam, że pani pływa - brzmiały pierwsze słowa Nicoli. - Nie uważa pani, że spódnica i długie nogawki kostiumu stanowią tylko niepotrzebny balast?

Audrey wydała w duchu okrzyk rozpacz. Pomocy! Uśmiechnęła się bezradnie, lecz Nicola najwyraźniej czekała na odpowiedź, mierząc zmieszaną dziewczynę taksującym spojrzeniem. Audrey przełknęła ślinę.

- Istotnie. Zgadzam się z panią - powiedziała. - Zawiązuję spódnice na supeł i staram się, aby kostium przylegał jak najbliżej ciała.

- Świetnie - pochwaliła Nicola, a jej szmaragdy zamigotały.

- Bardzo mi miło panią poznać - odezwał się lord Pomeroy. Był przystojny, mocno zbudowany, miał jasne włosy i cerę, lecz bez rumieńców Nicoli. Robił wrażenie człowieka sympatycznego i prostolinijnego i, podobnie jak narzeczona, tryskał energią. Uśmiechnął się do Audrey pełnymi, nawykłymi do śmiechu ustami i obdarzył ciepłym spojrzeniem niebieskich oczu radośnie patrzących na świat.

Audrey nie wiedziała, jak należy się zwracać do lorda. Zastanawiała się, czy powinna dygnąć, czy podać dłoń do pocałowania. Alabaster McGregor nie spieszył z pomocą, lecz ponieważ się nie skłonił, Audrey wyciągnęła jedynie rękę do owego prawdziwego, a nie malowanego na obrazku w książce lorda i rzekła:

- To dla mnie zaszczyt poznać pana.

Poczuła szybki uścisk silnej dłoni i już całe towarzystwo poszło dalej przywitać się, jak powiedzieli, z „Clarissa i Trippem”.

Audrey, która nigdy w życiu nie wyjeżdżała z Newport dalej niż do Providence, miała wrażenie, że znalazła się w jakimś obcym kraju.

Stojąc na schodach kościoła Alabaster McGregor, przewspomniały w błękitnym żakiecie i takich samych spodniach, w przerwach między wymianą powitań z miejscową elitą dyktował swojej asystentce uwagi, na przykład: „Dove, w swoich ulubionych kolorach”... „Clarissa Rails w bardzo twarzowym śliwkowym fiolecie, jeszcze żywa, choć pęd wiatru w samochodzie męża omal jej głowy nie urwał”... „Zack Pink z jedną z panien Westmore, ładnie się prezentującą w szafranowej”...

I oto nagle zajechała ślubna kareta przywitana głośnymi oklaskami. Lokaj w różowo-złotej liberii otworzył drzwiczki i pomógł wysiąść Edmundzie Lockholm. Trzej młodzi chłopcy w zielonych bryczesach odpięli złote szkatułki zawieszane na szyjach psów i rozdali pamiątkowe medale. Audrey z bojaźnią patrzyła na ten skarb i szybko wsunęła swój do torebki. Bała się zbyt długo przyglądać krążkowi, na którym podobizna Thorne'a wybita była obok

podobizny jego przyszłej żony. Przestała myśleć, w głowie jej się to wszystko nie mieściło. Z drżeniem przyglądała się widowisku, które przeszło jej wszelkie wyobrażenia.

Thorne z oczami pociemniałymi od dumy, z włosami, które nigdy nie były tak skręcone i lśniące, ubrany w perłowo-szary frak, siedział wciąż w królewskiej karocy niczym księżę przed koronacją. W głębi, prawie niewidoczna, siedziała panna młoda z twarzą zakrytą koronkowym woalem.

W drzwiczkach karety ukazał się teraz Bay Lockholm, ubrany tak samo jak Thorne w szary frak i szary cylinder. Podał ramię matce i wprowadził ją do kościoła. Za nimi podążyli zaproszeni goście i zajęli swoje miejsca w ławkach.

Audrey, przytłoczona przepychem, poszła za Alabastrem. Nogi miała sztywne, jakby z drewna. Wewnątrz świątyni powietrze aż drgało od dźwięków harf. Audrey śledziła Baya, który, zostawiwszy matkę na jej miejscu, wrócił do wyjścia. Zobaczyła również Thorne'a stojącego przy pulpicie. Powolne, majestatyczne takty marsza weselnego zwały się z dźwiękami harf.

Środkiem kościoła przeszedł teraz orszak druhen, a było ich tyle, że w końcu Audrey miała wrażenie, że przed jej oczami przesuwają się jeden ciąg ukwieconych, pastelowych, jedwabnych szarf. Para prześlicznych dzieci sypała z koszyczków świeże płatki róż na biały dywan. Za nimi szedł chłopczyk z fryzowaną peruczką na głowie i w stroju dworzanina. Na białej poduszce z pękami frędzli na rogach niósł obrączki. Audrey, otępiła i oszołomiona, siedziała obok Alabastra i jak wszyscy, z zapartym tchem, czekała na pojawienie się panny młodej.

Wsparta na ramieniu brata, Celeste wolno i majestatycznie zbliżała się do ołtarza. Jej czarne włosy z granatowym połyskiem wyraźnie kontrastowały z białym wnętrzem i sztandarami, a suknia z tworzących pajęczynkę tysięcy jedwabnych nitczek z nanizanymi na nie perełkami i brylancikami, przyszyta do cielistego, ciasno przylegającego do figury spodu, migotała roztaczając przy każdym

ruchu smukłych bioder oślepiający blask. Muzyka organów potężniała, ogarniając cały kościół...

W pewnym momencie uroczystości - Audrey nie potrafiłaby nawet określić, w którym - Alabaster McGregor pochylił się ku niej i zaczął coś mówić. Przeplatające się z muzyką słowa kilkakrotnie powracały, zanim z wypełniającej jej głowę powodzi dźwięków wyłowiła ich sens.

- Zrobiłaś, co do ciebie należało, Audrey. Teraz możesz już iść, kiedy zechcesz. Tylko nie zgub notatek.

Miałaby ochotę uciec natychmiast, wiedziała jednak, że nikomu nie wolno stąpnąć na białe, usłany różanymi płatkami dywan przed przejściem panny młodej. Czekwała więc z poczuciem, że nie jest już nikomu potrzebna na tej uroczystości.

Gdy Celeste zdjęła z twarzy koronkowy welon, Audrey wydało się, że widzi przed sobą uosobienie piękna. A Thorne, w szerokim uśmiechu odsłaniającym zęby tak białe jak gors koszuli, z włosami tak czarnymi jak włosy Celeste, obejmujący swoją nowo poślubioną żonę, wydał się jej kimś całkowicie obcym. Przystojnym nieznanym, który nigdy nie zaznał biedy, nigdy nie borykał się z losem, nigdy nie snuł marzeń o własnych promach i pracowitej żonie...

Audrey zawstydziała się swojej skromnej sukienki, która miała być jej ślubną i nie była. Z pogardą pomyślała o stroiku z hortensji zerwanych w ogródku Mildred Falk. Ucieszyła się, że może stąd uciec, że już wszyscy wychodzą z ławek, że jeszcze tylko kilka kroków po jedwabnym dywanie i będzie wolna. Młodą parę i gości powitał kłujący grad ryżu ciskanego garściami przez stajennych w złotych bryczesach. Panował tłok, ścisk i nieopisana wrzawa.

Audrey przemykała wśród tego tłumu, usiłując uciec stąd jak najprędzej. Nagle poczuła, że ktoś ją chwyta za rękę. Zdumiała się, przeraziła. Kto chciałby ją zatrzymać, płatnego intruza podglądającego eleganckie towarzystwo, nieproszonego gościa, skromną dziewczynę, nieznaną, nie chcianą, nie pasującą?

- Pozwolisz się zaprosić?

Podniosła głowę i napotkała jego spojrzenie, oczy tak samo niebieskoszare jak morze, jak garb wieloryba baraszkującego u ujścia zatoki...

Nie odpowiedziała. Głos uwiązał jej w gardle. On jednak trzymał ją mocno, kurczowo, nie zamierzając pozwolić jej odejść.

I uśmiechał się najłagodniejszym z uśmiechów. Audrey dostrzegła niepokój na jego twarzy. Odciągnął ją kawałek dalej od zgiełku i spytał:

- Zgodzisz się?

Jej oczy wpatrzone w jego szukały czegoś więcej, znaku mówiącego: Podobasz mi się, lubię cię, chciałbym poznać smak twoich ust... Chciała mu odpowiedzieć, że jest dla niego za biedna, zbyt nisko urodzona, że nie ma arystokratycznego tytułu, klejnotów, brokatów, perfum, koni ani chartów. Nie ma pałacu takiego jak on, sławnego nazwiska, marmurowych stołów i wytwornych potraw.

- Ale moja sukienka... nie jest odpowiednia...

- Do diabła z sukienką! - rzucił. - Idziesz?

- Nie możesz pokazać się ze mną. Wstyd ci tylko przyniosę - protestowała, lecz wbrew temu, co mówiła głośno, jej oczy wołały niemo: Tak, tak, tak...

- Nie czytałaś gazet? - szepnął, oddechem muskając jej włosy. - Już jestem pogrążony. Nie słyszałaś? Zamordowałem własną żonę.

Serce podskoczyło jej do gardła. Bała się tego świata, który Thorne tak łatwo zdobył. Nigdy jej nie kusił, podziwiała go tylko z daleka. I bała się Baya Lockholma.

Bezpieczniej było marzyć.

Matka powiedziała, a Audrey przyznawała jej rację: On nie jest dla ciebie, córeczko, tacy jak on nie są dla ciebie...

Lecz czego mu brak? Czego brak temu dziedzicowi fortuny, na której ciąży klątwa, że żadna dama nie kroczy dumnie u jego boku? Czego mu brak, że zniża się do zaproszenia Audrey Smoke, córki stolarza, na ucztę weselną własnej siostry? Ile dziewcząt próbował

zaprosić? Iloma wzgardził? Co takiego wytworne panny na wydaniu z Gilt Hill wiedziały o nim, czego ona, Audrey, prosta dziewczyna z miasteczka, ubrana w nędzną bawełnianą sukienczynę, z jedenastoma dolarami majątku schowanymi w pończosze, nie wiedziała?

Nie słyszałaś? Zamordowałem własną żonę...

- Pójdę z tobą wszędzie - oświadczyła. - Pójdę z tobą nawet do ciupy.

- Mówi się: więzienie - poprawił ją Bay. - Chodźmy. Dzisiaj będziesz miała przedsmak. Będziesz mogła potrzepotać skrzydełkami w złoconej klatce, będziesz miała okazję przekonać się, czy ci się to podoba.

Podprowadził ją do znanego jej już czarnego powozu z dropiatym siwkim.

- Matka już pojechała - powiedział. - A o sukienkę się nie martw. Znajdę coś dla ciebie. - Dał sygnał woźnicy, by ruszał. - W przepastnych szafach Virginii jest pełno ubrań, które zamówiła i nie nosiła. Wybierzesz, co zechcesz. Zgoda?

Audrey spuściła wzrok, spojrzała na swoją prostą sukienkę i przypomniała sobie wspaniałe toalety pań, jakie widziała na ślubie. Och, gdyby mieć taką suknię jak one! Włożyć ją na siebie, stanąć na soczystym trawniku przed wspaniałą rezydencją z kremowego kamienia. Zobaczyć stamtąd morze! Tańczyć walca na parkiecie z płyt marmuru sprowadzonego z zamorskich gór, których nigdy nie ujrzy, ciętego na bloki przez rzemieślników budujących tylko dla koronowanych głów. Stać tam, równie wytworna jak najświetniejsze damy Ameryki. Przechadzać się u boku Baya jako jego wybranka, jego naj... Wezmą ją za księżniczkę przybyłą z dalekich krajów? Będą zazdrościć jej cery, wąskiej kibici?

Ach, nie.

Wiedzą, kim jestem. Widzieli mnie już przed kościołem pilnie notującą pod dyktando Alabastra McGregora. Zauważyli bawełnianą sukienkę ozdobioną prostą falbaną, moją nagą szyję, ramiona...

Widzieli, jak patrzę szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, widzieli, jak nie potrafię się zachować... Nie, nie jestem tak zręczna jak Thome, który wśliznął się do ich towarzystwa, przyglądał, naśladował, uczył się, aż triumfalnie zdobył swoje miejsce wśród nich.

Przygryzła wargę i spojrzała na Baya. Siedział lekko dotykając jej ramieniem.

- Wszystko jest dla mnie takie nowe - powiedziała.
- Dzięki Bogu - odparł i delikatnie wziął ją za rękę. - Nie chciałbym, żebyś była zepsuta i bez serca.
- Mogłeś zaprosić wiele innych dziewcząt.
- Mogłem, ale tego nie zrobiłem. - Wyraz niepokoju zniknął z jego spojrzenia. Uśmiechał się i wyglądał bardzo młodzieńczo.
- Nie będę wiedziała, jak się zachować.
- Głuptas. Bądź sobą. Ja zawsze tak robię.
- Nikogo nie znam.

Bay wybuchnął śmiechem.

- Znasz pana młodego. I to bardzo dobrze. Przedstawiłem ci moją siostrę. Znasz Ally'ego. Znasz mnie. A innych poznasz. Nie martw się, dzikusko z nadmorskich skał, oni nie gryzą.

Dzikuska z nadmorskich skał... Czyżby tak o mnie myślał?

Patrzyła na mijane rezydencje przy Bellevue Avenue, na majestatyczne drzewa. Z okna powozu jadącego na przyjęcie na Gilt Hill, Newport wydawało się jej o wiele piękniejsze niż zwykle. Gdy Bay Lockholm trzymał ją za rękę i obiecywał piękną suknię, taką, jakiej nigdy w życiu na sobie nie miała, Newport było rajem...

Audrey nigdy nie widziała Whale's Turning od frontu. Od Gilt Hill Drive dom zasłaniały wysokie krzewy, a kute bramy broniły dostępu. Teraz bramy były szeroko otwarte na powitanie gości, a odźwierny zginał się w ukłonach. Za bramą ciągnęła się aleja bukowa. Dziś na każdym drzewie, wysoko i nisko, wisały koszyczki, każdy z dwoma pączkami róż, przewiązane biało-różową kokardką. Na wyłożonym płytami podjeździe kopyta koni stukały cicho i

swojsko, jak bicie jej serca.

Za drzewami po obu stronach alei rozciągały się wspaniale wypielegnowane trawniki. Nagle przed nią wyrosła bryła domu. Był to istny pałac. Miał dwa piętra i dwa skrzydła, dach z czerwonej dachówki i pięć sterczących z niego kominów, drzwi i okna podwójne, nad każdym oknem rzeźbiony fryz, a na każdym poziomie taras z rzeźbioną balustradą. Słychać było fale oceanu rozbijające się o skały, powietrze przesycone było solą morską. Stanęli przed imponującym portykiem wspartym na ośmiu porośniętych bluszczem kolumnach. Mimo że dopiero zapadał zmierzch, szeroki podjazd był rzęsiście oświetlony ogromnymi kulistymi lampami, osadzonymi na wysokich, rozgałęzionych, kutych słupach. Pośrodku klombu tryskała fontanna: misę z greckiego marmuru podtrzymywał nagi, grecki bóg. Właśnie na brzegu misy przysiadł kardynał i zanurzał dzióbek w wodzie, chcąc się napić. Spłoszony jednak przez nadjeżdżający powóz, uniósł łebek, spojrzął na Audrey, zatrzepotał szkarłatnymi skrzydełkami, wzbił się w powietrze i zniknął...

- Podoba ci się?

Pod wrażeniem majestatu tej budowli zapomniała o swoim towarzyszku, zapomniała o całym świecie.

- To świątynia bogów - powiedziała odwracając się do Baya.

- Mylisz się - odparł. - Chodź. Musisz się przebrać, zanim zrobi się tłok.

Ujął ją w talii, uniósł i wysadził z powozu. Przez jedno mgnienie wydało się jej, że to ona szła dziś po zasłanym płatkami róż dywanie na spotkanie Baya, i że to ona złożyła przysięgę, że teraz on nie wypuści jej z ramion, lecz przeniesie przez próg i że nie będzie musiała wchodzić po kolejnych stopniach ku tamtej kobiecie - przypominającej kraba, przysadzistej, opartej o laskę, ubranej od stóp do głów w same granaty, obwieszanej perłami. Ku kobiecie, która stoi u szczytu zimnych, kamiennych schodów w wielkim holu na parterze swojego pałacu, aby witać weselnych gości...

- Mamo - usłyszała głos Baya - pozwól, że ci przedstawię mojego gościa, pannę Audrey Smoke z Newport.

Oczy tej kobiety były szaroniebieskie jak oczy jej syna, lecz pozbawione owego żywiołu morza. Oczy pani Lockholm były znużone, wpółukryte pod ciężkimi, zwiotczałymi powiekami, które miały maskować taksujące spojrzenie.

- Znam twoją rodzinę, dziecko? Czyśmy się już kiedyś poznali?
- spytała podając Audrey miękka, prawie bezwładną dłoń z wyraźnymi, sinymi żyłami i długimi, twardymi, różowymi paznokciami.

- Mój ojciec miał zaszczyt wykonywać meble dla państwa. Jest znanym stolarzem w Newport. Nazywa się Lawrence Smoke.

To wystarczyło. Audrey spostrzegła, jak błysk zainteresowania natychmiast gaśnie, a twarz zmienia się w bezwzględną maskę.

- Witaj w Whale's Turning - rzekła i cofnęła dłoń. - Przejdziesz przez taras na trawnik od strony wschodniej.

W tej samej chwili Bay, wyminąwszy matkę, wprowadził Audrey na schody. Edmunda Lockholm bez słowa odwróciła się z powrotem ku drzwiom wejściowym, majestatyczna, nieustraszona, czekająca na lepsze towarzystwo...

Audrey miała wypieki na policzkach. Była tak podekscytowana, że nie dbała o doznany afront. Rozglądała się po wielkim holu Whale's Turning, chciała zobaczyć i wszystko naraz, i każdy szczegół z osobna. Było tu tyle do oglądania, do podziwiania, dotykania, zapamiętania, a dalej czekało jeszcze więcej... Zbyt dużo tego, nie zdoła sobie później wszystkiego przypomnieć - tych strzelistych ścian z najbielszego kamienia, rzeźbionych i ozdobionych girlandami o zawiłych wzorach, olbrzymich przestrzeni, pilastrów wznoszących się jakby do samego nieba, podtrzymujących sufit ze złota. Złoto. Wszędzie złoto. Obręcze, wieńce, monumentalne kwiaty i kopuły, z których zwieszały się żyrandole z brązu na długich, długich łańcuchach i mimo to wisały wysoko, wysoko nad jej głową... I tam, nad wysłanymi czerwonym dywanem imponującymi schodami z

kremowego marmuru, zabezpieczonymi czarnymi poręczami na wspornikach z brązu, tam właśnie, i nad każdym łukiem, widniał herb Lockholmów oprawiony w tarczę z marmuru z różowymi żyłkami: platynowy zarys żaglowca na falach z turmalinu...

Audrey zakręciło się w głowie. Chciała śpiewać, krzyżeć, rzucić ubranie i naga jak dzikuska biec przez wszystkie pokoje, śpiewając na różne tony.

Bay prowadził ją ku schodom na środku wielkiego holu.

- Pospiesz się - powiedział. - Nie mamy dużo czasu. No, chodź.

Podskakiwała z emocji u jego boku, wciąż się odwracała to tu, to tam, upojona pięknem i przepychem pałacu Bayarda Lockholma. Nie, nie mamy dużo czasu, śpiewała w duchu, lecz mamy tę chwilę, a dla mnie chwila to więcej niż dużo, więcej, więcej...

Na półpiętrze, gdzie schody dzieliły się na dwie części, ujrzała po obu stronach dwa gabinety: jeden dla pań, drugi dla panów. Na liczącej niemal siedem metrów ścianie podestu znajdował się olbrzymi witraż, a poniżej, ocieniony teraz wpadającymi jak przez barwny kalejdoskop promieniami słońca, wisiał portret kobiety w delikatnej sukni ze spódnicą ozdobioną przypiętymi bukietami róż.

Audrey zatrzymała się. Virginia?

Lecz Bay pociągnął ją na schody, na piętro. Podniosła jego dłoń do ust i pocałowała, nie wiedząc, dlaczego to robi, nie myśląc, nie dbając, czy wypada, jak należy, a jak nie należy się zachować.

Znaleźli się w długim holu, którego ściany zawieszane były gobelinami, a podłoga z czarnego kamienia wyłożona perskimi dywanami. Stały tam również olbrzymie wazy pełne kwiatów na wysokich łądogach. Bay zatrzymał się przed parą drzwi z małymi szybkami, zasłoniętymi od wewnątrz jedwabną kotarą w odcieniu szampana.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział. - Służę pani... - Zawiesił głos, przekręcił gałkę z kości słoniowej i pchnął drzwi. Cofając się dodał: - Pospiesz się, wybierz coś. Po prostu się pospiesz. Popilnuję na zewnątrz.

Drzwi zamknęły się za nią. Znalazła się w pomieszczeniu większym niż całe mieszkanie nad warsztatem stolarskim przy Bridge Street. W tej olbrzymiej, złocistej komnacie poczuła się bardzo, bardzo mała. „Tak ciasno. Tak ubogo”, powiedział Thorne. Ściany buduaru obite były jedwabną tłoczoną tapetą, brzoskwiowo-złotobeżową. Podwójne okno od podłogi do sufitu zasłonięte było taką samą kotarą, ciężką i mięsistą, udrapowaną w fałdy i obszytą frędzlami, oraz koronkową firanką. Identyczne zasłony ozdabiały wspaniałe łóżce z baldachimem i czterema kolumnami wypolerowanymi do połysku przez stolarza-artystę i zwieńczonymi rzeźbionymi koronami. Dywan był istną łąką pastelowych kwiatów, różowych i brzoskwiowych na perłowo-szarym tle. Meble miały barwę kości słoniowej, rzeźbione, ozdobne, o miękkich liniach, a lustra i parawany kapały od złota...

Pospiesz się, przykazał.

Jak długo stała tuż przy drzwiach, wpatrzona w swoje liliście odbicie we wspaniałym lustrze na toaletce pod przeciwległą ścianą?

Czy ośmieli się stanąć na dywanie, miękkim i gęstym jak łąka, jaką udaje, podejść do cudzej szafy, otworzyć ją i dotykać sukien szytych dla tragicznie zmarłej pani tego królestwa, wyciągać kolejno niebieskie, białe, seledynowe kreacje, wieszać z powrotem, aż znajdzie tę z cielistokoralowego i rdzawoczerwonego szyfonu, rozkwitającą niczym kielich kwiatu wokół odsłoniętych ramion, przylegającą do ciała jak skórka do kulki winogrona, otulającą jej kibić niczym pędy kapryfolium?

Nie ma kobiety równie pięknej jak ona.

Audrey okręciła się powoli przed obliczem złotego sobowtóra w lustrze i wyciągnęła ramiona w górę. Była bardzo bogata i nieziemsko piękna. Cisnęła prosty wianek z hortensji na jedwabną kanapkę. Grzebieniem z kości słoniowej rozczesała włosy. Jednym ruchem zrzuciła brudne sandały, wsunęła stopy w aksamitne, koralowe pantofelki i od razu kilka centymetrów urosła! A na dodatek, tam za drzwiami, czeka na nią mężczyzna, który ją wielbi,

czeka, by zabrać ją na bal!

Nie obejrzy się, by rzucić ostatnie spojrzenie za siebie, bo gdyby to uczyniła, sen zniknąłby, uleciał niczym bąbelki z szampana.

Bay wciąż tam stał, zaciągając się dymem z cygara.

- Nareszcie - powiedział słysząc, jak zamyka za sobą drzwi.

- I jak? - spytała opierając się o framugę. Była tak słaba, że dygotały jej kolana.

- Wzbudzisz powszechną zazdrość. Jeśli zdążymy, obsypię cię jeszcze klejnotami - rzucił żartem. Wcale nie oniemiał na widok jej urody właśnie wyłonionej ze skorupy, jej elegancji wydobytej z...

- Jak tylko zejdziemy na dół, skreć w prawo - instruował. - Zobaczysz werandę i trawnik. Idź po prostu przed siebie. W ten sposób nie będziemy musieli znowu przechodzić koło mojej matki, jeśli nadal jest w holu. To dobra kobieta, tylko trzeba się do niej przyzwyczać. Woli mężczyzn niż kobiety i w tym cały problem...

- Co ty sobie, dziewucho, wyobrażasz!

Pani Lockholm stała u stóp schodów ze wzrokiem wbitym w Baya i Audrey. Na jej twarzy malowało się śmiertelne oburzenie. Audrey usłyszała furię w jej głosie. Poczwała, jak Bay sztywnieje.

Obok pani Lockholm stali państwo Peerce, Percy i Dove, którym Audrey została przedstawiona w kościele. Cofnęli się, słysząc nagły wybuch gniewu pani domu i unieśli oczy na stojącą w połowie schodów, zastygłą w bezruchu dziewczynę. Audrey zdawało się, że słyszy za sobą chichot damy z portretu na podeście.

- Myślisz, że kim ty jesteś, nędzna złodziejko! Zawracaj prędko, moja panno, i zdejmuj natychmiast suknię pani Lockholm! Jak śmiałaś!

- Dałem jej tę suknię, mammo...

- Ruszaj na górę, przybłędo, bo zawołam policję!

- To jest mój dom, mammo. Nie życzę sobie, żebyś tak traktowała moich gości.

Audrey zawróciła, oślepiona łzami, które chciała ukryć przed tamtą kobietą, ogłuszona nagłym szumem w głowie. Potykając się

biegła po schodach, które jakby nie miały końca. Policzki płonęły jej ze wstydu, serce krwawiło od doznanego upokorzenia. Sen przysł, zanim zaczęła śnić.

Teraz już nie miała złudzeń. Stała się powodem kłótni Baya z matką, i to w taki dzień. Ślub Celeste już na zawsze zbrukany będzie grzechem Audrey Smoke, parweniuszki z miasteczka, która wdarała się tu i wystrojona w suknię zmarłej żony Baya chciała udawać wielką damę.

Co ją do tego popchnęło? Czyżby przykład Thorne'a, któremu poszło jak po maśle?

Minęła portret, witraż, była już na piętrze. Nareszcie znalazła się we właściwym korytarzu, gdzie każdy kwiat w wazonie, każda arabeska na perskim dywanie szydziły z niej i tańcząc przed jej oczami szeptały: Precz z naszego domu, precz stąd, precz stąd, precz!

Wydawało się, że nawet gałka z kości słoniowej na drzwiach buduaru wzbraniała jej wstępu. A może to spoconym dłoniom nie udawało się jej przekręcić? Audrey dziękowała Bogu, że jest już w czterech ścianach tego pokoju. Zaciskając powieki, aby ponownie nie ujrzeć w lustrze, jak przepięknie wygląda w sukni Virginii, zdjęła ją i odwiesiła na miejsce. Niech czeka na tę, która nie wstanie, nie może wstać z grobu, nie włoży jej i nie pójdzie na bal...

Przez uchylone okno wpływała do buduaru muzyka, dźwięki harf i skrzypiec, oraz gwar i śmiechu

Włożyła swoją znieawidzoną bawełnianą sukienkę i zaczęła się rozglądać za jakąś chusteczką do wytarcia oczu. Za drzwiami obitymi taką samą tapetą co ściana była łazienka, tak duża jak cały jej pokój na Bridge Street, chociaż teraz już mniej ją to zaskoczyło. Ściany i podłoga wyłożone były marmurem, a wanna w kształcie dwóch łabędzi miała złote kurki imitujące ptasie główki.

Naprzeciwko wanny znajdowała się garderoba, półki, szuflady, szafki z gałkami z kości słoniowej, rzeźbionymi w pióra. Lawrence Smoke musiał zbudować to cudo nawet nie sądząc, że jego córka

kiedyś je ujrzy... Audrey umyła twarz. Z torebki wyjęła pudełeczko różu. Natarła nim policzki, aby ukryć bladość i pociągnęła wargi, odrobinę mocniej niż poprzednio.

Wróciła do buduaru, stanęła przed toaletką i lustrem w złotej ramie. Uczesała włosy, nisko nad czołem upięła gałązki hortensji. Intensywny błękit kwiatów pogłębiał kolor jej oczu. Włożyła sandały, wygładziła falbanę.

- Audrey? - usłyszała jego głos przez drzwi.

A natychmiast potem głos pani Lockholm, zbyt stłumiony, aby rozróżnić poszczególne słowa, lecz na tyle donośny, aby się zorientować, że matka rodu nie przestała wygłaszać swojej opinii.

Audrey podeszła do drzwi i nie otwierając ich powiedziała spokojnie:

- Już wychodzę.

Potem zawróciła, schyliła się, dłonią przetarła pantofelki Virginii, aksamitne kokardki, obcasy, które miały pomóc jej zrównać się z uprzywilejowanymi... Zamknęła szafę.

Przeszła przez pokój, uniosła dumnie głowę i energicznym szarpnięciem otworzyła drzwi.

Pani Lockholm oddalała się właśnie korytarzem, wyprostowana jak rzeźba z granitu, dźgając dywan laską, jak gdyby to było krwawiące serce Audrey.

Bay położył obie dłonie na jej ramionach, kciukami delikatnie musnął jej brodę.

- Przepraszam, maleńka. Dziś nie jest odpowiedni dzień na odwiedziny w jaskini lwicy. W tym stroju też jesteś piękna. Idziemy?

- Idziemy? Dokąd? Przecież ty musisz zostać tutaj ze swoimi gośćmi.

- Dziecko. Urocze dziecko. Pozwól... - Z wyrazem dziwnej łagodności na twarzy i ciepłym blaskiem w oczach podał jej ramię.

W milczeniu przeszli przez hol na piętrze. Arabeski na dywanie przestały tańczyć, a kwiaty nie szeptały już: Precz, precz, precz... Audrey nie rozglądała się na boki, gdy schodzili na dół, dała się

prowadzić Bayardowi choćby na kraj świata...

Trawnik od strony wschodniej mienił się feerią barw. Pośrodku ustawiono drewniany parkiet do tańca, a wokół niego różowe, ozdobione białymi kokardami stoliki. Wszędzie paliły się olejowe lampy osadzone na wysokich, wbitych w ziemię drągach. Wzdłuż północnej krawędzi, pod jedwabną markizą w czerwono-złote pasy, stał rząd bufetów z zimnymi daniami. Młode dziewczęta wystrojone bardziej niż Audrey, w szmaragdowe „tulipany” wybrane przez panią Lockholm z katalogu w magazynie Darlinga, roznosiły szampana. Harfistki, których instrumenty ustawiono w gwiazdę, grały niebiańską muzykę. Przystojny skrzypek w typie latynoskim przechadzał się wśród gości. Nowożeńcy tańczyli na parkiecie. Przytuleni, opromienieni pomarańczowoczerwonym, zachodzącym słońcem.

- Co chciałabyś zjeść? - spytał Bay podprowadzając Audrey do tłumu gości. - Jeśli dobrze pamiętam, w tym jesteś najlepsza.

Audrey wyteżała wzrok, aby ponad ludzkimi głowami dostrzec zatokę, gdzie w miejscu zetknięcia się jej z oceanem wieloryby baraszkowały leniwie, polowały na ławice ryb i wypuszczały w niebo fontanny wodnej mgiełki.

- Znakomity pomysł - odpowiedziała. - Moglibyśmy potem usiąść nad zatoką i przyrzeć się, jak zapada zmierzch?

- Jak się masz, Bay. Jaki piękny dzień... Kto to?

- Clarissa Rails, Audrey Smoke - przedstawił Bayard.

- Chyba jeszcze nie miałyśmy okazji się poznać - rzekła pulchna blondynka ubrana w kreację z fioletowej tafty obramowanej srebrem, jednocześnie obrzucając sukienkę Audrey baczным spojrzeniem.

- To się da naprawić, Clarisso - odparł Bay, zanim Audrey zdążyła otworzyć usta. - Sezon dopiero się zaczyna. Gdzie Tripp?

- Zaraz tu będzie. Musiał dolać oleju do silnika. Wyobrażasz to sobie? Ten automobil pije olej jak smok. Tripp wozi w bagażniku puszki i nie pozwala służącym ich tknąć. A pani mąż co sądzi o

automobilach? - zakończyła, zwracając się do Audrey.

- Nie jestem zamężna, proszę pani.

- Panna Smoke uczyniła mi zaszczyt i zgodziła się być dziś moim gościem - wtrącił Bay, podał obu paniom kieliszki szampana podsunięte przez lokaja z tacą i wzniosł toast: - Zdrowie młodej pary.

Pani Rails nie przestawała wpatrywać się w Audrey.

- Jest pani jedną z tych kobiet zarabiających na życie tańcem, w których towarzystwie Bayard tak gustuje?

- Pra... Pracuję w redakcji „Daily Whirl”. Jestem asystentką pana Alabastra McGregora.

- Słuchasz złośliwych plotek, Clarisso. - Zza pleców Audrey odezwał się głos jej szefa. - Słuchać wolno, nawet trzeba, lecz wierzyć... Ze wszystkich osób ty, moja droga, powinnaś wiedzieć najlepiej.

- Cóż, doprawdy nie wiem, o co ci chodzi, Ally - obruszyła się Clarissa i odeszła chrupiąc krewetki.

- Będzie miała nad czym się zastanawiać przed następnym tygodniem - zażartował Alabaster. - Widzisz, Audrey, czasami trzeba odparować cios. Walczyć albo zginąć. To stara maksyma, lecz nigdy lepiej się nie sprawdzała niż dziś.

- Nie dysponuję bronią, panie McGregor - odrzekła. „Jest pani jedną z tych kobiet zarabiających na życie tańcem, w których towarzystwie Bayard tak gustuje?”

- Bzdura. Nie martw się. Masz Bayarda, masz mnie. Jesteś niepokonana.

- Dzięki - rzekła w przypiływie wdzięczności. - Wiedziałam, że wkraczam na obce terytorium, lecz nie spodziewałam się pola bitwy.

- Chociaż, dlaczego Bayard zaprosił cię w tym stroju... Audrey zadrżała. A więc to się rzuca w oczy. Lecz Bay skwitował tę uwagę śmiechem.

- Teraz ty nie zaczynaj. Przeżyliśmy już starcie z matką i Audrey dostała za swoje.

- Ale na miłość boską, dlaczego nie dałeś temu biedactwu jakiejś sukni? Ja już jej kupiłem trzy. Prawda, moja droga? Trzy tylko do biura.

Nagle Audrey wybuchnęła śmiechem. W porządku, nie ma odpowiedniej toalety, ale jest tu z Bayem i panem McGregorem, a oni ją lubią i w razie ponownego ataku osłonią. Nauczy się walczyć, odparowywać ciosy...

- To nie ciebie obrali sobie za cel, Audrey - powiedział Bay - lecz mnie, a niestety przy tym i tobie się dostaje. Teraz widzisz, że tu, na górze, życie nie składa się z samych homarów w śmietanie i zachodów słońca.

Audrey uśmiechnęła się do niego i wzięła Alabastra pod ramię.

- Ależ tak. Zachód słońca właśnie się zbliża. Chodźmy. Podeszli najpierw do bufetu, a kelnerzy nałożyli im pełne talerze smakowitego jedzenia.

- Zmykam, spotkamy się później - rzucił Alabaster i udał się na poszukiwanie Edmundy Lockholm. Musi wywęszyć, co dokładnie zaszło pomiędzy matką i synem, gdy Bay przedstawił jej Audrey Smoke w tej sukieneczynie za dwa dolary. Och, gdyby mógł to wydrukować...

Bay zaprowadził Audrey do kamiennego falochronu. Na ciemniejącym horyzoncie pozostały jeszcze nikłe ślady różowoszarej poświaty. Na znak uniesionej ręki wyrósł przed nimi „tulipan” z tacą oszronionych kieliszków z szampanem.

- Zanim się zajmę jedzeniem, muszę choć raz zatańczyć z moją siostrą. Popilnujesz mi talerza?

Mimo że nie chciała, aby zostawiał ją samą, uśmiechnęła się i skinęła głową. W duchu modliła się, żeby szybko nastały ciemności i uczyniły ją niewidoczną dla reszty gości bawiących się w kręgu olejowych lamp.

Ktoś jeszcze znajdował się koło falochronu. Jakaś grupka ledwie dająca się rozpoznać w gasnącym zmierzchu. Aha, to pani Peerce, czyli Dove, jej mąż i jakieś dwie nieznanajome. Ich głosy niosły się aż

tutaj.

- Edmunda jest wściekła - powiedziała jedna z kobiet. - Aż się trzęsie ze złości. Co prawda ma powody. Wpierw Celeste kompromituje się z jakimś majtkiem...

Kompromituje się, nasłuchiwała Audrey. W jaki sposób?

- .. .a potem upiera się wyjść za niego za mąż - kończyła kobieta. - Rok temu biedna Virginia...

- A teraz śledztwo przeciwko Bayowi - przerwała jej druga z niezidentyfikowanych dam. - To straszne.

- Nie chodzi o śledztwo - dodała pierwsza. - Oni są pewni, że ją zabił. Potrzebują tylko dowodu. Edmunda tego nie przeżyje.

- A dziś Bay się zjawia z jakąś dziewczyną na weselu siostry...

- .. .która poślubia jakiegoś chłopaczkę...

- Wyobraźcie sobie, że daje jej jedną z sukien Virginii...

- Widziałaś przecież, co ma na sobie...

- Nie do wiary, Dove, nie do wiary, a jednak prawda. No cóż, Edmunda zagroziła, że odbierze sobie życie. Sama mi to powiedziała. Zagroziła, że oświadczy to publicznie, jeśli Bay nie każe tej bezczelnej dziewczynie zdjąć sukni.

- Ale Bay nazwał ją szantażystką i Edmunda wybuchnęła płaczem.

- Powiedz coś, Dove. Przecież jesteś tak samo zaszokowana jak wszyscy.

Audrey z napięciem oczekiwała, co powie Dove. Błagam, zaklinała w duchu, niech pani nie mówi niczego przeciwko mnie.

- Natknęłam się na tę dziewczynę przed ceremonią. Stała z Alabastrem.

- Jakie wrażenie na tobie zrobiła?

- Lafirynda?

- Skądże znowu! - Audrey rozpoznała głos Percivala Peerce'a. - Miła dziewczyna, ładna, skrupowana oczywiście, ale całkiem miła. A tobie jaka się wydała, kochanie?

A Dove, owa królowa Newport, westchnąwszy ciężko, wyznała:

- Problem w tym, że moim zdaniem jej zachowanie, jej uczucia to pozłota.

Zebrani wokół Dove dopiero po dłuższej chwili pojęli, o co jej chodzi. Rozległy się śmiechy.

- Pozłota! Och, Dove, jesteś cudowna.

- Oscar Wilde by ci pozazdrościł... Nawet Percy zaśmiał się rubasznie.

Audrey zadrżała z lęku, jej serce zamieniło się w grudkę lodu. To prawda, prawda, pomyślała. Wcale nie jestem zakochana w Bayu Lockholmie. To wszystko tylko pozłota. Pozłota zniknie...

10

Lipiec

Przez następne kilka dni prześladowały ją wspomnienia z wesela Thorne'a i Celeste. Jedli. Tańczyli. Bay odwiózł ją powozem zaprzężonym w dropiatego siwka do domu Mildred Falk. Nie pocałował jej. Na pożegnanie powiedział:

- Jesz lepiej niż tańczysz, wiesz? Ale to nie szkodzi. Ja też nie jestem mistrzem tanga.

Przez cały wieczór pani Lockholm trzymała się od niej z daleka, tak samo Thorne, tak samo jego nowo poślubiona żona. I w ogóle wszyscy goście, chociaż Bay twierdził, że to jego unikają. Audrey nie cierpiała z tego powodu; nie była przygotowana na wejście do towarzystwa z Gilt Hill, nigdy nie będzie na to przygotowana, nigdy zresztą nie zdoła tego zrobić. Była biedną dziewczyną, a blask takiego stylu życia tylko na moment ją oślepił, tak że zapomniała, gdzie jest jej miejsce.

A jednak tęskniła za tym mężczyzną, tym domem, tym buduaem, strojami. W marzeniach widziała siebie ubraną w jedną z tamtych sukien, panią tamtego trawnika, tamtego widoku, najlepszego widoku na wieloryby podpływające o zmierzchu na żer do ujścia zatoki, gdzie ocean styka się z ciemniejącym niebem.

Bayarda Lockholma zobaczyła ponownie dopiero w następny piątek. Gestem wezwał ją do swojego boksu w kącie redakcyjnej hali.

- Wybierzesz się ze mną dziś wieczorem na spacer? - spytał. - Moglibyśmy pójść brzegiem do Cliff Walk i wejść na WaterWalk. Jest coś, co muszę ci powiedzieć na osobności. Kilka rzeczy. Trudnych rzeczy...

Chce ją zwolnić? Czyżby matka wymogła na nim, aby nigdy już nie zobaczył się z tą przybłądą z miasteczka, którą ośmielił się przyprowadzić do rezydencji zwanej Whale's Turning? A może wyjeżdża? Alabaster McGregor dał jej do zrozumienia, że Bay mógłby ewentualnie wybrać się w dłuższą podróż, dopóki śledztwo się nie zakończy i skandal nie przycichnie. Irlandia, sugerował, Szkocja, wrzosowiska, jeziora...

- Chętnie - odpowiedziała, gotowa na wszystko.

- W takim razie spotkajmy się o wpół do siódmej przy Long Wharf. Jeśli Ally poprosi, żebyś została dłużej, powiedz, że nie możesz, bo masz spotkanie ze mną.

Kiwnęła głową i wróciła do swojego biurka. Czy pan McGregor wie, że ona odchodzi? Może dlatego przez cały tydzień był taki miły, bo nie będzie już musiał znosić jej błędów ortograficznych ani tłumaczyć, że suknia pani Astor nie była po prostu niebieska, lecz w odcieniu „cyraneczki”.

Gdy przyszła na nabrzeże, Bay już czekał przy łodziach. Ubrany był w jasne Iniane spodnie i koszulę z podwiniętymi rękawami. Spostrzegła delikatne, złotawe włoski na jego rękach i mocne, gładkie mięśnie. Po raz pierwszy uświadomiła sobie męskość i piękno jego ciała; był wysoki, proporcjonalnie zbudowany, silny. Brązowe włosy, rozwiane wiatrem, opadały mu na czoło, a usta, gdy ją zauważył, rozchyliły się w uśmiechu, na którego widok oblała ją fala niebezpiecznego ciepła...

- To nie będzie dla mnie łatwe - powiedział i wziął ją za rękę.

Audrey milczała. Starła się dotrzymać mu kroku. Dobrze, niech mnie już odprawi, myślała. Tak będzie lepiej. Pani Lockholm ma rację. Dla Audrey Smoke będzie lepiej, jeśli wróci na ziemię i zapomni o swoich płomiennotęczowych marzeniach.

- Przyszły wyniki ekshumacji - przerwał milczenie Bay.. Audrey wstrzymała oddech. Całkiem zapomniała o tym, że ciało Virginii zostało wyciągnięte z grobu, zbezczeszczone, pocięte... Przez ostatnie dni pamiętała tylko o portrecie za kolorową mgiełką

przefiltrowanego przez witraż światła, a nie o niewyraźnym, upiornym wizerunku Virginii, sprzed roku, o tym, jak wyglądała w chwili śmierci. Pamiętała wzrok utkwiony w uzurpatorce, nowej kobiecie u boku Baya Lockholma...

- Lekarz sądowy znalazł ślady walki, sińce na szyi, zadrapania na ramionach i piersiach. Niektóre z nich, jest o tym przekonany, nie powstały w wyniku upadku. Sińce wskazują na ślady duszenia, wyraźnie widać odcisk kciuka i...

Jak on może tak spokojnie o tym mówić? Jak ja mogę tak spokojnie słuchać, zastanawiała się Audrey. Mimo silnych porywów wiatru nie było jej zimno. Rozgrzewało ją ciepło jego dłoni, bliskość jego ciała.

- Zgłosił się pewien robotnik - rzeczowym tonem ciągnął swoją relację Bay, jak gdyby mówił o kłopotach kogoś obcego, kogoś, z kim się nigdy nie zetknął. - Jeden z pracowników zatrudnionych przy wykańczaniu wnętrza. Detektyw Smythe przesłuchiwał całą ekipę, a ten człowiek... właśnie on twierdzi, że w pokoju na strychu były ślady walki. Trzymał tam swoje bejce do drewna pod brezentową płachtą przy belkach wspierających stropy, żeby nikomu nie zawadzały. Kiedy następnego dnia przyszedł wczesnym rankiem do pracy, nie wiedząc nic o tragedii... Nie wiem, czy pamiętasz, ale tamtego dnia wszystkich zwolniono koło południa i dopiero wiele tygodni później wznowiono prace.

Audrey potrząsnęła głową i mocniej ścisnęła dłoń Baya. O istnieniu Virginii Lockholm dowiedziała się dopiero później, gdy już było po wszystkim, gdy jako jedyna żałobniczka okrywała trumnę zmarłej całunem z róż.

- Otóż ten człowiek powiedział Smythe'owi, że zastanowiło go wówczas, dlaczego jego rzeczy były jak gdyby ruszane. Nie poprzewracane, ale odsunięte pod jakieś meble, a brezentowa płachta rzucona w kąt. Pamięta, że zirytowało go to, bo musiał zbierać puszki, a jako że należy do tych rzemieślników, którzy dbają o narzędzia, lubi mieć wszystkie materiały w jednym miejscu.

Rozglądał się więc wokół, zły, że jakiś kolega myszkował w jego zapasach... Spostrzegł wtedy na którymś ze sprzętów wypaloną do połowy świecę i zauważył, że meble były trochę poprzestawiane. Zauważył również pęknięcie przy framudze nie wykończonego jeszcze okna, jakby ktoś się z nim szarpał, usiłował wyrwać. Niemniej stwierdziwszy, że jego własność nie ucierpiała, nikomu nic nie powiedział. Pomyślał, że kilku robotników urządziło sobie po prostu bibkę. Później, gdy dowiedział się o... wypadku, zapomniał o tych szczegółach. Dopiero drobiazgowe pytania detektywa Smythe'a przywróciły mu pamięć. Ten mężczyzna uważa, że to ja mogłem owej nocy być w nie ukończonym domu, bo tylko ja miałem klucz do tego pokoju na strychu. Teraz sobie przypomniał, że kończąc tamtego popołudnia pracę, na moją prośbę przekręcił klucz w zamku i zwrócił mi go. Przypuszczam, że tak było, że kazałem mu zamknąć strych, pewnie Virginia tak sobie życzyła. Szczerze mówiąc, nie pamiętam. Musiałem jednak to zrobić bezmyślnie i oddać jej klucz, albo nanizać na kółko. Virginia brała klucze, kiedy chciała, kiedy jej były potrzebne przy urządzaniu domu. Prawdą jest, że oskarżenie tego mężczyzny pada na mnie. „Poszlaki wskazują na pana”, chyba tak to ujął detektyw Smythe.

- Jak nazywa się ten rzemieślnik? - spytała Audrey tak cicho, że bała się, czy Bay ją usłyszał i czy odpowie. Będzie musiał, bo ona już wie. Któż to mógł być, jak nie...

- Tak - przyznał Bay - to twój ojciec. - Anachroniczny, pedantyczny Lawrence Smoke, stolarz, który pracuje sam, nie wtrąca się w sprawy innych i tworzy arcydzieła. Człowiek z niewzruszonymi zasadami...

Mogli wybrać krótszą drogę przez centrum Newport i zacząć wspinaczkę na Cliff Walk od strony wschodniej, lecz Bay zaprowadził Audrey dłuższą drogą na zachodni cypel wyspy, drogą, którą sama często przemierzała, obok Hammett's Wharf i Lee's. Dochodzili już do King's Park. Goat Island zaraz zniknie im z oczu. Tuż za Fort Adams odsłoni się pełny widok na ujście zatoki i będzie

mogła odszukać miejsca, gdzie ławice ryb podpływają na żer, a za nimi wieloryby...

- A wczoraj zjawił się u mnie Bascomb - ciągnął Bay, jak gdyby to był częsty temat ich rozmów, jak gdyby swoimi słowami nie łamał jej serca, jak gdyby jego własne serce nie krwawiło.

- Woźnica - dodała Audrey. - Ten, który już przestał pracować.

- Tak. Ten sam, który tamtej nocy miał służbę. Virginia lubiła go najbardziej ze wszystkich. Był stary i nie narzekał, że musi na nią długo czekać w powozie, bo pozwalała mu się zdrzemnąć. Zwolnił się zaraz po wypadku. Mieszka teraz w Narragansett i uprawia ogródek. Sympatyczny człowiek.

- Co powiedział? - Ledwie jeden głos przemówił przeciw, ledwie jeden palec się uniósł, a już odezwał się chór głosów, i nie jeden palec, a zaciśnięta pięść zawisła nad głową Baya...

- Pytał, czy może szczerze odpowiadać na pytania detektywa Smythe'a. Nie chciał przysparzać mi kłopotów, kompromitować mnie, rodziny.

- Nie do wiary...

Naprzeciw mieli teraz Dumplings, grupkę wysepek po drugiej stronie gardła zatoki i Fort Wetherill. Po swojej stronie miną zaraz Castle Hill.

- Ułatwiasz mi zadanie - rzucił Bay z uśmiechem.

Audrey oparła się o jego ramię. Pani Peerce się myli, pomyślała. To nie pozłota. Przepych, owszem, zawrócił mi w głowie, lecz nie odmienił serca. Mnie chodzi o niego. Całe bogactwo i luksusy to oprawa. Przypadek sprawił, że on je posiada i nic nie poradzę, że mi to imponuje. Ale kochałabym go i gdyby był ubogi... I gdyby był winien, też bym go kochała...

- Bascomb mówi, że pamięta, jak się obudził i podszedł na skraj trawnika, żeby coś zobaczyć. Jakiś cień przemknął pod frontową ścianą. Myślał, że to ja. Widział mnie, jak się pochylam nad ciałem Virginii, jak ściskam jej szyję. Przerażony, w pośpiechu wrócił na swoje miejsce. Wydawało mu się, że to jakiś koszmarne sen. A

potem podbiegłem do niego. Nie zadawał mi żadnych pytań. Nie zastanawiał się nad tym... aż do teraz.

- Wiem - powiedziała. Już tydzień temu słyszała o tym od pana McGregora.

- Kazałeś mu powiedzieć detektywowi wszystko, co wie?

- Tak.

- Rozumiem. Coś jeszcze?

- Pokojówka. Twierdzi, że groziłem Virginii, że ją zabiję i że to Virginia chciała rozwodu zaraz po urodzeniu dziecka. Twierdzi, że Virginia nie mogła się doczekać rozwiązania. Wtedy miałyby prawo do połowy mojego majątku. Byłaby zabezpieczona. Ta dziewczyna mówi, że byłem złym mężem, nieczułym, skąpym.

- Nie wierzę - wybuchnęła Audrey.

- To prawda - odparł Bay. - Uroda Virginii mi nie wystarczała. Mówiłem ci już.

- Ale byś jej nie skrzywdził. Tego jestem pewna.

- Może wszyscy się nawzajem krzywdzimy w ten czy inny sposób?

- Nie zgadzam się z tobą.

Okrążyli Brenton Point i minęli ostrogę dla wędkarzy. Przed nimi rozciągały się teraz plaże: Hazard, Gooseberry i Bailey, i dopiero na końcu zaczynała się ścieżka w górę CliffWalk.

Audrey odwróciła głowę ku morzu, szukając wielorybów. Bay podjął swoją opowieść tonem rzeczowej, spokojnej konwersacji:

- Detektyw Smythe polecił mi uporządkować swoje sprawy. Już wkrótce mogę spodziewać się aresztowania. Kaucja wchodzi w rachubę, lecz wtedy nie wolno mi będzie ruszyć się poza Newport. Wszystkie drzwi są przede mną zamknięte. Cieszę się, że Celeste wyjechała. Nie będzie jej przez co najmniej trzy, cztery miesiące i nie chciałbym, żeby wracała przed zakończeniem procesu. Matce nic jeszcze nie powiedziałem.

- Wyjątkowo dużo wielorybów pojawiło się tego roku w zatoce - przerwała mu Audrey. - Ludzie nie pamiętają, żeby tak wielkie stado

przyplýwało tak blisko brzegu. To chyba obfitość ryb je skusiła.

- Poza tym jest chłodno jak na lipiec - dodał Bay - a rybacy donoszą o wyjątkowo silnych wiatrach. Dobre połowy, chociaż niebezpieczne, mówią.

- Podobno na południu, u wybrzeży Florydy, spodziewają się huraganu. Słyszałam, że niebezpieczeństwo nadejścia huraganu wzrosło, ale mnie się wydaje, że po prostu prowadzi się lepsze zapisy pogody.

- Lepsze obserwacje meteorologiczne.

Nareszcie zaczęli wspinać się na skały. Poniżej Whale's Turning, poniżej WaterWalk, gdzie zamierzali się dostać, Audrey obejrzała się i wypatrzyła wieloryby, samicę z małym. A odrobinę dalej, na uboczu, spokojnie, leniwie dryfował olbrzymi samiec. Znajdował się bardzo blisko brzegu, prawie tuż u podnóża skał.

Bay, idący przodem, też się odwrócił. Czekał. Audrey spostrzegła determinację w jego postawie, zaciśnięte zęby i dłonie mocno oparte na biodrach. Wiatr targał mu włosy. Wyglądał niezwykle pięknie.

Audrey szła równym krokiem, dłonie oparła na kolanach dla zachowania równowagi na wybojach i kamieniach. Zaraz mi powie, pomyślała. Podziękuje, zaproponuje referencje, lecz w jego oczach nie będzie wahania. Odejdź, powie, już przyjęliśmy kogoś na twoje miejsce. Pan McGregor woli nową kandydatkę, ja również, i moja matka także. Zanim odejdę, poproszę, żeby mnie pocałował, postanowiła. Sprawdź, jak smakują moje usta, powiem, a on potrząśnie głową, zdumiony moją śmiałością. Potem wyciągnie do mnie rękę, ale ja nie będę mogła jej uścisnąć. Pobiegnę w dół i nigdy już go nie zobaczę. Skończy się praca, skończą marzenia z oddali...

Stała na chwilę, przygładziła włosy. Bay czekał, wiatr wydymał mu koszulę, głowa wyraźnie odcinała się od różowiejącego nieba.

- Nie mam zbyt wiele do ofiarowania - przemówił, gdy się z nim zrównała. - Zszarganą opinię, a niewykluczone, że na dodatek publiczny proces, który już całkiem mnie pogrąży. Potrzebny mi jest

ktoś kochający, ktoś, kto w bezsenne noce trzymałby mnie za rękę, trwał przy moim boku. Audrey...

Nawet teraz nie wiedziała jeszcze, że ten moment nadchodzi, nie wiedziała, o czym on mówi, o co prosi...

Wyczuł to. Uśmiechnął się, zrobił krok do przodu i objął ją w pól.

- Audrey... - szepnął.

- Tak - odpowiedziała i nie wiedząc, co robi, uniosła głowę, rozchyliła usta.

Ramiona Baya promieniowały najłagodniejszym ciepłem, jakie w życiu czuła. Słodkie ciepło... Ogarnęło ją dziwne, obezwładniające podniecenie. W jej sercu zapłonął żar, błogi, narkotyczny i zarazem radosny, bo nareszcie, nareszcie Bay ją pocałował! Nareszcie jego wargi dotknęły jej ust, ciepłe, gorące, palące; Wsysały ją całą, rozpałały jak słońce pustyni. Przywarła do niego, w jego objęciach zmieniła się nagle w kobietę. Nareszcie! Czas nagle stanął, ziemia przestała się kręcić...

Jego siła, gorący ciężar jego piersi i ud, drganie skóry na plecach pod jej dłońmi... Tylko oddech z jego ust trzymał ją przy życiu, tylko ręce wędrujące po jej ciele powstrzymywały od runięcia w przepaść, wyfrunięcia w przestworza...

- Audrey - szepnął całując jej szyję. Zadrżała, niemal omdlała.

Puścił ją, chociaż tego nie chciała. Potem uniosł ją wysoko, ucałował w czubek nosa i postawił. Odurzona miłością, upojona pocałunkiem, poszukała jego wzroku. Teraz się przekona, czy on też ją kocha!

W oczach Baya zobaczyła jednak zbyt wiele. Wzburzenie i tajemnicę, namiętność i pożądanie. I smutek, tak, smutek także. I żal... Boże, co to oznacza? Czyżby pragnął całować Virginie? Czyżby ona, Audrey, jednak nie spełniła jego oczekiwań?

Gdy wreszcie przemówił, w jego tonie brzmiała nawet złość! Boże...

- Wyjdiesz więc za mnie? - spytał. - Weźmiesz mnie takiego, jakim teraz jestem, skompromitowanego w oczach świata,

oskarżonego o zamordowanie własnej żony? Za desperata w potrzebie, bez przyjaciół? Wyjdiesz za mnie zaraz, bez fanfar, orszaku karet i czterystu gości? Wiedząc, że moja matka tobą gardzi, a siostra się ciebie boi, i że ja mogę spędzić resztę życia w więzieniu albo skończyć na szafocie?

Nie czekał na odpowiedź. Popędził w górę. Widziała przed sobą wydymaną wiatrem koszulę, spodnie opinające uda...

Och, Bay!

Wciąż słaba, wciąż rozogniona, podążyła za nim.

Nie będzie gali takiej, jaką mieli Thorne i Celeste. Nie będzie ozdobionych kwiatami drzew, uroczych dziewcząt roznoszących szampana, harf, chodzącego między gośćmi skrzypka. Nie będzie okolicznościowego medalu rozdawanego przez chłopców w atłasowych bryczesach, szkarłatno-złotej karety, wspaniałej sukni ślubnej. Nie będzie hucznego przyjęcia. Nie będzie podróży poślubnej. Bay pozostanie w Newport, czekając, aż go aresztują. A ona zostanie z nim i także będzie czekać...

Pojedzie do Whale's Turning wziąć ślub, zostanie tam. Buduar cały w jedwabiach będzie należał do niej. Garderoba z całą zawartością także. Będzie miała służbę do siania łoża, ich łoża, do gotowania, sprzątanania. Ale nie będzie przyjęć. Żadnych przyjęć, dopóki Bayard Lockholm nie zostanie nieodwołalnie oczyszczony z zarzutu o spowodowanie śmierci pierwszej żony.

A jeśli go powieszają? Jeśli go powieszają, to nigdy nie będzie przyjęć.

W Whale's Turning panią domu będzie matka Baya, która nią gardzi. Lecz może, gdy Audrey zostanie już jej synową, będzie dla niej miłsza? Może nauczy ją być damą? Audrey podporządkuje się jej woli i zostaną przyjaciółkami...

Dotarli do WaterWalk, skały tuż za nasypem okalającym teren Whale's Turning, ich skały. Bay oparł się o kamień, a gdy Audrey zbliżyła się, objął ją i przyciągnął do siebie. Ona też go objęła.

Razem patrzyli na wieloryby.

Teraz mnie pocałuje, pomyślała Audrey. Powie, że mnie kocha. Kocha mnie tak samo jak ja jego, kocha od naszego pierwszego spotkania. Ujmie mnie pod brodę i powie: Oszalałem z miłości do ciebie, a potem mocno mnie pocałuje...

- Nie będę dobrym mężem - usłyszała. Z kieszeni spodni wyjął cygaro, odwrócił się plecami do wiatru i zapalił.

- Nie szkodzi - odparła, dotknięta jego zachowaniem. - Ja nie będę dobrą żoną.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał.

- Nic znam waszych obyczajów, obyczajów ludzi twojej sfery. Będę popełniać straszliwe gafy, mówić to, czego nie należy.

- Komu mówić? Będziemy pariasami, Audrey, a nie bohaterami sezonu.

- Rozumiem. To znaczy, że nikomu to nie będzie przeszkadzało, tak? Będziemy się kochać i będziemy szczęśliwi, a ponieważ i tak nikt nas nie zobaczy, nie przyniosę ci wstydu i wszystko będzie w porządku.

Bay zaciągał się głęboko dymem, cały czas wpatrzony w olbrzymiego wieloryba wynurzającego się na powierzchnię po dłuższym przebywaniu pod wodą. Ni stąd ni zowąd, bez plusku, bez kręgów na wodzie, nagle wystrzeliła w górę głowa z rozwartą paszczą, a potem, jak z katapulty, całe cielsko aż po płetwę ogonową.

- Więc zgadzasz się? - spytał Bay nie wypuszczając cygara z zaciśniętych zębów. - Przyjmujesz moją propozycję małżeństwa, chociaż mogę okazać się zabójcą, chociaż mogłem zamordować własną żonę i niewykluczone, że uda mi się wywinąć od kary.

Wieloryb był w pełnym skoku. Kilkunastometrowy, ważący z pięćdziesiąt ton lewiatan zawisł na chwilę w powietrzu. Olbrzymie, białe od spodu płetwy boczne rozpostarł niczym skrzydła dla równowagi, dla wydłużenia lotu, a może po prostu z czystej radości? Piana morska spływała po jego brzuchu niczym lawa po zboczu wulkanu. W pewnym momencie zwierzę odchyliło się do tyłu, jak

akrobata chcący zatrzymać czas, a potem, śmiejąc się do siebie, zwałiło w szaroniebieskobiałą toń. Krople wody prysnęły im na twarze. Lej w oceanie przypominał otchłań, lecz w mgnieniu oka wszystko się uspokoiło, ucichło, znieruchomiało... Samica z małym odwróciła się na bok, cyrkowy wyczyn nie zrobił na niej najmniejszego wrażenia.

Audrey nie ufała swojemu głosowi. W odpowiedzi na wybuch Baya skinęła tylko głową i mocniej przytuliła się do jego ramienia. Ale dlaczego używał właśnie takich słów?

Chciała powiedzieć: Tak! Tak! Chciała krzyczeć, podskakiwać i tańczyć. Wyznać: Kocham cię tak bardzo, że gdy na ciebie patrzę, miłość przesłania mi oczy. Chciała prosić: Powiedz, że mnie kochasz, powiedz, że jesteś szczęśliwy, pocałuj mnie, pocałuj tak jak przedtem!

Bay nie mówił jednak o miłości. Oswobodził się z jej uścisku i rzekł:

- Matka będzie wściekła. Cóż, co ma być, to będzie... Pójdziemy ją powiadomić? Zostaniesz na kolacji, a potem omówimy szczegóły.

Audrey obserwowała jego twarz, dymek z cygara. Bay nie patrzył teraz na wieloryby, lecz dalej, daleko jak sięga wzrok, tam, gdzie ocean połyka i wchłania w siebie szaroniebieskie niebo.

O czym myśli? Na pewno nie o niej.

Niewiele lamp paliło się w domu, lecz złocenia świeciły jakby własnym blaskiem. Cała rezydencja emanowała światłem: z góry, z dołu, z boków.

Lokaj w kremowo-złotej liberii służby Whale's Turning wyszedł im na spotkanie.

- Fisher - odezwał się do niego Bay - powiedz mojej matce, że chciałbym z nią porozmawiać w salonie muzycznym, jeśli mogłaby tam zejść. Panna Audrey Smoke zostanie na kolacji. Jesteśmy sami, czy matka ma jakichś gości?

Lokaj ukłonił się i powiedział:

- Pańska matka, sir, nie wysyłała żadnych zaproszeń na

dzisiejszy wieczór. Czy mam podać whisky i wodę sodową?

- Tak. I przynieś to samo dla panny Smoke.

- Tak, sir.

- Fisher.

- Słucham, sir.

- Pytam z ciekawości. Co jest dziś na kolację?

- Turbot, sir. Kucharka mówi, że pan sam go dziś złowił. Turbot w jarzynach i zupa z porów.

- Prawda. Kompletnie zapomniałem. Fisher uklonił się ponownie.

- Pan wybaczy, sir, ale to do pana zupełnie niepodobne. Bay zaprowadził Audrey do przestronnego pokoju o srebrzystych ścianach, ze złożonymi mebelkami obitymi czerwoną, przetykaną złotą nicią tkaniną.

- Pomyśl, Audrey. Zapomniałem o własnoręcznie złowionej rybie. Czuj się jak w domu. - Wskazał jej krzesło.

Jak w domu. Czy ona może czuć się tutaj jak w domu? Bay oszalał, ona też. To wszystko szaleństwo. Ten sen nie może się urzeczywistnić...

Rozejrzała się po olbrzymim salonie, przynajmniej czterdzieści metrów długim, dwadzieścia metrów szerokim. Był tu wspaniały kominek z fryzem rzeźbionym w kamieniu niczym ołtarz w kościele. Ściany pomalowane na odcień srebrnoniebieski podzielone były białymi pilastrami na złożonych podstawach. Wspaniałe szerokie okna od samej podłogi do złożonego sufitu zwieńczone były rzeźbionymi gzymsem. Po bokach wisały różowo-koralowe kotary, związane złotym sznurem. Koncertowy fortepian z czarnym lakierowanym wiekiem ginął w tej przestrzeni, tak mały w swojej niszy, że w pierwszej chwili Audrey wcale go nie zauważyła i już zaczęła się zastanawiać, dlaczego ten salon nazywa się „muzycznym”.

Nagle usłyszała kroki i miarowy stukot laseczki, powolny, złowieszczy, zamykający odwrót. Edmunda Lockholm, ubrana w ciemną suknię, obwieszona perłami, stanęła w drzwiach i opierając

się ciężko na lasce zajrzała do salonu.

- Co to wszystko ma znaczyć, Bayardzie? - spytała władcym tonem.

Na widok matki Bayard wstał. Ukryta za jego plecami Audrey również wstała, nie wiedząc, czy postępuje właściwie, czy nie. Czy to znaczy, że zawsze będzie musiała wstawać, czy tylko teraz, wyjątkowo, gdy ma być przedstawiona przyszłej teściowej?

- Przyłącz się do nas, mamó - zaprosił Bay.

Audrey usiadła, wygładziła spódnice. Zafascynowana patrzyła, jak czcigodna matrona sunie po parkiecie ku sofie, na której siedzieli z Bayem. Zajęła miejsce na kanapce vis-a-vis.

- O co chodzi? - spytała.

Audrey wiedziała, że tak nie wypada. Mówi się: Dzień dobry. Miło cię znowu widzieć. Co u ciebie słychać, drogie dziecko? Jak ci się podobało przyjęcie? Nie pyta się: O co chodzi? Nie siada się z zawziętym wzrokiem, dłońmi zaciśniętymi na onyksowej gałce laski i nie żąda się, aby gość tłumaczył swoją obecność.

Bay poczekał, aż Fisher, który przyniósł tacę z karafkami, kieliszkami i lodem w oszronionym porcelanowym kubku z namalowaną pasterką, wyjdzie. Audrey przyglądała się, jak kropla wody spływa po buzi pastereczki na pasącego się baranka.

Nagle usłyszała głos Baya. Mówił o swojej nagłej decyzji ponownego ożenku. Matka nie musi się martwić żadnymi przygotowaniem. Ślub wezmą w domu, w tym salonie, tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. Ponieważ ma zakaz opuszczania Newport, nie wyjadą w podróż poślubną. Tylko krótka ceremonia, i życie Whale's Turning zacznie się toczyć jak dawniej, jak było zamierzone, choć z inną panią domu...

Audrey tylko raz zerknęła na matkę Baya. Krew uderzyła jej do głowy, oczy przeszywające wybrankę syna zwięziły się w szparki. Pierś unosiła się gwałtownie i opadała, a perły mieniły się niczym białe grzywy fal przybijających do brzegu. Audrey zamknęła oczy.

Niech Bay już przestanie, myślała. Niech zrezygnuje, niech

zrozumie, że to niemożliwe, że jego matka jej nie chce. Trudno. Jej nie zależy, będzie zadowolona, że się znają, że się czasami spotkają w pracy, że będzie mu mogła pomóc, oczywiście w miarę swoich możliwości. Nie musi dzielić z nim życia, domu, krewnych...

Pani Lockholm wciąż się nie odzywała.

- Ciesz się z nami, mamó - kończył Bay. - Polubisz Audrey, a ona ciebie. Znowu będziesz miała tu towarzystwo. A Celeste siostrę.

Pani Lockholm odchyliła się na oparcie kanapki.

- To niemożliwe, Bayardzie. Nie wyrażę zgody.

- Matko - odezwał się Bay. - To, co mówisz, jest niegodne ciebie. Nie potrzebuję zgody. Proszę o błogosławieństwo. Ciesz się z nami, pomóż nam zwyciężyć.

- Już jedna klątwa ciąży nad tobą, synu, dziedzicu Lockholmów. Chcesz, żeby własna matka też cię przeklęła?

Bay wstał. Spojrzał starszej kobiecie prosto w oczy.

- Cóż, jeśli tak być musi... - rzekł. - Zostawiamy cię teraz samą, mamó. Mamy z Audrey wiele spraw do omówienia. Zjesz z nami?

- Nie będę mieszkać pod jednym dachem z hołotą - wybuchnęła pani Lockholm. - Z córką stolarza, złodziejką. Spójrz na nią! Włosy nie uczesane, twarz cała w pąsach, od twoich pocałunków, jak przypuszczam. Zabiję się, skoczę z okna jak Virginia... Och, czy to możliwe, żebyś popchnął mnie do tego, jak to podobno uczyniłeś ze swoją żoną?!

Bay nie odezwał się. Stał wpatrzony w matkę, potem odwrócił się i wyciągnął rękę do Audrey. Podała mu dłoń, wstała i również spojrzała na panią Lockholm, która szeroko rozwartymi oczami wpatrywała się w syna. Nagle otworzyła usta i zaczęła spazmatycznie oddychać. Krew odpłynęła jej z twarzy. Chciała coś powiedzieć, próbowała wstać. Już jej się prawie udało, już wyciągała ramiona... i Audrey, sądząc, że chce się na nią rzucić, schowała się za Baya.

Pani Lockholm osunęła się na kolana, głową uderzyła o kant stolika i upadła. Zaczęła się krztusić, twarz jej wykrzywił dziwny

grymas, dłoń z nabrzmiałymi żyłami chwyciła powietrze, szukając laski. Nagle znieruchomiła.

- Boże! - wykrzyknął Bay i rzucił się ku matce.

Nadbiegł Fisher i zaraz potem gdzieś zniknął. Audrey stała z boku. Drżała. Co powinna uczynić? Jak się zachować?

Później, o wiele później, Audrey siedziała przy rzeźbionej toalecie pośrodku buduaru Virginii. Łokcie oparła o marmurowy blat, wpatrzyła się w trzyczęściowe lustro. Była sama. Skończywszy jeść nie zadzwoniła na służbę, jak poinstruował ją Bay, przepraszając, że nie może dotrzymać jej towarzystwa. Zrobi to, gdy zbierze w sobie więcej odwagi. Tymczasem taca ze srebrną zastawą stała na wykwintnej kanapce, a lśniące pokrywy waz i półmisek leżały podwracane. Audrey spałaszowała wszystko, od ryby do ostatniej okruszynki jagodowej tarty.

Teraz siedziała pogrążona w myślach. Zmienia się. Patrząc bacznie na swoje odbicie w lustrze, próbowała uchwycić wszystkie te zmiany, lecz to nie było jej lustro patrzące oczami matki. Audrey ujrzała samą siebie już odmienioną, już nie poczwarkę, lecz bojaźliwego motyla. Wciąż obawiającego się rozwinąć skrzydła, przestraszonego całym splendorem, zastanawiającego się i planującego, co robić...

Noc spędzi tutaj, w tej sypialni, powiedział Bay. Ten pokój będzie odtąd należał do niej. Będą mieli osobne sypialnie. Jego znajduje się po drugiej stronie łazienki. Łazienka też należy do niej, on ma osobną. Gdyby chciał ją odwiedzić nie widziany, nie słyszany przez domowników, może wejść przez łazienkę. Ona też może pójść do niego. Spowita jedwabnym negliżem, a nawet tylko księżycową poświatą sączącą się przez okna... Poślubieni sobie, zostaną kochankami. Przekona się wówczas, co oznacza rzucić się w otchłań namiętności gorącej jak kipiąca, wulkaniczna lawa...

Pozostawiona sama sobie, Audrey długo stała przed portretem Virginii Stotesbury Lockholm, zawieszonym na podeście schodów. Kobieta na obrazie była starsza od niej, miała ostrzejsze rysy, a

włosy ułożone w anglezy też były ciemniejsze. Była piękna. Jej twarz nie nosiła piętna tragedii, żadnym szczegółem nie zdradzała, dlaczego kobieta, która powinna być szczęśliwa w małżeństwie, radosna z powodu oczekiwanego dziecka, wołała rzucić się z okna złotej klatki, jaka miała być jej letnim domem.

Nic w tym malowanym wizerunku nie wskazywało, dlaczego Bay Lockholm kochał ją, wybrał, poślubił i przysiągł dochować jej wierności, dopóki śmierć ich nie rozłączy.

Czy Bay każe namalować i mój portret? - zastanawiała się Audrey. Czy zawiesi go na tym samym eksponowanym miejscu, aby wszyscy mogli mnie podziwiać? Co mój portret powie patrzącemu?

Tak więc spędzi dzisiejszą noc w sypialni Virginii. Z Bayem zobaczą się rano przy śniadaniu. Żegnając się spytał, czy potrzebuje czegoś z domu. Odpowiedziała, że nie, choć brak jej było pamiątkowego lustra, tęskniła do wąskiego łóżka. Lecz te rzeczy zostawiła przecież przy Bridge Street, w domu rodzinnym, do którego ojciec sprowadził nową żonę. U Mildred Falk miała jedynie pamiątkę, o której nie śmiała prosić.

Kilka godzin wcześniej przyjechał doktor Lake. Powiedział, że pani Lockholm doznała wylewu i obecnie jest nieprzytomna. Gdy się przebudzi, to znaczy, jeśli odzyska przytomność, będzie częściowo sparaliżowana. Mogą wystąpić zaburzenia mowy. Czas pokaże, rozłożył ręce doktor Lake. To czas leczy choroby, nie człowieka. Wszystko zależy od czasu i od samej chorej. Wiele zależy też od jej woli. Czy chce się przebudzić? Czy zdobędzie się na wysiłek i zapagnie odzyskać siły? Edmundę Lockholm przeniesiono do jej pokoju, położono do łóżka. Doktor Lake nakazał, by odpoczywała, tydzień, miesiąc, kilka miesięcy. Należy oszczędzać jej wzruszeń, otoczyć kwiatami, czytać na głos poezję, nawet podczas snu. Całkowite wyzdrowienie też jest możliwe, zapewniał, lecz zobaczymy, co przyniesie jutro, gdy chora odzyska przytomność. Jeśli ją w ogóle odzyska...

Audrey Smoke zostanie panią Whale's Turning.

Bay powiedział:

- Teraz musimy się jak najszybciej pobrać. Bez rozgłosu. Jutro Priscilla weźmie miarę na suknię. Ja załatwię pozwolenie i w poniedziałek wyślę zapowiedzi. W tygodniu przewieziemy twoje rzeczy, a w przyszłą sobotę, od jutra za tydzień, będziesz należeć do mnie, a ja do ciebie.

Pośpiech był konieczny. Pani Lockholm ostatecznie przyzwyczai się do Audrey, nabierze do niej zaufania, opowie jej o domu, poinstruuje, jak nim zarządzać. W czasie rekonwalescencji, przekonywał Bay, zostaną przyjaciółkami. Gdy Celeste wróci, wszystko już będzie tak, jak powinno. A gdyby doszło jednak do procesu, ślub będzie faktem dokonany.

Audrey przyjrzała się swojemu odbiciu. Dokona tego, przysięgła sobie w duchu. Nauczy się obyczajów bogaczy, nauczy się, jak być damą. Poświęci się oczyszczeniu Baya z zarzutów, przywróceniu mu należnej pozycji towarzyskiej. Stanie się żoną, z jakiej Bayard Lockholm będzie dumny.

Na razie jednak musi zacząć od zadzwonienia po pokojówkę, żeby zabrała tacę.

Energicznie odsunęła krzesło i wstała. Obok łóżka ujrzała telefon - wysoki, biały, ozdobiony złoceniami. Pod tarczą widniał rząd przycisków. Który? Nigdy nie korzystała z telefonu.

Podniosła słuchawkę, usłyszała głuchy sygnał. Przycisnęła ostatni z guzików, rozległ się szum, ustał, a potem odezwał się zaspany, zaniepokojony głos lokaja Fishera.

- Tak? Słucham?

- Jestem w sypialni Virginii Lockholm - powiedziała Audrey. - Czy ktoś mógłby zabrać tacę?

W słuchawce zaległa cisza.

- Halo? - odezwała się Audrey.

- Zaraz przyjdę - usłyszała i natychmiast połączenie zostało przerwane.

Drżąc, odłożyła słuchawkę na widełki. Czyżby zrobiła coś złe? Nie

tak, jak trzeba? Zwróciła się do niewłaściwej osoby czy... Mały zegar przy łóżku wskazywał północ. Może zbyt długo zwlekała z wezwaniem służby?

Wstała, podeszła do kanapki, uporządkowała naczynia i wyniosła tacę przed drzwi. Hol na piętrze był szeroki, wysoki, długi, nieskończenie długi i ciemny. W całym domu panowała grobowa cisza. Audrey żałowała, że nie ma przy niej Baya.

Wróciła do sypialni. Czuła się mała i przerażona w tym olbrzymim, przytłaczającym przepychem pokoju. Teraz najbardziej na świecie pragnęła jednego - aby znalazła się przy niej mamusia...

Na statku rozległ się sygnał przeciwmgielny. W apartamentach dla nowożeńców Celeste Lockholm Cockburn powoli rozpiniała żakiecik z baskinką.

- Otwórz okno - powiedziała do męża, który przyglądał się, jak zdejmowała ubranie. - Może mgła otulająca łóżko mnie podnieci?

Thorne Cockbum siedział w fotelu z rattanu nagi, rozparty na białych lnianych poduszkach. Dumny był ze swej męskości, upajał się myślą, że zaraz zagłębi się w łonie Celeste, zaraz eksploduje rozkoszą. Bez słowa wstał spełnić jej życzenie.

Zawsze był dumny z siebie, myślała Celeste, dumny ze swojej energii, męskiej urody i siły i zawsze taki zdziwiony, że nie udaje mu się mnie rozbudzić. Och, jak się stara. Jak ona lubi te jego próby. Jak jej one rekompensują to, co utraciła...

Thorne posłusznie otworzył okrągłe okienko osadzone w mosiężnej ramie, przekreślone skrzyżowanymi prętami. Owiąło go miękkie, wilgotne powietrze. Wrócił na swoje miejsce, przyjął tę samą leniwą pozę.

- Pospiesz się, kochanie.

Celeste powoli zsunęła rękawy żakieciku i zaczęła rozpinąć kościane guziczki biegnące przez cały przód spódnicy. Kiedy spódnica zsunęła się jej z bioder, podniosła stopę i wyszła ze zwojów materiału. Miała teraz na sobie tylko gorset i pantalonek, pasek z podwiązkami, pończochy i wysokie, czarne, wiązane trzewiki. Odwróciła się plecami i zaczęła rozsznurowywać gorset. Czuła za sobą przyspieszony, urywany oddech Thorne'a. Zastanawiała się, czy to ona tak go podnieca, czy też raczej rozpala go niewidzialna teraz dla niej sakiewka pieniędzy leżąca na łóżku, a wierz milion dolarów. Ciężka sakiewka. Potężny afrodyzjak.

Obiecała, że jeśli uda mu się doprowadzić ją do rozkoszy, pieniądze będą jego. To było łąasso, ona trzymała linę, a pęta zaciskała się wokół jego szyi.

Zerknęła przez ramię. Aha, wpatruje się zafascynowany. Znakomicie.

Przystojniak z niego. Zbyt przystojny, żeby na niego stawiać, twierdziła matka, lecz ona nie zna się na mężczyznach. Thome Cockbum wart był wiele. Ambitny, nie żaden fajtłapa, powiedzie się mu. Już mu przyznano pożyczkę z banku. Zresztą, dlaczego mieliby odmówić? Czyżby nazwisko Lockholmów nie było wystarczającą rękojmią? Firma promowa zacznie prosperować, bo wszyscy znajomi będą z niej korzystać, początkowo z uprzejmości, a potem przekonają się, że promy są potrzebne, wygodne, przejazd jest przyjemny, dogodniejszy niż wysyłanie koni na stację kolejową. Thorne umie nosić ubrania, potrafi czarować kobiety... Wkrótce znajome będą zazdrościć jej takiego męża. A najważniejsze, że Thorne szaleje za nią.

Nie tak jak Rolf.

Rolf był przyzwyczajony do wszystkiego, co posiadała i co znała, a nawet do jeszcze większego luksusu. Znał, a niewykluczone że kochał już przedtem kobiety jej pokroju i mimo jej starań, sztuczek i zabiegów, nie udało się jej go oszołomić. Rolf jej nie potrzebował, nie tężniał w łądźwiach, gdy brał ją w objęcia, nie odczuwał wdzięczności za zaszczyt, że go wybrała. Przeciwnie, sądził, że to ona powinna uważać się za wyróżnioną przez los...

Celeste odwróciła się do Thorne'a, rozchyliła gorset, odsłoniła piersi. Migotliwe światło świec, białych świec, które kazała Thorne'owi ustawić koło łóżka, padało na jej szyję, ramiona, twarz.

- Pospiesz się- szepnął chrapliwie.
- Mam zostać w naszymniku? - spytała.
- Rubiny podrapały mnie tu i... tu - wskazał miejsca na piersi i podbrzuszu - ale go nie zdejmuj. Niech te rubiny mnie całują.

Celeste odpięła pończochy, przysiadła na brzegu łóżka i zaczęła

rozsnurowywać trzewiki.

- Nie mogę już czekać - prosił Thorne.
- Musisz.

Mgła w kajucie zgęstniała, wydawało się, że niemal zawisła nad łóżkiem, nad głową Thorne'a, potęgując wrażenie emanującego z niego pożądania. Chłodziła ciało Celeste, hartowała ciemne jak pączki róż brodawki jej piersi.

Celeste zsunęła pończochy, wpierv z jednej nogi, potem z drugiej. Wstała, odpięła pasek, rzuciła go w kąt. Na sobie miała teraz tylko naszyjnik z rubinów.

- Pospiesz się - błagał Thorne.
- Nie.

Uniosła ramiona, sięgnęła starannie upiętych loków i wyciągnęła z fryzury diamentową szpilkę. Potem podeszła do toaletki i schowała klejnot do szkatułki. Zerknęła w lustro. Przyjrzała się odbiciu Thorne'a, ciekawa, czy spogląda na wypchaną pieniędzmi sakiewkę przewiazaną zieloną wstążką. Zielony. Kolor chciwości.

Lecz Thorne nie odrywał oczu od jej nagiego ciała, nie przestawał chłonać wyposzczonym, rozżarzonego wzrokiem jej pośladków i piersi.

- Jesteś bielsza od mgły - powiedział. - Piękniejsza od aniołów.

Celeste wyciągnęła drugą szpilkę i wówczas ciężkie, czarne jak deszczowa chmura włosy spłynęły na jej ramiona i plecy. Wzięła do rąk flakon perfum i naciskając gumową gruszkę spryskała całe ciało.

- Jestem gotowa, mój mężu - oświadczyła odwracając się nareszcie od lustra. - Spróbuj zasłużyć na nagrodę.

Podeszła do łóżka, wśliznęła się między rozchylone prześcieradła. Jedną rękę podłożyła pod głowę, a w drugą chwyciła sakiewkę z pieniędzmi.

Syrena odezwała się ponownie. Smugi mgły rozsnuły się po kajucie.

Thorne śmignął jak wypuszczona z łuku strzała i nakrył Celeste swoim ciałem.

- Zdobędę cię, nawet gdybym miał pracować całą noc.
- Ile czasu - spytała wiedząc, że mu się nie uda i marząc, aby zamiast niego kochał ją Rolf, lord Pomeroy - ile czasu potrzebowała Virginia?

Audrey obudziła się o świcie. Przez nie zamknięte na noc wysokie okna wdzierały się do wnętrza podmuchy silnego wiatru, wydymały tiulowe firanki, malowały na nich światła i cienie, i pędząc przez pokój przyciskały do szyb stopy sąsiednich okien. Dzień był szary, chmury wisiały nisko nad ziemią, lecz złote promienie słońca przebijały się przez te warstwy, gorące, czerwone jak laka, palące, kłujące...

Natychmiast przypomniała sobie, gdzie jest. Dryfuje w rzeźbionym, wielkim jak tratwa łożu, jej łożu, już wkrótce ich... Bay jest tuż obok za ścianą. Może także się budzi, może także odczuwa podniecenie, może także rozkoszuje się wschodzącym, migoczącym złotem?

Pójdzie do niego, zastuka w tamte drzwi w łazience. W jej łazience! Biegając przez pokój, zatrzymała się zauroczona przy oknie.

Zobaczyła w oddali fale z białymi grzywami, ciemne jak wieloryby, skaczące do chmur, napierające na cypel niczym oddział kawalerii. Rozbijały się strzelając milionem kropli w złotą kulę nad horyzontem. Cofały się, napierały od nowa, znowu rozbijały się o skały, wznosiły i opadały, wznosiły i opadały...

Audrey pomknęła do łazienki i zastukała w drzwi Baya. Pragnęła wspólnie z nim przeżyć ten pierwszy poranek, te pierwsze godziny...

Cisza.

Czyżby spał wyczerpany dramatycznymi wydarzeniami wczorajszego wieczoru? A może zszedł już na dół i jadł śniadanie na tarasie? Może niecierpliwie czeka tam na nią, tak samo stęskniony jej bliskości jak ona jego? A może jest wciąż przy matce, załamany stratą, zajęty przygotowaniem do pogrzebu?

Co będzie z naszym ślubem, jeśli pani Lockholm umrze?

Przeraziła się.

Zastukała ponownie, tym razem jednak nieśmiało. Może nie wypada pokazywać się mu w negliżu?

Drzwi otworzyły się. Na progu stanęła młoda kobieta, pulchna, niezbyt ładna, ubrana w żółtą sukienkę i biały, wy-krochmalony fartuszek.

- Tak, proszę pani?

- Bay - wybąkała Audrey nie wiedząc, co powiedzieć, usiłując ponad ramieniem pokojówki zajrzeć do wnętrza sypialni. Dostrzegła boazerię na ścianach, meble w odcieniu byczej krwi, poczuła zapach skóry. Pokój był mniejszy, niż się spodziewała, w pewnym sensie kawalerski, z niewielkim kominkiem z mosiężną kratą, prostym drewnianym łóżkiem, porozrzucanym sprzętem sportowym.

- Pan Bayard jest teraz z matką. Pani Lockholm odzyskała przytomność. Przyszedł też doktor Lake.

Audrey cofnęła się w głąb łazienki. Marmurowa posadzka ziębiła jej stopy. Nagle spostrzegła, że nie ma na sobie peniu-aru, że przyłapano ją na pukaniu do sypialni Baya w samej koszuli!

- Nazywam się Sawyer - przedstawiła się pokojówka. -Pan Lockholm kazał, żebym się panią zajęła. - Dziewczyna sięgnęła do kieszeni fartuszka i wyjęła kopertę. - To dla pani. Mam przynieść śniadanie na górę czy woli pani zejść na dół?

- A Bay? Jadł już?

- Nie wiem, proszę pani.

Audrey wróciła do swojego pokoju. Co ma powiedzieć pokojówce? Uważała, że wypada się odezwać.

- Popatrz, jak te firanki wydymają się i zmieniają na wietrze - powiedziała to, co miało być skierowane do Baya. - Kiedy się obudziłam, myślałam w pierwszej chwili, że to duchy.

Pokojówka spojrzała na firanki.

- Wczoraj wieczorem nikt nie zamknął okien i nie zaciągnął stor. To dlatego. Jeśli pani sobie życzy, zrobię to teraz.

- Ależ nie - zaprotestowała Audrey. - Podoba mi się ten widok i

świeże powietrze. Niech tak zostanie.

- Dobrze, proszę pani. Jest tylko jedna rzecz, jaka może panią niepokoić. To był buduar pani Lockholm, żony pana Bayarda... tej, co to zmarła tak nagle... Pani będzie teraz tu mieszkać?

- Nie wiem - odparła Audrey, wciąż patrząc na wydymane wiatrem firanki. - Wypadła z okna, prawda? Słyszałam, że to było okno na drugim piętrze, w pokojach służby...

- Tak, proszę pani. Tuż nad tą sypialnią. Tamten pokój ukończono później, tak jak i cały dom. Stoi pusty. Pani starsza mówi, żeby przynajmniej myć szyby, ale pan każe, żeby nie... To okno od tyłu, z widokiem na morze... Jak pani każe?

- Uważam, że z szacunku trzeba dbać o nie - odparła Audrey.

- Tak, proszę pani. Przepraszam, co będzie ze śniadaniem?

Audrey poczuła się głodna jak wilk. Ale z drugiej strony tak pragnęła zobaczyć Baya, porozmawiać z nim...

- Przeczytam, co pisze Bay - odpowiedziała i rozerwała kopertę.

Zjedz śniadanie, ubierz się i czekaj na mnie o jedenastej na trawniku od strony zachodniej. Matka odzyskała przytomność, ale jeszcze nie doszła do siebie. Mamy wiele spraw do omówienia.

B.

- Chyba... chyba zjem śniadanie tutaj, jeśli to nie sprawi kłopotu.

- Dobrze, proszę pani.

- Sawyer?

Pokojówka zawróciła od drzwi.

- Jestem strasznie głodna - wyznała z przepaszającym uśmiechem.

- Powiem kucharce - odparła pokojówka wciąż z tym samym, beznamiętnym wyrazem twarzy. Potem wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Audrey ponownie przeczytała list. Pierwszy list od Baya. Jakże pragnęła, by zawierał same słowa miłości. Złożyła kartkę i schowała

do torebki. Wklei go do swojego pamiętnika.

Ogarnęło ją dojmujące uczucie samotności. Zauważyła, że firanki przestały się poruszać.

Nawet wiatr ją opuścił.

Po południu Bay i Audrey pojechali dużym powozem z dwoma stangretami do domu Mildred Falk.

Po drodze Bay opowiedział Audrey, że matka jest przytomna, lecz jakby nieobecna. Doktor Lake twierdzi, że to skutek wylewu, że ten stan może minąć, ale trzeba cierpliwie czekać. Pani Lockholm nie pamięta, co się stało wczoraj wieczorem, nie rozumie, że jej syn się ponownie żeni. Przecież ma już jedną żonę, Virginie, powtarza z uporem. Zdaniem Baya, lepiej niech tak myśli. Będzie mniej zamieszania w rodzinie, dodał, ściskając Audrey za rękę. Zanim Edmunda Lockholm odzyska pełną świadomość, Audrey będzie już jego żoną i matce pozostanie tylko pogodzić się z tym faktem. Bay rozmawiał już ze swoim adwokatem, Astinem Forbesem: ślub odbędzie się w najszybszym możliwym terminie, czyli w środę. Oficjalne zawiadomienia zostaną wysłane później. Gdy matka poczuje się lepiej, sama się tym zajmie. Nie będzie' wesela, miesiąca miodowego. A jeśli już o to chodzi, nie będzie też czasu, aby Priscilla uszyła suknię ślubną.

- Włóż tę, którą wybrałaś na wesele Celeste - zaproponował Bay. - Cudownie ci w niej.

- Ale twoja matka się sprzeciwiła - wahała się Audrey. - A poza tym, tamta suknia nie jest biała.

- Wszystkie suknie należą teraz do ciebie, jeśli je chcesz, a matka nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia. Kolor też jest nieważny, przecież na ślubie będę tylko ja, a ja wiem, jak było, więc nie masz się czym przejmować. - Pocałował ją lekko, jakby dla przypieczętowania umowy.

- A świadkowie? - spytała i spojrzała z okna powozu na Newport. Czy Thorne czuł to samo, gdy po raz pierwszy jechał przez miasto powozem Lockholmów? Audrey miała wrażenie, że jest

gościem, gościem niegodnym takich luksusów. Nie, on pewnie natychmiast poczuł się w swoim żywiole, wyniesiony ponad tłumy.

- Poprosiłem Ally'ego i panią Elliott, żonę pastora. Zgodzili się. Audrey posmutniała.

A kto przyjdzie z jej strony? Bay nawet nie rozmawiał z nią na temat jej własnego ślubu, ani daty, ani sukni, ani świadków... ani pastora... No cóż, czy to aż takie ważne? Kto ją poprowadzi? Z pewnością nic ojciec. Przecież pośrednio oskarżył Baya o zabójstwo żony. W afekcie, jak dodawali detektyw Smythe i Alabaster McGregor, starając się złagodzić ostrze potocznych terminów. Zeznania Lawrence'a Smoke'a złożone pod przysięgą zostały już włączone do materiałów dowodowych. Która z moich przyjaciółek mogłaby być druhną? - zastanawiała się Audrey. Katia Greenfield wyszła za mąż za Tony'ego Scotti i wyjechała do Kalifornii... Rosemary Maddley? Była jej pracodawczynią, a nie prawdziwą przyjaciółką, chociaż niewykluczone, że teraz mogłyby się zbliżyć, bo pani Maddley uwielbia towarzystwo bogatych. Audrey postanowiła z nią jeszcze dziś porozmawiać. Powinien przyjść ktoś z jej strony, uznała. Przynajmniej jedna osoba powinna się znaleźć w orszaku panny młodej.

- Gdzie się odbędzie ślub? Czy to także zostało już zdecydowane?

- Myślałem o salonie muzycznym - odparł Bay. - Zgadzasz się?

- Chciałabym wziąć ślub przy tej skale, gdzie się poznaliśmy.

Deszcz mi nie przeszkadza. Chcę, żeby ślub odbył się na WaterWalk, chcę na zawsze zapamiętać ten widok i szum fal.

Może przyplyną wieloryby, pomyślała, lecz nie powiedziała tego głośno. Może wieloryby będą zastępować moją rodzinę bez majątku...

- Dobrze - zgodził się Bay i poklepał jej dłoń, jakby w roztergnięciu, jakby to nie był najbardziej romantyczny pomysł, jaki w życiu usłyszał, jakby mu było wszystko jedno, jakby się jednocześnie zastanawiał, co odpowiedzieć na pytanie prokuratora:

Proszę nam teraz wyjaśnić, panie Lockholm, dlaczego zabił pan żonę? Czyżby po to, aby móc ożenić się ponownie, tak szybko, tak potajemnie, w domu nad morzem, z kobietą, która w dniu ślubu nie miała na sobie białej sukni?

A ktoś na sali sądowej, może to będzie nawet sam Alabaster McGregor, szepnie tak, aby wszyscy słyszeli: Włożyła suknię swojej poprzedniczki, cielistokoralową, ozdobioną rdzawym szyfonem. Przylegała do jej ciała jak rękawiczka i na ten widok pomyślałem, że ten szyfon to zakrzepła krew Virginii.

Ktoś inny "wykrzyknie: Byłeś tam? Słyszałem, że żywego ducha nie zaprosili!

Na co pan McGregor, opuszczając powieki zimnych jak lód oczu, odpowie: Istotnie, byłem jednym z dwóch świadków. Drugim była żona pastora. Biedaczka doznała takiego szoku, że przez cały czas ani słowem się nie odezwała...

Mildred Falk nie okazała zdziwienia, że jej lokatorka się wyprowadza. Nie spytała, gdzie spędziła poprzednią noc. Siedziała na ganku haftując stokrotki na szalu, a tymczasem Audrey pospiesznie pakowała swoje nieliczne drobiazgi do dwóch kartonów, które stangreci znieśli na dół do powozu. Wstała jednak, gdy Audrey przyszła się pożegnać. Przyjęła od Baya Lockholma kopertę, jak gdyby przyzwyczajona była do szczodrości, i poprosiła o chwilę rozmowy z Audrey. Bay zaczekał w powozie.

- To tamten kawałek tortu sprawił, tamten, który dla ciebie przyniosłam z wesela twojego ojca. Mam tylko nadzieję, że ten wytworny dżentelmen, za którego wychodzisz za mąż, nie zrobił tego, co ludzie mówią. Ale jeśli będziesz w kłopotcie, jakimkolwiek kłopotcie, możesz tu przyjść, moja droga, w dzień czy w nocy, w pogodę i słońce. Zapamiętaj to sobie. A teraz idź i bądź szczęśliwa i nie zapomnij o starych przyjaciółach. Zajrzyj do ojca i Dolly. Jesteście z jednej krwi, i tylko on ci pozostał. Nie ma ludzi doskonałych. A mnie i tobie też wiele brakuje. Nie zadzieraj nosa. Wychodzisz za mąż za bogacza, ale urodziłaś się biedna, a to

różnica. Mówię ci to, bo nie masz matki, a ktoś powinien ci powiedzieć. Będę o tobie myślała, siedząc tu sama, samiuteńka na tym pagórku. Miej się na baczności, Audrey. Oglądaj się za siebie, nie pozwól się zaskoczyć we śnie. A teraz już idź, bo twój dżentelmen czeka. Żyćcie długo i szczęśliwie.

- Panno Falk...

- Ciii, dziecko. Nie płacz. Damy nigdy nie płaczą przy ludziach, do tego mają swoje prywatne pokoje. Och, szybko się tego nauczysz. Damy nie płaczą nawet wtedy, kiedy umrze mąż albo narzeczony ucieknie od ołtarza. Damy robią dobrą minę do złej gry i uśmiechają się. Pamiętaj, uśmiechają. Nawet w grobie się uśmiechają. Taki ich los. Idź już i zawsze kroc z podniesioną głową...

Od domu Mildred Falk powóz potoczył się na Bridge Street, aby Audrey mogła zabrać dwa najcenniejsze dla niej przedmioty: owalne lustro, zza którego patrzyła na nią matka, i bujany, pomalowany w magiczne ptaki na różowym tle fotelik, który zrobił dla niej ojciec, gdy była malutka.

Wyskakując z powozu przed drzwiami rodzinnego domu, usłyszała rytmiczne odgłosy pracującej piły i przypomniała sobie zapach trocin, słodki i ciepły jak owsianka w ustach. Pchnęła drzwi warsztatu i zobaczyła ojca, takiego jak zawsze. W ciemnym kącie, przyświecając sobie lampą olejową, obrabiał swoje deski.

Ku swemu zdziwieniu zauważyła uśmiech na jego twarzy. Na dodatek podśpiewywał jakąś nie znaną jej wesołą melodyjkę. Pewnie nauczył się jej od Dolly...

- Dzień dobry, ojciec - odezwała się pierwsza. Lawrence Smoke nie od razu przerwał robotę. Jeszcze raz pchnął piłę, potem pociągnął ku sobie i kawałek drewna opadł na stertę trocin na podłodze. Pogładził klocek, jaki został mu w ręce, uniósł głowę i spojrzawszy na córkę spytał:

- Wracasz do domu? Z dobrą czy złą nowiną?

Bay Lockholm, stanąwszy za Audrey i objąwszy ją w talii,

przemówił:

- Przyszedłem prosić o rękę pańskiej córki, panie Smoke.

Lawrence Smoke splunął na kupkę trocin.

- W dniu, kiedy opuściła te progi, przestała być moją córką, a ja jej ojcem. Nie daję pozwolenia i nie biorę za nią odpowiedzialności. Przyszłaś zagrać mi na nosie, Audrey Alice, he? Podlizywałaś się bogatym? Oddałaś się mężczyźnie, którego żona jeszcze nie ostygła w grobie?

- Tato...

Lawrence Smoke podniósł piłę i kciukiem oraz palcem wskazującym przeciągnął po ząbkach, usuwając z ostrza resztki trocin i pyłu drzewnego. Jego kombinezon był znowu czysty, jak za czasów Josephine. Twarz miał gładko ogoloną, na rękach ani śladu starego smaru czy politory.

- Czy mogę zabrać lustro mamusi, to, które później mnie dałeś? I bujany fotelik. To moje ukochane pamiątki.

Ojciec spojrział na nią ze swojego kąta, w jego oczach błysnęło dawno powzięte postanowienie.

- Zabierz je. Teraz. I zabierz wszystko, co chcesz wynieść. - To rzekłszy, wziął następny klocek i przyłożył do już uciętego. Piła zaczęła grać swoją melodię, posypał się złocisty pył.

Audrey zrobiła krok naprzód. Potem jeszcze jeden.

- Ojczy - powiedziała. - Proszę, daj mi swoje błogosławieństwo. Pokaż, że mnie znowu kochasz!

Lecz Lawrence Smoke nie odezwał się, nie podniósł głowy znad piły. Może wśród pisku i zgrzytu nie dosłyszał, może tak zapamiętał się w pracy, że...

Stangreci wynieśli lustro i fotelik. Audrey z Bayem stali na ulicy. Dolly Dowd, jeśli nawet była w domu, nie wyjrzała.

Audrey poprosiła o podwiezienie do kwiaciarni Gardenflowers, skąd już piechotą zamierzała pójść do redakcji.

- Jako moja żona nie możesz pracować - powiedział Bay.
- W taki razie chciałabym dokończyć to, co zaczęłam, i pożegnać

się ze wszystkimi.

- Przyjadę po ciebie o szóstej. Jeśli nie, to znaczy, że coś mnie zatrzymało. Wtedy wracaj piechotą.

Nie zechce jej objąć, zapewnić o swojej miłości? Czy nie rozumie, na jak olbrzymi krok się zdecydowała, sama, bez doradców, bez przyjaciół? Kocha ją przecież tak samo rozpaczliwie jak ona jego... A może wcale nie?

- Pocałujesz mnie na do widzenia?

- Raczej nie - odparł. - Ludzie patrzą. Pocałuję cię na dobranoc, kiedy nikt nie będzie widział, zgoda?

Kiedy nikt nie będzie widział. Czy już zawsze będzie tak samo zachowywał się przy ludziach, poprawnie, z rezerwą, nie okazując specjalnych względów żonie? Może inaczej nie wypada?

Dwie kobiety stojące na chodniku przyglądały się powozowi i wysiadającej z niego dziewczynie, ubranej w skromną, brązowo-czarną biurową sukienkę. Potem odprowadziły go wzrokiem.

Audrey także spojrzała za Bayem. Wspaniały pojazd z przywiązanymi z tyłu pudłami, lustrem i dziecinnym fotelikiem wyglądał niemal komicznie. Mój posag, pomyślała. Nie tak żenią się bogacze, w pośpiechu, z dziewczyną z dołów. Nawet nie dostałam zaręczynowego pierścionka. Nie będzie sukni ślubnej, gości, prezentów... Nie szkodzi. Poślubię mężczyznę moich marzeń i na wieczne czasy będę panią Bayardową Lockholm. Kupię sobie bukiet u pani Maddley, przynajmniej to będę miała. Białe róże, jeśli takie będą, obłędnie drogie. Zamówię bukiet na koszt Baya... Każę ściąć róże w środę o świcie, kiedy rosa jeszcze nie wyschła na płatkach, i dostarczyć do Whale's Turning na dziewiątą. Tuzin róż z zielonym asparagusem i największą atłasową kokardą...

Jedna z kobiet podeszła do Audrey.

- Szyłam jej suknię. Wiesz, o kim mówię. I suknię jego siostry, tej, co to tydzień temu wyszła za chłopaka z miasta. Nigdy nic nie wiadomo, prawda?

Audrey przestraszyła się tej kobiety. To musi być Priscilla, ta krawcowa. Ale dlaczego ją zaczepia? Czyżby wiedziała, kim jestem? Czyżby wiedziała, że wychodzę za Baya Lockholma w takim pośpiechu, że nie ma czasu na uszycie sukni ślubnej?

- Nie wiadomo? O czym pani mówi? - spytała.

- O ludziach. Lockholm to było kiedyś wielkie nazwisko w Newport, jedno z największych. Rok temu nikt by złego słowa na nich nie dał powiedzieć. Ale jednak ta klątwa to prawda. Własną żonę zamordował. I jak tu stoję, powieszą go za to. A siostrzyczka wyszła za mąż za jakiegoś nicponia. Prawo serii. Długo ich znasz?

- Pracuję w redakcji „Daily Whirl” - odparła śmiertelnie przerażona. Dlaczego boję się przyznać, że za niego wychodzę, pomyślała jednocześnie.

- Ładnie z jego strony, że cię podwiózł, nie?

- Tak. Przepraszam - rzuciła Audrey i uniosła spódnicę, chcąc jak najszybciej odejść.

- Pewnie - ciągnęła Priscilla mierząc ofiarę taksującym spojrzeniem, - Miej się na baczności, córuś. Mężczyźni tacy jak on... Nie zaprzyjaźniaj się z nim zbytnio, nawet jeśli to twój pracodawca.

- Nie...

- Zanim się obejrzyysz, zaczniesz ci nadskakiwać, zaprosi na herbatkę. Bóg świadkiem, że po tym wszystkim teraz już żadna go nie zechce. Szkoda, że nigdy nie widziałaś jego żony. Przed ślubem wydawała się najszczęśliwszą kobietą pod słońcem.

- A suknia... Była piękna? - Po co się o to pyta! Po co w ogóle wdaje się w tę rozmowę!

- Och - westchnęła Priscilla przymykając oczy - to była najpiękniejsza suknia, jaką można sobie wyobrazić. Nigdy jej nie zapomnę. Miesiąc pracy, dniami i nocami. Jedwab, perły... Pochowano ją w tej sukni, wiesz? Suknia ślubna stała się jej całunem... Och, ci bogacze. Okradają biednych, a potem wyrzucają majątek, ot tak... Nie dbają o pieniądze.

- Muszę iść. Przepraszam - rzekła Audrey. Kolana jej drżały.

Chciała spytać krawcową, dlaczego jej to wszystko opowiada. Czy wie o Bayu i o niej? Jeśli tak, to skąd? Chciała powiedzieć: Mnie nie pogrzebią w sukni ślubnej, niech się pani nie boi, pani krawcowo. Ja pójdę do ślubu w starej sukni z szafy Lockholmów, starej, chociaż nigdy nie noszonej. To także pani dzieło? Należała kiedyś do niej. I mężczyzna i suknia... należały do niej... - Do widzenia - rzuciła i wbiegła do kwaciarni.

Rosemary Maddley stała za kontuarem. Wycierała z kurzu liście eukaliptusa. Ona także widziała, jak właściciel Whale's Turning pomaga Audrey wysiąść z powozu.

- Witaj! - zawołała. - Co u ciebie nowego? Czy to nie sam Bayard Lockholm cię tu przywiózł? Nie bałaś się, że cię dotknie? Pamiętasz, jak robiliśmy wieńce na pogrzeb jego żony?

- Wychodzę... wychodzę za mąż. Chciałabym zamówić bukiet.

Rosemary Maddley uniosła okulary i spojrzała na dziewczynę.

- Szybka jesteś, moja panno. Szybsza, niż sądziłam. Kim jest szczęśliwy wybranek? Kiedy nastąpi ten szczęśliwy dzień?

Ale Audrey już w sklepie nie było. Wybiegła na ulicę, gdzie wspaniała klacz wielebnego Elliotta o mało jej nie stratowała.

- Nerwy - powiedziała Rosemary Maddley do eukaliptusa. - Nerwy. Biedactwo.

- Słyszałem już o szybkich awansach - powitał ją Alabaster McGregor - ale twój nie ma precedensu. A już zaczynałem się nawet do ciebie przyzwyczajać, już nawet, choć jeszcze nie całkiem, zaczynałem cię lubić. Ale - unosząc palec nakazał swojej asystentce milczenie - dam sobie radę bez ciebie, Bogu dzięki. Nigdy nie lubiłem dzielić z kimś swoich tajemnic i zaprotestuję, jeśli Bay zechce mi kogoś przysłać na twoje miejsce. Sekretarz, mężczyzna, na dodatek siedzący na innym piętrze, to wszystko, czego chcę i potrzebuję. Zażądałem podwyżki, nie omieszkać dodać, że wysokiej, i otrzymałem ją bez zwłoki. A teraz ci gratuluję. - Patrzył na nią bacznie, inaczej niż dotychczas. - Nigdy nie sądziłem, że uda ci się taki finisz... Byłaś dla mnie fuksem, chociaż twoja powolność

na starcie zdradzała predyspozycje do długiego biegu... Ale wyścig trwa, he? No, zabierajmy się do roboty.

- Proszę pana...

- Wiem, wiem, wiem wszystko, co zaszło pomiędzy Ba-yardem i matką. Nie bez kozery nazywają mnie prawdziwym królem sensacji.

- Proszę pana...

- Wiedziałem, że to nie koniec. Nie możesz już do mnie mówić „proszę pana”, masz mnie nazywać Alabaster albo Ally, jak wolisz. Ja, co prawda, zawsze cię będę nazywał Audrey, obojętne jak wysoko się wdrapiesz...

- Proszę pana...

- O co chodzi, szanowna amatorko wspinaczki po drabinie społecznej?

- Pomoże mi pan, panie McGregor? Alabaster McGregor, który dotąd stał, usiadł.

- W jaki sposób, moja droga? Zapomnij o ortografii. Nigdy nie będziesz w niej dobra.

Audrey także usiadła. Bała się mu zaufać, ale musiała. Spuściła głowę, zacisnęła dłonie na kolanach. Pragnęła czyjejś przyjaźni.

- Chciałabym być dobrą żoną dla Baya.

- Och, tylko nie to - westchnął Alabaster. - Całuj go często i zostaw mu we wszystkim wolną rękę. Oto cała filozofia.

- Niech pan ze mnie nie żartuje.

- Dobrze. O co chodzi? Nie mam czasu udzielać ci instrukcji, co masz robić w noc poślubną, jeśli o to chciałaś zapytać. Jakoś przez to przebrniesz, wszystkie panny młode jakoś dają sobie z tym radę. „Daily Whirl” interesuje mnie o wiele bardziej niż ty, Kopciuszku. Coś jeszcze?

Oczy zaszły jej łzami, nos zwilgotniał. Wytarła go, zła na siebie.

- Nie wiem, jak być damą - wyznała i podniosła wzrok, napotykając jego spojrzenie. - Proszę mi pomóc.

Lodowate, zblazowane, popielatoszare oczy Alabastra na mgnienie rozświetlił ogień. Anielski, a może diabelski? Tego nie

wiedziała.

- Hmm - mruknął bawiąc się ołówkiem i mierząc dziewczynę uważnym wzrokiem od stóp do głowy. - Hmm... Wciąż ten sam problem. Blask osiąga się przez długie polerowanie, a do ciebie jeszcze nikt się nie zabrał. Czeka cię, mała, droga przez mękę, szczególnie że Celeste nie ma, żeby ci pomóc, chociaż wątpię, czy by zechciała. Biedna Edmunda... No i aresztowanie Bayarda...

- Aresztowanie?

- Nie przesłyszałaś się. Nie wiedziałaś? Moja droga, twój przyszły małżonek nie mówi ci wszystkiego. Prawdopodobnie właśnie w tej chwili Astin Forbes przykłada pieczęć na zwolnieniu za kaucją, jeśli sędzia wyraził zgodę, ale biorąc pod uwagę pozycję Baya, prawdopodobnie nie robił problemu. Więc się nie martw, twój narzeczony wróci do domu na kolację. Niemniej czeka go proces, sensacyjny proces... Nie mogę usiedzieć z emocji. Kiedy bogacze coś przeskrobia, świat chce się o tym dowiedzieć, a Alabaster McGregor trzyma rękę na pulsie. Tyle chyba zdołałem cię w ciągu tej naszej krótkiej współpracy nauczyć, prawda?

Audrey słuchała w takim napięciu, że łyzy same jej obeschły. Wydmuchała nos, skinęła potakująco głową. Piętro niżej prasa drukarska stukała miarowo wprawiając cały budynek w drżenie, pulsowała niczym bijące jednym rytmem serce tłumu...

- A ty, moja sprytna panno, jako druga małżonka Johna Bayarda Lockholma Trzeciego, nie tylko zajmiesz stałe miejsce w mojej rubryce, lecz och, jakie miejsce. To będzie bomba. Wszyscy wezmą cię zaraz pod lupę, zaczną się zastanawiać, czy ty i Bay znaliście się, zanim on zabił Virginie... A znaliście się? Pewnie zakwalifikują cię jako kokietkę, która usidliła milionera, gdy przeżywał trudny okres.

- Alabaster wzruszył ramionami. - Przynajmniej ja tak to widzę.

- Panie McGregor - odezwała się Audrey. - Wie pan, że Bay nie zabił Virginii, że się nie znaliśmy przedtem i że ja nie jestem kokietką. Jak pan może coś takiego myśleć!

Alabaster pogładził się po łysinie.

- Jak mogę? Niewykluczone, że zmienię zdanie. Zobaczymy. Niemniej tak jak ja myśli całe Newport, przynajmniej ci, którzy się liczą. Zobaczymy. Mogę się z tobą zaprzyjaźnić, uczynić z ciebie ulubienicę salonów. Ale ile to czasu zajmie! Jesteś taka surowa... Z drugiej strony, gdyby mi się udało, byłby to nie lada wyczyn.

- Panie McGregor...

- Słucham?

- Pan znowu myśli tylko o sobie.

- Dobrze. Niech to będzie pierwsza lekcja. Bogaci zawsze myślą tylko o sobie, jak zresztą wszyscy. A propos, sam należę do elity, mam rodzinne koneksje i znaczny majątek. Czterdzieści procent udziałów w tej gazecie należy do mnie, a pracuję, ponieważ muszę czymś wypełnić dni, w przeciwnym wypadku prowadziłbym burzliwe nocne życie... Pewnie się zorientowałaś, że nie mam rodziny, a gazety mnie bawią.

Nie wiedziała o tym. Potrząsnęła głową. W tym nowym świecie było tyle rzeczy, których nie wiedziała, o których nikt nie mówił, bo wszyscy wszystko zawsze wiedzieli. Jak łatwo będzie zrobić fałszywy krok, popełnić haniebny błąd...

- Przepraszam... nie wiedziałam. Nikt mi nie powiedział.

- Teraz już wiesz. Ktoś ci w końcu powiedział. Ale wracajmy do tematu. W przypadku ludzi bogatych słabości i wady charakteru są bardziej widoczne, stąd pragnienie zachowania prywatności we wszystkim, ale nie przepraszamy za nasz los. To się nazywa przywilej. Świadomie kultywuj ten przywilej, moja droga Audrey, a z czasem nabierzesz pewnej arogancji, bez której nie można by cię nazwać jedną z nas... No i jak, podoba ci się pierwszy stopień wtajemniczenia?

- Dziękuję, proszę pana.

- Nie nazywaj mnie tak więcej. Słyszysz?

- Tak, Ally... Czy za twoimi plecami nie nazywają cię alejkowym kotem?

Alabaster uśmiechnął się, odchylił na oparciu fotela, przeciągnął.

- Istotnie - rzekł. - I słusznie. Zapamiętaj sobie, moja ty pierwsza naiwna. Zyskanie we mnie przyjaciela jest prawie takim samym osiągnięciem jak poślubienie Bayarda Lockholma, a nic, nawet bankructwo, nie jest gorsze od uczynienia sobie ze mnie wroga... No, zabierajmy się do roboty nad jutrzejszym numerem. To będzie prawdziwa bomba...

RS

W środę, siedemnastego lipca, padało. Ciężkie, czarne chmury niczym baldachim zawisły nad Gilt Hill. Strugi deszczu godzinami posepnie zacinały w ściany, okna i tarasy i wsiąkały w zieloną trawę.

Trochę po czwartej po południu Audrey Alice Smoke i John Bayard Lockholm HI zostali sobie poślubieni w salonie muzycznym rezydencji Whale's Turning. Panna młoda włożyła cielistokoralową suknię z rdzawoceglastym szyfonem wokół dekoltu, uszytą dla innej. Zamiast welonu przewięzała miodowobrazowe włosy białą wstążką. Srebrne pantofle były o pół numeru za duże, lecz nie potykała się w nich. Nie miała własnej biżuterii, a narzeczony nie ofiarował jej żadnego drobiazgu. Nie miała na sobie nic starego ani nic nowego, nic pożyczonego ani nic niebieskiego. Suknia nie jest ani stara, ani pożyczona, rozumowała Audrey, jest uszyta rok temu, nigdy nie noszona i подарowana mi przez Baya. Teraz jest moja i nigdy nie należała do Virginii. Audrey nie miała bukietu, nie otrzymała żadnych listów z powinszowaniem, prezentów ani gratulacji. Nikt z przyjaciół, chyba żeby za takowego uznała Alabastra McGregora, ani nikt z rodziny nie wziął udziału w uroczystości. Przynajmniej nikt z jej rodziny. Edmunda Lockholm była bowiem obecna. Ubrana w szafirową suknię, obwieszona perłami przez cały czas siedziała z boku, wyprostowana, ze złożonymi rękami, wzrokiem otępiałym, nieporuszona, katatoniczna. Na koniec, jak gdyby ślub był występem aktorów dla umilenia podwieczorku, głośno zaklaskała w dłonie, spuściła głowę i usnęła.

Cała służba Whale's Turning przyglądała się ceremonii, a kamerdyner Fisher odegrał marsza na fortepianie. Adwokat Baya, Astin Forbes, oraz detektyw Jeremy Smythe, przysłany z Providence

w celu ujęcia mordercy, także byli obecni.

Potem w wielkim holu odbyło się małe przyjęcie. Audrey poprosiła panią Olsson o upieczenie tortu. Mimo że nie było czasu na wykonanie prawdziwego arcydzieła, pani Olsson przysłała śliczny piętrowy tort ozdobiony parą ptaszków.

Przed szóstą goście rozeszli się. Służba wróciła do swoich zajęć, a Edmunda Lockholm do łóżka.

Audrey przebrała się we własnoręcznie uszytą białą sukienkę, którą niegdyś uważała za swój najpiękniejszy strój.

- Pokażę ci dom - zaproponował Bay. - Chcesz? Jeszcze całego nie widziałas.

- Chodź ze mną na WaterWalk - odrzekła. - Pocałuj mnie w tym deszczu. Chcę jeszcze raz oprzeć się o skały i... - zobaczyć wieloryby, dokończyła w myśli. Wieloryby są jej tajemnicą. Bay mógłby nie zrozumieć. Wczorajszej nocy stała w otwartym oknie i zaklinała morskie zwierzęta, aby przybyły na jej ślub. Rozmawiała także z mamusią po drugiej stronie lustra. Jeśli podpłyną, wszystko skończy się dobrze, szepnęła matka. Mogą jeszcze być jakieś kłopoty, szarpanina i ból, ale jeśli wieloryby przyplyną, to znak, że Bóg pobłogosławił związek Audrey i Bayarda Lockholmów...

Bay milczał.

Audrey spojrzała na złotą obrączkę na palcu, ciężką, obcą, odrobinę za dużą. Nie pasującą do jej ręki.

- Chodźmy. Proszę. To moje ślubne życzenie.

- Nie miałem czasu przygotować dla ciebie prawdziwego prezentu - przemówił Bay, który dotąd milczał. - Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zapalę?

- Oczywiście, że nie. Nic, co robisz, mi nie przeszkadza. Ty jesteś moim prezentem - dodała. - Smutno ci? Żałujesz?

Błysnęła zapałka, rozświetlając na mgnienie gęstniejący mrok. Zadymiło cygaro.

- Chcę zobaczyć cię nagą - powiedział za zasłoną z dymu. - Chodźmy na ten twój cholerny spacer, przemoknijmy do suchej

nitki. Potem zerwę z ciebie tę sukienkę. Nie chcę jej więcej widzieć. Jeśli będziesz potrzebowała strojów, wezwij Priscillę. A gdy to wszystko się skończy, zabiorę cię do Paryża, do Wortha. Do diabła z Virginia... Jeszcze czuję na sobie jej szpony. To powinnaś być od razu ty, ale nie wiedziałem, jak cię znaleźć.

Odrzucił cygaro, chwycił Audrey w ramiona i obsypał pocałunkami. Całował ją jak nikt przedtem, gorąco i namiętnie. W ustach poczuła jego język, mocny, pulsujący. Dotyk jego rąk rozpałał jej piersi, jej biodra, jej uda. Twarde jak stal palce przycisnęły jej łono. Nagle uniósł ją, schował twarz na jej piersiach i zaczął je pieścić językiem gwałtownie, niepohamowanie...

Potem równie nagle postawił ją i wypuścił z objęć. Dostrzegła, jak jego spojrzenie łagodnieje, pożądanie gaśnie i ustępuje miejsca czułości. Nabrzmiące żyły na skroniach przestają pulsować, twarz przybiera zwykły wyraz. Po chwili przytulił ją znowu do siebie i zaczął kołysać powoli, rytmicznie, kojąco. Czowała, jak jego mięśnie drżą, a ciało uspokaja się. Usłyszała, jak mówi do niej, jak gdyby już byli na skałach:

- Zjemy kolację wcześniej, tu, u siebie, a potem, potem, pani Lockholm, moja najdroższa, moja żono, pokażę ci, jak bardzo żałuję, że jesteśmy ze sobą połączeni...

Jeszcze przed chwilą tak przygnębiony, teraz taki szczęśliwy. Audrey uśmiechnęła się, nabierając kobiecej mądrości.

- Dobrze - szepnęła. - Dobrze.

Bay znalazł odrzucone cygaro. Jeszcze się tliło. Zaciągnął się, wypuścił z płuc obłok dymu, wyciągnął rękę do Audrey i otworzył drzwi.

Burza jakby tylko na nich czekała. Przez cały dzień siąpiło równomiernie, lecz gdy tylko wyszli - Audrey w kaloszach Celeste i jaskrawożółtym, takim samym jak Baya, płaszczu przeciwdeszczowym - ulewa nasiliła się. Wiatr zmienił kierunek, strugi deszczu smagały ich twarze. Ziemia rozmiękła, fale na morzu zniknęły. Wszystko dookoła spowiła szarość.

Audrey wzięła Baya za rękę, pociągnęła za sobą, zaczęli biec. Jestem panią Bayardową Lockholm! Jestem panią Bayardową Lockholm! Jestem! Jestem! - śpiewało jej w duszy, gdy mijali falochron na końcu trawnika. Skręcili przy pomoście, gdzie kołysał się ich jacht, „Catbird Seat”, i zaczęli się wspinać na WaterWalk. Wszystko będzie dobrze, pomyślała Audrey na widok małej, niewyraźnej w deszczu, fontanny w oddali. Przyplłynęły!

Pospiesznie puściła rękę Baya i przywarła do skały. W pierwszej chwili nie mogła wprost uwierzyć i aż cofnęła się w osłupieniu. Potem ponownie wyjrzała zza głazu: nie, to niemożliwe, czegoś takiego nie oczekiwała! U ujścia zatoki aż tłoczno było od wielorybów, trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt garbów, jeden przy drugim, nieruchomych, przypominających olbrzymie ślimaki. Nagle jeden zanurzył się pod wodę, po nim drugi. Zatonęły niczym statki-widma. Audrey oczu nie mogła oderwać od stada. Któryś wypuścił obłok mokrej pary, natychmiast pochwyconej przez szalejący wicher, inny zadrżał i zamiast pięknej fontanny wytrysnęło zaledwie kilka kropel...

- Spójrz! - krzyknęła, lecz wiatr porwał jej słowa. Spojrzała na Baya. Jego żółta peleryna tworzyła jedyną barwną plamę na tle ogólnej szarości. Zgubił kapelusz, po twarzy spływały mu strugi deszczu.

- .. .powrotem - dosłyszała tylko. Bay wziął ją za rękę, lecz się opierała. Musi się dowiedzieć, co to znaczy, ta masa wielorybów u jej stóp w dniu ślubu. To musi być zły znak, wiedziała o tym. Bóg nie mógł dobitniej dać jej do zrozumienia, nawet gdyby napisał to na powierzchni oceanu. Chciała wieloryby, to ma - istną plagę, zarazę. Czyżby cały świat stanął na głowie dlatego, że poślubiła mężczyznę, którego kocha? Czyżby wszystkie te zwierzęta miały umrzeć dlatego, że ona wierzy w niewinność Baya? Słuchała niesamowitego zawodzenia wiatru. Dziwnego jęku... Czy to wieloryby śpiewają pieśń śmierci?

Dawno, dawno temu dziadek Nally, który wiedział wiele rzeczy,

powiedział jej, że wieloryby czasami śpiewają do siebie. Śpiewają głosem, który słyszą tylko anioły. Lecz jeśli, co zdarza się bardzo rzadko, żeglarz usłyszy śpiew lewiatana, wie, że zbliża się śmierć. Może uciekać, lecz nadaremnie. Równie dobrze może zacząć zbijać dla siebie trumnę i pisać pożegnalne listy, bo Bóg go wzywa, wzywa na sąd.

Śpiewają pieśń dla niej czy dla Baya?

Chmury przecięła srebrna błyskawica. Niczym dłoń kościotrupa dźgnęła gromem niebo i zniknęła... Dźgnęła i zawisła...

Audrey odwróciła się plecami do zatoki. Nie miała odwagi dłużej patrzeć na to widowisko. Przed sobą widziała teraz bryłę Whale's Turning, upiornie białe ściany, wymyte ulewą czerwone dachówki, okna oświetlone złotym światłem od wewnątrz. Burza oddalała się. Czuła, że Bay szarpie ją za łokieć, lecz nie reagowała. Jeszcze chwilę stała wsłuchana w nieziemski lament wielorybów i z bojaźnią w sercu pytała tego domu, czy przyjmie ją za swoją panią? A może i dom również nawiedzony jest przez ducha Virginii? Ducha, którego obecność czuła w sobie.

Rozkoszowała się kąpielą, różowymi bąbelkami i gorącą wodą morską. Pokojówka wytłumaczyła jej, że cztery kurki przy wannie dostarczają gorącą i zimną wodę z miejskich wodociągów oraz bezpośrednio z morza, podgrzaną i o naturalnej temperaturze, co kto chce. Wystarczy odkręcić odpowiedni kran i ma się w domu morze i całe zdrowie, jakie ono daje, myślała Audrey. Kolację zamówili na ósmą, do sypialni. Ubierze się w białą jedwabną koszulę nocną, kupioną dawno temu specjalnie na noc poślubną. Nie ma jednak peniuaru, koszula kosztowała tyle... To nic, okryje się haftowaną chustą z długimi frędzlami, którą znalazła w jednej z szuflad.

Audrey znów była szczęśliwa. Przestała zaprzętać sobie głowę burzą i wielorybami, myślała tylko o Bayu i o tej nocy. Nagle usłyszała powolne szuranie domowych pantofli po dywanie i mocne stukanie laski Edmundy Lockholm. Wstrzymała oddech.

Spodziewała się napaści, krzyków, wyrzucenia z domu. Pragnęła niczym foka zanurkować pod różową mydlaną pierzynę, ukryć się i wynurzyć, gdy starsza pani odejdzie. Wsypała jeszcze trochę kryształków do wanny i machając nogami starała się wytworzyć więcej gęstej piany.

Mściwa Edmunda Lockholm nie pojawiła się w drzwiach łazienki. Z sypialni nadal jednak dochodziły odgłosy szurania i przytłumiony dywanem stuk laski. Co ona tam robi, zastanawiała się Audrey. Przeszukuje pokój, który teraz należy do mnie? Węszy i krzywi nos oglądając mój nędzny posag? Jutro, postanowiła, wyrzucę wszystko i wezwę Priscillę...

Usłyszała energiczne otwieranie drzwi szafy, szelest materiału. Pani Lockholm przegląda garderobę! Po co?

Kąpiel wystygła, lecz Audrey nie odkręcała kurka, aby szum wody nie zwabił pani Lockholm do łazienki. Poza tym miała ochotę już wyjść z wanny, wytrzeć się, uperfumować, wyszczotkować włosy. Chciała delikatnie pociągnąć rzęsy opaloną zapalką, wetrzeć odrobinę różu w policzki, pomalować nim wargi. Pragnęła być dziś piękna. Dziś przestanie być dziewicą i nareszcie się dowie, dlaczego Dolly Dowd śmiała się z rozkoszy, gdy spędzała noc z mężczyzną...

Za ścianą Edmunda Lockholm zaczęła coś mówić. Z trudem wymawiała dźwięki i zniekształcała słowa, lecz przemawiała na tyle głośno, że niestety Audrey dokładnie wszystko słyszała.

- Jesteś tam, Virginio? Chcę ci pokazać, co ta bezczelna dziewczyna tu wyprawia. Znowu wkładała twoje suknie!

Bay jest tuż obok, to on powinien uspokoić matkę, nie ja, nie w noc poślubną, myślała Audrey.

Wyszła z wanny i owinęła się białym prześcieradłem kąpielowym z wyszytym herbem Lockhomów. Wyjęła zatyczkę, szum wody zagłuszył głos Edmundy. Zapukała do drzwi Baya i, nie czekając na pozwolenie, otworzyła je. Zobaczyła rzucone na wąskie łóżko ubranie, usłyszała dobiegające z łazienki trele. Bay stał pod prysznicem i z zapalem wyśpiewywał jakąś włoską arię.

Audrey cofnęła się, nie chciała oglądać go nagiego. Jeszcze nie teraz.

Stąpając na palcach wróciła do buduaru. Edmunda Lockholm siedziała na kanapce, oparta o stos poduszek. W drżącej dłoni trzymała laskę. Ujrawszy dziewczynę zmrużyła powieki, jak gdyby chciała lepiej jej się przyjrzeć.

- Skąd się tu wzięłaś? - spytała. - Wracaj do pomywalni, tam twoje miejsce. Gdzie Virginia? - Edmunda Lockholm usiłowała dosięgnąć przycisk wmontowany w ścianę. - Co zrobiłaś z ubraniem, dziewczyno? Kim jesteś? Zresztą obojętne, wynoś się! - Nacisnęła dzwonek. - Widzisz - zakrztusiła się śliną - wezwałam Fishera. Może jestem tylko starą, chorą kobietą, ale zobaczysz... Jest komu mnie bronić. Och, gdzie Virginia? - Laska wypadła jej z ręki, głowa zaczęła kiwać się na boki.

- Proszę pani - zaczęła Audrey - teraz ja tu mieszkam. To mój pokój. Bay i ja wzięliśmy dziś ślub. - Usiadła przed toaletką i zaczęła rozczesywać włosy. Starła się uspokoić, nie przestraszyć tamtej kobiety, lecz...

- Wstań - rozkazała Edmunda łagodniejszym tonem. - Zrzuć ten ręcznik. Pokaż mi swoje ciało.

- Ale, proszę pani... - broniła się Audrey.

- Naprawdę wyszłaś za Baya? - ciągnęła chora. - Potrzebna mu dobra kobieta. Ostrzegałam go przed tamtą. Złodziejka, ulicznica. Przyłapałam ją, jak kradła suknię Virginii. - Edmunda prychnęła. - Pokazałam jej, kto tu rządzi! Jeśli naprawdę jesteś żoną Baya, musisz nazywać mnie mamą. Virginia zawsze tak się do mnie zwracała. Zgadzasz się, kochanie? Tak bardzo tego pragnę. Powtórz, jak ci na imię, dziecko?

W jakimś momencie Bay zauważył, że w łazience drzwi do jego pokoju zostały otwarte, że drzwi do jej sypialni też stoją otworem. Może tu w każdej chwili przyjść, sprawdzić, co się dzieje...

- Audrey Alice - przedstawiła się swojej teściowej. - Z domu Smoke, lecz teraz noszę to samo nazwisko co pani. Teraz ja też

nazywam się Lockholm. Mam nadzieję, że szybko wróci pani do zdrowia i że zostaniemy przyjaciółkami. Będę potrzebowała wiele życzliwości i pomocy z pani strony.

- Pomocy? Masz za mało ludzi do pomocy? Trzydzieści pięć osób gotowych na każde staniecie! No, zdejmuj ten ręcznik. I tak nie jest twój, tylko Virginii. I pokój też należy do Virginii - dodała tonem upartego dziecka.

Audrey wstała. Zamierzała jeszcze raz pójść do Baya, prosić o pomoc. Następnym razem już będzie wiedziała, co robić, następnym razem wszystko będzie dobrze.

Zapukano do drzwi.

- Proszę - powiedziała Edmunda Lockholm, główką laski uderzając w poduszki. - Wejź, Fisher, i zabierz stąd tę dziewczynę. Powiedz mi, Fisher, widzisz tę uliczkę? To ta sama, która zabiła Virginie? Najpierw wypchnęła ją z okna, potem ukradła jej suknię, a potem poślubiła jej męża?

- Proszę pani - odezwał się Fisher beznamiętnym głosem - podano do stołu. Czy mam przyprowadzić fotel i zwieźć panią na dół?

Edmunda uśmiechnęła się krzywo.

- Dobranoc, kochanie. Pozbędę się ciebie, jeszcze zobaczysz.

Wstała chwiejnie, lecz bez niczyjej pomocy, i suwając nogami podeszła do drzwi. Laska wbijała się mocno w puszysty dywan. Tuk, tuk, tuk... Fisher podał starszej pani ramię.

Audrey zamknęła za nimi drzwi.

Nie było wcale tak, jak się spodziewała. Bolało, krwawiła, oczekiwane spełnienie nie nastąpiło. Namiętność nie sięgnęła zenitu, uniesienie nie przyniosło rozkoszy. Nie otwały się przed nią wrota magicznej krainy ognia i śpiewu. Bay pieścił ją kojąco i uspokajał. Zapewniał, że następnym razem będzie lepiej, że jej ciało się odpręży, zacznie reagować, potem odpowiadać...

I następnym razem tak było.

Bay był spokojniejszy, bardziej czuły. Szeptał o miłości,

zapewniał, że ją kocha, pieścił ją, opisywał piękno jej ciała. Zapomniała o skrępowaniu nagością, przestała myśleć, poddała się dotykowi, rytmowi jego ruchów, pulsowaniu, jakie wypełniało jej łono...

Noc po burzy była zimna, lecz nie zamknęła okien i nie zasłoniła ich kotarami. Tej nocy, gdy Bay stał się jej prawdziwym mężem, a ona jego prawdziwą żoną, pragnęła słyszeć fale oceanu uderzające o skały i wiatr szeleszczący gałązkami płaczącego buku. Pragnęła widzieć tiulowe firanki wyciągające się ku nim, klaszczące niczym długie białe dłonie...

Bay zasnął nie wypuszczając jej z objęć.

Zmęczona, również zapadła w sen. Widziała matkę po drugiej stronie lustra. Virginia także tam była. Przyglądały się śpiącej parze, Audrey i Bayowi.

W środku nocy obudził ją stuk łaski na korytarzu i zdławiony głos Edmundy wołającej Virginie.

Tory VanVoorst siedziała na tarasie apartamentu hotelu Ocean House w Newport. Krając brzoskwinie, obmyślała kolejny krok.

Na szklanym stoliku leżał już przeczytany list od niejakiego Maurice'a Rivaliniego, jubilera z Rzymu. Nie wyjaśniał wiele, lecz wystarczająco dużo, aby Tory podjęła decyzję, że uda się dziś do Whale's Turning i złoży wizytę pani Johnowej Bayardowej Lockholm III. Przy odrobinie szczęścia, Tory rozpali ogień w Audrey i zyska przyjaciółkę. Ogień gwałtowny, niegasnący; ogień, który obróci w popiół wszelkie przeszkody na drodze do zaspokojenia jej wielkiej ambicji.

Oślonięta zieloną parasolką, Tory przyglądała się temu, co było jej tak w Newport drogie: Bellevue Avenue, Ocean Drive i Gilt Hill. Już wkrótce wszystko to będzie jej, tak jak trzymana w upierścienionej dłoni złocista brzoskwinia, którą tnie na cząstki mokrym od soku ostrzem. Za sezon, dwa, będę władała Newport, będę królową jak Dove Peerce. Dokonam tego, wiem. Dokonałam w życiu trudniejszych rzeczy. Każdy dzień mojego życia był trudny. Gdyby tylko świat o tym wiedział...

Wadą Burty'ego był upór. Nie chciał wycofać się z interesów, nie chciał próżnować, oddawać się życiu towarzyskiemu i pozwolić, by jego majątkiem zarządzali płatni pracownicy. Zamknięty w maleńkiej klitce w Nowym Jorku harował pięć, sześć dni i większość nocy w tygodniu, jak rok długi. Ludzie bogaci, tak bajecznie bogaci jak Burty, nie pracują, przynajmniej nie codziennie! Po pewnym czasie pieniądze same robią pieniądze. Inwestycje rodzą zyski niczym kokosy, które wpadają w ręce, gdy potrząsniesz drzewem. Lecz Burty mawiał, że „musi”, co oznaczało, że chce. Lubi pracę. Tak samo jak ona, Tory, „musi” przeciągać się i przewracać z boku na

bok w łóżku, „musi” kąpać się w wodzie z dodatkiem soku z cytryny, który wybiela skórę, która zresztą nigdy nie będzie całkiem biała... Musi i lubi. Lubi siebie dzięki temu, co robi. Dlatego rozumie męża.

Dlatego, że sprytna dziewczynka nie traci figury, gdy złowi bogatego mężusia. Sprytna dziewczynka daje dobry towar za dobry towar. Sprytna dziewczynka nigdy nie zapomina, skąd przyszła. Nigdy. Chociaż katastrofa była tuż, tuż! Tory wzdygnęła się na wspomnienie tamtego koszmaru.

- Słuchaj, chcesz tańczyć w moim klubie, to pokaż nogi, czarnucho. Pokaż, jak umiesz podrygiwać!

- Nie jestem czarna! Jestem biała! Tak samo jak ty! Jestem Hiszpanką.

Tej samej nocy zostawiła wcielenie Joey, latynoskiej tancerki, przed knajpą tylko dla czarnych, i wsiadła do pociągu do Nowego Jorku. Jadąc wymyśliła nowy życiorys: biały. Zamieszkała w pensjonacie i zaczęła pracować w klubie nocnym w Jersey. Robiła to, co konieczne, by piąć się wyżej, by prosperować, by dostać się do klubu na Manhattanie, gdzie długonoga dziewczyna ma szansę spotkać jakiegoś wyczekującego przed wejściem dla aktorów Johnny'ego i zrobić na nim wrażenie. A gdyby był dość bogaty, a ona wystarczająco biała i bardzo, bardzo przedsiębiorcza, mogłaby wytańczyć dla siebie ślub, dom na Piątej Alei i... w Newport...

Tak więc całowała go na powitanie i na pożegnanie. Właśnie kilka minut wcześniej pożegnała Burtykinsa, jak pieszczotliwie nazywała męża, na cały tydzień i została sama. Sama ze swoimi intrygami i zadaniami. Sama do piątku...

Jeden z problemów, który już wkrótce zostanie rozwiązany, to brak własnego letniego domu w Newport. Nieważne, co robisz czekając na jego ukończenie, i jak się starasz. Wszyscy wiedzą, że jesteś *nouveau*. Chcą być mili i zapraszają cię od czasu do czasu, ale w gruncie rzeczy tylko po to, żeby ci się dobrze przyjrzeć. Na przyjęcia, które naprawdę się liczą, nie, masz wstępu...

Czwartego lipca, na przykład, było przyjęcie u pani Astor. Hmm.

Trzydziestego czerwca odbył się ślub Celeste Lockholm. A inne bale, kolacje, herbatki?

Dobrze. Tory VanVoorst im pokaże! Uśmiechnęła się w duchu z ukrytego żartu, który tylko ona rozumiała. Godsend rzuci Newport na kolana; Godsend stanie się szczytem elegancji, Zack Pink jej to obiecał. Godsend będzie niedoścignione.

Jej wielki dzień się zbliża. Godsend jest już gotowe i jest wzorem doskonałości. Prace wewnątrz są już na ukończeniu; tapety z Anglii, brokaty z Włoch, meble z Francji.

Kiedy wraz z Burtyem wprowadzą się na Ocean Drive, Tory wyda swoje pierwsze przyjęcie. To będzie jej skok na głęboką wodę. Więc musi się udać. Musi...

Burty traktuje wszystko mniej serio. Zapewnia, że Newport ich zaakceptuje, nie ma się czego obawiać. To tylko kwestia czasu. Ona jest piękna, on bogaty, tworzą czarującą parę. Nie ma powodu, dla którego elita Newport nie miałaby przyjąć VanVoorstów do swojego kręgu.

- Cztery letnie sezony powinny wystarczyć - powiedział.

- Swobodnie. Przez ten czas wszyscy nas poznają i pokochają.

Zobaczysz, będą cię błagać, żebyś im sędziowała mecze tenisowe. Istotnie?

Cóż, cztery lata to zbyt długo.

W cztery lata można ukończyć college - zacząć niczego nie umiejąc i skończyć posiadając wszelką wiedzę. W cztery lata można odkryć tajemnicę, tajemnicę, której nawet Burty, a zwłaszcza Burty, nie zna. Tajemnicę, dla której zachowania gotowa by była nawet zabić...

Urodziła się jako biedna Alma June Brown, w jednej czwartej Murzynka, biedna jak mysz kościelna, ale z cerą na tyle jasną, że mogła uchodzić za białą, z prostymi włosami i pięknymi rysami twarzy. A po prapradziadku odziedziczyła wojowniczą naturę...

Prapradziadek był sławny w Newport, jak głośiła rodzinna legenda. Nazywał się Phineas Brown i to on przeklął cały klan

Lockholmów, ponieważ był w kwiecie wieku, niewinny i tak wiele jeszcze mógł zdziałać! Niesłusznie oskarżony o zamordowanie starego kapitana Lockholma, zawisł na rei „Quicksilvera”, okrętu do przewozu niewolników, którego kapitan wcale nie został zamordowany;

Ów podły człowiek wypadł z jednej z łodzi ratunkowych, przykrytej brezentem, podwieszanej na wyciągu, gdy jednej z pijackich nocy chciał, przyłożywszy jej nóż do gardła, zgwałcić Lillies, kobietę Phineasa. Kapitan wpadł w czarną otchłań oceanu i tylko niewolnicy z ładowni znali prawdę. Modlili się o łaskę dla Phineasa Browna, lecz ich modlitwy nie zostały wysłuchane.

Lillies kupił plantator z Tennessee. Opowiedziała tragiczną historię Salomonowi, synowi spłodzonemu przez Phineasa.

Była to prawda o białych, prawda do zapamiętania i przekazania następnemu pokoleniu. Tajemnica, jedyny przywilej czarnych.

Babka Almy June, córka Salomona i białej kobiety, urodziła się w czasach, gdy Salomon był już wolnym człowiekiem. Miał ponad trzydzieści lat, a jego dziewczyna, analfabetka, czternaście. Babka Brown nigdy nie wyszła za mąż, chociaż miała dziecko, córkę. Babka Brown została samozwanczym kaznodzieją w Nowym Orleanie i głosiła prorocstwa boże. To ona szepcząc w ucho Almy June przepowiedziała, że zemsta dosięgnie Lockhomów, gdy przyplyną wieloryby... Cokolwiek by to miało znaczyć.

- W czas lewiatana - rzekła babka Brown - sprawiedliwości stanie się zadość...

Lecz babka Brown umarła dawno temu na niedokrwistość, a jej córka, spłodzona przez białego farmera, który zhipnotyzował ją przy pomocy węża i posiadał w imię Jezusa na klepisku Świątyni Syjonu w noc księżycową, matka Almy June, Heshbon Brown, zmarła niedługo po niej na tę samą chorobę.

Babka ostrzegała córkę. Choroba przychodzi od białego człowieka.

- Nie czyń, jako ja czyniłam. Czyń, jako nauczam. Lecz

ostrzeżenie przyszło za późno. Alma June nigdy nie знаła swojego ojca, białego marynarza z obcego kraju. Odpłynął, gdy Alma była zaledwie małym embrionem w łonie matki. Za życia Heshbon nigdy nie wymówiła jego imienia i nigdy nie pokochała żadnego mężczyzny.

Alma June była małym dzieckiem, gdy jej matka zmarła wśród chóru radośnie śpiewającego hosanna. Almę zabrano do prowadzonego przez baptystów murzyńskiego sierocińca, lecz następnego dnia przeniesiono ją do katolickiego domu przy Baton Rouge. Kobieta w białym habicie powiedziała, że się pomyliła. Nie pomyliła się, lecz w wieku sześciu lat Alma już była bystra i trzymała język za zębami. W ochronce sióstr samarytanek została do ukończenia szesnastu lat.

Wtedy zmieniła tożsamość.

Nikt na całym świecie nie wiedział, co stało się z Alną June Brown.

Nikt nie wiedział, że Victoria „Ognista Tory” June to imię wymyślone w nocnym pociągu do Nowego Jorku.

I nikt na świecie się nie dowie, co przez osiemdziesiąt siedem lat wyrosło z nasienia Phineasa Browna...

Nikt.

Chyba że miałyby dziecko.

Ale nie będzie miała.

Bo Alma June jest przedsiębiorcza. Alma June jest zwyciężczynią. Zmieniła nazwisko, bagaż pokoleń oddała do lamusa historii. Teraz jest Victoria VanVoorst, białą jak śnieg żoną najbogatszego człowieka w Newport.

A Newport legnie kiedyś u jej stóp.

I nie za cztery lata. Raczej za cztery tygodnie.

Tory spojrzała w kalendarz. Za niecałe cztery tygodnie jest dziesiątego sierpnia. Odpada. Tego dnia Nicola Peerce poślubi swojego angielskiego lorda i będzie to kulminacyjny dzień sezonu... do chwili, gdy ona, Tory, pokaże im, jak się wydaje przyjęcia. Nie tak

jak Celeste Lockholm, której wesele było zbyt okazałe i wymyślne. Nie należy robić tyle zamieszania poślubiając zwykłego majtka, gdy się dostało kosza od arystokraty i gdy to, co ta pokojówka, Fanni - i nie tylko ona, pewnie cała służba też - rozpowiada, może okazać się prawdą. Sunąc środkiem kościoła, cała w bieli, Celeste Lockholm nie była dziewicą, i może nawet była już brzemienna... No, no.

Cóż. Nicola Peerce i Rolf, lord Pomeroy, biorą ślub dziesiątego sierpnia. Czyli jej przyjęcie, otwarcie rezydencji Godsend, musi zamykać sezon. Tory VanVoorst stanie na wysokości zadania.

Zaćmiec Celeste to nie sztuka. Doprawdy, przesada z tą złotą kareta i psami. Początkowo VanVoorstowie nie byli zaproszeni, niemniej poszli. Burtykins wiedział, jak to się załatwia: dziesięć dni przed ślubem posłał Celeste Lockholm czek. Chcesz iść, kochanie, więc pójdziesz, powiedział. Nawet sam J.P. Morgan nie wzgardziłby czekiem na tysiąc dolarów. Przywitano ich jak starych przyjaciół. I nawet podziękowano za zaszczyt.

Czas uczynić kolejny krok: zaprzyjaźnić się z Audrey Lockholm. Pomóc jej rozwiązać ten niewielki kłopot z mężem i zagwarantować sobie godny rewanż. Ostatecznie, od czego są przyjaciele?

Przy ich pierwszym wspólnym śniadaniu Audrey i Bayowi towarzyszył prawnik. Astin Forbes zachowywał się z powagą, miał zdrowy apetyt i Audrey nawet go polubiła, niemniej wolałaby być z Bayem sama. Chciała go spytać o tyle spraw... Co się teraz stanie? Co ma robić bez niego w tym wielkim domu, w którym nie wiedziała, jak się poruszać? Kiedy on wróci? Nie zadała jednak tych pytań. Siedziała spokojnie, w milczeniu zjadła melona, potem kiperę i kilka grzanek posypanych brązowym cukrem. Bay nie jadł nic. Pił czarną kawę, palił cygaro. On także milczał. Siedzieli na prośbę Baya na tarasie. Fisher podawał. Czekali.

Następnie przyszedł detektyw Smythe z dwoma miejscowymi konstablami. Wyglądali na rówieśników Audrey i byli tak samo sztywni oraz przerażeni jak ona.

Przybyli nie zapowiedzeni, lecz Baya i Astina Forbesa nie zdziwił

widok tej trójki wyłaniającej się zza węgła i zmierzającej na taras, jak gdyby wiedzieli, że ich ofiara tam będzie.

To musiało być, oczywiście, zaaranżowane, pomyślała Audrey. Oto jak bogaci załatwiają trudne problemy. Po cichu, bez zamieszania, nie sprawiając kłopotu osobom postronnym. Muszę zwrócić na to uwagę, muszę zachować spokój, muszę się tego nauczyć... Pod stołem, tak żeby nie było widać, zacisnęła mocno dłoń.

Bay nie protestował. Odłożył serwetkę, wstał. Astin Forbes także nie protestował. Audrey z zaciśniętym gardłem przełknęła ślinę.

- Chwileczkę, panowie - powiedział Bay i przeszedł z Audrey do holu. Pocałował ją lekko, za to mocno przycisnął do piersi. - Odwagi - szepnął. - Wrócę tak szybko, jak będę mógł. Nie martw się o dom. Fisher da sobie radę, dopóki nie wrócę. Przyślę ci wiadomość, gdyby chcieli mnie zatrzymać w areszcie. Najważniejsze jest to, że będziesz tutaj, że czekasz na mnie. - Pogładził ją po policzku. - Dziękuję ci, wspaniale się trzymasz. Dumny jestem z ciebie. Na razie do widzenia... Życz mi powodzenia.

Audrey skinęła głową, bezgłośnie poruszając wargami. Głos odmówił jej posłuszeństwa. „Powodzenia... Powodzenia...”

Bay odszedł.

Zbiegła z kilku schodków do wielkiego holu. Stanęła w drzwiach. Szli przez trawnik rzędem niczym na paradzie. Na zakręcie podjazdu, w miejscu, gdzie czteroramienne latarnie strzegły bramy Whale's Turning, czekał kryty powóz. Na powitanie nadchodzącej grupy klapnęły pchnięte od wewnątrz drzwiczki.

Audrey widziała, jak policjanci usadzili Baya pomiędzy sobą. Detektyw Smythe i Astin Forbes zajęli ławeczkę vis-a-vis. Uniosła rękę w pożegnalnym geście. Pojazd zakręcił, wjechał w aleję, zniknął jej z oczu. Poczuli się, jakby przybyło jej lat.

Mijając Fishera, kazała mu jak najszybciej wezwać Priscillę. Postanowiła skompletować własną garderobę. Będzie u siebie, oświadczyła. Czekaj.

Zaczęła wchodzić na górę. Przyzwyczała się już do tych imponujących schodów i prawie nie zwracała uwagi ani na marmury, ani na herb Lockholmów, ani na witrażowe okno nad portretem swojej poprzedniczki.

- Fisher - zawołała stając.

- Słucham, proszę pani. - Kamerdyner podszedł do podnóża schodów i uniósł głowę.

Audrey stłumiła w sobie odruch, by zbiec do niego. Przemawiała więc z pewnego dystansu, z góry.

- Proszę zdjąć ten portret. Usunąć go jak najszybciej i schować.

- Ale - zaczął kamerdyner z wahaniem - starszej pani Lockholm może się to nie spodobać. Lubi ten obraz. Namalował go sam pan Whistler, gdy w czasie podróży poślubnej państwo Lockholm zatrzymali się w Londynie. Obawiam się, że to jedyna podobizna zmarłej pani, jaką mamy.

- Rozumiem, Fisher - rzekła Audrey i, głęboko zaczerpnąwszy powietrza w płuca, ciągnęła: - I nie chcę zachować się nieuprzejmie. Niemniej życzę sobie, aby portret usunięto. Możesz zapytać mamę - zdobyła się więc na to słowo, od tej pory zawsze tak będzie nazywać teściową, zgodnie zresztą z jej własnym życzeniem - gdzie chciałaby go przenieść. Może wisieć w jej prywatnych apartamentach, nie życzę sobie jednak, by obraz Virginii eksponowano publicznie w Whale's Turning. Nie teraz, Fisher. Nie teraz, gdy Bay... Wiesz, że Baya aresztowano?

- Tak, proszę pani. - Kamerdyner spuścił głowę. - Pan Lockholm zawiadomił mnie o tym dziś rano. To bardzo poważna sprawa. Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

Audrey spojrzała w pięknie namalowane, puste oczy Virginii, obojętnie spoglądające z ram...

Czyli portret namalowano w Londynie. Podczas podróży poślubnej. To na Baya tak patrzy, pozując malarzowi. Może on posyła jej pocałunki, może opowiada, jak spędzą resztę dnia? Jest taka pewna siebie, wcale nie oszołomiona fantastycznymi planami,

które z czułością dla niej przygotował. Jest pewna jego miłości, pewna własnej wartości. Zgodzi się pójść na herbatkę do królowej, za to niewykluczone, że odmówi udziału w przejażdżce do Stonehenge. Ot tak, żeby pokazać swą władzę...

- Proszę pani? - Głos Fishera wyrwał ją z zamyślenia.

Kamerdyner wciąż stał u stóp schodów, absurdalnie mały z tej perspektywy, chociaż był postawny i wzrostem dorównywał Bayowi.

- Słucham? - Czyżby o czymś zapomniała? Znowu?

- Czy to wszystko?

Nie jest moim nieprzyjacielem, pomyślała Audrey. Nie przeszkadza mu moja obecność tutaj...

- Tak. Dziękuję, Fisher - powiedziała. - Bardzo dziękuję. Teraz chyba... Pójdę do siebie. Zacznę wyprzątać szafy i szuflady, przygotowywać miejsce na swoje rzeczy. Jesteś żonaty? Może zechcesz wybrać coś z rzeczy Virginii dla żony?

- Nie, nie, proszę pani. Nie mam żony, a nawet gdybym miał, suknia, o jakiej pani myśli, byłaby bardzo niestosowna. Zmarła pani Lockholm była mniej więcej tego samego wzrostu co pani, może odrobinę szczuplejsza. Jeśli mogę coś zasugerować. ..

- Proszę, Fisher. Słucham.

- Mogłaby pani zatrzymać te suknie, które się pani podobają, dopóki nie wypracuje sobie pani własnego stylu. Nie będzie w tym niczego niestosownego. Zmarła pani Lockholm nigdy nie włożyła większości tych rzeczy, które znajdują się w garderobie. Zostały zamówione po powrocie państwa z podróży poślubnej, z myślą o sezonie, którego pani Virginia nie doczekała. Wisiały rok w szafach, ale mnie się wydaje, że są bardzo gustowne.

- Mama już raz zaprotestowała, pamiętasz?

- Ale to było, zanim pani weszła do rodziny. Starsza pani Lockholm nigdy nie doszła do siebie po śmierci synowej. To była tragedia dla całej rodziny, ale ona cierpiała najbardziej. Bardzo lubiła Virginie, nawet ją faworyzowała, bardziej niż pannę Celeste. Odpowiadały sobie charakterem. To właśnie pani Edmunda od

samego początku parła do tego małżeństwa... Zawsze wysoko oceniała pannę Stotesbury. Teraz, po wylewie, może być dla pani przykra, ale ona nie ma nic przeciwko pani osobiście. Tęskni jednak za swoją ulubienicą.

- Dziękuję, Fisher. Dziękuję za wszystko.
- Tak, proszę pani. Zaraz zajmę się portretem.
- Dziękuję. To wszystko.
- Luncheon będzie o pierwszej. Gdzie podać?
- Na tarasie. Lubię widok stamtąd. Powiedz mi, Fisher, czy wypada zaprosić Priscillę na lunch?
- Pani wybaczy, że się ośmielałam zwrócić uwagę, ale mówimy „luncheon”. Teraz już pani nie będzie jadała „lunchu”, lecz „luncheon”. A ponieważ pani nie zna Priscilli i płaci jej pani za usługi, to gdy skończy, może ją pani ewentualnie poczęstować podwieczorkiem. Ale to wszystko.
- Zapamiętam, Fisher. I proszę o dalsze rady. Tego właśnie mi trzeba.
- Cieszę się, że mogę być pani pomocny. Jest pani znakomitą uczennicą.
- Dobrego dnia, Fisher.
- Dobrego dnia, proszę pani.

Audery pomknęła na górę. Nauczy się, to kwestia wprawy i tyle. Żadnych potocznych skrótów, mówi się pełne słowo: luncheon. Avenue zamiast ave... Kiedy Bay wróci, dumny będzie, ile zdążyła się już nauczyć.

W jednej z szuflad znalazła plany domu, architektoniczne szkice rezydencji. Czarne linie kreślone piórkiem na grubym kremowym pergaminie wyglądały bardzo ładnie. Meble określające styl każdego pokoju narysowane były z boku i pokolorowane. Próbki tapet i tkanin zasłonowych także przypięte były do każdej ryciny. Każę je oprawić, postanowiła Audrey, i powiesić pod witrażem na podeście, w miejsce zdjętego portretu.

Już miała zadzwonić po Fishera, aby wydać mu nowe polecenia,

lecz powstrzymało ją pukanie do drzwi. Pewnie Edmunda, pomyślała z obawą. Zechce się dowiedzieć, co zrobiłam z Bayem. Skrzyczy mnie, ale ja nie dam się wyprowadzić z równowagi, nie dam, bez względu na to, co powie.

Okazało się jednak, że to nie Edmunda, lecz Fisher z tacą, na której przyniósł bilet wizytowy.

- Ma pani gościa. Pani Burtonowa VanVoorst. Czy pani przyjmuje?

Audrey знаła to nazwisko. Alabaster McGregor dwukrotnie pokazał jej tę kobietę w Casino. Pani VanVoorst była prawdziwą czarnowłosą pięknoscią, zawsze nieskazitelnie ubraną. Otaczała ją aura egzotycznej tajemniczości i plotek na temat jej wątpliwej reputacji...

To ona przyjęła do pracy niedyskretną pokojówkę Virginii. Mówiono, że polowała na majątnego męża i udało jej się złapać najbogatszego człowieka w Newport. Przedtem pracowała jako tancerka, striptizerka, i to ona była ową kobietą, w której towarzystwie Bay spędził wieczór, kiedy Virginia wypadła z okna. Z nią śmiał się i pił szampana, gdy tymczasem jego żona w samotności przeżywała moment rozpacz...

- Proszę pani - odezwał się Fisher. - Pani VanVoorst jest w salonie. Co mam jej powiedzieć?

- Przepraszam, Fisher. Już do niej schodzę.

Zerwała się z dywanu, na którym porozkładała szkice, i zostawiając otwarte drzwi zbiegła na dół. Zaraz pozna kobietę, z miłości do której, jak głosiły plotki, Bay zabił żonę. Stanie twarzą w twarz z jedyną kobietą na świecie, której Bay pożądał, lecz dla której okazał się zbyt biedny... Twarzą w twarz z kobietą, dla której - Boże, spraw, modliła się, aby to była nieprawda - zaprzedał duszę diabłu...

Na dole zawahała się, zwolniła kroku i z godnością przeszła przez hol do salonu. Niech stuk jej obcasów na marmurowej posadzce zapowie jej wejście, niech brzmi tak jak kroki jej teściowej,

zdecydowanie i pewnie, a nie cicho i nieśmiało, jakby skradanie się... Skręć w lewo, nie zatrzymuj się, instruowała się w duchu, teraz otwórz mahoniowe drzwi, wejdź...

A teraz patrz.

Kobieta siedziała na obitej jedwabnym adamaszkiem w biało-różowe pasy kozetce, nad którą wisiał francuski pastel przedstawiający wieśniaczki na targu. Ubrana był w skromną, białą letnią suknię, dłonie w białych koronkowych rękawiczkach swobodnie złożyła na wyszywanej paciorkami torebce z tego samego materiału, co suknia i parasolka. Trzewiki i pończochy miała również białe. Słomkowy kapelusz przewiązany identyczną koronką, z jakiej uszyte były jej rękawiczki, leżał obok.

Audrey zerknęła na wizytówkę, którą odruchowo wzięła z podanej przez Fishera tacy. Pod wytłoczonym ozdobnymi literami nazwiskiem widniał odręczny dopisek: Pilne.

Z bliska Tory VanVoorst robiła wrażenie niższej, niż Audrey zapamiętała z restauracji Casino, bardziej kruchej i wiotkiej. Była zaledwie kilka lat starsza od Audrey, lecz jej twarzy malowała się zwracająca uwagę mądrość, światowość, jakiej jej zazdrościła. Taka kobieta nie ugina się wobec nieszczęścia. Takiej kobiecie nie należy pokazywać pleców jeśli się ją skrzywdziło...

Audrey wyciągnęła rękę na powitanie.

- Przejdziemy na taras, dobrze? Tam jest chłodno i spokojnie.
- Znakomicie. Sprawa, z jaką przychodzę, wymaga spokojnego otoczenia, nawet dyskrecji.

Audrey poprowadziła swojego gościa przez hol na drugą stronę domu. Usiadły w białych wiklinowych fotelach na wyłożonym włoską mozaiką tarasie, obramowanym donicami niebieskich hortensji.

- Zechciałyby się pani czegoś napić? Lemoniady? Mrożonej herbaty? - Audrey czyniła honory domu.

- Dziękuję. Może później. Najpierw chciałabym załatwić sprawę, z jaką przyszłam, potem pozwolę sobie na chwilę relaksu. - Victoria

VanVoorst miała głos matowy i ciepły, bez śladu wystudiowanego chłodnego dystansu, jaki Audrey kojarzył się ze sposobem mówienia dam z Gilt Hill. Lecz Audrey już była mądrzejsza, starsza. Teraz, prędzej czy później, spodziewała się usłyszeć chłodną nutę.

- W takim razie proszę mi szybko powiedzieć, co panią do mnie sprowadza.

- Mów do mnie Tory i pozwól nazywać się Audrey. Chciałabym zostać twoją przyjaciółką. - Wytworna dama pochyliła się ku niej. - Przyszłam pomóc ci uwolnić twojego męża. Mam pewne informacje i dowody.

Uwolnić twojego męża. Słowa te ugodziły Audrey w samo serce. A więc wszyscy już wiedzą o aresztowaniu Baya. Jak szybko ziemia się kręci...

- Słucham - powiedziała ignorując propozycję mówienia sobie po imieniu.

Oczy Tory VanVoorst były zielone, ciemnozielone, intensywnie szmaragdowe. Ogromne w drobnej twarzyczce o ostrym podbródku i wysoko sklepionych kościach policzkowych.

- Zostańmy przyjaciółkami, Audrey. Potrzebuję przyjaciół na Gilt Hill, i sądzę, że ty również. Jestem tu nowa, tak jak ty. Jestem obca, tak jak ty. Razem będziemy miały więcej siły niż osobno.

- Proszę mi powiedzieć o Bayu - nalegała Audrey, mocno zaciskając zbielełą dłoń na poręczy wiklinowego fotela.

Tory otworzyła torebkę i wyjęła złożoną na pół kopertę z zagranicznym znaczkiem. Położyła ją sobie na kolanach. Po czym powiedziała:

- Bay zabił Virginie ze słusznego powodu, pani Lockholm. To przede wszystkim powinna pani wiedzieć.

Audrey zeszywniała. Jak ona śmie...

- Mój mąż nie zabił swojej pierwszej żony, pani VanVoorst. Jeśli pani tak twierdzi, proszę opuścić ten dom.

- Proszę tak od razu nie wpadać w złość. Proszę mnie najpierw wysłuchać. Prawda może się pani nie spodobać, niemniej to właśnie

prawda może ocalić Baya. Proszę mnie wyrzucić, jeśli pani chce, ale dopiero po tym, jak powiem to, czego pani się musi dowiedzieć, to, czego pani mąż tak rozpaczliwie potrzebuje na swoją obronę.

Audrey opadła na oparcie fotela, a raczej obszernej sofy wyłożonej białymi poduszkami w niebieskie kwiaty. Było to miejsce wygodne, relaksujące, pomagające zebrać siły.

- Virginia nie była wierną żoną. Była jedną z tych zepsutych uroczych istot, którym się wydaje, że prawa rządzące tym światem ich nie dotyczą. Gdy zobaczyła coś, na co miała ochotę, brała, jeśli mogła, nie dostrzegając w tym niczego złego...

- Jak pani śmie... Jak pani może mówić takie rzeczy, pani VanVoorst! - wykrzyknęła oburzona. Zimno, twardo, oto, jak należy traktować osoby tego pokroju. Nikczemna intrygantka! Zła kobieta...

Tory nie obraziła się. Nie spuściła wzroku z twarzy Audrey. Jej okrągłe, szeroko otwarte, niewinne oczy błagały o posłuchanie. Były to te same oczy, które spod długich czar-nych rzęs potrafiły posyłać mężczyznom spojrzenie hipnotyzujące i odurzające niczym absynt...

- Jak pani wiadomo, Bay Lockholm i ja byliśmy zeszłego roku zaprzyjaźnieni - rzekła.

Czyżby ta kobieta przyszła opowiadać mi o pozamałżeńskim romansie Baya z nią, przemknęło Audrey przez myśl.

Czyżby Bay kochał się któreś nocy z tą kobietą w kabinie „Catbird Seat” i potem, pijany chwilową rozkoszą, opowiedział jej o na pewno Wymyślonej niewierności Virginii? Niewierności, jaką sam popełniał, lecz w swoim przypadku tłumaczył męskim temperamentem i traktował jak grzech do wybaczenia, przygodę bez zaangażowania uczuciowego?

Tory VanVoorst uśmiechnęła się, jakby czytała z twarzy Audrey jej myśli, i potrząsnęła głową.

- Ależ nie, nie byliśmy kochankami, pani Lockholm, niech pani tak nie sądzi. Bardzo się pani myli. Kiedy poznałam pani męża,

byłam już po uszy zakochana w Burty. Jestem pewna, że Bay dochowywał przysięgi małżeńskiej, chociaż nie kochał już Virginii. Był znajomym Burty'ego, dżentelmenem w każdym calu. Nie pogardzał mną za to, co robiłam... Nie zaprzeczam, że zarabiałam na życie pracą w nocnym klubie. Śpiewałam, rozbierałam się, lecz niech pani nie myśli, że robiłam coś więcej. To była uczciwa praca, chociaż w opinii publicznej naganna. Tak, jestem prostą dziewczyną, której się poszczęściło. Pamiętam o tym i nigdy się tego nie wstydzę. Ale jestem, zawsze byłam, zaradna. Wiem, po co Burty się ze mną ożenił, i nie skąpię mu tego... W przeciwnym razie nie byłabym teraz panią Burtonową VanVoorst... Mogę przejść do sedna sprawy?

Audrey nie wiedziała, co odpowiedzieć, nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Tory VanVoorst była niezwykłą kobietą, coś w jej postawie i bezpośredniości podobało się Audrey, lecz rzeczy, które mówiła, szokowały ją.

- Proszę mnie wysłuchać, pani Lockholm. Jestem pani przyjaciółką, zobaczy pani - przekonywała Tory.

Audrey skinęła w milczeniu głową, myśląc przy tym: Chciałaby zwracać się do mnie po imieniu. Powinnam się zgodzić, a nie kurczowo trzymać się konwenansów. Muszę nauczyć się być damą, lecz nie dumną, próżną, zasłaniającą się wysoko postawionym mężem...

Tory przysunęła swój fotel odrobinę bliżej.

- Zatrudniłam na lato pokojówkę Virginii po to, żeby nie trafiła do kogoś innego, kogoś mniej przychylnie nastawionego do pani męża. Fanni St. Flour to wstrętna, mała plotkara. To jeden z jej talentów i jedna z największych przyjemności jej życia, większa nawet od kosmetyków i perfum. Płacę jej więcej, niż dostałaby gdzie indziej. Dziesięć dolarów miesięcznie i wolne niedziele, co jest naprawdę wielkim ustępstwem z mojej strony, ponieważ niedziela to jeden z tych rzadkich dni, kiedy Burty jest w domu. Zaangażowałam tę dziewczynę, bo chciałam pomóc Bayowi. Jak

tylko usłyszałam, że Fanni zeznaje przeciwko niemu, dałam jej pracę i oświadczyłam, że przeciw moim przyjaciółom wolno jej mówić wyłącznie do mnie. Niemniej co się stało, to się nie odstanie. Ale odtąd przynajmniej swoją wiedzę dzieli się tylko ze mną, a nie z detektywem Jeremym Smythe'em czy Alabastrem McGregorem.

Wiklinowa kanapka okazała się nagle zbyt duża. Audrey tonęła w niej. Nagle poczuła głód.

- Zje pani ze mną lunch? Luncheon - poprawiła się. - I proszę nazywać mnie Audrey. Nie przywykłam jeszcze do tego, że jestem „panią Lockholm”. Wydaje mi się, że mowa o mojej teściowej.

- Z przyjemnością. Umieram z głodu.

Audrey zerwała się odrobinę zbyt szybko jak na damę.

- Pójdę powiedzieć Fisherowi - oświadczyła. Tory wskazała stojący na stoliku dzwonek.

- Skorzystaj z tego - poradziła i zaczęła się leniwie bujać w fotelu.

- Och, zap...

- Pomogę ci wejść w nową rolę, Audrey. Lepiej niż większość dam z Bellevue Avenue, z wyjątkiem Caroline Astor i Dove Peerce, wiem, jak się zachować w każdej sytuacji. Jeszcze na długo przedtem, zanim dowiedziałam się o istnieniu Burtona VanVoorsta, moją ambicją było się tego nauczyć. Różnica między nami polega na tym, że ja zawsze wiedziałam, że się tu kiedyś znajdę. Dążyłam do tego. A ty wpadłaś w to nagle, jak nie umiejący pływać rzucony na głęboką wodę. .. Możesz mnie wykorzystać, a ja z kolei mogę wykorzystać ciebie. Będzie z nas dobrana para.

Zastanawiając się nad tą ofertą, Audrey lekko potrząsnęła dzwonkiem.

Zjawił się Fisher. Bezszelestnie sunął po marmurowej posadzce i Audrey dopiero teraz zauważyła, że buty ma podbite gumą, aby ich stukot nie zakłócał spokoju domowników. Audrey poinformowała kamerdynera, iż pani VanVoorst zje z nią luncheon, tutaj na tarasie. Zapytała także, czy skontaktował się z krawcową.

- Panna Priscilla przyjdzie o wpół do trzeciej - poinformował Fisher. - Bardzo się ucieszyła z wezwania - dodał i oddalił się.

- Mów - poprosiła Audrey zwilżając wargi.

- To będzie najtrudniejsza część - zaczęła Tory - więc uporajmy się z nią szybko. Bay jest winien... - Gestem nakazała Audrey milczenie. - Pozwól mi wyjaśnić, skąd wiem. Tamtej nocy, kiedy Virginia zginęła, zjawił się w Grey Heron. Przyplłynął sam. Pił przedtem, niewiele, lecz wystarczająco, żeby było to po nim widać. Wściekał się na Virginie. Przyjechał zjeść coś w samotności, lecz Burty zaprosił go do naszego stolika. Mnie jeszcze z nimi wówczas nie było, nie skończyłam występu...

Audrey zrobiło się nagle zimno. Zerwał się wschodni wiatr. Ze swojego miejsca widziała wzbierające fale, coraz wyższe, coraz szybsze, coraz bardziej spienione. Jeśli zachowam spokój, pomyślała nagle, zacznę się kurczyć, aż zamienię się w bryłkę lodu, to może wtedy fale oceanu zmyją mnie z tego tarasu, żebym nie musiała więcej tego słuchać...

- Kiedy się do nich przysiadłam, usłyszałam, jak Bay opowiada o swoich kłopotach. Szampan rozwiązał mu język. Wściekał się o jakiś rachunek od jubilera, który Virginia mu przekazała. Musiał opiewać na jakąś ogromną sumę i Bay był bardzo przygnębiony. Przy jedzeniu uspokoił się trochę. Wyraźnie podjął jakąś decyzję i emocje minęły. Gdy się żegnał, Burty spytał, dokąd idzie, a Bay najbardziej beznamiętnym tonem, jaki w życiu słyszałam, odpowiedział: „Skręcić jej ten cholerny kark. Pamiętajcie, nigdy nie bierzcie ślubu z pierwszym, kto się wam oświadczy.” I poszedł. Burty uważał, że powinien go odprowadzić, dopilnować, żeby bezpiecznie dotarł do domu. Bay był wstawiony, miał zamiar sam wsiąść do łodzi...

Ale ja pilnowałam własnej pieczeni. Widzisz, Burty jeszcze wtedy mi niczego nie obiecywał, a ta uwaga o ślubie, którą Bay rzucił na odchodnym, dała mi do myślenia. Nie sądziłam zresztą, że spełni swoją groźbę... No, cóż. Namówiłam więc Burty'ego, żeby został ze mną. Potem, chichocząc i udając pijaną, spytałam, czy się ze mną

ożeni i czy jestem pierwszą, jaka się mu oświadcza... Następnego dnia Burty przyjechał do mnie powiedzieć, że Virginia Lockholm zmarła na skutek tragicznego wypadku i kazał mi zapomnieć wszystko, co Bay mówił. Nie wiedział, co wygaduje, nie miał złych zamiarów, twierdził Burty, to był po prostu nieszczęśliwy wypadek, jakie się, niestety, zdarzają. I ja naprawdę zapomniałam, wierz mi, Audrey. Zapomniałam, dopóki nie zjawiła się ta Fanni i nie opowiedziała policji mniej więcej podobnej historii, co Bay nam, tyle że z punktu widzenia Virginii.

To właśnie wtedy postanowiłam mu pomóc. Musiałam mu pomóc, bo on pomógł mnie... Bo widzisz, Burty przyjął moje oświadczenia. Dopiero po wielu tygodniach, co prawda, ale tamta noc o wszystkim przesądziła. Wiele zawdzięczam twojemu mężowi, Audrey... To koniec złych wiadomości. Kolej na dobre... - i Tory pomachała kopertą z zagranicznym znaczkiem. - Oto ułaskawienie twojego męża... albo przynajmniej pierwszy krok w tym kierunku.

To jeszcze nie dowód, myślała Audrey, bardzo zziębnięta, bardzo skurczona w sobie, jeszcze nie dowód. To zbieg okoliczności. Skręcić ten cholerny kark...

Odwróciła głowę ku hortensjom, bujnie rosnącym w wielkich kamiennych donicach. Niebieskie kwiaty, jak oczy Baya. Powinny nasycać tę niby altankę na tarasie wonią, lecz nie wydzielają zapachu, żadnego aromatu...

Niemniej Audrey wierzyła Tory VanVoorst. Czyż Bay nie powiedział jej na cmentarzu, nad grobem Virginii: „Nie poślubiaj pierwszego, który ci się oświadczy, Audrey?”

Śmiała się z tego jednak, bo uznała, że to żart dotyczący jedynie jej i Thorne'a...

Fisher wtoczył pomalowany na biało żeliwny stolik.

- Podano luncheon, proszę pani - zakomunikował.

Posiłek składał się z krabów i krewetek w gęstym różowym sosie, biskwitów prosto z pieca, sałatki z rzeżuchy oraz cytrynowych tart, a wszystkiego było tyle, że wystarczyłoby na sześć osób. Tym razem

jednak apetyt zawiódł Audrey. Popijając lemoniadę i skubiąc biskwita, słuchała Tory.

- Virginia Stotesbury miała kochanka. Może więcej mężczyzn, może tylko jednego. Fanni to potwierdziła. Virginia szalała za nim, obsypywała prezentami. Ubrania, biżuteria... Ot, takie złote drobiazgi. A tutaj jest dowód - urwała i podała Audrey podłużną, białą kopertę. - Musimy znaleźć kochanka Virginii. Jej niewierność stanowi okoliczność łagodzącą dla Baya. Sąd uzna go za niewinnego, ponieważ działał w afekcie. Widzisz, musiał ich przyłapać razem. I widzisz, o to się tak straszliwie tamtego wieczoru pokłócili, o ten rachunek od jubilera Maurice'a Rivaliniego. Virginia żądała, żeby Bay płacił za prezenty dla jej kochanka!

Słowa „złote drobiazgi” zadźwięczały w uszach Audrey niczym echo...

Zdawało się jej, że to było tak dawno temu, całe wieki temu, gdy któregoś czerwcowego dnia zeszłego roku obudziło ją przyciszone, miarowe: puk, puk, puk...

Thorne zjawił się u niej niespodziewanie. Spocony, podniecony, miotał się po kuchni, a w jego oczach pirata płonął ogień...

Porwał ją w ramiona tak gwałtownie, jakby chciał zmiażdżyć w uścisku, obsypał pocałunkami jej twarz, szyję, piersi, łono, stopy... Był taki podniecony. Taki podniecający. Gorączkowo zaczął roztaczać przed nią plany na przyszłość, mówił, że już za rok się pobiorą...

- Jak? Jak to możliwe? - pytała śmiejąc się ze szczęścia, zadowolona, że ojciec jeszcze nie wrócił z nocnej bibki w tawernie Grimsby'ego. - Jak? Jak? - powtarzała.

Thorne uniósł ją pod sufit, kręcił jak na karuzeli, aż do zawrotu głowy, a potem postawił ostrożnie, jakby była cennym kryształowym pucharem. Zrzucił płaszcz.

I wtedy małeńkie puzderko przewiązane jedwabnym sznurkiem z pędzelkami stuknęło o podłogę...

- Och! - wykrzyknęła i w mgnieniu oka podniosła pudełeczko. -

Och, Thorne! To dla mnie?

Wyraz jego twarzy zmienił się raptownie, szalona radość zniknęła. Audrey pamiętała wyraźnie, że wydawał się śmiertelnie rażony, jak gromem. Pomyślała, że nie chciał, by zobaczyła, by dowiedziała się o niespodziance... Pomyślała, że może w środku jest pierścionek zaręczynowy, który miała dostać później.

- Mam nie otwierać? - spytała.

Ciekawość jednak zwyciężyła. Audrey potrząsnęła pudełeczkiem chcąc się przekonać, czy coś w środku poruszy się, zastuka o ścianki... Żadnego dźwięku. Cokolwiek to było, wypełniało całe wnętrze...

Gdy ponownie podniosła wzrok na Thorne'a - siedziała po turecku na podłodze chichocząc, tchu złapać nie mogąc po szaleńczym walcu, z zadartą spódnicą, spod której wystawały pantalony - więc gdy spojrzała na niego, znowu się uśmiechał, palcami przeczesując kruczoczarne włosy. Podeszedł bliżej, wyjął z jej dłoni pudełeczko, odwrócił wieczkiem do góry, frędzelkami ku niej, i wręczając je jej z powrotem rzekł:

- Mała częśćka mojego szczęścia dla ciebie, najdroższa. Wyjdiesz za mnie?

Pytał o to oczywiście już przedtem, lecz podarunek nadał oświadczeniom charakter bardziej oficjalny. Musiało mu się poszczęścić. Dostał kredyt!

Pudełeczko było kwadratowe, drukowane, nie, tłoczone, czuła to pod palcami, w drobny wzorek, przypominający nitki lukru na tortach pani Olsson, z wybitym podpisem, obco brzmiącym nazwiskiem... Takim samym jak na kopercie? Maurice Rivalini, jubiler, Rzym.

Audrey wiedziała, że klejnot w środku będzie ze złota. Z prawdziwego złota. Może z brylantem, choćby najmniejszym.

Zdjęła delikatnie sznureczek. Zachowa go na pamiątkę. Pogładziła jedwabne wieczko, otworzyła je i ujrzała biały jak obłoczek kłaczek waty. Pod nim leżał wisiołek. Złoty prostokąt

wielkości całego pudełeczka, inkrustowany srebrnymi pręcikami. Z lewej strony wprawiony był rubin w kształcie serca. Błyszczący, szkarłatny rubin wielkości pestki granatu...

- Och, Thorne! - wykrzyknęła w zachwycie.

Narzeczonego przykucnął przy niej i wyjął wisiorek z jej ręki. Zaczął się przechadzać po kuchni. Audrey wodziła za nim wzrokiem. Szczęście przepęłniało ją całą, rosło jak dziecko w łonie matki.

- Nie zdążyłem niczego wygrawerować. Nie mogłem się doczekać chwili, kiedy ci go podaruję. Pozwolisz? - Przyklęknął obok niej. Wciąż siedziała na podłodze, oparta na założonych do tyłu rękach, i z zadartą głową przyglądała się mu myśląc: Jaki on jest wspaniały!

- Każę wygrawerować nasze inicjały i datę. Chcesz? - Zamknął złoty prostokąt w dłoni i potrząsnął jak kośćmi do gry. - Chcesz, najdroższa?

Kiedy to dokładnie było? Nie mogła sobie teraz przypomnieć. Była zbyt pijana szczęściem, zbyt niecierpliwa, aby dostać to cacko. Data nie grała roli. Nie wiedziała, że Virginia Lockholm ma kochankę, którego obsypuje „złotymi drobiazgami”.

Nie wiedziała również, że Virginia Lockholm nagle pewnej czerwcowej nocy umarła...

- Daj mi - powiedziała - daj mi teraz. Włożę go i odtąd będę nosiła zawsze. Proszę, Thorne, pozwól mi go sobie zawiesić na szyi!

- Nie! - Odsunął się gwałtownie, wisiorek zniknął w jego kieszeni. Zaczął znowu przemierzać kuchnię. Poważny. Zamyślony.

- Jest mój - droczyła się z nim. - Chcę go mieć już teraz. Oddaj! I Thorne, ot tak, po prostu, rzucił go jej na spódnicę.

- Dobrze - powiedział. - Drogo mnie kosztował. Ale obiecuję, że do naszego ślubu nie będziesz go wkładać przy ludziach. Mogą zacząć się zastanawiać, skąd wzięłem pieniądze. Nie życzę sobie tego.

Zgodziła się bez zastanowienia, zajęta zapinaniem łańcuszka. Chciała zapytać, kto wykonał to cudo, skąd Thorne wynalazł

włoskiego jubilera i ile taki rubin kosztuje. Nie spytała jednak. Przejrzała się w ręcznym lusterku i stwierdziła w duchu, że ten klejnot jest o niebo lepszy od pierścionka z raucikiem, jaki któregoś dnia pokazała Thorne'owi na wystawie u Vogle'a.

- Dobrze się czujesz, Audrey? - To mówiła Tory VanVoorst, z głową uroczo przechyloną lekko na bok, z widelczykiem z kawałkiem cytrynowej tarty zawieszonym w połowie drogi między talerzykiem a ustami.

Chcąc zatuszować nieuwagę, Audrey także sięgnęła po ciasto.

- Nic mi nie jest, Tory. To wszystko mną trochę wstrząsnęło. Za dużo wrażeń jak na jeden raz. Wczoraj wzięliśmy ślub, a już dziś odebrano mi Baya. Na dodatek dowiaduję się rzeczy, o jakich mi się nie śniło.

- Przeczytaj ten list. Nie zawiera wiele informacji, lecz ty, jako nowa pani Lockholm, mogłabyś napisać do pana Rivaliniego z prośbą o wyliczenie i scharakteryzowanie biżuterii zamówionej u niego przez twoją poprzedniczkę. Musisz napisać jeszcze dziś - zrobiła efektowną przerwę - i w ten sposób, wiedząc, czego szukamy, trafimy po nitce do kłębka. Wtedy, Audrey, Bay nie będzie się musiał o nic martwić. Z pewnością go uniewinnią. Nie smuć się, kochanie - dodała z nagłym błyskiem w bystrych oczach. - Pomogę ci. W zamian proszę tylko, żebyś stała się moją przyjaciółką.

- Dobrze - oświadczyła Audrey, czując słodko-kwaśny smak cytrynowej tarty w ustach. - Oczywiście...

Obok na stoliku leżał list z Rzymu, poczerniały na zgięciach.

Ze wszystkich wyczelowanych do perfekcji zalet Dove Peerce była najbardziej dumna ze swojej nieskazitelnej opinii. W roli żony, pani domu i matki pokazywała światu, jaki stopień doskonałości można osiągnąć dzięki zdyscyplinowaniu, poświęceniu i dobremu smakowi.

Dlaczego więc, myślała całując na dobranoc Clarissę Rails i ostatni raz drocząc się z Trippem na temat jego samochodu (brzydko pachnącego, pozbawionego stylu wynalazku, który rzadko działał, lecz cóż, gusta mężczyzn stanowią nieodgadnioną tajemnicę, Percy też ma swoje katalogi), dlaczego więc ryzykuje romans z proboszczem kościoła Świętej Trójcy?

Była to jej pierwsza w życiu nielojalność wobec Percy'ego i ostatnia, postanowiła. Dove nigdy się nie powtarzała. Wciągając cieniutkie, giemzowe rękawiczki doszła do wniosku, że to chyba wyzwanie rzucone światu tak ją podnieciło.

Bo z pewnością nie Graf Elliott.

Choć Bóg świadkiem, starał się jak mógł. Uśmiechnęła się w duchu z tego niegroźnego bluźnierstwa. Lecz wiązać się z nim na dłużej - nie, nigdy. Wzdrygnęła się na samą myśl. Graf jest myszą kościelną, biedną, zaharowaną i przeciętną. Akurat pasuje do kobiety pokroju Judith Elliott. Ta para dobrała się jak w korcu maku. Małżeństwo istotnie skojarzone w niebie.

Powóz czekał przy porośniętej bluszczem bramie wjazdowej Greenscote, letniej rezydencji Railsów. Clarissa urządziła dom, na zewnątrz i wewnątrz, we wszystkich możliwych odcieniach naturalnej zieleni i osiągnęła lepszy efekt, niż Dove - która znała niechęć właścicielki do wydawania pieniędzy - się spodziewała.

Na koźle siedział ulubiony stangret Dove, Dudley. Przyjechała w

towarzystwie Grafa, lecz teraz sama wracała do domu, do Percy'ego, który, jak wyznał, czuł się zbyt chory, by iść z wizytą. Graf także sam wracał na plebanię, do Judith, która rzadko bywała na przyjęciach.

Przynajmniej tak wszyscy sądzili, a nikt nie wyprowadzał ich z błędu...

Nikt nie szepnął, że za pół godziny wielebny Graf Elliott i pani Dove Pearce spotkają się potajemnie pod płaczącym bukiem w ogrodzie Dove. Spotkają, padną sobie w objęcia i wkroczą w bramy diabelskiego raju...

- Dobranoc, kochani - żegnała się Dove. - Jutro u Bailey'a, Clarisso. Punkt dziesiąta.

Dudley otworzył przed nią drzwiczki powozu.

Tak, wróciła do swoich rozważań Dove. To tajemny charakter tego romansu nadaje mu smaku i atrakcyjności. Smakowanie zakazanego owocu, skryte folgowanie sobie, wyostrza apetyt. Balansowanie na wąskiej krawędzi okalającej morze nudy, w jakie zmieniło się jej życie z Percym i jego wstrętnymi kiszkami... Na tym polega nieodparty powab Grafa. Ryzyko, dreszczyk... dreszczyk emocji związany z ryzykiem.

- Do domu, Dudley, chłopcze.

Nicola i Rolf wciąż tańczyli. Oni bez przerwy tańczyli. Albo jeździli konno, albo się śmiali. Dove westchnęła. Odsunęła od siebie myśli o córce. Skupiła się na emocjach związanych z najbliższą godziną. Jakże uwielbiała te sekretne schadzki!

To chyba polega na tym, myślała przy akompaniamencie stuku kopyt swoich czarnych morganów, że doskonałość traci czar, gdy się ją osiągnie. Nie muszą już się wyęczać, aby osiągnąć ideału. Teraz stało się to jej drugą naturą, kośćcem, jakby wrodzonym stylem bycia. Niczym Aleksander, syn Filipa Macedońskiego, Dove podbiwszy świat wciąż łaknęła walki, wciąż nasłuchiwała dźwięku trąbki wzywającej do boju, wciąż szukała nowego terytorium do zdobycia...

I znalazła jedynie niezgłębioną krainę grzechu...

Świetna zabawa, naprawdę.

Kącik lewego oka znowu zaczął jej drgać. Przyłożyła palec do powieki. Ten nerwowy tik zaczął się wraz z jej romansem: widoczny symptom wyrzutów sumienia. Och tak, wie o tym. Ale i to uda się pokonać. Z czasem...

A swoją drogą, gdyby ich odkryto, oznaczałoby to kataklizm.

Chociaż, gdy się nad tym zastanawiała, doszła do wniosku, że Percy by jej wybaczył. Percy jest najlepszym z ludzi. Zrozumiałby. Skoro sam nie ma sił na miłość, nie może oczekiwać, że ona, Dove, olśniewająca, ponętna Dove, też potrafi żyć w całkowitej abstynencji... Ale Newport by jej tego nie wybaczyło. Jej kochani, drodzy przyjaciele zapomnieliby o jej istnieniu. Jej imię wymazane by zostało z tablic ich pamięci. Szur, szur, i po wszystkim.

Konie skrzyły w bramę Peerce House. Z okna biblioteki, której Percy prawie już nie opuszczał, sączyło się światło. Nie położył się jeszcze, czeka na jej powrót. Albo, co bardziej prawdopodobne, zasnął przy lampie. Cóż, zajrzy na chwilę do niego, opowie o przyjęciu. Postara się być wesoła. Potem pocałuje go na dobranoc, pójdzie na górę, zdejmie z siebie ubranie... Następnie schodami dla służby wymknie się z domu, przefrunie przez trawnik i wśliznie się do środka utworzonej przez zwisające do ziemi gałęzie buku altanki. Niczym Diana, bogini drzew i łowów, umości się na poduszkach ogrodowej kanapy i będzie czekać...

- Dziękuję, Dudley. Dobranoc - zwróciła się do stangreta pomagającego jej wsiąść.

- Czy mam wrócić po panienkę Nicole? - spytał służący.

- Nie. Młodzi zostają na noc u państwa Railsów. Rano wybierają się na zatokę na ryby. Bądź gotów o wpół do dziesiątej. O dziesiątej jestem umówiona na plaży.

Tymczasem po drugiej stronie granitowego muru przechadzał się Alabaster McGregor. Był sam. Opuścił przyjęcie tuż po Dove. Czarny frak czynił go prawie niewidocznym.

I o to chodzi, koteczku, szydził w myśli.

Redaktor rubryki towarzyskiej zatrzymał się pod ciężkim od kwiatów krzakiem kanadyjskiego bzu. Starał się zająć jak najwygodniejszą pozycję, chociaż wygoda, jak upominał sam siebie w duchu, jest nieważna, gdy człowiek trzyma rękę na pulsie wydarzeń, zbiera materiały do kochanego, tajnego archiwum... Buty jednak, to co innego. Nie mam zamiaru zniszczyć ulubionych angielskich trzewików. Trzeba je jutro porządnie wypastować i wypolerować, szmatką, rękawem, aż się będą świeciły. A jeśli nie będą się świeciły jak nowe, to biada Foxxowi. Będę na niego dotąd wrzeszczał, aż w pantoflach można się będzie przejrzeć, postanowił.

Poza tym, jeśli się nie pomyliłem w domysłach, wszelka ofiara się opłaci. Sowiec opłaci...

Aha, słyhać stuk kopyt, lekki, taneczny. Alabaster założył się sam ze sobą: to klacz Grafa Elliotta. Splunął w dłonie i zatarł ręce. Na szczęście!

Miał rację. To kobyła Grafa Elliotta. Pastor uspokajał zderwanego zmianą tempa konia. Alabaster czekał, aby wielebny uczynił nieodwołalny krok. Bo Alabaster wiedział, że się nie pomylił. Powziąwszy podejrzenie wiedział już, jak szukać i gdzie. Nic nie skryje się przed okiem, z którego spadły łuski...

Nocny jeździec jednakże nie skręcił w bramę. Koń odrobinę przyspieszył i truchtem podązał dalej.

A niech to szlag!

Przecież się nie pomylił! Nie mógł się mylić! Widział wszak, jak się porozumiewali u Railsów. Na własne oczy widział, jak Dove wsuwa niebieski bilecik do kieszeni Grafa, jak wychodząc z innymi paniami do salonu pochyła się nad nim, aby zamienić słówko. A Graf, objadając się deserem, rozpromienił się dosłownie, gdy mu zakomunikowała, że wezwała własny powóz, aby mu nie robić subiekcji. Po tej wymianie zdań bystre oko Alabastra dostrzegło, że w spodniach klechy coś urosło! Ha! Podniecił się tym, że nie musi odwozić Dove do domu? Mnie nie oszukacie, turkaweczki! Nawet

ślepy by zauważył, co knujecie...

Ale dlaczego Graf nie stanął, tylko udawał, że zwalnia, że chce sprawdzić, czy ukochana dotarła do domu?

Pozory.

Z westchnieniem zadowolenia z siebie Alabaster przyczał się w hortensjach, szykując się na dłuższe czekanie.

Dove przystanęła na progu biblioteki i spoglądała na męża. Spał skulony na sofie, w samej bieliźnie, bez szlafroka. Elektryczna lampa świeciła mu niemal prosto w oczy. Był nie ogolony, a ciemny zarost sprawiał, że skóra na twarzy nabrała barwy wosku. Nogi, wciąż mocne, sprawne, podkurczył i rozstawił szeroko. Rękami niemal czule obejmował świecący, wzdęty brzuch. Gorąca butelka wysliznęła mu się z dłoni i zwisała w kroczu niczym tajemnicza, erotyczna zabawka.

Najdroższy, wzruszyła się Dove. Gdzie romantyczność, gdy mężczyzna się starzeje i chroni w bibliotece jak wiewórka w zimowej norze? Gdzie to delikatne ciepło, jakie czuła w łonie, rozkoszne drżenie, z jakim leżąc w łóżku czekała na Percy'ego? Gdzie przyspieszone tętno na widok jego nagiego ciała i wyciągniętych do niej rąk? Gdzie to zwycięskie uniesienie, zawrót głowy, gdy wiedziała, że go zdobyła, że jest jej i tylko jej, chociażby na tę jedną noc? Gdzie świadomość, że jutrzejszej nocy musi go na nowo zdobywać? Wciąż i wciąż na nowo.

Jakie to wszystko niezmiernie smutne, myślała. Kochała męża, uwielbiała go. Był najukochańszym, najlepszym z ludzi. Nie jego wina, że stetryczał, był przecież poważnie chory. Nie jego wina, że biblioteka, ta piękna biblioteka z meblami z czarnego dębu łączonego z zieloną skórą, zmieniła się w pakamerę, w której panuje zaduch stęchłego powietrza przemieszanego z wonią lekarstw.

Winne jest samo życie, cholerne, niedoskonałe życie. W brudnym, upstrzonym ciemnymi plamami lustrze Dove dostrzegła odbicie samej siebie, pięknej, z platynowymi włosami ułożonymi w spięte ametystowymi szpilkami loki, ubraną w bladofiołkową

toaletę. Przyjrzała się wyrazowi własnej twarzy. Kąciki idealnie zarysowanych ust opuszczone, zmarszczka obrzydzenia między srebrnymi brwiami. Twarz wyniosła, zacięta.

Boże, tylko nie to. Tylko nie to, przeraziła się. Dzisiejsze spotkanie musi być ich ostatnim. Percy nie zasłużył sobie na takie traktowanie... A poza tym ona nie może pozwolić, aby swawolne igraszki w ogrodzie zniszczyły porcelanową gładkość jej cery!

Starając się nie obudzić męża, Dove zamknęła za sobą drzwi biblioteki. Relacja z przyjęcia u Railsów może poczekać do jutra.

Od jutra będę znów idealną żoną, postanowiła.

Od jutra już zawsze.

Alabaster McGregor musiał się zdrzemnąć, gdyż nagle spostrzegł, że zamiast stać pod bujnym niebieskim kwieciem, siedzi na gołej wilgotnej ziemi. Z chrząknięciem niezadowolenia podniósł się i dotknął pośladków. Foxx będzie miał huk roboty. Alabaster już sobie wyobraził swojego lokaja narzekającego niczym guwerner: Takie zachowanie nie przystoi dżentelmenowi, sir!

Graf Elliott znajdował się już po drugiej stronie muru i przemierzał trawnik rezydencji Peerce'ów. Alabaster na palcach, ukradkiem, podążył w ślad za nim. Miło by było zakraść się tak blisko, by słyszeć każde czułe słówko, ujrzeć każdy centymetr nagiej skóry, śledzić każdą erotyczną pieszczotę. Alabaster jednak trzymał się w bezpiecznej odległości. Lepiej zachować ostrożność, niż zepsuć wszystko...

Graf zniknął pod gęstą osłoną sięgających samej ziemi gałęzi buku. Po chwili z ciemności wyłoniła się Dove. Piękna, adorowana przez całe Newport, Dove. Niczym lunatyczka w peniuarze z czarnego szyfonu, odpowiednim wyłącznie do buduaru, przepłynęła przez trawnik i wśliznęła się między listowie.

Zaczajony za żywopłotem z ligustru Alabaster usłyszał przyciszony szept, potem zaległa cisza przerywana zduszonym sapaniem i tłumionymi jękami... Kronikarz wyjął z kieszonki kamizelki zegarek. Mierzył czas.

Po godzinie dobiegło go łkanie Dove, potem rozgorączkowany głos Grafa, potem cichy protest Dove, potem dalszy szloch...

Ale opera.

Alabastrowi zaschło w gardle, kiszki zaczęły mu grać marsza, a trzewiki kompletnie przemokły od rosy. I dałby nawet dolara za publiczną toaletę.

Kłóć się? Graf się zblamował? Oby! A może Percy odkrył romans i zagroził rozwodem i skandalem? Cóż to byłby za smaczny kąsek do gazety!

Tych dwoje mitrężyło czas, jak gdyby noc nie zbliżała się do świtu.

Boże, chroń mnie przed zaślepieniem miłością, modlił się Ally. Co za kłopot, jaka kolosalna strata czasu, jakie poniżenie...

I jakie niebezpieczeństwo.

Z ukłuciem bólu przypomniał sobie tamto lato i Orestesa z Casino, złotowłosego niczym grecki bożek. Dzięki Bogu, że zapanował nad namiętnością i nie zdradził się.

Płomień miłości nie był przeznaczony dla Alabastra McGregora. Bogu dzięki. Opanowanie, ot co. Dzięki opanowaniu zdobędzie władzę nad światem. Opanować się nie zdołał tylko z Foxxem, ale to dawne dzieje...

Alabaster spisał frak na straty i wyciągnął się na ziemi. Oparł podbródek na brudnych dłoniach i wyglądał przez gęste gałązki. Ciężkie jest życie kronikarza!

Lecz nie narzekał. Taka noc to nagroda za żarliwe modlitwy. Nareszcie dostał to, czego od dawna pragnął. Ten rajski ptak, Dove Peerce, dał się złapać w klatkę. Od jego łaski teraz zależy, czy pozwoli mu latać, czy nałoży kaptur na łebek. Czy da karmę, czy skaże na śmierć...

Alabaster zgiął nogi w kolanach i zaczął stepować w powietrzu.

Czyżby świadomość, że to ostatni raz, uczyniła miłość tak słodką? Czyżby świadomość, że popełnia zdradę we własnym ogrodzie, przejęła ją dreszczykiem emocji?

Po raz pierwszy odważyli się spotkać na własnym terenie.

Przedtem zawsze, czyli od tamtego szalonego weekendu na derbach w Louisville, umawiali się na farmie poza miastem. Przedtem zawsze spotykali się po południu, w otoczeniu drzew wystrzyżonych w zabawne kształty. Ona najbardziej lubiła żyrafę, on policjanta na koniu. Lokatorzy zawsze wtedy wyjeżdżali w odwiedziny do córki mieszkającej w Jamestown. Przedtem zawsze wszystko było starannie z góry zaplanowane...

Lecz Graf twierdził, że nie może czekać do poniedziałku. Był opętany, zgubiony przez jej urok. Musi ją mieć dzisiaj, błagał, aby żyć.

Sprawa skończona, lecz było bosko. Zostawiła go bez pamięci zakochanego. Jedyne sposob, w jaki należy rzucać mężczyznę. Sama zaś czuła ulgę, że już po wszystkim.

Graf odchodził, nie dowierzając.

Ona pragnęła tylko snu.

Zerwanie poszło łatwiej, niż sądziła. Gdy umysł dostroi się do nowych trybów, przestawi na nowe myślenie, cały romans wydaje się wydumany, zbyt jaskrawy i zbyt tandetny, nie chciany...

Graf oszedł pierwszy, a ona, ukryta za zasłoną gałęzi, obserwowała okna służby. Gdy ktoś spotka pastora na drodze, wiadomo, wzywają go obowiązki duszpasterza. Ona, prawie naga, lecz we własnym ogrodzie, może tłumaczyć się bezsennością spowodowaną domowymi troskami.

Jest więc bezpieczna.

Graf opuścił jej dom i jej życie. Nie został po tym przelotnym kaprysie żaden ślad w dzienniku, żadna pamiątka. Wykapie się, postanowiła, i zmyje z siebie Grafa na zawsze. Jeszcze długo jednak rozkoszować się będzie myślą, że on za nią tęskni, kocha z bezpiecznej odległości... A gdy znowu pobłądzi (co do tego nie ma żadnej wątpliwości), ona, Dove, stanowić będzie niedościgły ideał. Porównując inne kobiety z nią, Graf w każdej odkryje wady...

Gwiazdy już bladły, gdy Dove, owinięta peniuarem, przemknęła

ku domowi.

Wejdzie przez bibliotekę. Rzuci okiem na śpiącego męża, przyjmie go z powrotem do serca. Pragnęła na nowo wyryć w swoim nawróconym sercu wizerunek mężczyzny swojego życia, odtąd i na zawsze. Potem uda się na górę, jakby nigdy nie wychodziła z domu.

Percy stał za szybą, nadal tylko w bieliźnie, wpatrzony w Dove... i w płaczący buk. Przytrzymał się stopy, jak gdyby nie mógł stać o własnych siłach. Usta miał otwarte w niemym krzyku niedowierzania.

Dove uniosła poły peniuaru i przyspieszyła kroku. Wszystko będzie dobrze, mówiła do siebie. Najważniejszy jest spokój. Wszystko da się wytłumaczyć. Powiem, że potrzebna mi była duchowa porada. Po powrocie z przyjęcia wezwałam Grafa. Martwiłam się o Nicolę, o jakiś jej wybryk... A jeśli nie widział Grafa, powiem, że siedziałam sama, zamartwiając się o niego, nie mogąc zasnąć...

Percy nie poruszył się. Stał w groteskowej pozie, z włosami potarganymi, oczami szeroko otwartymi, martwymi.

Dlaczego nie zrobi kroku ku niej? Albo, zagniewany, nie cofnie się? Dlaczego nie zamknie ust, nie mrugnie, nie...?

Zacęła biec. Przeważenie paraliżowało jej serce.

- Percy!-krzyknęła.

Na tarasie, zaledwie kilka kroków od męża, stanęła. W szary świt wplatały się różowe promienie słońca, niebo przybierało bladą barwę skóry Percy'ego... Dlaczego nie przygłodzi sterczących upiornie kosmyków? To nie w jego stylu, stać tak niczym słup soli...

- Percy!

Ani mrugnięcia powieką, ani drgnięcia kącikiem ust. Po wykręconej stopie spaceruje błyszczący, zielony żuk... Lodowata obręcz zacisnęła się wokół serca Dove.

- Percy, błagam, przemów choć słówko...

Wiedziała już jednak, że Percy nie przemówi. Nie może. Umarł stojąc, nie wierząc własnym oczom... Widok rozneglizowanej żony

rozstającej się z kochankiem był zbyt silnym ciosem dla jego poczciwej duszy.

Co ja, na miłość boską, zrobię ze ślubem Nicoli, pomyślała Dove.

Alabaster McGregor, bezszelestnie podążający cały czas za nią, poczekał, aż zemdleje.

To jego krzyki zaalarmowały służbę.

Wezwana z domu Railsów, zanim postawiono żagle i wyruszono na połów, Nicola histerycznie szlochała i nie można jej było pocieszyć. Wciąż wypytywała matkę o szczegóły, aż Dove zapragnęła, żeby ona też zamilkła na zawsze... A Rolf, lord Pomeroy, który powinien przyjść jej z pomocą, zaczął coś przebąkiwać o powrocie do Anglii i odłożeniu ślubu do przyszłej wiosny. Że niby inaczej nie wypada. Czczą gadanina! Dove zabroniła mu nawet myśleć o czymś takim i nalegała, aby wszystko przeprowadzić zgodnie z wcześniejszymi planami. W końcu wytoczyła najcięższą armatę i powiedziała, że Peerce tak właśnie by sobie życzył. Łkając wdzięcznie oświadczyła, że Percy nie umarłby i nie poszedł do nieba, gdyby nie wiedział, iż Rolf stanie teraz na czele rodziny. Percy odszedł spokojny, przekonany, że kobietami zajmie się szlachetny mężczyzna. Jego ostatnie słowa, skłamała Dove, szepcząc w mokrą od łez chusteczkę, brzmiały: Obiecuj... ślub. Więc jeśli Rolf naprawdę kocha Nicolę, nie...

Zamknawszy tym samym przysłemu zięciowi usta, Dove wykorzystała okazję, aby wybić Nicoli z głowy pomysł z czarno-brązowymi strojami drухen jako zupełnie nieestosownymi w zaistniałej sytuacji.

- Zdecydowanie, córeczko, żadnych motyli typu paż królowej. Aniołki, moim zdaniem, będą o wiele bardziej na miejscu. Tak jakby ojciec zesłał gromadę aniołków, aby was strzegły, drogie dzieci. Pastelowe kolory, sukienki w stylu greckich tunik, złote meandry i udające skrzydełka, ufarbowane na odpowiedni odcień pióra z tyłu głowy. Jak ci się to podoba?

Nicola, która rzadko płakała, zalewając się łzami przystała na

wszystko.

Znakomicie, pomyślała w duchu Dove. A najważniejsze, że to denerwujące drganie powieki nareszcie ustąpiło...

Alabaster McGregor zaś nie posiadał się z wściekłości. Przegrał tę partię, ptaszek wyfrunął mu z garści. Przyłapaną na jawnym cudzołóstwie, Dove Peerce w oczach świata nadal jest czysta jak łąka. Kosztowało ją to, co prawda, utratę męża, niemniej jej nieskalana opinia pozostała niczym nie zagrożona. Umierając, Percy wytrącił Alabastrowi broń z ręki.

Alabaster doskonale wiedział, że Newport jak jeden mąż obróciłoby się przeciwko niemu. Mógłby od razu spakować manatki i wynosić się z miasta. Miał więc usta zamknięte.

Dove także doskonale wiedziała o swoim zwycięstwie. Odzyskawszy wówczas na tarasie przytomność, uniosła powiekę i rzekła:

- Gratuluję, Alabaster. Lecz Percy mnie ocalił, jak widzisz. Jedno słowo, a to ty będziesz zniszczony. Jako wdowa zyskam opinię świętej. Zakład?

Mimo że gotów był ją zabić, Alabaster panował nad swoimi odruchami. Ujął wyciągniętą dłoń, ucałował obrączkę i powiedział:

- Podziwiam panią, pani Peerce. Proszę przyjąć moje kondolencje. Postaram się zrelacjonować stratę, jaka panią dotknęła, z najwyższym taktem. Co do reszty, nie wiem, co pani ma na myśli. Wzywa mnie pani o świcie... Przeczucie... Jako przyjaciel przybywam natychmiast. Zastaję panią pochyloną nad zwłokami męża, pogrążoną w rozpacz... Nie czuję się na siłach zostać dłużej... Przyjdę po południu.

- Jesteś nikczemnym człowiekiem, Alabastrze. Bardzo nikczemnym i bardzo przebiegłym - rzekła.

- Jedyna różnica między nami, poza płcią, oczywiście, polega na tym, że los stanął po pani stronie. - I Alabaster, skłoniwszy się, odszedł.

Dove odprowadziła go wzrokiem. Boże! Omal nie wpadła w

szpony tego zbira. Szantaż lub hańba na wieki. Percy, kochany Percy ją uratował. Padła na kolana przed nim i zaczęła całować jego zimne stopy. Wybacz mi, błagała szlochając. Gdziekolwiek jesteś, wiedz, że zawsze kochałam tylko ciebie. Tylko ciebie...

RRS

Była niedziela, dwudziestego ósmego lipca, dzień pogrzebu Percivala Peerce'a, lecz Bay wciąż jeszcze nie wrócił do domu.

Astin Forbes, odwiedzwszy wczorajszego wieczoru Audrey, poinformował ją, że stara się o zwolnienie warunkowe, lecz sędzia Godfrey odroczył decyzję do następnego tygodnia. Znowu. Audrey nie wolno było odwiedzać męża. Musiała czekać. Czekać niczym Penelopa, wyraził się Astin. Proszę się zająć swoimi sprawami, dodał, jakby nic nie mąciło pani umysłu. Nie powinna wydawać wystawnych przyjęć (jak gdyby miała taki zamiar!), ale powinna się udzielać towarzysko, jeśli ma ochotę. I zdecydowanie powinna pójść na pogrzeb Percivala Peerce'a.

Również wczoraj wrócili Celeste i Thorne. Dowiedzieli się o aresztowaniu Baya i wylewie Edmundy od Clarissy Rails, która wysłała telegram na statek. Z tego samego źródła i tą samą drogą dowiedzieli się o niespodziewanym ślubie Baya z Audrey.

- Nie rozumiem, dlaczego Bay mi nie powiedział, co się dzieje w tym domu - narzekła Celeste stojąc w wielkim holu i zdejmując rękawiczki z koronki w odcieniu *ecru*. Thorne stanął obok żony. Ubrany w biały strój, opalony na ciemny brąz, czarnymi oczami wpatrywał się w Audrey pytając niemo: Jak się tutaj dostałaś, tak szybko, tak wysoko? Jak się tutaj w ogóle wkradłaś?

Audrey zaś, ubrana w uszytą w jeden dzień przez Priscillę suknię z cienkiego brązowego jedwabiu, z włosami gładko zaczesanymi wokół głowy, witała szwagrostwo w domu.

- Bay nie chciał cię martwić, Celeste. Nie chciał mącić twojego szczęścia. Miał nadzieję, że zanim wrócisz, złe chwile miną i zostanie sama radość. Ogromnie mi przykro, że skróciliście podróż poślubną... Bay też się zmartwi. Mama, oczywiście, ucieszy się z

twojego przyjazdu... Zajmiesz swój paniński pokój czy wolałabyś większy apartament, wspólnie z Thorne'em?

Celeste w zbieleiałych palcach trzymała okrągły koronkowy kapelusz i rękawiczki. Rozejrzała się po wielkim holu. Wniesiono walizy i kufry. Dwóch służących czekało na instrukcje, gdzie je zanieść. Joanna, pokojówka Celeste, także się zatrzymała. Niosła inkrustowaną macicą perłową kasetkę z biżuterią i skórzaną torbę z pismami kobiecymi.

Celeste pochyliła głowę i z namaszczeniem wpięła szpilę z perłą w przewiązany szarfą kapelusz. Potem, powoli przenosząc wzrok na Audrey, przemówiła:

- Pani wybaczy, panno Smoke, nie chciałabym wydać się nieuprzejma, lecz pani ślub z moim bratem był tak nagły, że gubię się w tej sytuacji... Czy mogę wpieryw zobaczyć się z matką?

Audrey w milczeniu usunęła się na bok. Nie odzywaj się, szeptał ostrzegawczo jakiś głos. Nie obrażaj się. To dom Baya, Baya i twój, nie Celeste czy Edmundy Lockholm. Celeste jednak czuje się tu panią... Zachowuj się spokojnie, przecież chcesz mieć w niej przyjaciółkę, nie wroga. Przypomniały jej się słowa dziadka Nally'ego, gdy skarżyła się, że dzieci docinają jej dlatego, że jako jedyna dziewczynka została wybrana do szkolnej drużyny pływakiej. Dziadek powiedział wtedy: „Zawsze znajdą się w twoim otoczeniu jakieś psy, sfora psów. Lepiej zmuś je, by biegły razem z tobą, a nie, szczerząc zęby, zagradzały ci drogę...”

Przypomniała sobie słowa dziadka, gdy Celeste w milczeniu skierowała się w stronę schodów. Thorne, niczym wierny paż, pokornie udał się w ślad za żoną. Audrey wciąż intrygowało jego pytające spojrzenie. Znajome pochylenie ramion zdradzało, że jest czymś zagniewany. Czym? Wiedziała, że ten gniew skierowany jest przeciwko niej. Do Celeste żywił wyłącznie uwielbienie. Poskromiła go, pomyślała Audrey. Nauczyła tańczyć tak, jak ona zagra. Jest teraz jeszcze przystojniejszy, lecz mniej męski, mniej...

Stała nieporuszona postanawiając zaczekać, aż Celeste wejdzie

na piętro i zniknie w korytarzu prowadzącym do sypialni matki.

- Co to?

Celeste zatrzymała się na podeście przed oprawionymi rycinami, które Audrey kazała zawiesić na miejscu portretu Virginii.

Zamiast odkrzyknąć, Audrey weszła na schody zgrabnie unosząc spódnicę, jak nauczyła ją Tory podczas lekcji „bycia damą”.

- Co się stało z portretem Virginii Whistlera? - spytała Celeste wskazując siedem rycin zajmujących całą długość ściany.

Audrey spojrzała szwagierce prosto w twarz i odparła:

- Wisi w pokoju matki. Zdaje się, że sprawia jej przyjemność. To są plany Whale's Turning. Uznałam, że są wspaniałe. Podobają ci się?

- Tak, niezłe. Chodź, Thorne. Musimy jak najszybciej zobaczyć się z mamą.

Thorne, pochylony nad pergaminami, jakby nie słysząc, wpatrywał się w nie intensywnie. Palcem wodził po obrysie pokoju Audrey, dawnej sypialni Virginii.

- Thorne - szepnęła Celeste, przybierając nieznany Audrey rozkazujący ton. Nie doczekawszy się reakcji, dotknęła jego ręki.

Thorne uniósł głowę znad rysunku, lecz nie spojrzał na żonę. Wbił wzrok w Audrey, wzrok pełen złości, okrucieństwa i... lęku.

Wstrząśnięta, Audrey cofnęła się, aż poczuła kant ramy pod łopatką.

- O co ci...? O co...? - pytała zaskoczona.

Thorne odwrócił się bez słowa i podążył za Celeste na piętro. Audrey patrzyła za nim. U szczytu schodów Thorne odwrócił się i spojrzał z góry na byłą narzeczoną. Twarz jego wykrzywił grymas strachu. Potem zniknął w głębi korytarza.

Audrey oparła się o jedną z rycin. Dlaczego? Co to spojrzenie ma znaczyć? Co w planach Whale's Turning spowodowało, że ją tak nagle, tak żywiłowo znenawidził?

Przecież ona nie miała nic wspólnego z projektem tego domu. A może te rysunki były tylko pretekstem do okazania złości, że

wtargnęła do jego dopiero co zdobytego królestwa, że swoim podbojem zaćmiła jego triumf? Ona, mała Audrey, którą porzucił w biedzie...

Tak, to chyba dlatego. Chyba tak...

Odwróciła się ku czwartej rycinie w rzędzie, przesunęła palcem po obrysie swojej sypialni. Łóżko... trochę z boku, bliżej lewego rogu, narysowane w kształcie serca, pomalowane na czerwono, przypomina rubin...

Nie!

To niemożliwe!

A jednak... Gdyby czarne linie tuszu zamienić w srebrne nitki, gdyby prostokąt pokoju wykonać ze złota, gdyby łóżko narysowane w kształcie serca i pomalowane na czerwono było rzeczywiście rubinowym oczkiem...

Wisiołek!

Wisiołek, który jej podarował, gdy w czerwcu zeszłego roku zjawiał się tak nagle, tak niespodziewanie, późną nocą. Podekscytowany, roześmiany, szczęśliwy, że otrzymał kredyt.

Tamtej nocy ustalili datę ślubu.

Tamtej nocy wypadł mu z kieszeni upominek. Złoty wisiołek w pięknym pudełeczku z wybitym na nim obco brzmiącym nazwiskiem... Maurice Rivalini, jubiler, Rzym.

Drżąc, Audrey spojrzała w górę. Nikogo. Nikt jej nie podgląda, nikt się nie skrada...

Ani Thorne.

Ani Celeste.

Ani Virginia.

Ani Bay.

Och, jakże pragnęła, żeby Bayard był przy niej. Jakże ciężko jej było w tym wielkim domu samej, tylko z Edmundą stukającą laską po korytarzach, wołającą Virginie, dobijającą się do drzwi sypialni... Którejś nocy wejdzie. Na pewno. Za każdym razem, gdy teściowa powłócząc nogami wędrowała po domu, Audrey modliła się, żeby

Bay z nią był, gdy ta stara kobieta sforsuje drzwi. Boże! Błagam!

Ciężko jej było jeść samej posiłki, pamiętając lekcje Tory o zachowaniu się przy stole. Ciężko zabić czymś czas, ciężko czekać na powrót Baya. Ranki spędzała z Tory, popołudniami pływała, a o zmierzchu, oparta o skałę na WaterWalk, rozmawiała z wielorybami... Często teraz i licznie przyływały pod koniec dnia. Zawsze też wiał silny wiatr przesycony kroplami wilgoci. Wielkie ssaki zachowywały się apatycznie, jak gdyby były chore, jak gdyby szukały w zatoce schronienia przed nadchodzącą burzą...

Ciężko jej było, lecz starała się to dzielnie znosić.

Teraz jednak Celeste i Thorne wrócili, a Baya nie było, by bronić ją przed gniewem Thorne'a, przed jego zemstą. Zemstą? Za co? Za to, że jest tu, gdzie on, tu, gdzie jej nie chciał?

Dlaczego nie chciał?

Dlatego, że pewnej czerwcowej nocy, rok temu, przyszedł niespodziewanie do domu Audrey, tego „ubogiego, ciasnego domu” i zgubił upominek, złoty prostokąt inkrustowany srebrem z wprawionym rubinowym sercem, złotą kopię sypialni Virginii w Whale's Turning, wykonaną na specjalne zamówienie przez rzymskiego jubilera...

Tory VanVoorst powiedziała, że Virginia miała kochanków. Że dawała im, jemu, bo może był tylko jeden, „złote drobiazgi”. Na dowód Tory zostawiła list.

Audrey pomknęła do swojego pokoju i starannie zamknęła za sobą drzwi. Wbiegła do łazienki, zaryglowała wejście z sypialni Baya. Potem z szuflady komody, spod bibułek i bielizny, wyciągnęła list i ponownie przeczytała:

„W odpowiedzi na list szanownej pani z dnia 13 czerwca z przykrością informuję, że nie jestem w stanie udzielić szczegółowych informacji na temat biżuterii zamówionej przez panią Virginię Lockholm z USA. W żadnym wypadku również nie mogę wykonać duplikatu powierzonego mi wzoru. Mogę jedynie potwierdzić, iż wykonałem kilka drobiazgów w złocie dla owej damy, i polecam również łaskawej pani swoje usługi.

Dyskrecja zapewniona. Moje dzieła są najwyższej jakości, złoto najczystszej próby, a ceny szalenie niskie. Może zainteresuje panią, iż otrzymałem właśnie nową dostawę wspaniałego lapis lazuli. Pozdrawiam łaskawą panią, a także naszą wspólną znajomą, niezrównaną panią Lockholm. Z niecierpliwością oczekują wiadomości od pani i pozostają zaufanym i uniżonym sługą,
Maurice Rivalini, jubiler"

Nie jest to jeszcze dowód ostateczny, jak wyraziła się Tory, niemniej obciążający. Tory radziła, by dla uzyskania absolutnej pewności zapytać Baya, czy Virginia kiedykolwiek ofiarowała jemu „złoty drobiażdżek”?

Ale jak to teraz zrobić?

Tory radziła też, by Audrey sama napisała do pana Rivaliniego. Jubiler nie będzie wiedział, że jest drugą panią Lockholm i zdradzi wszystkie szczegóły... Wszystko, co wie.

A może, tknęła ją myśl - dlaczego dopiero teraz? - może Virginii, tak jak Celeste, tak jak i jej samej, spodobał się czarnooki chłopak z plaży. Zuchwały, przystojny dandys bez grosza przy duszy, za to opalony na brąz, barczysty, szczupły w biodrach, skaczący po żaglach niczym pirat. Gdy morska bryza spryskuje jego nagi tors, a krople spływają po płaskim brzuchu i dostają się pod pasek spodni... kobieta pełna temperamentu może zapragnąć zlizać wilgoć z jego lędźwi...

Audrey sprawdziła datę owych nocnych odwiedzin w pamiętniku. Szósty czerwca, tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego czwartego roku.

A Virginia Lockholm odeszła do Pana...?

Audrey sięgnęła po telefon.

- Słucham? - odezwał się Fisher.
- Pamiętasz dokładną datę śmierci Virginii? - spytała. Uff, odetchnęła w duchu. Poszło łatwiej, niż się spodziewała. Krótko, zwięźle, bez zbędnych wyjaśnień, tak jak ją nauczyła Tory: Nie musisz się tłumaczyć przed służbą. Chwalisz, ganisz, wydajesz dyspozycje - zawsze tym samym uprzejmym tonem. Oczywiście,

żadnych komentarzy przy obcych. Oni jeszcze bardziej dbają o swoją pozycję niż ty, mój biedny bogaty Kopciuszku...

- Och tak, nigdy nie zapomnę- odparł Fisher. - Pani Virginia Lockholm opuściła nas nagle w środę, szóstego czerwca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego czwartego roku.

- Dziękuję. To wszystko, Fisher. Czy czegoś się dowiedziała? Czego...? Wszystkiego?

Wieczorem Audrey zjadła kolację sama w swoim pokoju. Wcześniej się położyła, lecz nie mogła zasnąć. Po drugim namyśle wstała i w końcu napisała do Rzymu.

Noc minęła spokojnie.

Edmunda Lockholm nie spacerowała po domu.

Thorne Cockburn nie dobijał się do drzwi.

Chociaż... Tuż przed zaśnięciem zadzwonił telefon. Nie odebrała. Nie ufała telefonom... Były złowieszcze, pozwalały obcym wtargnąć do sypialni, zakłócić sny. Tępe, ciężkie narzędzie, którym można, jeśli się chce, dokonać zbrodni...

Dosłownie i w przenośni.

Bez biżuterii, w dawnej sukience do pracy, bawełnianej, czarnej z szamerowaniem, z włosami spiętymi z tyłu czarną kokardą, Audrey zajęła w powozie miejsce obok teściowej. Powóz Lockholmów był jednym z wielu, jakie zajechały przed dom Percivala Peerce'a, aby towarzyszyć zmarłemu w jego ostaniej drodze.

Celeste i Thorne siedzieli na ławeczce vis-a-vis. Celeste już była w ciąży. Sawyer, teraz osobista pokojówka Audrey, powiedziała jej o tym dziś rano. Dziewczyna usłyszała nowinę przy kolacji od Zelli, pokojówki Edmunda, która dzieliła pokój z Joanną, pokojówką Celeste. Nikt z rodziny nie pofatygował się zawiadomić Audrey, ani sama Celeste, ani Edmunda, ani... Thorne. Jemu zresztą nie wypadało mówić tak intymnych rzeczy obcej kobiecie. Zresztą od wczorajszego wieczoru, czyli od przyjazdu, nie odezwał się do byłej narzeczonej ani słowem, chociaż wpatrywał się w nią uporczywie spod przymkniętych powiek. Audrey powzięła jednak mocne

postanowienie, że będzie ignorowała afronty, czy to ze strony Edmundy, Celeste, czy Thorne'a. Postanowiła także nie komentować odmiennego stanu Celeste, dopóki ona sama nie zwierzy się jej ze swojego szczęścia.

Tory VanVoorst powiedziała jej bowiem: W razie wątpliwości, nie rób po prostu nic. Milczenie mieści się w dopuszczalnych normach zachowania. Może nie jest najlepszym wyjściem, niemniej niczego ci nie można zarzucić. Potem, najszybciej jak zdołasz, poradź się mnie.

I tak właśnie Audrey miała zamiar postąpić. Ufała swojej nauczycielce, mimo że VanVoorstowie byli w Newport outsiderami. Tory wytłumaczyła jej, że mimo astronomicznej fortuny Burton VanVoort uważany jest przez tutejszą elitę za nuworysza, który szybko zdobył majątek dzięki sprytowi w interesach. Małżeństwo z Tory zaś uznano za skandal i mezalians. Tak, mówiła była striptizerka, zdaję sobie z tego sprawę. Muszę. Po to, żebym wiedziała, jak z nimi walczyć... Z drugiej strony VanVoorstowie byli zbyt bogaci, by ich kompletnie ignorować, więc śmietanka towarzyska traktowała ich uprzejmie, tak jak się traktuje przelotnych znajomych.

Z tym, że VanVoorstowie postanowili tu zostać.

Nie zaproszono ich jednak na pogrzeb Percivala Peerce'a.

W ciągu dziesięciu dni, jakie minęły od poznania Tory, Audrey całkowicie uległa jej czarowi. Tory była taka piękna, taka mądra, taka przedsiębiorcza. Niczym się nie przejmowała, niczym nie krępowała, nic nie zdołało powstrzymać jej wspinaczki na szczyty. Audrey miała nadzieję, że kiedyś się do niej upodobni, stanie się tak samo niezależna, pewna siebie, olśniewająco piękna i doskonała jak... Dove Peerce. Tylko młodsza.

Przy dźwiękach kościelnych dzwonów żałobny kondukt powoli, uroczyście, ruszył. Percy Peerce dostał w końcu, swój automobil. Był to długi czarny Ford, pierwszy mechaniczny karawan w Newport. Dove kazała go sprowadzić pociągiem aż z Detroit.

Audrey, pogrążona w rozmyślaniach, nie zwracała uwagi na

otoczenie. Musi znaleźć wisiołek. Znaleźć go, zanim Bay wróci z więzienia. Znaleźć i sprawdzić z rysunkiem architekta. To będzie dowód. Dowód? Czego?

Czyli musi pójść na Bridge Street do domu ojca i Dolly, kobiety, którą gardziła w ten sam sposób, w jaki Edmunda i Celeste gardziły nią, a damy z Newport gardziły Tory June.

Dojechali do kościoła, wysiedli. Edmunda z Celeste szły przodem, Audrey zaś na samym końcu, za Thorne'em. Zajęli miejsca w rodzinnej ławce. Dzwony wciąż biły.

Za oknem, na przykościelnym cmentarzu, śpiewały ptaki. Audrey odwróciła głowę. Nagle wśród grobów mignęła sylwetka mężczyzny z czarnym kapeluszem w ręku, włosami opadającymi na czoło jak u chłopca. Bay! Serce podskoczyło jej do gardła. Bay wrócił! Już nie będzie sama w Whale's Turning...

Szmer przeszedł przez kościół. Bay zajął miejsce w rodzinnej ławce. Skinął głową siostrze i szwagrowi, matkę pocałował w policzek. Audrey nie pocałował, niemal jej nie zauważył. Pod wpływem nagłego impulsu sięgnęła po jego dłoń. Cofnął rękę, unikał jej wzroku. Nie mrugnął. Nie uśmiechnął się nawet. Pochylił nisko głowę, jak gdyby się modlił.

Audrey zarumieniła się. Dlaczego Bay zachowuje się jak obcy? Czym sobie zasłużyła na tak zimne powitanie po przymusowej rozłące?

Pogrążona w posępnych myślach, nie słyszała nabożeństwa. Pragnęła jak najszybciej porozmawiać z Bayem, lecz postanowiła, że wpierw pójdzie do domu i odnajdzie „złoty drobiazg” otrzymany od Thorne'a, wisiołek, którego miała nigdy nie nosić przy ludziach, aż do dnia ślubu.

Czyżby owej nocy, kiedy zmarła Virginia, Thorne wiedział, że nigdy nie wezmą ślubu? Czyżby już wówczas był beznadziejnie zakochany w niebiańskiej Celeste?

Po skończonym nabożeństwie Audrey zwróciła się do Bayarda:

- Muszę się zobaczyć z ojcem. Przejdę się. Potem wrócę

piechotą do domu. Tak się za tobą stęskniłam. Dobrze się czujesz?

- spytała pod wpływem emocji i wzruszenia. Pragnęła objąć go mocno, przytulić do siebie, poczuć na sobie jego pełen miłości wzrok... Dlaczego jest taki daleki, taki oficjalny?

- Dobrze, Audrey, później porozmawiamy. Skoro musisz odwiedzić ojca, idź. Nie sądzę, byśmy zostali długo u Dove. Będę na ciebie czekał przy skale na WaterWalk. Mam ci dużo do powiedzenia. Musimy podjąć pewne decyzje - odparł spokojnie, beznamiętnie, głosem, jakim zwykł wydawać polecenia Fisherowi. - Więc nie chcesz, żeby cię podwieźć? - dodał.

- Czym zawiniłam? Powiedz - prosiła błagalnym tonem.

- Ty? Niczym, kochanie. To ja zawiniłem, straszliwie zawiniłem.

Skręcę jej ten przekłety kark, zabrzmiało jej w głowie. Pamiętaj, nigdy nie wychodź za pierwszego, który ci się oświadczy...

- Nie wierzę - powiedziała. - I nigdy nie uwierzę- dodała, po czym odwróciła się i odeszła drogą znaną od urodzenia.

Niedziela. Drzwi od warsztatu Lawrence'a Smoke'a zastała zamknięte na amen.

Zadarła głowę. Okno jej dawnego pokoju na piętrze było otwarte, w oknie kuchni powiewały nowe zasłony, intensywnie niebieskie, sute jak spódnice Dolly Dowd.

Westchnęła. Będzie musiała pójść na górę znajomymi schodami, lecz już nie należącymi do niej, wejść do domu jako gość, poprosić o pozwolenie przeszukania swojej dawnej sypialni. Miała nadzieję, że ojca i jego nowej żony nie zastanie. Wiedziała, gdzie leży zapasowy klucz. Albo nie... Może ojciec będzie sam? Wszystko jedno, byle okazali się mili. Potrzebowała teraz przyjaciół, chociaż, jako córka Josephine, nie akceptowała jej następczyni. Kiedyś nie akceptowała ani jej, ani nowego życia ojca. Ale to przeszłość. Odkąd sama znalazła miłość i rozpoczęła nowe życie, zmieniła zdanie.

- Witaj, tato.

Lawrence siedział w swoim fotelu w kącie kuchni. Część niedzielnej gazety leżała rozłożona na jego kolanach, reszta na podłodze, obok obutych w domowe kapcie stóp. Miał na sobie białą koszulę, wyglądał na wypoczętego i szczęśliwego. Utył.

- Witaj, córko - odparł. - Siadaj. Zjesz z nami obiad? - zaprosił.

Dolly Dowd stała przy kuchni, mieszała w garnku. Ubrana była w ciemnozieloną sukienkę z żółtym przybraniem, mocno wciętą, z dużym dekoltem karo odsłaniającym wydatny różowy biust. Zielony kolor podkreślał płomiennosc jej rudych włosów, rozpuszczonych mimo upału. Była jaskrawo umalowana, jakby miała za chwilę wystąpić na scenie, a na jej szyi błyszczał złoty, prostokątny wisiorek. Pasował do niej. Pasowałby do każdej kobiety czy też... mężczyzny.

- Witaj - odezwała się do Audrey. - Mielśmy nadzieję, że nas kiedyś odwiedzisz. Cieszę się, że ci się dobrze powodzi.

- Jak ci się żyje na wzgórzu, córeczko? - wtrącił ojciec.

- Dziękuję, dobrze - odparła Audrey upijając łyk ze szklanki, którą Dolly postawiła przed nią. Orzeźwiający napój pomógł złagodzić ucisk w piersi.

- Pij. Jest jeszcze - powiedziała Dolly. - Właśnie kończę kluski. Zjedz z nami, proszę.

- Dobrze - zgodziła się Audrey. - Miło być znowu w rodzinnym domu.

Naprawdę.

Thorne nie miał racji, pomyślała rozglądając się dookoła i zauważając zmiany wprowadzone przez nową gospodynię. Ten dom wcale nie był „ciasny i ubogi”. Zwyczajny, tak, skromnie urządzone, tak, lecz czysty i dzięki Dolly kolorowy: w miedzianym dzbanie bukiet polnych kwiatów, w oknach nowe niebieskie firanki, na podłodze szmaciany chodnik w biało-niebieskie pasy.

- Dom wygląda jak nowy, Dolly. I tak tu kolorowo. Meble tatusia aż błyszczą.

- Dom potrzebuje kobiecej ręki - odezwał się Lawrence.

- Tak - zgodziła się Audrey speszona. - Masz rację. Audrey, tak zresztą jak i jej ojcu, nigdy do głowy nie przyszło zmienić coś w domu urządzone przez Josephine. Mieszkali tak, jak gdyby ona wciąż była z nimi. Z początku Audrey była zbyt młoda, a ojciec zbyt zrozpaczony, aby coś zmienić. Później żadne już nie miało odwagi.

- Dzięki Dolly nawet moja robota się polepszyła - chwalił się Lawrence. - I znowu zostanę ojcem! Szczęściarz ze mnie, co?

Dolly także! Dolly... Celeste...

- Zachowałem specjalną butelkę weselnego szampana na taki dzień jak dziś. Napijesz się z nami z takiej radosnej okazji?

- To dla mnie zaszczyt - odpowiedziała Audrey wzruszona do łez.

Dolly zbiegła do warsztatu, gdzie w chłodnym kącie czekała

butelka szampana zachowana na pojednanie ojca z córką.

Audrey nakryła do stołu, Dolly nałożyła na talerze porcje kurczaka z kluskami, Lawrence otworzył butelkę z głośnym wystrzałem korka. Jak łatwo znowu być przyjaciółmi, pomyślała Audrey, kiedy już przeszła złość.

Na deser była szarlotka z bitą śmietaną.

- Dolly mnie tuczy - żartował Lawrence.

- Trochę tłuszczu dobrze robi na cerę.

- Przyszłam tu po coś, Dolly - zaczęła Audrey. - Chciałabym ofiarować ci to jako prezent ślubny, lecz ten przedmiot nie należy do mnie i muszę go zwrócić.

- Chodzi o ten wisiołek, prawda? - domyśliła się Dolly. -

Przyjemnie było go ponosić. - Sięgnęła do tyłu i rozpięła zameczek łańcuszka. - Piękna robota - dodała podając klejnot Audrey.

- Kupię ci ładniejszy - obiecał Lawrence.

- Kiedy?

- Jutro.

- Trzymam cię za słowo.

Audrey zawinęła złoty wisiołek w kawałek gazety i wsunęła do kieszeni.

- Thorne dał mi go rok temu, a teraz muszę go oddać - wyjaśniła. - Niewykluczone, że posłuży jako dowód, który pomoże oczyścić Baya z oskarżenia. On jest niewinny, tato. Virginię zamordowano, ale nie Bay to zrobił. Bo widzisz, ona miała kilku kochanków.

- Może - mruknął Lawrence bez przekonania. - Przez wzgląd na ciebie chciałbym, żeby to była prawda. - Zamyślił się. Córka już nie przypominała mu pierwszej żony. Zeszczuplała, stała się bardziej opanowana, wydoroślała. Zniknęła dziewczęca bezbronność, twarz nabrała bardziej zdecydowanego wyrazu. Trzymała się prosto, głowę nosiła wysoko. Ale to jeszcze nie to. Gdyby wyteżył pamięć, dostrzegłby w niej podobieństwo do matki, ten sam kontur policzka, to samo jasne spojrzenie... Tak, tak, to on się zmienił. Nie potrafi już

sobie przypomnieć Josephine. Pamięć podsuwa mu obraz Dolly, Dolly nagiej w półmroku, jej rozchylnych warg, ciepłych jędrnych piersi z różowymi koniuszkami... Nareszcie! Nareszcie uwolnił się od wspomnień o Josephine, Panie świeć nad jej duszą. Nareszcie! - Co mówiłaś, córeczko?

- Chodzi o to, co powiedziałaś policji, tato. To wszystko musiała być prawda. Ale z Virginią mógł być ktoś inny. Jej kochanek, nie Bay.

- Nigdy nie twierdziłem, że to był on - obruszył się Lawrence. - Ale te wszystkie rzeczy, które opowiadasz o tej kobiecie... Że zabawiła się na prawo i lewo... Trudno w to uwierzyć. Tylko co przyjechali z podróży poślubnej. Na to trzeba dowodów. Ona była damą. Spodziewała się dziecka. Takich oskarżeń nie rzuca się na wiatr, Audrey Alice.

Audrey bawiła się łyżką. Cyna, lecz tak wypolerowana jak ciężkie, srebrne sztućce w Whale's Turning.

- Wiem o tym, tato, i trudno mi to mówić, lecz chciałabym, żeby to była prawda. Jeśli Virginia nie zginęła z własnej ręki, jeśli nie wypadła wskutek tragicznego wypadku... - urwała, bo słowa: „i jeśli to nie był Bay” nie przeszły jej przez gardło - i skoro to nie był Bay, więc... - dokończyła głośno, z naciskiem, patrząc ojcu prosto w oczy. - Pokojówka twierdzi, że Virginia miała kochanków.

Ofiarowywała im „złote drobiazgi”. Ten wisiołek może jest jednym z nich... Może ocalić Baya.

- Ocalić jego honor - dodała Dolly zbierając naczynia do kosza, w którym zanosiło się je do studni.

- Właśnie tak.

- Cóż, powiem ci jeszcze coś, córko. Teraz mi się przypomniało. Raz ją tam, tę kobietę, spotkałem. Przyjechała zobaczyć, jak postępują prace. To była prawdziwa dama, Audrey, nie wierz żadnej pokojówce. Prawdziwa dama. Ale miała do mnie małą prośbę w zaufaniu. Chodziło o taką bagatelkę, że całkiem zapomniałem. Aż do tej chwili.

- O co, tato? O co?
- Chciała, żebym zrobił jej ukrytą szufladkę.
- Skrytkę? - Mróz przeszedł Audrey po krzyżu.
- Tak. W jednej z szaf w łazience. Tylina ścianka każdej szufladki to lusterko. Nie pamiętam już, która, ale któraś ze środkowych, ma w dnie taką pałeczkę z kości słoniowej, która unosi lusterko, i za nim jest skrytka. Jak poszukasz, to znajdziesz. Może tam jest coś schowanego? Coś, co ci się przyda?
- Muszę tam zaraz biec, tato! - Audrey zerwała się, zarzuciła ojcu ręce na szyję i mocno go ucałowała. - Dzięki, tato, dzięki.
- Zajdź do nas, nie czekaj tak długo - zapraszała Dolly.
- Przyjdę - obiecała Audrey. Trochę skrępowana, uścisnęła macochę. - Mogę zobaczyć mój pokój? Tylko zajrzeć? A potem już muszę biec.
- Znasz drogę - powiedział Lawrence.

Dziwne, pomyślała Audrey stojąc pośrodku swojego małego pokoiku. Dziwne, jak miejsce przywraca przeszłość do życia. Przypomniał jej się rozbity bezowy wieloryb. Rozejrzała się szukając okruchów. Podłoga jednak była czysto wymieciona i wypolerowana, nie było żadnych śladów po figurce, jedynie żywa pamięć. Audrey szukała śladów kurzu znaczących miejsce, gdzie stało lustro mamusi, gdzie latami Josephine żyła w jej wyobraźni i służyła mądrą radą. Na próżno. Nie było ani drobinki kurzu, jedynie pusty róg naprzeciw okna za wąskim łóżkiem. Kapa ta sama, poduszka ta sama, ułożona jednak inaczej, nie służąca do spania. Tam, gdzie stał bujany fotelik, świeciła teraz jasna plama słońca na wyfroterowanych deskach. Lecz Audrey oczami duszy widziała i fotelik, i lustro, i Josephine, chętną do wysłuchania, do służenia radą. Widziała siebie siedzącą po turecku przed lustrem, pochłoniętą rozmową, a jednocześnie jednym uchem nasłuchującą, czy nie odezwie się puk, puk, puk... Sygnał, że Thorne czeka u drzwi.

To było tak dawno, tak dawno, jak gdyby nigdy... Żadnych

śladów...

Bay.

Ocknęła się z zamyślenia. Ścisnęła wisiorek w kieszeni. Przynajmniej to pozostało. Niezbity dowód...

Długo szła brzegiem zatoki. Cliff Walk ciągnęło się w dal, WaterWalk majaczyło w górze. Zadarła głowę. Na skale dostrzegła męską postać w czarnym płaszczu przeciwdeszczowym.

Bay już czekał. Pomachała mu ręką. Przyspieszyła kroku.

Mężczyzna nie odpowiedział na pozdrowienie. Dłonie wcisnął głęboko w kieszenie, kołnierz płaszcza postawił dla ochrony przed zrywającym się wichrem. Nie palił cygara, nie patrzył na morze. Obserwował idącą spiesznie, na wprost biegnącą, przeskakującą z kamienia na kamień Audrey. Jego włosy wydawały się ciemniejsze od włosów Baya, były czarne niczym u pirata i kręcone. Policzki zaś silnie opalone...

Thorne.

A gdzie jest Bay? Przecież obiecał tu się z nią spotkać.

Zapominając o naukach Tory, Audrey zadarła wysoko spódnicę i niczym kozica zaczęła się wspinać po krętej skalistej ścieżce.

- Gdzie Bay? - spytała zatrzymując się przy mężczyźnie. - Co się stało?

Thorne przywitał ją wymuszonym uśmiechem.

- Przyjdzie, pani Lockholm - poinformował szorstko. - Prosiłem, żeby mi pozwolił porozmawiać z tobą na osobności, i twój mąż się zgodził.

Audrey przyjrzała mu się. Oparty plecami o skałę, ciężar ciała przeniósł na jedną nogę, drugą lekko ugiął, przybierając swobodną pozę. Udaje, pomyślała, bo tak naprawdę jest przestraszony, nawet śmiertelnie przerażony.

Nie bała się go jednak. Stojąc na krawędzi piętnastometrowej przepaści nad kipiącym oceanem, nie odczuwała lęku. Przecież gdzieś w pobliżu jest Bay. Thorne nie zrobi jej krzywdy, nawet jeśli bardzo tego chce. Nie odważy się.

- Słucham. O co chodzi, Thorne?

Wzbudzał w niej pogardę, może nawet współczucie. Nigdy nie kochała tego mężczyzny, który teraz stał przed nią. Zmalał w jej oczach, i to tak szybko... Kiedyś gotów był wszystko postawić na jedną kartę, by na początku założyć małą firmę promową. Miała się nazywać „Sea Trains”. Miał ambicje, marzenia, chciał, aby rozwinęła się w potężne przedsiębiorstwo, chciał zostać właścicielem floty pływającej po wszystkich morzach i oceanach...

A teraz... Jest zaledwie żalosnym fircykiem płaszczącym się przed dziedziczką olbrzymiej fortuny, którą poślubił. Dał się zbyt szybko zepsuć i zmiękczyć. Stał się nagle impulsywnym, zblazowanym draniem.

A może ona zawsze była zaślepiona? Może Thorne zawsze był odrobinę zbyt... zbyt pobłażliwy dla siebie?

- Doskonale wiesz, o co chodzi, mała księżniczko - odparł. Szare chmury zaostrzyły kontur jego twarzy, przyciemniły spojrzenie. - Rzuciłaś mi to wyzwanie w twarz, zawieszając plany domu w miejscu portretu Virginii.

- A co portret Virginii ma wspólnego z tobą? Jakie ma to dla ciebie znaczenie? Czy...

- Portret mnie guzik obchodzi, wiesz o tym doskonale. Niemniej znałem ten obraz dobrze, bywałem w tym domu przed ślubem... i długo przed twoim ślubem, Audrey. Przychodziłem do Whale's Turning, gdy dawałem lekcje Virginii, a potem już jako narzeczony Celeste. Co jesteś taka zdziwiona? Myślisz, że podobizna Virginii znaczy dla mnie coś więcej niż powinna?

Jest wściekły i boi się, pomyślała Audrey, Uważaj, ostrzegła sama siebie w duchu, strach czyni go niebezpiecznym.

- Mówią teraz - zaczęła chcąc go sprawdzić - że Virginia Lockholm wróciła z podróży poślubnej rozczarowana małżeństwem i że znalazła sobie kochankę. Twarz Thorne'a zrobiła się trupio blada.

- Oddaj mi go! - Jego głos przeszedł w groźny pisk. I chociaż nie

zmienił pozy salonowego dandysa, napięcie wszystkich mięśni przeczyło tej niby swobodzie, a oczy miały ogień.

- Nie wiem, o czym mówisz - skłamała.

- Nie udawaj głupiej, droga szwagierko. Widziałem, jak wczoraj zaglądałaś mi przez ramię, widziałem, jak rozpoznałaś, że wisiołek to plan sypialni Virginii. Musisz mi go oddać. Musisz. Dzisiaj.

Milczała. Patrzyła na morze. Pochmurny dzień chylił się ku zachodowi i wieloryby, całe stado wielorybów niesione przytływem, zaczęły wypełniać zatokę.

- Chcę ten wisiołek, Audrey. Nie masz do niego prawa. Teraz ty należysz do innego, ja do innej. Oddaj mi go. Żądam.

- Dałeś mi go w dobrej wierze. Zaprzeczysz?

- Głupia jesteś. Zawsze byłaś głupia... i między innymi to mnie w tobie pociągało. Twoja naiwność. Naprawdę myślisz, że taki klejnot był przeznaczony dla ciebie?

Jaka ja jestem spokojna, zdziwiła się Audrey. Ale to tylko pozory. Nerwy miała napięte jak struny.

- Skąd go wzięłeś? Był taki piękny. Musiał kosztować majątek.

- Znalazłem go. Ukradłem. Nie kupiłem go dla ciebie, ale dla siebie. Zwróć mi wolność, Audrey. Oddaj mi go. Żyj i daj i mnie żyć. Bóg świadkiem, wystarczy, że weszłaś do tej samej rodziny.

- Do kogo należał?

- Do nikogo. Tylko do mnie.

- Nie wiem, gdzie jest.

- Kłamiesz.

- Tego dnia, kiedy zerwałeś nasze zaręczyny, miałam go na sobie. Zdjęłam go i cisnęłam w jakiś kąt. Nigdy go nie szukałam. Wkrótce potem przeprowadziłam się do Mildred Falk i wyszłam za Baya. Nie wiem, gdzie jest ten wisiołek, ale poszukam twojego złotego podarunku...

- Nie był przeznaczony dla ciebie. Nie powinienem był ci go dawać, ale tak ci się spodobał, że nie wiedziałem, co robić.

- Tamtej nocy wypadł ci z kieszeni przez przypadek, tak? -

spytała.

- Tak. I kiedy go zobaczyłaś, nie miałem serca ci go odebrać. Ale należy do mnie i teraz ci go zabieram.

Audrey przyglądała się podpływającym wielorybom.

- Tak - powiedziała. - Należy do ciebie, Thorne, i znajdę go. To wszystko?

Thorne poruszył się, oderwał od skały, mocno stanął na rozstawionych nogach tuż przy Audrey.

- Byłaś dzisiaj w domu ojca. Właśnie stamtąd wracasz. Szukałaś tej błyskotki...

Audrey nie odpowiedziała. Głęboko w kieszeni żałobnej sukienki zacisnęła pięść wokół wisiorka. Oby nie drgnął, nie zadzwonił, nie zdradził się...

Thorne chwycił ją twardymi dłońmi za ramiona i odwrócił ku sobie. Przysunął twarz do jej twarzy, jego oczy ciskały gromy. Bardzo cicho, lecz dobitnie, żeby dobrze słyszała, zażądał:

- Oddaj mi go, Audrey. Wiem, że go masz.

- Znajdę ci go, Thorne, i oddam - odparła starając się uwolnić, lecz on mocniej wbił palce w jej ciało. - Puść mnie. Dostaniesz wisiorek. Ale teraz muszę iść do Baya.

- Bayard jest u matki. Ona znowu leży. Nikt nas nie widzi. Mogłabyś się pośliznąć... spaść... Tu o wypadek nietrudno. A ja nie zdążyłem dobiec...

- O czym ty mówisz?

- Oddaj mi wisiorek. - Oczy zwięziły mu się w szparki, mięsień w kąciku ust zadrgał. - Oddaj.

Potrząsnął nią, lecz zdołała mu się wyrwać. Gdy się cofnęła, chwycił ją za sukienkę.

- Nie mam go! Powiedziałam! Muszę poszukać!

Krawędzie złotego prostokąta wbiły się jej w dłoń, ramiona bolały od żelaznego uścisku Thorne'a. Rozluźniła powoli palce, wyjęła dłoń z kieszeni, zaczęła rozcierać bark.

- Idę do Baya. Muszę się z nim zobaczyć.

- Moja żona spodziewa się dziecka. Zostanę ojcem - zaczął Thorne. - Chcę żyć uczciwie, ale ostrzegam cię, Audrey, trzymaj się ode mnie z daleka, bo pożałujesz. Oddaj wisiołek i nie wtrącaj się do mnie. Nienawidzę cię. Nienawidzę jak zarazy.

Chwycił ją ponownie w swoje silne dłonie marynarza, zdolne utrzymać żagiel w czasie sztormu. Ponad jego ramieniem widziała sylwetę Whale's Turning, majestatyczną, obojętną. W ramie jednego z okien dostrzegła kobietę. Zaraz, które to okno? Nad moją sypialnią? Tak, z tego okna rok temu wypadła Virginia. W oknie bez zasłon, z obiema dłońmi i twarzą po dziecięcemu przyciśniętymi do nie mytej od roku szyby, w czerwonej sukni tworzącej jaskrawą plamę w zalegających ciemnościach, stała Celeste. Patrzyła na męża trzymającego w objęciach byłą narzeczoną.

Myśli, że on mnie przytula, że zapewnia o miłości... Nie podejrzewa, że mi grozi, a ja nie mogę jej tego wyjaśnić, ani jej, ani Bayowi. Nie mam dowodu...

I nagle ujrzała Baya. Nareszcie! Już schodzi z tarasu, już idzie przez trawnik...

Thorne puścił ją i ruszył ku domowi. Bez słowa minął się z Bayem.

Bay podszedł do Audrey, lecz jej nawet nie dotknął. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

- Popełniliśmy błąd - oświadczył na powitanie. - Nasze małżeństwo było pomyłką. Widzę to teraz i ty też musisz to zrozumieć. Rozmawiałem już z Astinem Forbesem w sprawie unieważnienia ślubu.

Wieloryby w zatoce zbiły się w ciasny krąg. Rozpętała się kolejna burza.

17

Sierpień

- On niczego mi nie mówi, Tory. Z niczego się nie zwierza. Unika mnie. Och tak, jest uprzejmy, ale z rezerwą. I smutny, to widzę, i bardzo zamknięty w sobie. Dnie spędza z Astinem miotając się po redakcji. Wieczorem, jeśli Edmunda czuje się wystarczająco dobrze i jeśli Celeste z Thorne'em nie wychodzą, siadamy do stołu całą rodziną. Noce spędzamy osobno, on u siebie, ja... u siebie. Nie wiem, co zrobiłam, że przestał mnie kochać, jeśli w ogóle mnie kochał. Chce unieważnić małżeństwo, a ja nie mam pojęcia, jak się bronić. Astin mówi, że Bay jest pewien wyroku i że dąży do unieważnienia ślubu dla mojego dobra. Powiedziałam, że tego nie chcę. Kocham go i nie przestanę... Już nawet nie mogę płakać. Czuję się po prostu jak ścięta. Jak drzewko na Boże Narodzenie. Zbyt zraniona, żeby krwawić.

- Bzdury - zaprotestowała Tory VanVoorst. - Powinnaś się podźwignąć i walczyć.

Naprawdę? Czyżby to były bzdury, gdy serce zranione wysycha niczym pestka, a ciało nie karmione miłością więdnie, skóra marszczy się, włosy, których kolor nikogo już nie uwodzi, siwieją? Czyżby to był absurd, gdy odepchnięta żona wchodzi po schodach dla służby do nie używanego pokoju na poddaszu, zbliża się do ponurego okna, wygląda w otchłań nocy, wyciąga ramiona do gwiazd i... spada?

Tory i Audrey siedziały pod jabłonią w ogrodzie Whale's Turning. Tory lizała lody truskawkowe, Audrey skubała serwetę.

- Uwiedziesz go dziś wieczorem - stwierdziła Tory. - Powiem ci jak. Ale najpierw zaplanujemy moje przyjęcie.

Audrey, blada, potrząsnęła głową.

- Nie jestem dobra w sztuce miłości. Bay wyśmiałby mnie. Brzydziłby się mną.

- Ależ jesteś naiwna - roześmiała się Tory. - Zmuś go, żeby z tobą porozmawiał. To bardzo ważne. Jest przytłoczony własnymi kłopotami i zapomniał, że bez ciebie nie potrafi żyć. Musisz mu o tym przypomnieć. Coś ci powiem: kiedy mężczyzna zaspokoi swoje żądze, jego serce otwiera się i kobieta może się tam wśliznąć. A kiedy się już umości w jego sercu, zostaniesz na zawsze. Albo jemu będzie się tak wydawało.

- To brzmi tak... perfidnie, jest takie wyrachowane.

- Taka już jestem, Audrey. Wszystko, co mam, zawdzięczam perfidii, wyrachowaniu i... zaradności. Nie zapominaj, że obie startowałyśmy z dołów i udało się nam, tyle tylko, że ty nie byłaś na to przygotowana, a ja doskonale wiedziałam, o co gram.

- Nigdy niczego nie wygrałam, nie licząc szkolnych zawodów pływackich.

- No, no - cmoknęła Tory znacząco, a Audrey mimo woli uśmiechnęła się.

- Porozmawiajmy o twoim przyjęciu - powiedziała, chcąc na moment zapomnieć o ranie w sercu, o koszmarnej nocy, o poprzedniej nocy, dzisiejszej, następnej...

Leżała, a sen nie przychodził. Serce jej waliło głośniejsz od stuku laski Edmunda w holu na piętrze, huku fal rozbijających się o skały. Czasami zapadała w lekki sen, czasami nawiedzały ją koszarne wizje półludzi, półbestii, które wyłaniały się ze ścian i podkradały coraz bliżej i bliżej. Bywało, że z za muślinowych firanek słyszała śmiech Virginii... Budziła się nawet wtedy, gdy oddzielony od niej kilkoma ścianami Bay przewracał się na swoim łóżku. Jakże do niego tęskniła, do Baya, do swojego męża... Do jego ciała - nagiego, pięknego, przygniatającego ją swoim ciężarem, otulającego ją sobą. .. Otumaniona tęsknotą czekała świtu, czując, jak obumiera w niej to, co nigdy nie miało umrzeć...

- Dobrze - wyrwał ją z zamyślenia głos Tory. - Mój kłopot jest większy, więc zacznijmy od niego. Potem zajmijmy się tobą. Jak dobrze mieć przy sobie Tory, pomyślała Audrey.

- A więc wynajęłaś szefa kuchni - powiedziała.

- Kucharza, Audrey. Wynajęłam kucharza. Pamiętaj, używaj prostych słów. „Dom”, zamiast „rezydencja”, „kierowca” zamiast „ szofer”, „bogaty”, zamiast „zamożny”. Zgadza się. Z hotelu St. Regis w Nowym Jorku. Nazywa się Weatherwax, Paul Weatherwax, i jest po trzydziestce. Bardzo przystojny. Wygląda jak angielski bankier, chociaż pochodzi z Brooklynu, i ma świetnego nosa. Praktykował naturalnie we Francji, a zgodził się przyjechać, ponieważ Burtykins dał mu propozycję nie do odrzucenia. To najlepszy kucharz w Newport, a do jesieni będzie najlepszym kucharzem na Piątej Alei. Problem kucharza został więc rozwiązany.

- Jesteś cudowna, Tory.

- To wyłącznie kwestia pieniędzy. Pieniądzy i... umiejętnego podejścia do sprawy. No. A jak ci się podoba pomysł urządzenia średniowiecznego turnieju?

- Och, Tory! - wykrzyknęła Audrey.

- Dokładnie tak. Zorganizuję to z największym rozmachem. Dziedziniec Godsend zamieni się w staroangielski podwórzec zamkowy, gdzie odbywały się walki na kopie, pełen chorągwi i tak dalej. Wszystkie panie... pamiętasz Króla Artura, Ginerwę, Rycerzy Okrągłego Stołu? Więc wszystkie panie obdarzą swoich rycerzy szarfami i zasiądą na specjalnie wybudowanej trybunie, żeby ich zagrzewać do walki. Przeciwnicy dostaną zbroje. Potem upieczemy prosiaka na rożnie. Weatherwax uwielbia pieczonego prosiaka! Aha, kopie. Z gumy, żeby nikomu nic się nie stało. Będą oczywiście nagrody, Audrey... I to jakie! Smakowite kąski w rodzaju mufek z nerek, jedwabnych peleryn do opery i francuskich torebek wieczorowych. Wszystkie nagrody będą dla pań, a każdy rycerz zdobędzie jedną. I na tym polega mój cały podstęp. Główną nagrodą będzie rasowy koń do polowania z nagonką, czempion

pełnej krwi angielskiej... Kosztuje nas majątek. Zgadnij, moja droga, kto zdobędzie *grand prix*?

- Chcesz powiedzieć, że nagrody zostały rozdzielone z góry? - spytała Audrey z niedowierzaniem.

- No, nie wszystkie - odparła Tory z szelmowskim uśmiechem - ale niektóre zostały zakupione z myślą o konkretnych osobach. Przecież nagrody są po to, żeby sprawiać ludziom przyjemność, prawda? Co za przyjemność z nagrody, której się nie chce?

- No więc czy to mają być prawdziwe zawody, czy zabawa dla śmiechu?

- Och, Audrey, kochanie! Oczywiście, że to będą zawody. Prawdziwy turniej! Ale nie bez zamierzonego celu. Chcę ich przechytrzyć i upiec własną pieczeń, czyli zdobyć natychmiastowe uznanie śmietanki Newport. Kto chciałby czekać aż pięć lat, żeby zostać zaproszonym przez panią Astor Beechwood? Na pewno nie ja. Za pięć lat będzie początek nowego wieku, a ja zbliżę się już do trzydziestki. Nie, nie. Cały dowcip polega na tym, że chcę, aby przyszła Dove Peerce. To ona odgrywa tutaj kluczową rolę. Oczywiście nie zechce, bo nigdy mnie u siebie nie przyjęła ani nawet nie zauważyła, że istnieję, jeśli już chcesz znać całą prawdę.

- Ona jest w żałobie. Nie będzie mogła przyjść. Tory poprawiła fryzurę.

- Ślubu Nicoli jednak nie przełożono.

- Nie, ale takie było ostatnie życzenie zmarłego...

- Tak twierdzi wdowa - wtrąciła Tory kąśliwie. - Pokaż mi tego, kto odważyłby się to zakwestionować.

- Och, Tory! Ona przecież...

- ..przecież tego sama nie wymyśliła? A dlaczego by nie? Dove Peerce chce wydać Nicolę za mąż, chce ją zobaczyć markizą. I to jak najszybciej. Nigdy nie lubiła córki. Uważała ją za cielę.

- Tory! - Audrey na moment zapomniała o własnym bólu. - Jak możesz mówić takie rzeczy!

- Bo to prawda. Wszyscy o tym wiedzą, głuptasie, a moja

pokojówka potwierdza. Jej możesz wierzyć jak ewangelii. Fanni to skarbnica wiedzy o słabostkach bogaczy. Pokojówka zawsze powinna być encyklopedią, a moja jest najlepsza. Plotkuje ze wszystkimi służącymi. Gdy ma wychodne, niczym reporter robi całą rundę. A Rosalind, pokojówka Dove Peerce, lubi mówić. Rosalind też jest Francuzką, więc ciągnie swój do swego.

- I Fanni powtarza ci, co usłyszała?

- Jota w jotę. To się jej opłaca, Audrey. Za każdy pikantny szczegół dostaje dolara, a czasami jakąś premię, dla zachęty.

To jedyny sposób, żeby naprawdę się dowiedzieć, co w trawie piszczy. Powinnaś urobić swoją.

Lody Audrey zaczęły się rozpuszczać. Nabrała odrobinę na łyżeczkę i skosztowała. Były słodkie i smaczne.

- Słuchasz mnie? - spytała Tory.

- Sawyer nie jest towarzyska. Przesiaduje w domu. Byłaby wstrząśnięta, gdybym zażądała, żeby mi donosiła na innych. Ona by nie potrafiła szpiegować.

- Jesteś tego pewna, czy tylko tak przypuszczasz?

Sawyer była prawie rówieśnicą Audrey, pucułowatą, szeroką w biodrach, prostą dziewczyną. Nietwarzowa, gładka fryzura uwydatniała zadarty nos, trochę wylupiaście oczy i pryszczatą cerę. Była chętna do pracy, lecz pozbawiona inicjatywy. Przyzwyczajona do samodzielności, Audrey nie wymagała od niej wiele.

- Sawyer nigdy się nie odzywa nie pytana. Mówi: tak, proszę pani, nie, proszę pani, to wszystko, proszę pani? Nigdy nie zadała mi żadnego osobistego pytania. Ale teraz przypomniało mi się, że kiedyś wspomniała coś o Virginii...

- Widzisz! Wypróbowuje cię, bada grunt. Pewnie się rozczarowała, że jej o nic nie wypytujesz. Z twojego opisu wynika, że jest chodzącym ideałem. Wie, jak dotrzymać tajemnicy. Trzyma język za zębami, dopóki się jej nie spyta. Założę się, że mnóstwo wie i że ci wszystko opowie, tylko musisz ją zachęcić. Pieniążek wsunięty do kieszeni fartuszka zdziała cuda.

Audrey jadła lody.

- O co chodzi w tych zawodach, Tor? Powiedz.

- Widzisz - zaczęła Tory poprawiając falbanki spódnicy, tak aby widać było czubki zielonych bucików - chodzi o to, żeby zmusić Dove Peerce do przyjścia. Ona jest mi potrzebna o wiele bardziej od Caroline Astor. Ona mnie uwiarygodni. Więc... zamiast podlizywać się Dove, która oficjalnie oplakuje męża i w związku z tym jest jeszcze bardziej niedostępna niż przedtem, postanowiłam zadziałać przez Nicole. Wydanie córki za męża za Rolfa jest teraz głównym celem Dove. A czego Nicola pragnie najbardziej? Koni. Nie da matce spokoju. Rolf jest taki sam. W Anglii gra w polo. W królewskiej drużynie. Z księciem Walii. Cóż, musiałam zrezygnować z polo. Tutaj nikt się specjalnie nie interesuje tą grą, jest za trudna, a moje przyjęcie musi dostarczyć rozrywki uprzywilejowanym masom. Przede wszystkim kobietom, ale, jeśli się uda, również i mężczyznom. Kobiety uwielbiają bale na świeżym powietrzu, przebieranie się, a mężczyźni lubią popisywać się swoją teźyzną... Bawi ich to. A ponieważ żaden nie może poszczycić się tytułem mistrza w walce na kopie, więc teoretycznie wszyscy mają równe szanse. Rozumiesz? Audrey oblizała łyżeczkę.

- Uhm.

- Dama nie oblizuje łyżeczki, Audrey - pouczyła ją przyjaciółka.

- I nie odpowiada „Uhm”. Jeśli raz się potkniesz, zrobisz to drugi raz i gdzieś, kiedyś, z reguły w najmniej odpowiednim momencie, ktoś wścibski cię usłyszy i rozpowie, że nie jesteś żadną damą, tylko prostytutką udającą damę.

- Bo jestem. Wszyscy o tym wiedzą.

- Nieprawda. Nie wszyscy wiedzą i nie wszyscy muszą się dowiedzieć, jeśli nie będziesz im pokazywać dziurawych podeszew balowych pantofli. Teraz cię akceptują, bo weszłaś do znanej w całym Newport rodziny. Łatwiej im cię zaakceptować jako panią Lockholm, niż odrzucić. Dla zachowania porządku społecznego. Ale jeśli pozwolisz sobie na podobne *faux pas* i zaczniesz

demonstracyjnie okazywać gminne maniery...

- Dobrze już, dobrze. Bay jest parszywą owcą, więc mnie i tak nic nie pomoże.

- Tylko przejściowo. Miał złą passę, a małżeństwo z tobą jest niczym w porównaniu...

Audrey westchnęła.

- Unieważnienie ślubu wywoła kolejny skandal.

- No tak, jeśli do niego dojdzie, ale my postaramy się, żeby nie doszło, prawda?

- Bay i ja... - zaczęła Audrey odchylając się na oparcie ogrodowego krzesła - to był sen, od samego początku tylko sen. Nie czuję się mężatką, Tor.

- Cóż, obojętne co czujesz, wasze małżeństwo jest prawdą, prawdą tak samo realną jak, na przykład, cebula. Nie macie odwrotu. Pozwolisz, że wyjaśnię ci dalej mój spisek? Czy możesz się przez chwilę skoncentrować?

- Ależ oczywiście, że mogę - powiedziała Audrey siadając prosto. - Proszę, mów.

- A więc Rolf, lord Pomeroy, jest tak wyśmianym jeźdźcem, że z łatwością wygra turniej. Sam będzie tego pragnął. Będzie chciał ofiarować Nicoli konia do polowań. To będzie cudowny prezent ślubny, nie rozumiesz? A teraz *clou* mojej intrygi: nie zaproszę Nicoli i Rolfa. Ani wdowy Peerce.

- Ależ, Tory, w tym nie ma logiki.

Tory przeciągnęła się leniwie na szezlongu.

- Jest, moja droga, jest. Wiadomość o przyjęciu dotrze do Dove, sama tego dopilnuję. Zaproś VanVoorstów na ślub Nicoli, złóż wizytę pani VanVoorst w Godsend, a zaproszenia pojawią się natychmiast. Rolf, lord Pomeroy, zostanie zwycięzcą turnieju, a Nicola właścicielką nowego konia. Widzisz, jak to sobie genialnie wymyśliłam?

Zadowolona z siebie, Tory odwróciła głowę ku zatoce.

Dostrzegłszy fontannę wody tryskającą w oddali wstała, aby lepiej

widzieć. Dreszcz przeszedł całe jej ciało. Oto na niebieskich wodach zatoki dryfowały wieloryby. Stado wielorybów.

- Audrey!-zawołała.

Audrey także wstała i spojrzawszy we wskazanym kierunku powiedziała:

- Dziwne, prawda? Bardzo często tak przyływają. O zmierzchu gromadzą się wśród skał niczym zwiastuny zemsty, ciemne, szare, milczące. Zazwyczaj było ich tylko kilka, teraz jest chyba setka. Takie nieruchome, jak gdyby na coś czekały, jak gdyby cały ocean dotknęła jakaś niemoc...

Niczym zwiastuny zemsty...

Tory straciła poczucie czasu. Znowu jest u babki Brown w Nowym Orleanie... znowu jest małą dziewczynką... czarną dziewczynką... Babka mówi głosem rozbrzmiewającym jak organy: Może ty je zobaczysz, Almo June. Może to ty będziesz wiosłem Boga, które poruszy wody zemsty dawno przepowiedzianej. Bo obiecał Pan, wiedz to, maleńka, zapamiętaj dobrze: w porze lewiatana, gdy wieloryby przyłyną na niebieskie wody, ręka przeznaczenia dosięgnie winowajcy i Phineas Brown będzie pomszczony...

Nagle ogarnął ją chłód. Potarła ramiona, by pobudzić krążenie krwi. Bała się spojrzeć na swoje dłonie, pewna, że zsiniały, pociemniały...

Audrey również przeżywała moment grozy.

- To znak - szepnęła. - Boże, błagam, niech odpłyną. Boże, modliła się Tory w duchu, ja nie jestem aniołem zemsty. Nie. Nie. Audrey Lockholm jest moją przyjaciółką. Wykorzystuję ją, ale nie życzę jej źle. Ani jej, ani jej mężowi. Bay nie miał nic wspólnego z zabójstwem mojego przodka, a ja nie chcę mieć nic wspólnego z pomszczeniem Phineasa Browna. Echo słów babki rozbrzmiewało w jej sercu. Kochana twarz pochyla się nad piękną wnuczką, czyni znak krzyża na piersi dziewczynki. Bądź wola twoja. Teraz i na wieki. Amen. Powtórz, rozkazuje.

Bądź wola...

Nie!

Odwracając się gwałtownie, Tory chwyciła ze stołu rękawiczki i oświadczyła:

- Muszę iść.

Zmusiła się do spojrzenia na swoje dłonie. Były białe jak zawsze, z różowym wnętrzem... To rękawiczki były ciemnobrązowe, w odcieniu tekowego drewna...

Audrey obeszła z przyjaciółką dom. Pojawienie się wielorybów zmąciło pogodny nastrój popołudnia. Nie przypomniała więc Tory o obiecanej pomocy w rozwiązaniu własnych problemów. Nie chciała uwodzić Baya. Niech wszystko idzie swoim torem, myślała. Ze swojej strony zrobię, co będę mogła, w nadziei, że los się do mnie uśmiechnie.

Stangret pomógł Tory wsiąść do szarego landa z białymi obiciami, białymi kołami, z białym koniem.

- Nie zapomnij o zaproszeniach - powiedziała Tory na pożegnanie. - Obiecałaś.

- Napiszę przynajmniej tuzin dziennie - zapewniła ją Audrey.

- Aha. - Tory wychyliła się z powozu. - Chodź bliżej, nie chcę, żeby Beavers usłyszał.

Audrey posłusznie podeszła i ujęła przyjaciółkę za rękę.

- Nie śpij dziś sama - szepnęła jej Tory do ucha. - Wymyśl coś. Zapukaj do jego drzwi, wśliznij mu się do łóżka. Powiedz, że się boisz sama spać, że nie możesz wytrzymać...

- Dobrze, Tory. Tak zrobię. Będę próbować.

- I włóż na siebie coś prostego. Prostego i... przejrzystego.

- Dobrze.

- A co do wielorybów...

- Tak?

- Odpuść, gdy nadejdzie odpowiednia pora. Zobaczysz. Nie pytaj, skąd wiem, słuchaj i ucz się być taka jak one. Gdy wszystko wali ci się na głowę, zawracaj i szukaj, obojętnie jak daleko, ciepła, ukojenia, spokoju, swobody... Swobody otwartego oceanu.

Zawrócenie nie oznacza ucieczki, oznacza wybór właściwej drogi, tej, która czasami wydaje się niemożliwa. I dopóki ta właściwa droga nie ukaże się przed tobą, trzymaj się mocno skał. Czekaj, tak jak te wieloryby, czekaj, nawet jeśli cię to dobija. Droga się otworzy... Miej wiarę.

Audrey słuchała jak zahipnotyzowana.

- Powodzenia - rzuciła jej Tory na odjezdnym.

Już mi się poszczęściło, że znalazłam taką przyjaciółkę w potrzebie. Tory to uśmiech losu, myślała Audrey wracając do siebie.

O czwartej miał przyjść doktor Lake, który codziennie odwiedzał Edmundę, lecz dziś Audrey także prosiła o konsultację. Ostatnimi dniami czuła się bardzo zmęczona i łatwo wpadała w przygnębienie... Nie poznawała siebie. Potrzebne mi siły, myślała. Nie wiadomo, co mnie jeszcze czeka. Ze względu na Baya muszę być pogodna. Muszę go podtrzymywać na duchu, obojętne jak się nasze losy potoczą.

A jednak to prawda!

Nie była pewna, czy chce, aby to była prawda. Jest jeszcze taka młoda. Bay ma być sądzony za zabójstwo, stara się o unieważnienie dopiero co zawartego małżeństwa, a tu kolejne komplikacje...

- Gratuluję pani. - Lekarz serdecznie uścisnął jej dłoń.

- Teraz Bay będzie miał dziedzica, a pani i pani szwagierka wspólnie będziecie przeżywać ten cudowny okres.

- Kiedy... Kiedy nastąpi rozwiązanie?

- Och, nie tak szybko, moja droga. To dopiero sam początek...

Powiedzmy, że w marcu, kwietniu przyszłego roku. Zadowolona?

- Ale czy to pewne? Czy na pewno będę miała dziecko?

- Na pewno. Proszę zadbać o odpowiednią dietę. Dużo mleka, sera i raczej nie pić wina do kolacji. I nie głodzić się, jak to teraz w modzie. Jest pani młoda, szybko odzyska pani figurę, a teraz najważniejsze, żeby dzieciątko miało to, czego mu potrzeba. Jako lekarz wierzę w dobroczynne działanie ruchu. Proszę prowadzić aktywny tryb życia. Niech Bay zabierze panią gdzieś łodzią, może

pani pływać, uprawiać tego rodzaju gimnastykę.

- Tak, panie doktorze. Bardzo panu dziękuję.

- Mogę powiedzieć teściowej? - spytał lekarz. - Będzie uszczęśliwiona. Czy może woli pani, żebym tego nie robił? - dodał unikając wzroku Audrey.

Wie, pomyślała Audrey, wie, że ona mnie nie lubi. Spojrzała na Sawyer, która, na jej życzenie, obecna była przy badaniu. Brzydka młoda dziewczyna, prawie jej rówieśnica, milcząca, niemal ospała, stała przy szafie w skromnej pozie służącej. Nagle Audrey spostrzegła, że pokojówka mrugnęła porozumiewawczo.

- Może jej pan powiedzieć, doktorze - powiedziała. - Nie jestem w bliskich stosunkach z teściową. Od czasu wypadku nie zawsze mnie nawet poznaje.

Wie wszystko, zapewne również i to, co Edmunda o mnie sądzi. Jest jej powiernikiem. Odwiedza ją codziennie, wysłuchuje skarg, tajemnic... Gdyby zechciał, mógłby zdradzić Alabastrowi McGregorowi kilka szczegółów...

- Ale mężowi wolałabym powiedzieć sama.

- Oczywiście, oczywiście, moja droga. Tak będzie, jak sobie pani życzy. - I przyglądając się jej spod zmrużonych powiek dodał: - Gdyby pani chciała, drogie dziecko, mógłbym też zatrzymać tę nowinę dla siebie.

- Nie, nie. Mama musi się dowiedzieć. Może to przyspieszy jej powrót do zdrowia.

- Istotnie - przytaknął lekarz. - Istotnie. Teraz będzie oczekiwała narodzin dwojga wnuków. Jej życie ulegnie całkowitej odmianie. Cóż, pani Lockholm, życzę wiele szczęścia. Będę pod rękę, gdyby mnie pani potrzebowała, lecz nie sądzę, żeby miała pani jakieś dolegliwości. Mogą wystąpić poranne nudności, ale nie muszą. Rodzenie dzieci jest najnaturalniejszą rzeczą na świecie. Pani, można się tak wyrazić, jest amazonką, a natura wierzchowcem... Natura sama zadba o siebie. Dobrego dnia życzę.

- Dziękuję, doktorze. To wszystko, Sawyer. Chciałabym teraz

zostać sama... Zawiadom mnie, proszę, kiedy pan Bayard wróci.

- Dobrze, proszę pani.

Podwójne drzwi zamknęły się za obojgiem. Audrey została sama. Przez chwilę leżała nieruchomo z ręką na płaskim brzuchu. Dziecko w jej łonie nie poruszało się, nie ciążyło, nie dawało znaku życia.

A w sercu Audrey nie było uczuć macierzyńskich.

Może przyjdą same, gdy płód zacznie rosnać, myślała. Mam teraz zbyt dużo na głowie. Muszę powiedzieć Bayowi, że nie możemy unieważnić małżeństwa. Muszę mu powiedzieć, jak bardzo go kocham... I muszę poszukać, teraz, zaraz, skrytki Virginii...

Ociągała się z tym. Odkładała z dnia na dzień, bojąc się, co odkryje. Nie chciała być tą, która pójdzie do Baya i powie: Patrz, co znalazłam. Twoja pierwsza żona nigdy cię nie kochała. Patrz, oto dowód. Nie była ci wierna. Patrz, oto list do kochanka, z jakiejś przyczyny nigdy nie wysłany...

Nie chciała tego robić. Lecz, gdyby znalazła coś obciążającego, jak mogłaby postąpić inaczej?

A gdyby niczego nie znalazła?

Co będzie, jeśli w skrytce ukryte są jedynie dowody wielkiej miłości Baya, świadectwa jego uwielbienia wklejone w pamiętnik?

Bay zaraz wróci. Musi się spieszyć.

Ojciec powiedział, że podwójna szufladka znajduje się w łazience, w bieliźniarce...

Pocąc się i drżąc, Audrey wyciągnęła pierwszą ze środkowych szuflad. Była pusta. Lustro z tyłu błyszczało wyczyszczone przez... przez Sawyer? Przesunęła dłonią po dnie. Nie wyczuła żadnej kościanej pałeczki.

Wyciągnęła drugą szufladę, pełną naturalnych morskich gąbek rozmaitych wielkości i kształtów. Znalazła też w niej kawałki pumeksu i kolorowe jedwabne saszetki ściągane sznureczkiem.

Wyciągnęła trzecią szufladę.

Jest... Niewielka kościana dźwignia oprawiona w białe drewno... Na samym widoku, aż się prosi, żeby ją przekręcić.

Kolorowe angielskie mydełka pachną mocno, lustro z tyłu błyszczący, świeżo przetarte wodą z amoniakiem...

Audrey przekręciła pałeczkę.

Lustro odskoczyło do góry, potrącając i przewracając starannie poukładane kostki mydła. Audrey nachyliła się, aby zajrzeć w głąb.

W skrytce leżała książka, czarna książka z granatową jedwabną wstążeczką jako zakładką. Audrey wyjęła ją i przesunęła palcem po złotych literach wytłoczonych na okładce: *Mój dziennik, 1894.*

Odpowiedź znajduje się tutaj, pomyślała. Wszystko tutaj będzie. Ostatnie dni miesiąca miodowego, miłosne noce. Obietnice, jakie jej czynił. Nie chcę wiedzieć! - krzyknęła bezgłośnie.

Nie odłożyła jednak pamiętnika na miejsce. Dwoma palcami, zostawiając ślady, pchnęła lustro. Mechanizm zaskoczył z cichym trzaskiem. Audrey kostką mydła zakryła dźwignię i wsunęła szufladę.

Pamiętnik był lekki, cienkie kartki miały złoczone brzegi. Strony pokrywało drobne staranne pismo, czarne i wyraźne, jeszcze nie wyblakłe... Przecież te zapiski mają dopiero rok, pomyślała. Prawie pod każdą datą, aż do środy, szóstego czerwca, dnia śmierci Virginii, widniała jakaś notatka. Potem strony były nie tknięte, czerwono liniowane, i oczywiście czyste, wszystkie nie zapisane...

Audrey usiadła wygodnie na kanapce, podłożyła sobie poduszki pod plecy i otworzyła pamiętnik w miejscu, gdzie był założony.

Kocham go bardziej niż swój honor. Uciekniemy! Och, b, jakże łatwo przykuję cię do siebie złotym łańcuchem. Dziecko jest twoje, tego potrafię dowieść, pieniądze moje. Nigdy się nie uwolnisz...

b...

Ozdobne, starannie wykaligrafowane. Małe, z tajemniczym, niemal szatańskim ogonkiem. Pozostałe słowa napisane były normalnie, w sposób, w jaki i Audrey, i wszyscy byli nauczeni. Jedynie owo *b* było fantazyjne, niemniej było to wyraźnie *b*. Nie mogło oznaczać Thorne'a Larchera Cockburna, w jego nazwisku nie

ma ani jednego *b*. Oznaczało, musiało oznaczać... Johna Bayarda
Lockholma III.

Bay.

Musi chodzić o Baya.

Bo o kogo innego?

RRS

Celeste. Audrey postanowiła udać się do Celeste. Powie jej, że ona także spodziewa się dziecka. Może ta nowina zmiękczy serce Celeste, obojętne wobec niej...

Spojrzała w owalne lustro.

- To nie do wytrzymania, mamó - powiedziała. - Nie wytrzymam siedzenia w tym pozłacanym pokoju i czekania na powrót Baya. Boję się i jednocześnie jestem straszliwie podniecona. Chce mi się krzyżeć, biegać. Pragnę mieć w tym domu przyjaciółkę, kogoś, komu mogę się zwierzyć. Zaufać...

Westchnęła. Trudno jej było w tym otoczeniu odnaleźć wzrok matki, dosłyszeć jej mądry głos odzywający się w głębi duszy. Josephine była daleko od Whale's Turning. Nigdy nie знаła i w całym swoim życiu nigdy nie widziała rezydencji na Gilt Hill, nie wiedziała, jak żyją bogaci. Josephine wciąż mieszkała na Bridge Street, przyglądała się, jak Lawrence i Dolly baraszkują w ich małżeńskim łożu... W umieszczonym między dwoma wysokimi oknami lustrze odbijał się taki zbytek, taki przepych, takie bogactwo, że oślepiało oczy mamusi, zamykało jej usta.

Czyżby Whale's Turning miało jej odebrać i ją?

Tymczasem, wsłuchawszy się w siebie, rozpoznała głos:

- Nie, córeczko, nie idź, gdzie cię nie zapraszają, gdzie wiesz, że cię nie chcą. Czekaj. Trzymaj się męża. Zaufaj Bayowi. Nie dowierzaj Celeste...

Zniecierpliwiona, odwróciła się od lustra. Mama niczego nie rozumie. Właśnie że pójdzie do Celeste. Zdradzi jej swój sekret. Wyjaśni, że Thorne nigdy jej nie kochał, że nigdy nie kochał ubogiej Audrey z Bridge Street. Wtedy, na Cliff Walk, trzymał ją w ramionach ze złości, nie z miłości. Powie: Zostańmy przyjaciółkami,

Celeste. Tak tego pragnę...

Była pora podwieczorku, lecz Audrey nie miała ochoty na jedzenie. Na dole w jadalni też nie nakryto do stołu. Zajrzała na taras, potem do salonu muzycznego, lecz nie napotkała nikogo. Celeste pije pewnie herbatę u siebie, w apartamentach na pierwszym piętrze, które zajmowali z Thorne'em. Wróciła na górę. Mijając zamknięte drzwi sypialni Edmunda pomyślała, że doktor Lake może wciąż jeszcze jest u chorej. Może trzymając ją za rękę łagodnie tłumaczy: Bądź miła dla młodej żony twojego syna. Urodzi jego dziecko. Whale's Turning będzie miało dziedzica, nareszcie doczekasz się nowego pokolenia Lockholmów... Wyobraziła sobie, jak Edmunda, odwracając wzrok w kierunku okna, pyta rozdrażniona: Ale Virginia, doktorze, gdzie Virginia? Co Bay zrobił z kochaną Virginią? Z jej maleństwem?

Przed buduaem Celeste Audrey stanęła. Przyłożyła rękę do bijącego przyspieszonym rytmem serca. Dlaczego się boję? Dlaczego zachowuję się jak spłoszone zwierzę? To ja jestem panią tego domu, nie Celeste, nie Edmunda, ale ja, Audrey Smoke Lockholm. Ja jestem panią Whale's Turning.

Zapukała.

- Celeste?

Gałka jak gdyby sama obróciła się w jej dłoni i Audrey weszła do prostokątnego pokoju zakończonego wykuszem, ciepłego, przesyconego silną wonią perfum, pogrążonego w półmroku. Dostrzegła olbrzymie łoże z czterema inkrustowanymi macicą perłową kolumnienkami i baldachimem... i kobietę... i mężczyznę.

Ciało mężczyzny, wygięte niczym naciągnięty łuk, plecy opalone na brąz, wznosi się i opada, wznosi się i opada... Jego twarz zaś wyraża ekstazę, jaką renesansowi mistrzowie malowali na obliczach świętych.

Audrey znieruchomiała.

Nagle Thorne, wyczuwając czyjąś obecność, odwrócił głowę. Nie przerwał ani na chwilę, nie wydał żadnego dźwięku. Jedynie wyraz

błogości na jego twarzy zmienił się w grymas nienawiści, zwierzęcej i nagiej jak jego ciało.

Audrey skuliła się w sobie i cofnęła za drzwi. Nogi się pod nią chwiały, jak gdyby ktoś ją mocno uderzył. Nie, nie Thorne. Jego nienawiść już dawno przyjęła jako racjonalną reakcję na swoją obecność w tym domu.

To nie widok Thorne'a tak nią wstrząsnął, ale Celeste...

Celeste nagiej, bezwstydnym niczym ulicznica. Celeste nieruchomej niczym posąg, niczym kwiat zapylany przez owada, któremu nie przeszkadza obecność gapia. Celeste trzymającej w jednej dłoni gruby plik tysiącdolarówek. Celeste liżącej palec drugiej dłoni i liczącej na głos, nieczulej na ekstazę Thorne'a, chociaż to w jej ciele znajdował rozkosz! Nieczułą, jak gdyby Thorne nie istniał, jak gdyby ona, Audrey, mimowolny świadek, także nie istniała...

Z dołu dobiegł głos Baya.

Wrócił!

Pobiegnie do niego!

Lecz nie uczyniła ani kroku. Stała oparta o ścianę, myśląc: A może jednak Tory ma rację. Może Dolly też ma rację, a Josephine, która nie śmiała się w łóżku, nie miała racji? Może nie wystarczy być uległą, miłą i czułą, aby zdobyć miłość mężczyzny na wieczność? Może trzeba czarować, zaskakiwać, uwodzić?

Wolnym krokiem wróciła do siebie. Poczekam, postanowiła. Poczekam, aż sam do mnie przyjdzie. A jeśli nie przyjdzie, jeśli wieczorem, po wypiciu kieliszka koniaku, pójdzie prosto do swojej sypialni, ubiorę się w coś powiewnego i przezroczystego, wśliznę się do jego pokoju lekka jak podmuch wiatru i powiem mu, że zostanie ojcem. Potem zgodzę się na rozstanie, jeśli taka będzie jego wola. Stanę przy otwartym oknie, światło księżycy oświetli moją postać, rozpuszczone włosy okryją mnie jak liście... A jeśli będzie nalegał, ale tylko wtedy, gdy będzie nalegał, oddam mu się i zdobędę go.

Słyszała jego kroki na schodach. Z ręką na klamce buduaru czekała. Zobaczył ją. Przystanął. Ból wyłobił głębokie bruzdy na

jego twarzy.

Audrey otworzyła drzwi.

- Wejdź, Bay - powiedziała.

Wszedł bez słowa. Wyjął cygaro, zerwał papier, odciął koniec.

Audrey podeszła do okna zaciągnąć płowozłote story. Odwrócona plecami do niego spytała:

- Kochasz mnie, Bay?

Bay usiadł na kanapce. Był zmęczony, wyglądał na załamane. Zapalił cygaro, zaciągnął się, wypuścił z płuc obłok dymu.

- Powiedz - prosiła rozpinając sukienkę. - Szczerze.

- Ona mnie wciąż prześladuje - wyznał Bay. - Czasami w nocy wydaje mi się, że słyszę jej zawodzenie. Pokój, z którego skoczyła, znajduje się tuż nad nami. Wiedziałaś o tym?

Czuję się odpowiedzialny. W głębi serca przyznaję sądowi rację, jestem winny. Zabiłem Virginie. A teraz może zabijam i ciebie. Nie chciałem, moja piękna dzikusko ze skał. Mówią, że na rodzinie Lockholmów ciąży klątwa. Zemsta Phineasa Browna...

Audrey została w samej koszuli. Prostej i cienkiej. Wystarczy. Zdjęła pantofle, zaczęła zsuwać pończochy.

- Będę miała dziecko - powiedziała.

- Tak szybko? - spytał Bay. Zamiast spodziewanej radości, w jego głosie słyhać było jedynie zmęczenie, zmęczenie psa, który pragnie tylko skryć się w swej norze i umrzeć.

- Kochasz mnie, Bay?

Spojrzał na nią. W jego oczach nie było pożądania.

- Kochałem - odparł. - Kochałem cię.

Ból ścisnął jej serce. A więc jego miłość wygasła!

- Dobrze - usłyszała własny głos. - Zwrócę ci wolność. Podeszła do niego, drżącymi dłońmi ujęła jego głowę i przytuliła do swojego brzucha. Czyż tak czuła się trzykrotnie odtrącona Mildred Falk? Jak ona zniosła ten ból, jakim cudem przeżyła?

- Jestem winny - dobiegł ją jego stłumiony głos. - Winny.

Nie.

łzy, które napłynęły jej do oczu, zamazały kontury mebli i kryształków żyrandola. Firanki tańczyły, poruszane coraz silniejszymi podmuchami wiatru.

- Powiedz - poprosiła - powiedz, że kochasz mnie tak jak ja ciebie. Powiedz, że jestem miłością twojego życia. Powiedz. Powiedz. Wiem, że mnie kochasz. Wiem, że nie zabiłeś Virginii.

Ręce Baya ciągnęły ją na kozetkę, obejmowały ją ciaśniej niż gorset, którego noszenia odmówiła. Nie chciała nosić gorsetu z fiszbinami z kości wieloryba, zabitego dla zaspokojenia próżności kobiet pragnących mieć szczupłą talię.

- Kocham cię nad życie - wyznał Bay. - Od tamtego pierwszego spotkania.

Nareszcie, nareszcie wypowiedział te słowa. Dlaczego więc wciąż czuła klucie bólu w sercu? Dlaczego nadal się bała?

- I ja cię kocham, mój mężu. Nigdy cię nie opuszczę. Nigdy. Bez względu na to, co się stanie. Jeśli chcesz, możemy tu zostać, albo możemy uciec, żyć w biedzie...

Dłonie Baya wsunęły się pod cienką koszulę, odsłoniły jej kolana, uda, brzuch. Język, gorący, wilgotny, muskał jej skórę, pępek, przez który związana była z łonem matki, spijał soki i zasiliał energią.

- Prosiłem Virginie o rozwód - mówił. - Zażądałem rozwodu dla siebie, dla mojego dobra. Ale z tobą, z tobą chcę się rozstać dla twojego dobra.

Zsunęta przez głowę batystowa koszulka odfrunęła w inny wymiar. Bay całował szyję Audrey, jej usta, uszy, oczy, obsypywał ją całą pocałunkami, które rozpalały ciało i zamieniały jej umysł w kalejdoskop barw intensywnych jak pawie pióra, jak zachód słońca.

- Tak, kocham cię, moja najdroższa... - szeptał kładąc ciepłe, mocne dłonie na jej piersiach i pieszcząc je niczym skarb. Audrey poddała się dotykowi, jej skóra niczym struna drżała, napinała się, wibrowała, śpiewała...

Nagle jej palce zaczęły ciągnąć guziki, szarpać supełki, ściągać z Baya ubranie. Przywarli do siebie z pasją i w uniesieniu, w

zapamiętaniu razem spadali w otchłań...

Za drzwiami Edmunda zaczęła zawodzić i nawoływać Virginia

Na dole kamerdyner Fisher statecznie wsiadł do małej windy, aby wezwać członków rodziny Lockholmów na kolację.

RRS

W Providence rozpoczął się proces Baya. „Daily Whirl” przemilczała ten fakt. Tak zdecydował Alabaster McGregor, pozostawiając najpikantniejszy skandal sezonu innym gazetom.

- To dopiero sam początek - tłumaczył Audrey przez telefon. - Trwa przesłuchiwanie kandydatów do ławy przysięgłych. Na razie nic ciekawego się nie dzieje. Naprawdę nie ma o czym pisać. Wciąż jest szansa, że sprawa zostanie umorzona. Módl się o cud. Módl się, abyśmy znaleźli niezbity dowód na to, że w jej życiu istniał jeszcze inny mężczyzna.

- Przeczytałeś cały pamiętnik?

Kilka dni wcześniej Audrey wezwała Alabastra do Whale's Turning i wręczyła mu dziennik Virginii.

- Jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc, mnie i Bayowi - powiedziała mu wtedy. - Tu są opisane ostatnie miesiące życia Virginii. Jest szaleńcza miłość do mężczyzny, który nie jest jej mężem i który jest ojcem jej dziecka. To nie był Bay, Ally. Wierzysz, prawda? Nie wiem, o kogo chodzi - ciągnęła. - Virginia używa małego *b*, dosyć dziwnie napisanego, dla oznaczenia tej osoby. Jeśli została zabita, jeśli to nie było samobójstwo, zamordował ją kochanek. Albo jego żona. Albo... może być tysiące rozwiązań. Dowiedz się, kim jest *b*.

- Tak - mówił teraz Alabaster. - Zgadza się z tobą. Był kochanek. Virginia była w nim do szaleństwa zakochana. W wielu miejscach nazywa go swoim „jurnym lwem”. Wyobrażasz to sobie! Nigdy bym nie podejrzewał, że skromna Virginia miała tak gorący temperament. Bardzo gorący.

- Kto, Ally? Wiesz już, kto to był?

- Ba! Tu leży pies pogrzebany.

Głos Alabastro był beztroski i lekki jak gesty jego szczupłych dłoni. Ma taki sposób bycia, tłumaczyła sobie Audrey w duchu, ale jest przecież po stronie Baya. Czyż mogłoby być inaczej?

- Więc jeszcze nie wiesz? - spytała skrępowana nieporęcznym, ciężkim instrumentem blisko ucha, skrępowana mówieniem do otwartego kielicha mikrofonu. To telefon tak ją peszył, nie Alabaster. To telefonowi nie ufała...

- Cóż, weźmy na przykład Burtona Regisa VanVoorsta... - usłyszała tak blisko, jak gdyby Alabaster siedział tuż koło niej, jak gdyby wdarł się do jej pokoju, niewidzialny, zaznaczający swoją obecność tylko głosem. - Uciałem sobie małą pogawędkę z Victorią... Cieszę się, że tak ją lubisz, bo i mnie przypadła do serca. Niewykluczone, że przyłączę się do jej dworu. Jest szalenie zabawna, prawda?

- Tak, Ally. Co ci powiedziała?

- Wygląda na to, że zeszłego roku „zmonopolizowała”, posłuży się jej własnym określeniem, większość wolnego czasu Burtykinsa, choć nie jest tego całkowicie pewna. W czasach kawalerskich VanVoorst był psem na kobiety. Niemniej uznała moje podejrzenia za mało prawdopodobne. Więc spytała go wprost. Zaprzeczył. Twierdzi, że ma silny charakter i że nawet w najbardziej szalonych chwilach młodości nie spojrzął na kobietę zamężną, a co dopiero żonę przyjaciela.

Budujące! To dopiero zasady! Przyjmuję go od razu do swojego klubu.

- On by się nie dał skusić „złotymi drobiazgami”. To nie ten typ.

- Słuszna uwaga. To VanVoorst wręcza prezenty, sam ich nie bierze.

- A więc jeszcze nie wiesz. Czyli zagadka nadal pozostaje nie rozwiązana.

Chociaż ja wiem, jak ją rozwikłać, pomyślała Audrey. Wisiołek z łańcuszkiem leżał na małym porcelanowym spodeczku, na poduszce na łóżku. Na spodeczku z cieniutkiej porcelany, ze złotym

paseczkiem dokoła. Na cennym spodeczku. Bo Audrey zaakceptowała już otaczający ją zbytek. Zrozumiała, że przedmioty mogą być wykonane perfekcyjnie lub tandetnie: najdelikatniejszy spodeczek, najwspanialszy dom, romans... Ale zrozumienie to jeszcze nie wszystko. Potrzebne jej jest imię, niezbity dowód. Westchnęła.

- Nie martw się, żono szefa - odezwał się uspokajająco Alabaster. - Najlepszy wywiadowca w Newport węszy.
- Posłuchaj. Bay jest dziś cały dzień w sądzie. A tam przesłuchują sędziów przysięgłych...
- Rozkaz. Pędzę na ratunek. *Au revoir, madame.*
- Do zobaczenia, Ally.
- Nie chcę, żebyś przyjeżdżała - powiedział jej wcześniej Bay. - Nie teraz. Teraz to bez znaczenia. Ale, kiedy rozpocznie się właściwy proces, chcę, żebyś była blisko mnie. Będziemy chodzić razem na lunch, trzymać się za ręce. Wynajmiemy pokój w pobliżu sądu, będziemy się kochać...

Audrey nie chciała jechać do Providence. Nie chciała przytulić się do Baya w pokoju wynajmowanym na godzinę, na tydzień, coraz to nowym parom. Nie chciała spędzać ostatnich dni z ukochanym w obcym miejscu, wśród anonimowych mebli, pościeli stłamszonej i pranej tysiące razy dla coraz to nowych komiwojażerów i ich kokot... Nie chciała siedzieć z beznamiętną twarzą wśród prawników szeleszczących papierzyskami i obwieszczających całemu światu, że jej mąż jest mordercą. Musi to przemyśleć. Musi działać. Czy jest coś, czego by nie zrobiła, do czego by się nie posunęła, aby go ocalić?

Nie.

Odkładając słuchawkę na widełki wiedziała, że nadszedł czas. Czas, aby wstać i dać świadectwo odwagi, pokazać, że była warta poślubienia, miłości, wierności aż po grób, żałoby, gdyby los tak zrządził.

Wzięła wisiołek z łańcuszkiem do ręki, zacisnęła w dłoni. W

pierwszej chwili metal był zimny, lecz natychmiast się rozgrzał. Złoto. Kapryśny metal. Raz zimny, raz gorący, przewodzący ciepło osoby, która go dotyka. Wieczny. Przekazywany z pokolenia na pokolenie, tak łatwo ogrzewający się ciepłem coraz to nowego właściciela.

Postanowiła, że z wisiorkiem w ręce zejdzie na dół i porówna ornament z rzutem pokoju Virginii, narysowanym w odpowiedniej skali i na jej własne polecenie oprawionym i powieszonym na podeście schodów.

Dochodziło południe, dom pogrążony był w ciszy. Celeste jak zwykle składa wizyty znajomym. Czy Thorne jej towarzyszy? Czasami go zabierała ze sobą, czasami nie. Thorne miał teraz własne biuro przy nabrzeżu. Zlecił budowę promów o dużej ładowności, układał rozkład rejsów, najmował kapitanów. Za rok firma „Sea Trains” będzie faktem. Marzenia Thorne'a zostaną spełnione...

W upalne dni, takie jak ten, Edmunda siadała w wiklinowym fotelu na trawniku, a jej pokojówka, Zella, czytała jej. Doktor Lake przychodził codziennie. Edmunda, jak doniesiono Audrey, interesowała się najbardziej spacerowiczami na CliffWalk. Bywało, że wołała do nieznajomych mężczyzn, przywoływała ich ręką, aby podeszli do kamiennego wału okalającego Whale's Turning.

- To ty, Jeffery? - pytała i zapraszała: - Chodź, chodź. Tyle czasu, tyle czasu!

Nikt do tej pory nie zareagował, niemniej Zella czuwała, aby w razie czego uprzejmie interweniować.

Bay kupił matce angielskiego buldoga, jeszcze szczeniaczka, pomarszczonego, całego w fałdach aksamitnej skóry. Czasami Edmunda sadzała go sobie na kolanach, na ręczniku ochraniającym suknię. Nie przeszkadzało jej, że pies szarpie słynne perły Lockholmów, gryzie je i ślini. Zella jednak nie tolerowała podobnych igraszek. Zasłaniała perły ślimakiem, a gdy to nie wystarczało, zdejmowała z Edmundy całą biżuterię, nawet pierścionki, zanim

oddała swojej pani wyrywającego się, tryskającego energią pupila.

Edmunda nazwała psa Taranem. Imię odpowiednie do temperamentu, zauważył Bayard. Zella traktowała zwierzaka łagodnie, lecz wyznała Audrey, że wolałaby dorosłego, spokojniejszego, już ułożonego psa, najlepiej ogara albo mastiffa. Prawdziwego stróża.

- Taran szybko dorośnie - uspokajała ją Audrey. - I będzie bardziej przywiązany do mamy, a Bayowi o to właśnie chodziło.

- Tak, proszę pani - odparła Zella. - Proszę podziękować mężowi ode mnie i od pani Lockholm. Ale mam z nim huk dodatkowej roboty.

Audrey wyszła na taras i spojrzała z góry na ogród. Zobaczyła teściową drzemącą w fotelu pod niebieskim parasolem i Zellę mimo to czytającą na głos. Obok porzuconego pantofla leżał śpiący Taran, a jego tłusty brzusek lśnił w słońcu. Z daleka i z tej wysokości piesek wyglądał jak największa z cennych pereł Edmundy.

Audrey odwróciła się szybko, aż zawirowała spódnica, i w samych pończochach, tak aby nikt ze służby jej nie usłyszał, pobiegła na schody. Hol na dole był pusty. Służba w kuchni. Fisher przy swoich zajęciach.

Stojąc przed oprawionymi rycinami odnalazła plan sypialni Virginii, porównała z wisiorkiem leżącym na otwartej dłoni. Przygryzła wargę... Tak, kształt ten sam, srebrne linie zaznaczają miejsce dwuskrzydłowych drzwi, wejście do łazienki, okna z widokiem na ocean... Rubin oszlifowany w kształt serca dokładnie pasuje w miejscu szerokiego łoża...

Kochankiem Virginii był Thorne Cockburn! Przed Celeste, w trakcie narzeczeństwa z nią, Audrey, Thorne uganiał się za innymi, i nie tylko uganiał. Więcej... O wiele więcej...

Puk. Puk. Puk...

Thorne stał w wielkim holu na dole i pukał w blat masywnego stołu, jak za dawnych czasów sygnalizując swe przyjście. Ubrany był w niebieski, lniany garnitur. Jego twarz wykrzywił złośliwy grymas.

Audrey zacisnęła palce wokół złotego wisiora. Unosząc spódnicę

pomknęła co sił w wysportowanych dzięki pływaniu nogach, dopadła swojej sypialni, w mgnieniu oka znalazła się wewnątrz, zaryglowała drzwi i natychmiast zamknęła na zasuwkę drzwi łączące łazienkę z sypialnią Baya. W następnej chwili wyszarpnęła szufladę, odsunęła kostki mydła, przekręciła dźwignię, cisnęła wisiołek do wnętrza skrytki, opuściła lustrzaną tafłę, kawałkiem kolorowego papieru z opakowania mydła zamaskowała kościaną pałeczkę i wsunęła szufladę.

Zadzwonił telefon. Złowieszczy aparat koło łóżka drżał od uderzeń dzwonka.

Audrey nie odebrała.

Z zaciśniętymi przy piersi dłońmi wpatrywała się w czarną skrzyneczkę.

W tle wesoło powiewały firanki, jak gdyby poruszane ręką ducha biednej, zawiedzionej Virginii.

Późnym popołudniem błękitne jak hortensje niebo nad Newport zszarzało, pociemniało i zaczął padać deszcz, rzęsy i groźny.

Zabarykadowana w swoim buduarze Audrey nie zwróciła na ulewę uwagi. Przyzwyczała się do częstych tego lata burz, ołowianego nieba, porywistych wiatrów. Przywykła nawet do stada wielorybów gromadzącego się wśród przybrzeżnych skał.

Tego popołudnia całą jej uwagę pochłaniało czekanie. Czekanie na powrót Baya.

- Wrócę wieczorem - obiecał. - Spędzimy razem cały weekend przed moim wyjazdem do Providence. Wrócę, najdroższa. Wrócę do ciebie.

Postanowiła, że powie mu o Virginii i Thornie. Potem pokaże mu wisiołek i list od Maurice'a Rivaliniego z Rzymu...

Thorne jej nie dosięgnie, nie zdoła jej skrzywdzić. Potem przyjedzie policja. I detektyw Jeremy Smythe. Zabiorą Thorne'a. Nawet gdyby nie miała niezbitego dowodu, Thorne nie mógłby zostać w Whale's Turning... Celeste będzie zdruzgotana. Będzie oskarżać Audrey, że przez nią rozdzielono ją z mężem...

Ale o tym postanowiła nie myśleć. Skoncentruje się na wypisywaniu zaproszeń dla Tory VanVoorst. Znajdzie sobie jakiegokolwiek zajęcie dla zabicia czasu.

- Pierwszą literę każdego wyrazu wykaligrafuj pismem runicznym - prosiła Tory, wręczając przyjaciółce album staroangielskiego liternictwa. - Tu są wzory. Przyjrzyj się i skopiuj. Gruby zewnętrzny kontur i cieniutka złota linia od wewnątrz. To wszystko. Jesteś aniołem... Zrewanżuję ci się przy twoim pierwszym przyjęciu.

Audrey rozłożyła przed sobą buteleczki z tuszem, pióra, srebrny nożyk, plik pergaminowych arkuszy. Otworzyła album z liternictwem, pochyliła się nad znakami. Równomierny szum deszczu uspokajająco działał na jej nerwy. Odgradzał ją od świata. Elektryczne światło rozjaśniało pokój. Jeszcze tylko kilka godzin. Jestem bezpieczna, powtarzała sobie w duchu. Bay niedługo wróci. Thorne mi tutaj nie grozi, gdziekolwiek jest. A wkrótce...

Tory VanVoorst kolejny raz gratulowała sobie przezorności. Nigdy niczego nie zostawiała przypadkowi. I znowu okazało się, że warto. Jeszcze jak! Bo w życiu Tory złe wiadomości zawsze przybierały rozmiary kataklizmu...

- Zaciągnij żaluzje, Fanni - poleciła służącej. - Taki deszcz i wichur. I zostaw mnie samą.

- Burza, proszę pani. Straszne fale... - Ubrana w czarną sukienkę, biały fartuszek i czepek pokojówka wyjrzała przez okno najlepszego apartamentu Ocean House. - Stają dęba jak stado ogierów. Przewracają żagle. Statki w porcie toną! Jak ja mam w taką pogodę wyjść?

W tej samej chwili światło elektryczne zgasło. Pokój pogrążył się w mroku. O trzeciej po południu zrobiło się ciemno jak w nocy.

Fanni pisnęła z przerażenia.

- Zapal świece. Nie histeryzuj. To tylko zwyczajna letnia burza. A potem idź, z łaski swojej, do swojego pokoju. Przecież nie wyganiam cię na dwór, wiesz o tym dobrze. Nie chciałabym odsyłać

cię do Francji najbliższym statkiem. Potrafisz być taka rozsądna, taka pomocna, a czasami zachowujesz się jak głuptas. Nigdy nie można przewidzieć. To irytujące, Fanni, i mam nadzieję, że zaczniesz się kontrolować.

- Tak, proszę pani - odparła Fanni z godnością, lecz i odrobinę impertynencko. Znalazła zapałki, bez słowa zapaliła wysokie żółte świece. Palce jednak jej drżały, oddychała płytko, astmatycznie.

- Zostaw mnie samą, Fanni - powtórzyła Tory. - Idź do siebie. Odpocznij. Ja też się chyba położę.

Tory na pewno drżała bardziej od dziewczyny, ale nie chciała, aby Francuzka to spostrzegła. Obawiała się jednak nie wybryków Matki Natury, lecz drżała o swoje życie, które było ciągłą burzą, gwałtowniejszą od huraganu...

Musi przeczytać list od zaufanego człowieka z Luizjany, od mężczyzny, który donosił jej, ilekroć ktoś wypytywał o Almę June Brown, czarnoskórą tancerkę-striptizerkę. Mężczyzna ten bezzwłocznie o wszystkim meldował, opatrując list adnotacją „Poufne”.

- Nie mogłabym zostać tutaj, proszę pani? - prosiła pokojówka.
- Będę siedziała jak trusia. Albo wyszczotkuję pani włosy...

Tory nie chciała, by Fanni domyśliła się, że przyczyną, dla której pragnie zostać sama, są listy. Dwa listy, jeden z Nowego Orleanu, drugi... Drugi wygląda jak zaproszenie na ślub. Czyżby od Nicoli Peerce? Spojrzała na pokojówkę z najbardziej rozbijającym ze swoich uśmiechów.

- Może przejdiesz się do Priscilli i zobaczysz, jaki ko-stium dla ciebie zaprojektowała?

Fanni poweselała.

- Och tak, proszę pani. Skoro nie jestem potrzebna. Chyba Priscilla nie będzie teraz miała klientek.

- Na pewno nie. Posiedź u niej. Pogawędzicie sobie. Może czegoś ciekawego się dowiesz, co? Jakichś ploteczek, z tych, które obie tak lubimy? Weź ze sobą ciasteczka do herbaty. - Tory wręczyła

dziewczynie drobne. - No, idź.

Fanni dygnęła, owinęła się peleryną i, wybrawszy najmocniejszy czarny parasol, wyszła.

Tory zamknęła za nią drzwi, oparła się o nie plecami i rozerwała kopertę listu z Nowego Orleanu.

Aha, to węszył jej nowy przyjaciel, Alabaster McGregor. Wpadł na jej trop w Nowym Jorku. Zgadza się, przy odrobinie wysiłku i odpowiednich kontaktach nie było to aż takie trudne. Trudniej było trafić za nią do Nowego Orleanu, a jednak... Muszę coś z tym zrobić, zanotowała w pamięci Tory. Dowiedzieć się, jak zdołał to zrobić, i przeciąć tę nić na zawsze. Jej człowiek w Luizjanie - wysoko postawiony, nieoceniony! - podsunął McGregorowi fałszywe dokumenty, które miał na wszelki wypadek przygotowane. Papiery te zmylą dociekliwca, zaprowadzą go do małej miejsciny w Kentucky, gdzie w tysiąc osiemset czterdziestym czwartym roku spłonął budynek sądu wraz z całym archiwum. Nie dysponując żadnymi innymi dowodami, Ally McGregor musi uwierzyć, że Victoria VanVoorst urodziła się w Minersville w Kentucky, gdzie nigdy w życiu nie była, w rodzinie biednego górnika. Białego górnika, oczywiście, lecz tego Ally nawet nie będzie sprawdzał, przyjmując kolor jej skóry za pewnik. Pomyśli, że Tory wstydzi się Minersville, i zadowolony z odkrycia nie będzie kopał dalej...

Tory uśmiechnęła się do siebie, złożyła list i wsunęła do koperty. Znakomicie. Teraz Ally McGregor sądzi, że zna jej tajemnicę, że odkrył jej żalostną przeszłość. Tu i tam rzuci jakąś aluzję, będzie chciał się przekonać, jak ona na to zareaguje. Uda zaniepokojoną i potwierdzi w ten sposób kłamstwo. Alabaster będzie zadowolony, przekonany, że ma ją w ręku...

Przygotowanie takiego fałszywego tropu, wynalezienie odpowiedniego człowieka w Luizjanie, wszystko to kosztowało, nadal kosztuje, ale to drobnostka. Jeśli tylko Ally McGregor uwierzył w nędzną bajeczkę o dzieciństwie Tory, opłacało się, zrobiła interes życia.

Tory podarła list na maleńkie kawałeczki, spaliła w kominku, a popiół roztarła obcasem.

Wicher zawodził niczym wściekły pies. W korytarzu rozległy się podniesione męskie głosy. Trzasnęły drzwi. Słysząc było płacz dziecka. Tory umyła ręce i natarła francuskim kremem. Potem wróciła na swój fotel. Otworzyła dragą kopertę. Zaproszenie dla pana i pani Burton Regis VanVoorst na ślub Nicoli Reed Peerce z Rolfem Alfredem Constantine'em, lordem Pomeroy, markizem Denton.

Na razie była zadowolona. Zaproszenie to jeszcze nie wszystko, lecz na początek wystarczy. Drzwi zostały uchylone. Dove będzie musiała osobiście złożyć wizytę Tory, wypić z nią herbatkę, pogawędzić o domach, mężach, zapowiadanych przyjęciach. Tory złożyła wypielegnowane dłonie na arkuszu pergaminu, oparła się o tył fotela, przymknęła oczy. Wyobrażała sobie, co powie pierwszej damie Newport...

Wiadomość o huraganie nad Newport późno dotarła do gmachu sądu w Providence, lecz sędzia Godfrey nie spieszył się z zakończeniem posiedzenia. W Providence także rozpętała się wichura i zaczęło padać, lecz w opinii sędziego nie była to żadna groźna burza. A gdy sędzia Godfrey wkładał togę, liczyło się tylko jego zdanie.

Nareszcie jednak wskazówki zegara w sali numer dwa zatrzymały się na godzinie piątej i zamiast poprosić zebranych o pozostanie jeszcze godzinę i przesłuchanie kolejnego kandydata do ławy przysięgłych, sędzia Godfrey stuknął swoirn młotkiem i zarządził przerwę do poniedziałku, do dziewiątej rano.

Astin Forbes również się nie spieszył z powrotem do domu. Padał ulewny deszcz i jazda powozem zapowiadała się na długą, zimną i mokrą.

- Co powiesz na to, żebyśmy obaj zostali na noc w mieście, Bay?
- zaproponował. - Moglibyśmy zjeść kolację i przespać się w hotelu.
Bayard zastanawiał się nad propozycją adwokata. Była rozsądna.

Do Newport jest ponad sześćdziesiąt kilometrów, a nie zanosi się, żeby wkrótce przestało padać. Z drugiej strony obiecał Audrey, że wróci na noc. Zresztą, chciał wrócić. Bardzo. Coś go przynaglało do powrotu, coś, czego nie pojmował. Przez cały dzień, w miarę jak niebo stawało się coraz ciemniejsze, kiedy powinien koncentrować uwagę na mężczyznach, którzy mieli go sądzić, jego myśli krążyły wokół drugiej żony.

I wokół pierwszej...

Audrey jest młoda, nie ma jeszcze dwudziestu lat, mogłaby być jego córką, nie jest przygotowana do życia, jakie ją czeka. On sobie jakoś poradzi. A ona? Gdyby nie zły los, poradziłaby sobie. Zestarzelibyśmy się razem, rozmyślał Bay. W szczęściu doczekalibyśmy sędziwych dni. Nasze małżeństwo jest tak inne od małżeństwa z Virginia. Bogu niech będą dzięki...

Virginia. Virginia, dla której życie nie miało niespodzianek, jedynie drobne niedogodności, obficie wynagradzane. Virginia, która do tego stopnia podbiła serce jego matki, że on, sam przyznając, iż czas się żenić i zapewnić ciągłość rodu Lockholmów, uległ namowom i tłumaczeniom. Dał się uwieść, otumanić. Virginia, którą poślubił, mimo iż wiedział, że nie była dziewicą. Wiedział, bo pewnej słodkiej, ciepłej nocy prosiła, by się z nią kochał...

A potem powiedziała, że spodziewa się dziecka, i prosiła, aby się z nią ożenił. I zrobił to, w dużej mierze z powodu owej męskiej słabości w lędźwiach, która zresztą szybko minęła. Minęła z przesytu... Virginią.

Virginią, która oczywiście kłamała.

Wyznała mu to w Londynie, u szczytu idylli z Whistlerem, tym malarzem, że się pomyliła, że była tak spięta i tak zdenerwowana, że jej organizm „opóźnił” swoje naturalne funkcje o wiele dłużej, niż powinien. To była uczciwa pomyłka, twierdziła. Nie chciała go oszukać. Miała nadzieję, że jej wybaczy... A potem w Rzymie zwierzyła się mu, że czuje pociąg do opalonych chłopców i spytała, czy mu to bardzo przeszkadza. W Madrycie z kolei nie mogła się

oprzeć służącemu w „obcisłych trykotach torreadora”.

Kiedy wrócili do Nowego Jorku i Newport, Virginia była brzemienna naprawdę i doktor Lake to potwierdził. Bayard zastanawiał się wówczas, kim był ojciec dziecka i czy kiedykolwiek się dowie. Virginia zapewniała go, że zadbała o to, aby w jej żyznym ogrodzie wyrosło tylko zasiane przez niego ziarno.

- Nie jestem głupia, Bayardzie - powiedziała. – Pragnę korzystać z twojego majątku i pragnę urodzić twoje dziecko. Przekonasz się. Będzie wykapanym tobą. Zobaczysz. Ja się tym nie przejmuję.

Czymś się jednak przejmowała w ostatnim tragicznym tygodniu życia. Szukała zwady. Ukradła mu pięć tysięcy dolarów. Astin natychmiast spostrzegł nieścisłości w księgach i zawiadomił go. Bayard zażądał wyjaśnień. Z krzykiem rzuciła mu w twarz garść rachunków do zapłacenia. Owej nocy zostawił ją samą. Serce miało rozdarte. Jak mógłby rozwieść się z matką swojego dziecka? Odchodząc miał świadomość, że przez co najmniej osiemnaście lat będzie musiał pozostawać w żalonym związku z tą kobietą, żyć w celibacie, bronić majątku, aż dziecko dorośnie na tyle, aby zrozumieć, aby stawić czoło...

Upił się. Owej nocy sam wydorósł. Nagle w wieku trzydziestu pięciu lat przejrzał na oczy. Zrozumiał, że tak naprawdę Virginia wcale go nie obchodziła, że nie dba o to, iż popełnił pomyłkę, i ogarnął go wstyd.

A potem jej tragiczna śmierć.

I przytłaczające poczucie winy.

Winy - bo stał tam w księżycową noc, paląc cygaro. Bo był pijany.

Widział cień ruszający się w oknie Whale's Turning. W pokoju palił się ogarek świeczki, słaby płomyk wyolbrzymiał ów cień, rozszczepiał na dwa... Cień pojawiał się i ginął, pojawiał i ginął...

Czyżby w tamtej chwili Virginia walczyła o swoje życie?

Czyżby szarpała się sama ze sobą, biła z myślami o samobójstwie? Tak... Nie... Tak... Nie... Czyżby widząc swojego męża, który jej nie kochał, zadowolonego, że jest z dala od niej,

patrzącego w milczeniu zdecydowała...

Tak.

Potem nie.

Potem jednak tak.

Cień pojawił się i zginął...

Pojawił się... Spotężniał... Przechylił... Spadł, jak gdyby chciał zmiążyć i jego, i dom, i majątek. Nagle cień przybrał postać Virginii! I gruchnął o ziemię.

A on? On stał jak wryty. W końcu siłą woli zmusił stopy do uczynienia kroku. Co za hańba...

Ja długo można żyć z takim piętnem?

A potem pewnego dnia, całkiem znikąd, pojawiła się Audrey Smoke. Piękna, pełna wigoru Audrey Smoke. Przerażona. Niewinna. Naiwna. Bezbronna. Jakże zapragnął nauczyć ją dobrego życia! Lecz nie było mu dane. Musiał siedzieć w Providence... i bronić samego siebie.

Bronić przed hańbą.

Wolny - lecz czy będzie wolny, nawet jeśli go uniewinnią? - pokaże Audrey cały świat i nauczy ją wszystkiego, co sam umie. Skazany, wtrącony do więzienia, czekający na egzekucję, będzie słał jej listy. Listy miłosne. Opowie o radości, jaką czerpie z niej i z dziecka, dopiero co poczętego pod jej sercem. Może dożyje jego urodzin, jeśli Astin złoży apelację do sądu wyższej instancji? Orzeł czy reszka, wszystko mu było jedno. Jeśli skonfiskują majątek, może to zmyje klątwę z rodziny Lockholmów? Jego dziecko będzie miało lepsze życie, a dług wobec Phineasa Browna zostanie ostatecznie spłacony.

Powóz czekał przed sądem. Osłaniając się czarnym parasolem, Drew otwierał drzwiczki.

- Ty, Astinie, zostań - zdecydował Bay. - Ja muszę wracać do Audrey.

- Sir - wtrącił się stangret. - Podobno nad Newport rozszalała się burza. Prawdziwy huragan. Drogi zalane, drzewa powyrywane z

korzeniami, fale przerwały wały, zagrożone są nawet niektóre domy... Trudno będzie się tam dostać, a niewykluczone, że jeszcze trudniej wrócić tu w poniedziałek.

Astin Forbes, który wsiadł już do powozu i chusteczką wycierał noski trzewików, dodał:

- Bądź rozsądny, Bay. Zostań. Zadzwoń z hotelu do Audrey...
- Linie telefoniczne są zerwane - poinformował Drew.

- Wysadzimy pana Forbesa pod hotelem, a sami jak najszybciej pojedziemy do domu - zdecydował Bayard i klepiąc stangreta po osłoniętej rękawiczką dłoni dodał: - Przykro mi, że narażam i ciebie, i konia na taki wysiłek.

- Nie szkodzi, sir. Do usług - odpowiedział Drew zamykając drzwiczki i opuszczając zapadkę. Wcale go nie cieszyła perspektywa cztero, a może nawet pięciogodzinnej jazdy, jeśli drogi zalane są błotem i zatarasowane konarami... Przemoknie do cna i jak dwa a dwa cztery nabawi się zapalenia płuc...

Cóż.

Zasiadł na koźle, złożył parasol i umieścił go pod nogami. Opuścił rondo kapelusza i trzasnął drogiatego siwka namokniętymi, śliskimi lejcamy po zadzie.

- Wiooo, kochany - rzucił przez zaciśnięte zęby i kichnął.

Detektyw Jeremy Smythe również szczerze pragnął wrócić do domu, do czekającej z gorącą kolacją swojej Lizbeth, zdjąć buty z niewyprawionej skóry, poczytać gazetę, pogłaskać psa. Lecz coś nie dawało mu spokoju, jakiś wewnętrzny głos przed czymś ostrzegał.

Bayard Lockholm został wypuszczony za kaucją, lecz nie był całkowicie wolnym człowiekiem. Był winny. Detektyw Smythe nie miał cienia wątpliwości. Pewnego dnia Bay Lockholm spotyka wielkooką blondynkę, świeżą, biedną, pełną uwielbienia, następnego dnia jego wytwornej żonie przytrafia się „wypadek”. Historia stara jak świat, powtarzająca się wciąż od nowa. Czasami takiemu draniowi się upiecze i żyje sobie szczęśliwie, lecz nie wówczas, gdy detektyw Smythe jest na jego tropie...

Bayarda Lockholma należało śledzić. A dziś wieczorem, podczas burzy, są znakomite warunki do ucieczki. Wprost wymarzone... Cóż, sprytniejsi od Bayarda Lockholma próbowali wyprowadzić Jeremy'ego Smythe'a w pole. Kolacja będzie musiała poczekać.

- Jedź za tym powozem, Rafferty. Przeżyjesz bez kolacji, jeśli zajdzie potrzeba?

- Tak, sir. Nie, sir.

- Nigdy nie zostaniecie detektywem, sierżancie.

- Tak, sir. O, jest Connors, mój zmiennik.

- Jedliście już, Connors?

- Tak, sir. Dziękuję.

- Co?

- Kiełbaski z kartoflami, sir. Wyśmienite.

Detektyw Smythe kiwnął głową i zasiadł w policyjnej dryndzie. Poruszył palcami stóp. W przemoczonych butach chlupało.

- Czeka nas robota do późna, Connors.

- Jestem gotowy, sir.

- Dobry chłop z ciebie, Connors.

Głód skręcał mu kiszki, lecz detektyw Smythe był zadowolony. Ogarnęło go podniecenie: był znowu na tropie, ścigał przestępcę, zbliżał się do punktu kulminacyjnego. A nic, nawet najsmakowitsza kolacja, nie sprawiało mu takiej przyjemności, jak spektakularne ujęcie złoczyńcy.

Uciekaj sobie, panie Lockholm, myślał detektyw Smythe czując szarpnięcie, gdy dwa krępe konie ruszyły z kopyta. Pędź na złamanie karku. Glina z Providence depcze ci po piętach.

Audrey znalazła znak runiczny akurat w momencie, gdy światło zgasło. Serce przestało jej bić z przerażenia.

Siedziała w ciemności, z palcem na tym znaku, nie mogąc uczynić żadnego ruchu.

Widziała. Znalazła. Ma niepodważalny dowód. Nie szukając, znalazła. Wreszcie.

Chociaż okna były szczelnie zamknięte, drżała przy każdym podmuchu wichury. Wiatr zawodził tak głośno, że zagłuszał wszelkie inne dźwięki: skrobanie pióra po pergaminie, jej własny płytki oddech, dzwonek telefonu...

Gdy tylko natrafiła na ten znak, małe *p* z długim ogonkiem, które wcale nie oznaczało litery *b*, lecz stanowiło staroangielski zapis dźwięku „th”, gdy tylko zobaczyła znak i wyjaśnienie, podniosła wzrok, spojrzała w owalne lustro i trach, zapadła ciemność...

Serce podeszło jej do gardła.

Światło zgasło.

Zadzwoił telefon...

Nie odebrała. Siedziała po ciemku, wsłuchiwała się w zawodzenie wiatru zagłuszające nawet dzwonek telefonu i w końcu szepnęła w kierunku lustra:

- Mamo... Mamusiu... To była litera ze staroangielskiego alfabetu... Znak „th”, nazywa się „thorn”.

- Działaj - nakazała matka.

Na uginających się nogach podeszła do telefonu i zapaliła stojącą na nocnym stoliku świecę. Usiadła na łóżku, na jedwabnej kapie, i spojrzała za okno. Wicher szalał, strugi deszczu zacinały w szyby.

- Działaj - powtórzyła matka. - Zrób coś. Teraz.

Kogo wezwać? Fishera, który wraz z całą służbą zajęty był na dole

zabezpieczaniem domu przed huraganem? Nie, Fishera nie, on jej się na nic nie przyda. Z Bayem nie może się skontaktować. Zbyt daleko. A zresztą Bay niedługo przyje-dzie. Może już teraz pędzi do niej co koń wyskoczy? Tory? Co może Tory, czego ona sama nie mogłaby zrobić? Nie może przecież prosić Tory, żeby w taki sztorm przyjeżdżała, aby z nią posiedzieć. Nawet gdyby tu była, czy to coś pomoże?

Nie.

Alabaster. Alabaster McGregor ma pamiętnik. Ally może nie jest Herkulesem, ale głowę ma nie od parady. On będzie wiedział, co robić.

Audrey znalazła numer w cienkim karneciku z niewieloma nazwiskami. Tarcza aparatu obracała się wolno. W słuchawce rozległ się daleki sygnał, potem trzask i głos Alabastra.

- Ally, tu Audrey. Znalazłam go!
- Co za pora na dzwonienie, Kopciuszku! Dach mi się wali na głowę, mój sługa tonie, mnie też zaraz grozi przymusowa kąpiel! O co chodzi?

- Znalazłam, znalazłam niezbity dowód. To nie *b*. Nie *b*...
Trrrach! Połączenie zostało zerwane.

Audrey naciskała na widełki, potrząsała aparatem. Bez skutku. W słuchawce słyhać było jedynie szum, jak w morskiej muszli.

Och, nie!

Wskazówki ozdobnego zegara w kształcie rydwanu stojącego na francuskiej konsoli zatrzymały się na dziewiętnaście po czwartej. Jak dawno temu zgasło światło?

Zostawiła aparat telefoniczny na poduszce, podeszła do okna, wyjrzała.

Przez ścianę deszczu trudno było cokolwiek dojrzeć.

Huraganowy wicher wywracał świat do góry nogami, skręcał strugi deszczu w spirale. Jabłoń na trawniku przed domem, z pnem czarnym i lśniącym od wody, pochyliła się niczym zboląta wdowa, a jej wszystkie gałęzie zwróciły się w jedną stronę niczym włosy

zesztywniały z przerażenia.

Za wałem ochronnym czarne fale wznosiły się wysoko i zapadały w głębiny. Z czarnej skłębionej masy tryskała biała piana, woda wyrывała skalne bloki z brzegu.

Whale's Turning, zbudowane z marmurów przywiezionych z gór w Toskanii, drżało w posadach. Na pomoście Audrey spostrzegła Fishera i kilku mężczyzn w żółtych sztormiakach. Usiłowali ratować jacht. Jacyś inni ludzie, zgięci pod ciężarem worków z piaskiem, budowali prowizoryczną zaporę w miejscu, gdzie skała schodziła ku przystani. Jeszcze inni naprawiali przerwany wał.

Połamane konary wirowały na trawniku, uderzały o ściany. Wichur podrzucał je prawie na wysokość okna, przy którym stała. Fruwające gałęzie natrzęsały się z niej niczym demony, szybowoły niczym niesamowite nietoperze.

Audrey cofnęła się. Poczowała pragnienie. Miała ochotę na filiżankę herbaty. Nie mogła jednak opuścić pokoju przed powrotem Baya. Nie, dopóki Thorne Cockburn tu jest...

Nie widziała wielorybów, lecz sądziła, że są w zatoce, że schroniły się u podnóża WaterWalk.

Mogłyby odpłynąć, gdyby zechciały, pomyślała. Mogłyby wypłynąć na otwarty ocean, gdzie jest bezpieczniej. Mogłyby przecież zanurkować, zanurkować głęboko, gdzie sztorm nie sięga, zasnąć, śnić, aż wszystko się uspokoi. Ale tego nie robią. Nie przyplłynęły tu bez powodu. Chciały zobaczyć, albo się czegoś dowiedzieć, albo zapamiętać. Przybyły na wezwanie i zostaną, dopóki nie ucichnie sztorm.

Puk. Puk. Puk.

Podeszła do toaletki, na której urządziła sobie biurko, i zamknęła album ze znakami runicznymi.

- Aud? - usłyszała poprzez wycie wichury. - Daj spokój, Aud, wiem, że tam jesteś. Przyszedłem eskortować cię do piwnicy. Wszyscy schroniliśmy się tam przed huraganem. Otwórz.

Audrey wsunęła album głęboko pod łóżko. Rozejrzała się po

sypialni, szukając jakiegoś narzędzia do obrony. Nóż do otwierania listów. Srebrny sztylet. Przykryła go zaproszeniami dla Tory. Usiadła z twarzą zwróconą ku drzwiom.

Będzie je musiał wyważyć, żeby mnie dostać, pomyślała.

Thorne łomotał pięściami w drzwi.

- Daj spokój, Aud. To twoja ostatnia szansa. Otwórz. Otwieraj!

Audrey ścisnęła dłonie między kolanami. Tak musi się czuć królik, gdy lis grzebie łapami w jedynym otworze, przez który można się wydostać na zewnątrz...

Coś uderzyło w drzwi, w najłabszy punkt, tam, gdzie oba skrzydła łączyły się ze sobą. Coś ciężkiego, mocnego... Bark? Cale ciało zahartowane w walce z oceanem?

- Audrey!

Mogłabym zamknąć się w łazience, przemknęło jej przez myśl. Nie, tam będzie jeszcze gorzej. Pułapka bez wyjścia. Tutaj, nawet jeśli drzwi puszczą, jestem bezpieczniejsza.

Trach.

Zamek już ledwie trzymał. Thorne walił w najłabszy punkt, nie tracąc czasu na dalsze bezowocne perswazje.

Bolce puściły.

Thorne był już w środku. Rozstawiwszy nogi niczym zawodnik na ringu, oparł się o skrzydła drzwi. Pod ciężarem jego ciała dobrze naoliwione, solidnie wykonane zawiasy wskoczyły na miejsce...

Klik... Zamek, mimo uszkodzenia, zadziałał.

Thorne założył ręce do tyłu i sprawdził zamknięcie.

- Niczego nigdy nie dałaś mi za darmo, Aud - rzekł cicho. Mimo szalejącego wiatru słyszała go wyraźnie. - Zawsze musiałem zapracować na nagrodę.

Audrey nie poruszyła się. Siedziała ściskając kolanami dłonie. Bay zaraz tu będzie, powtarzała sobie w duchu. Thorne nie zrobi mi krzywdy w domu Baya. Nie...

Zdusiła w sobie krzyk przerażenia. Niech mnie zabije, lecz nigdy nie usłyszy ode mnie skamlenia.

Wstała. Teraz Thorne nie wydawał się jej taki olbrzymi.

- Zostanę tutaj - oświadczyła. - Tutaj, w moim pokoju, jestem bezpieczna. Nie zejść do piwnicy. Więc wyjdź. Nie wypada, żebyś był w mojej sypialni. Celeste będzie nieszczęśliwa, gdy się dowie, że wtargnąłeś tu siłą.

Thorne nadal stał oparty plecami o drzwi. Ciemna postać w mroku. Światło świecy rzucało jego cień, długi i bezkształtny, na ozdobiony złoconą sztukaterią sufit.

Audrey zerknęła w owalne lustro. W niemal czarnej tafli szkła widać było tylko odbicie Thorne'a. Niesamowite widmo w wysokich butach i sztormowym ubraniu. Ma duszę pirata, pomyślała. Rzuci się na mnie z nożem między zębami, a spod odwiniętego rękawa wyrzy wytatuowana krewka czaszka i skrzyżowane piszczele. Koszula powinna być brudna i podarta. W uchu powinien błyszczeć kolczyk...

- Wiesz, po co przyszedłem. Oddaj mi wisiołek.

Nie ruszył się spod drzwi. Czekał w napięciu, jakby szykował się... Do skoku? Do zadania śmiertelnego ciosu?

Dlaczego nie jest z innymi mężczyznami na dworze? Dlaczego nie pomaga Fisherowi? Nikt nie wie, że tu przyszedł. Powiedział, że idzie włożyć odpowiednie ubranie, a tymczasem, niepostrzeżenie...

Staw mu odważnie czoło, usłyszała głos matki. To on jest klątwą, jaka zawisła nad Bayem...

- Wyjdź - zażądała Audrey. - Wyjdź stąd natychmiast, bo zacznę krzyzczeć. Sawyer usłyszy. Celeste usłyszy. Ona już coś podejrzewa.

Thorne skoczył do przodu i chwycił ją za szyję. Porośnięte czarnymi włoskami palce zacisnęły się na jej gardle.

Czy tak samo było z Virginią?

Poczuła, że napastnik unosi ją i gwałtownie puszcza. Potoczyła się na lustro. Osadzone na solidnej sosnowej podstawie drgnęło, lecz się nie przewróciło.

Thorne zamierzył się pięścią.

- Wisiołek, Audrey - powiedział powoli. - Znajdź go na-

tychmiast.

Usiłowała podsunąć pod siebie stopy i wstać, lecz w samych tylko pończochach ślizgała się po wypolerowanej posadzce.

Thorne chwycił ją za kołnierz i włosy i podciągnął do góry. Usłyszała trzask dartego materiału, czerwone plamki zamigotały jej przed oczami. Próbowała znaleźć oparcie dla stóp, stanąć mocno na nogach, spojrzeć piratowi w twarz...

Thorne pchnął ją na ścianę, zaczął walić jej głową o mur.

Czuła powiew wiatru wdzierającego się przez szpary we framudze okna. Słyszała odgłosy sztormu, requiem śpiewane w nieznanym, lecz pięknym języku. Może to pieśń wielorybów powtarzana przez wiatr... W jej mózgu eksplodowały ładunki barw: pomarańczowy, żółty z zygzakami fioletu, krwawy szkarłat z przebłyskami jaskrawej zieleni...

Wyprostowanymi rękoma Thorne przygniatał jej ramiona, jak gdyby chciał zmiażdżyć ją swoim ciężarem.

- Oddaj wisiołek, Audrey. - Czarne kędziory okalały jego twarz niczym laur zwycięstwa. Nawet się nie zadyszał. Jego oczy świeciły stalowoczarным blaskiem.

Cofnął się nagle, przestał napierać, lecz tylko po to, aby natychmiast ponowić atak, chwycić za sukienkę, szarpnąć. Rozdarty rękaw ześliznął się gładko, lecz mankiet nie puścił. Mocny jedwab zamienił się w linę, w łańcuch, którym dziewczyna przykuta była do swego oprawcy. Thorne zawlókł ją na środek pokoju, owinął jedwabny sznur wokół jej szyi i rzucił ją na podłogę. Audrey walczyła teraz o każdy oddech. Szorstki wełniany dywan drapał ją w policzki, kurz drażnił gardło. Trąciła toaletkę. Spadły gęsie pióra, kartony pergaminu na zaproszenia dla Tory sfrunęły niczym stado gołębi spłoszone przez intruza. Kałamarz z tuszem, ciężki, mocno zakręcony, jak twardy pocisk trafił ją w żebra.

Thorne pochylił się nad swoją ofiarą, wbił kolano w jej plecy, mocnymi jak szpony palcami chwycił za włosy i odwrócił jej głowę na bok.

- Oddaj go. Teraz.

- Dobrze.

Wstając, pchnął jej twarz w dywan. Strzyżona wełna zatkała jej usta i nos.

Audrey uklękła, znowu upadła. Wszystko już jedno, myślała, niech weźmie wisiołek. To go jeszcze bardziej obciąży. Najważniejsze, że mam inny dowód, bezpieczny w rękach Ally'ego. Dziennik. Muszę tylko powiedzieć Ally'emu, co to znaczy, co znaczy...

Zataczając się dotarła do łazienki. Nie dostrzegła nawet, że potężna gałąź rozbiła okno i utknęła we framudze. Wiedziała tylko, że burza wdarła się w końcu do wnętrza Whale's Turning. Czuła, że wycie huraganu świdruje jej mózg, a wiatr, jak Thorne, rzuca nią o ściany. Może ją zabić... Zabije, jeśli ona na to przystanie...

Lustrzana ściana w łazience zionęła czernią. Tutaj nie paliła się nawet świeczka, jak w sypialni. Audrey dziękowała Bogu za tę ciemność kryjącą jej obnażone ciało. Lecz i w ciemnościach pełgały cienie... Po omacku odnalazła szufladę ze skrytką. Potargane włosy zakrywały jej oczy, dłonie drżały. A on... On był z tyłu, w drzwiach, zasłaniając sobą wszelkie światło.

- Pospiesz się - rzekł przeraźliwie spokojnie. - Czekają na mnie. Muszę im pomóc ratować meble, ratować jacht Baya.

Odrzuciła mydło, namacała dźwigienkę, przekręciła. Wsunęła rękę pod uniesioną tylną ściankę szufladki. Mokrymi palcami - zakrwawionymi czy tylko spoconymi? - dotknęła wisiora, pociągnęła za łańcuszek. Złoty prostokąt wypełniał jej pięść jak moneta. Cofnęła rękę, odwróciła się, wyprostowała i cisnęła klejnot byłemu narzeczonemu w twarz.

- Bierz go i niech cię piekło pochłonie!

Nie trafiła. Wisiołek z brzękiem upadł na marmurową posadzkę.

- Znajdź go sobie - rzekła z pogardą. Nawet pobita i upokorzona nie ugnie się przed nim. Będzie walczył. Wciąż od nowa walczyć... Jej głos nareszcie odzyskał moc.

- No, Thorne - powiedziała. - Padnij na kolana, czołgaj się za nim. I tak cię powieszają. Niepotrzebny mi ten wisiołek, aby udowodnić, że to ty zamordowałaś Virginie.

Zagalopowała się. Nie powinna cieszyć się ze zwycięstwa za wcześnie.

Thorne milczał. Milczał jak... śmierć.

Jego potężne ciało wypełniało całe drzwi, zasłaniało wszelkie światło padające z sypialni. Tylko przez zmierzwiłone włosy przeświecały szare, tańczące, migoczące przebłyski.

Nagle olbrzym poruszył się. Uklęknął. Usłyszała jakby szuranie skrzydeł nietoperza po marmurowych taflach. Suwając dłonią po posadzce, szukał swojego klejnotu. Racja, pomyślała Audrey. Swojego. Przecież to dla niego wykonał go Maurice Rivalini, artysta jubiler z Rzymu.

- Jesteś już trupem - syknął Thorne, gdy wicher na ułamek sekundy ucichł.

Zza jego pleców dobiegł trzask tłuczonego szkła, łamanego drewna, spadających przedmiotów. Coś ciężkiego runęło z wysoka. Prawdopodobnie karnisz, ręcznie rzeźbiony, starannie zawieszony na hakach, aby nigdy, przenigdy nie zleciał...

Audrey usłyszała słaby zgrzyt metalu o marmur, kiedy Thorne znalazł wisiołek, i dźwięczne dzwonienie ogniwek łańcuszka, gdy go podnosił. Wyczuła, że uniósł ramiona, przełożył łańcuszek przez głowę, wpuścił złoty klejnot w rozcięcie koszuli...

Teraz jego mocne jak stal palce zacisnęły się na przegubie jej ręki. Drugą ręką Audrey przyciskała do piersi wysoki flakon z niebieskiego szkła, ze szklanym korkiem, pełen płynnego mydła do kąpieli. Zamachnęła się całym ciałem, celując w głowę.

Trafiony w ramię Thorne zatoczył się, jęknął i puścił rękę ofiary, lecz natychmiast skoczył na nią i wyszarpnął flakon. Kryształowy korek upadł na posadzkę i rozprysł się na tysiące kawałków. Kłujące odłamki odbiły się od jej stóp, łazienkę wypełniła dusząca, słodka woń perfum.

Teraz Thorne, dzierżąc flakon za wysoką szyjkę, podniósł rękę do góry. Rzeźbiona kryształowa maczuga opadła na głowę Audrey.

Zanim straciła przytomność, poczuła w ustach smak mydła. Wraz z ostatnim świadomym oddechem wciągnęła głęboko w nozdrza perfumowaną maź.

Odurzona spadała w nicość, czując lęk tylko o dziecko pod sercem, zaledwie poczęte...

Przez wzgląd na nie spróbuje, spróbuje odczłgać się... doczłgać... ku...

Wśród brzęczenia szyb i podmuchów wichury, Edmunda Lockholm usłyszała krzyk.

Ona także odmówiła opuszczenia swego pokoju, swego bezpiecznego pokoju, jak powiedziała, i przyłączenia się do kobiecej części służby zebranej w piwnicy. Nie obchodziło ją, co robi Celeste, która podobno bawiła teraz u panien Westmore, ani co robi „ta nowa”. Nagła zmiana pogody wypędziła ją z ogrodu. Starsza pani oświadczyła więc, że jedna niedogodność dziennie wystarczy.

- Nic mi nie będzie, Zello - uspokajała pokojówkę. - Dość tego namawiania. Ty zejdz na dół, a ja zostanę tu, gdzie mi dobrze, i popatrzę sobie przez okno na wichurę. Zapowiada się pasjonujące widowisko.

- Ależ, proszę pani - sprzeciwiła się Zella. - Fisher nalega, żeby...

- Fisher nie wydaje rozkazów w tym domu, Zello. Idź już, dziecko. Zostaw mnie samą. I zabierz psa.

- Och, proszę pani, doprawdy nie wiem, co robić...

- Za to ja wiem. Odmaszerować! - I Edmunda wzięła do ręki oprawiony w błękitny jedwab tomik poezji Johna Donne'a. - Co za banda starych bab, ty i Fisher i ta cała reszta. Ale by się kochany William... Pamiętasz Williama, Zello? On by się z was uśmieł... - dodała otwierając książkę założoną na ulubionym wierszu.

Zella zastanowiła się nad sytuacją. Pani Lockholm robiła wrażenie całkiem świadomej. I była uparta. Jej syn, Bayard, który jedyny

mógłby jej ten upór wyperswadować, był nieobecny. Czy może się jej stać jakaś krzywda w tym pokoju? Chyba nie. Whale's Turning chyba się nie zawali. A skoro pani Lockholm postanowiła zachować się nierozsądnie, a bogaci zawsze obstają przy swoim, to cóż. Kilka dni temu sam doktor Lake, zadowolony z postępów w rekonwalescencji, kazał Zelli nie traktować starszej pani, jak gdyby była małym dzieckiem czy inwalidką.

- Pani Lockholm potrzebne jest poczucie, że sama za siebie decyduje - powiedział. - Ona musi wierzyć, że czuje się dobrze. Rozumiesz, o co mi chodzi? To najlepsze lekarstwo, jakie możemy jej zaaplikować.

Chociaż w głębi duszy nie całkiem przekonana, Zella przytaknęła, bo tego od niej oczekiwano. Jej zdaniem pani Lockholm nadal cierpiała na „rozdwojenie jaźni”, lecz teraz Zella musi myśleć i o własnym bezpieczeństwie. Z panią Lockholm, czy bez niej, ona schodzi do piwnicy. Wolna wola, do zobaczenia, proszę pani....

Dygnęła, zabrała zaspanego, lejącego się przez ręce szczeniaka, który natychmiast chwycił zębami guzik jej sukienki, i wyszła. Jeśli pani Lockholm w tym czasie umrze, to nie będzie jej wina. Zrobiła, co mogła, wszystko, czego od niej oczekiwano, a nawet więcej.

A teraz, wśród ryku wichury, Edmunda Lockholm usłyszała krzyk. Krzyk jakby z pokoju Virginii...

Czyżby działa się z nią coś złego? Czyżby nie sprawiła już dość kłopotu wyskakując z okna i zrzucając winę na Bayarda? Utrapienie z nią. A ta druga... Co takiego Bay w niej widzi?

Znowu krzyk.

Pewnie boi się burzy, biedactwo. Może powinnam się ruszyć, pomyślała Edmunda, iść do niej, uspokoić ją? Porozmawiać, popatrzeć, co wyprawia ten wiatr? Na kolację ma być kaczka. Może powinnam ostrzec tę dziewczynę, żeby nie wkładała sukni Virginii. Plamy z tłustego sosu są nie do usunięcia. Jedwabiu nie można trzeć, nici pękają, gdy prać na tarze...

Edmunda spuściła nogi na podłogę. Przez moment podziwiała

swoje małe, wąskie stopy. Arystokratyczne. Joeffry lubił całować jej szczupłe kostki, za to William nigdy nie zwracał uwagi na takie szczegóły. William od razu przechodził do konkretów, jeśli można się tak wyrazić...

Dobrze, Virginio. Idę już. Idę.

Wsparta na lasce wstała, chwiejnie zrobiła pierwszy krok, następny... Szur, szur... Stuk, stuk...

W holu na piętrze panował mrok, lecz ona widziała zarys mebli. Oto stolik kupiony przez Bayarda w Paryżu, podobno stał kiedyś w Wersalu. Dalej włoska żardyniera wypełniona kwitnącymi hortensjami... Edmunda powoli suwała stopami po dywanie, podierała się laską, przytrzymywała to ściany, to mebli. Korytarz był długi, wysoki, piękny. Edmunda lubiła go, pasował do Whale's Turning.

Drzwi do buduaru Virginii zastała zamknięte. Imponujące podwójne skrzydła z klamkami z kości słoniowej, złożonymi na końcach. Virginia urządziła wnętrza z gustem, mimo zrzędzenia Bayarda na koszty. Zachary Punt Pink pomagał jej, oczywiście. Zachary Pink był najlepszy. Celeste musi zaangażować tylko jego. Już ona, Edmunda, dopilnuje, gdy Thorne dorobi się na tyle, aby zacząć budować.

Burza szalała jakby w samej sypialni. Słysząc było podmuchy wiatru, ciskanie przedmiotami, wycie... Drzwi omal nie wyleciały z framugi. I coś dużego i ciężkiego uderzało o ścianę... Przecież zniszczy tapety! Co ta Virginia sobie myśli? Czyżby zostawiła otwarte okno? W taką zawieruchę?

Racja, to nie Virginia, to ta nowa, mniejsza o imię. Prosta dziewczucha, nie zna się na niczym. Słomę ma jeszcze w butach. Pobiegła pewnie ze służbą do piwnicy. Nie myśl, że nie poskarżę Bayardowi, Edmunda pogroziła w duchu. Ta komedia musi się skończyć. Takich strat, takiej bezmyślności nie można puścić płazem. Nie w tym domu.

Laską zastukała w drzwi.

- Dziewczyno! Dziewczyno! Jesteś tam?

Wśród wycia wichury Thorne nie słyszał wołania. Otworzył okno sięgające od sufitu do podłogi i zdołał przyciągnąć Audrey prawie do samego balkonu. Zmagał się z huraganem, który z siłą ponad stu kilometrów na godzinę pędził prosto na niego. Firanki oblepiły mu twarz, lecz zdołał je z siebie zedrzeć. Parł do przodu. Jeszcze kilka kroków i Audrey zawiśnie jak worek na betonowej balustradzie. Jeden ruch i po wszystkim. I kto powie, że to nie wiatr ją zrzucił?

Stopy ślizgają się po zalanej deszczem podłodze, nasiąknięta wodą suknia ciąży...

W dole grupka mężczyzn, zgiętych pod workami z piaskiem przechowywanymi w piwnicy na wypadek podobnej katastrofy, pracuje nieprzerwanie. Żaden nie podniesie głowy. A gdyby nawet któryś to zrobił, i tak niczego nie dostrzeże. Huragan nie słabnie. Trzeba jednak się spieszyć...

Audrey odzyskała przytomność. Myślała, że tonie. Fale biją w jej twarz, podcinają stopy. Strugi wody odbierają jej oddech...

Nagle dostrzegła swoje odbicie w owalnym lustrze. To Thorne ją wlecze za nogi, ciągnie po dywanie obok przewróconego stolika ze złamaną nogą. Nagle jej dłoń natrafiła na rękojeść srebrnego sztyletu do przecinania kartek. Chwyciła go mocno, przycisnęła do piersi. Teraz wiedziała, gdzie jest. Przypomniała sobie wszystko od początku.

Mamo!

Z całej siły zamachnęła się szeroko ramieniem i zatopiła ostrze sztyletu w ciele mordercy.

Krzyknął. Puścił ją. Upadła na lustro, które zakreśliło się na śliskiej podłodze i pod jej ciężarem rozprysło w tysiące okruchów.

Mamo!

Thorne, ranny, lecz nie pokonany, powalony na ziemię, lecz wciąż groźny, siedział na mokrej podłodze niczym szmaciana kukła. Patrząc na Audrey z nienawiścią, wyciągnął sztylet z rany. Spojrzał na czarne od krwi ostrze i cisnął nóż jak najdalej od siebie. Trafił w

drzwi. Wyciągnął ręce, by ponownie schwycić swoją ofiarę.

Audrey nabrała pełne garście odłamków szkła i rzuciła mu je w twarz.

Nie powstrzymało go to.

Namaciała nogę od krzesła, próbowała zasłonić się nim, podnieść się i uciec.

Chwycił ją.

Przytrzymał za kostkę.

Kopała. Krzyczała.

Powalił ją całym ciałem, śliskim od krwi, mokrym od deszczu, lecz wciąż pełnym sił i żądz mordy.

Edmunda Lockholm szarpała za klamki. Nie słyszeli jej. Naparła na drzwi. Ustąpiły. Szeroko otworzyła oba skrzydła. Kolejny powiew wichury przemknął przez cały pokój, zawirował niczym tornado uwolnione przez demona. Edmunda ujrzała mężczyznę rzucającego się na kobietę.

Virginia...

Edmunda próbowała krzykiem powstrzymać napastnika. Zrobiła kilka kroków do przodu. Nagle laska pośliznęła się na mokrej podłodze, stopy jakby usunęły się spod niej i chora ciężko upadła na bok.

Coś pękło w niej, gdy padała. Przeszył ją ostry ból. Miewała chwile otępienia, wiedziała o tym. Była stara, o tym także wiedziała. Wolniej myślała. Ale nie była na tyle rozkojarzona, by nie zorientować się, że ktoś na jej oczach właśnie popełnia morderstwo!

Ten mężczyzna...

On przecież usiłuje zabić Virginie!

Jej stare, zamglone łzami oczy jeszcze widziały. Dostrzegła ostrze sztyletu, zaledwie o kilka centymetrów od bezwładnej, pozbawionej czucia ręki.

A jednak potrafi zmusić tę rękę do wykonania ruchu... Udało się! Ostrze ocieka krwią, zimną jak galareta.

Mężczyzna ściska Virginie za gardło, ciągnie za włosy na balkon.

Kobieta ma złociste włosy, jakich Virginia nigdy nie miała! Teraz dusi ją... pcha na balustradę... przegina... Albo złamię jej kręgosłup, albo wypchnię! Jak rok temu...

I nagle Edmunda Lockholm, kobieta mimo podeszłego wieku postawna, poczuła, że jej ciało staje się znowu zwinne, a serce tryska sprężoną siłą. Zerwała się. Skoczyła niczym rozjuszona tygrysica na plecy mężczyzny. Zaatakowała. W jej dłoni srebrny sztylet zamienił się w szpadę.

Zatopiła ostrze głęboko aż po rękojeść pod łopatkę mordercy. Nie puściła noża. Wyciągnęła go z rany i zamierzyła się znowu... i znowu... i znowu...

Mężczyzna w konwulsjach osunął się na kolana, jego oczy zaświeciły w pobladłej jak krochmal, trudnej do rozpoznania twarzy. Strugi deszczu spływały po kręconych włosach, obmywały rany.

W pewnej chwili podniósł się, rozpostarł ramiona, lecz zachwiał się i zatoczył...

Virginia! Bogu dzięki, biedna Virginia zdołała wyśliznąć mu się spod nóg. Krzycząc teraz, unosząc ciężką spódnicę, usiłowała wstać...

On także wstawał...

Audrey próbowała dosięgnąć Edmundy, ratować przed Thorne'em, jego gniewem, zemstą, morderczym zaślepieniem. Upadła jednak na kamienną ścianę domu. Siły ją opuściły. Czowała tylko zimno i nic więcej. Czekwała na śmierć z ręki Thorne'a. Pomyślała o dziecku. Dłońmi osłoniła brzuch. Będzie go bronić, dopóki jeszcze zdoła.

Thorne chwiał się w przód i w tył, w przód i w tył, nie widzącymi oczami patrzył to na Audrey, to na Edmundę, to na Audrey...

Nagle uderzył piorun.

Thorne stanął, przytrzymał się balustrady, zgiął się, westchnął i umarł.

Edmunda przywarła do Audrey. Objęły się ramionami.

Burza smagała je wichrem i deszczem.

Kilka godzin później, gdy wszystko ucichło, Bayard znalazł obie kobiety w tej samej pozycji, przytulone do siebie jak porzucone przez matkę szczenięta w lichej kryjówce.

A na balustradzie, niczym worek, wisiało ciało Thorne'a Larchera Cockburna, odprowadzającego wieczną pokutę.

RRS

Tory VanVoorst siedziała na tarasie hotelu Ocean House i bacznie obserwowała swojego gościa, Dove Peerce. Tory. ubrana była w letnią suknię z tafty w kolorze piasku, ozdobioną koronkami w tym samym odcieniu, Dove zaś w gołębie szarości z czarnymi wypustkami. Panie piły herbatę.

- Ogród oczywiście w ruinie - mówiła Dove.

Jak naturalnie, jak swobodnie przeżywa swoją kapitulację, myślała Tory. Robi to oczywiście dla Nicoli, tak jak sądziłam, a jednocześnie wcale nie daje tego po sobie poznać. Jest znakomita. Chce, abym uwierzyła, że wygrałam wojnę, kiedy w rzeczywistości jest to dopiero pierwsza potyczka.

- Co zamierza pani zrobić, pani Peerce? Data ślubu się zbliża - zagadnęła Tory i wypła łyżeczek parzącej usta herbaty.

Dove palcami o białych paznokciach dotknęła onyksu w bransolecie.

- Przyszło mi na myśl... - Urwała. - Widziała gdzieś pani niebo tak błękitne jak tutaj? Newport to raj. Pani też tak sądzi, Victorio?

- Newport to raj i piekło zarazem - odparła Tory widząc, że jej rozmówczyni robi zręczne uniki, i podejmując wyzwanie. - Z obu czerpię to, co najlepsze, i nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej.

- Obawiam się, że nie całkiem panią rozumiem. Tory wdzięcznie wzruszyła ramionami.

- Chodzi mi o kłopoty, pani Peerce. Skandale. Weźmy wczorajszy huragan. Godsend ocalało, chociaż wszystko oczywiście zamokło. Pani zaś straciła swoją prześliczną fontannę i połowę trawnika. A Lockholmowie... Chociaż... każda tragedia kryje w sobie załączek dobra. Jacht Bayarda zatonął, przystań została zniszczona, a buduar Audrey wymaga kompletnego remontu. Radziłam jej

tonację rdzawoceglastą. Ceglasty ze złotym. Ale ona skłania się ku dokładnej rekonstrukcji. Chce mieć dokładną kopię.

- Och - westchnęła Dove. - Ten okropny, straszny człowiek. Ten majtek Celeste. Ona tu chwili dłużej nie zostanie. Już jutro wyjeżdża do Szwajcarii na długi odpoczynek. Powiedziała, że musi myśleć o dziecku.

- Majtek Celeste! - Tory wybuchnęła śmiechem. - Właśnie to mam na myśli. Skandale. On był i majtkiem Virginii Lockholm, i Audrey, zanim wyszła za Baya. Swoją drogą, musiał być nieprzeciętny, ten Thorne. Na szczęście nigdy go nie poznałam. Mogłabym i ja ulec pokusie.

Dove Peerce nie podjęła tematu. Dawniej zrobiłaby to z ochotą, zabłysła by kalamburem, jaki poszedłby w świat rozstawiając jej dowcip. Teraz posmutniała i rzekła:

- Biedna Edmunda. Dostała zapalenia płuc i lekarz mówi, że może tego nie przeżyć.

- Moja pokojówka potwierdzi, że Virginia istotnie miała kochanka.

Dove zarumieniła się. Rozmowa stawała się coraz trudniejsza. Dawniej na wzmiankę o małżeńskiej zdradzie tak nie reagowała.

- Wybacz pani, Victorio - rzekła tłumacząc się. - Od chwili, gdy Percy mnie opuścił, słowa „miłość” czy „kochać” przyprowadzają mnie o palpitacje i łzy.

- Droga pani - wzruszyła się Tory, starannie kryjąc zdziwienie. - Niech pani nie myśli, nie myśli nawet o Percivalu, gdy mowa o tym Cockburnie. Jasną stroną natomiast jest to, że kłopoty Baya się skończyły. To Audrey go ocaliła. Znalazła pamiętnik Victorii, gdzie kochanek był oznaczony przedziwnym symbolem. Audrey rozszyfrowała znak przy okazji wypisywania zaproszeń na mój turniej. Co za inteligentna dziewczyna. Uważam, że i ja mam swoje zasługi w oczyszczeniu Bayarda z tych straszliwych oskarżeń. To, że zaangażowałam dawną pokojówkę Virginii, było również szczęśliwym zrzędzeniem losu, gdyż opowiedziała temu obleśnemu

detektywowi całą prawdę o swojej pani. Wiem, że z początku krytykowano mnie za przyjęcie Fanni do pracy, lecz czuję się dumna ze swojej roli i nie wstydzę się do tego przyznać. - No i co ty na to, droga Dove, dodała w duchu.

- Wie pani, że to Edmunda go zabiła? - spytała Dove, już opanowana. Przyzwalając kiwnęła głową, gdy Tory podniosła dzbanek, aby ponownie napełnić filiżanki z wykwitnej porcelany Limoges.

- Tak. To niesamowite! Stara, niedołączna kobieta jako ramię boskiej sprawiedliwości. Wspaniałe świadectwo, jakimi siłami potrafi natchnąć człowieka święte oburzenie.

Ponad brzegiem filiżanki Dove uważnie przyjrzała się Tory. Nie spodziewała się takich biblijnych skojarzeń w rozmowie z osobą tego pokroju. Pomyślała, że Victorii VanVoorst nie należy lekceważyć. Posługuje się ładnym językiem, myśli szybko, ryzykuje ujawnienie własnych opinii, zanim usłyszy zdanie rozmówcy. Ta mała bestyjka może być interesująca, nawet zabawna. Urodę ma ponadczasową i gdyby odrobinę stonowała tę wystudiowaną doskonałość w ubiorze...

- Miał przy sobie klejnot, który stanowił niezbity dowód jego winy - powiedziała Dove.

- Wisiorek - dodała Tory. - Tak więc Bayard jest już oczyszczony. Bardzo się z tego cieszę. Byłam jedną z niewielu osób, które nigdy nie wątpiły w jego niewinność.

- To ładnie z pani strony, Victorio. Przyznam się, że ja uznałam go za winnego. Znałam Virginie Stotesbury i czasami sama miałam ochotę ją zabić. Była chciwą kobietą. A nadmiar chciwości prędzej czy później sprowadza człowieka na złą drogę.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Dwie kobiety pijące herbatę, taksujące siebie nawzajem.

Pod błękitnym, bezchmurnym niebem miasto było piękne i spokojne. Na Thames Street robotnicy naprawiali uszkodzenia. Po chodnikach spacerował zwykły tłum ludzi. Zgarbiona srokata

szkapa, ubrana w kapitańską czapkę z daszkiem, rażno ciągnęła wózek z warzywami. Wymuskane konie w eleganckich zaprzęgach witały się z nią, nieświadome różnic w pozycji społecznej. Automobil Trippa Railsa znów był na chodzie. Z urwanym przez huraganowy wichur zderzakiem, niemniej sprawny. Przy nabrzeżu kołysały się statki z długim takielunkiem. Daleko u ujścia zatoki widać było wydęte przyjaznym wiatrem żagle skierowane do portu. Pies na wysmukłych nogach biegł u boku chłopca na kucu. Wielebny Elliott z żoną wychodzili z domu towarowego Darlinga. Nie spojrzeli na taras. Graf Elliott wyjeżdżał pod koniec sezonu. Otrzymał długo oczekiwaną, jak wyznał, propozycję objęcia parafii w Nowej Zelandii. Za to Alabaster McGregor, wracając nie wiadomo skąd do redakcji, pomachał damom ręką.

Aha, dwie wilczyce w skórach owieczek, myślał kłaniając się. Postanowił, że skontaktuje się ponownie ze swoim tajnym, ciężko pracującym informatorem. Niech jeszcze raz sprawdzi tę Victorie VanVoorst. Niech szpera dalej. Jej przeszłość wydaje się zbyt bezbarwna jak na tak zadzierającą nosa piękność; musi tam być coś więcej, coś naprawdę pikantnego, starannie ukrytego... A jeśli Alabaster McGregor nie wyniucha tego w tym roku, zawsze pozostaje następny i jeszcze następny. Pani Burtonowa VanVoorst nigdzie się nie wybiera. Cierpliwym Alabaster także nie. To tylko kwestia czasu, kwestia czasu... Mój człowiek jest niezmordowany... A Dove? Cóż, biedna Dove. Wygląda na zmęczoną. Sezon w Londynie dobrze jej zrobi. Nie będę za nią tęsknił.

- Co do wesela - Tory naprowadziła konwersację na pierwotne tory - ogród Godsend jest do pani dyspozycji. Został dopiero co ukończony i ani jeden listek nie ucierpiał. Proszę z niego skorzystać. Burtykins i ja będziemy zaszczytzeni, jeśli szczęście pani córki opromieni nasz dom.

W filiżance Dove pływał listek herbaty. Pochyliwszy głowę, skupiła całą uwagę na nim. Clarissa Rails proponowała Greenscote, lecz ich dom także był uszkodzony. To samo z Beechwood

należącym do Caroline Astor; zresztą, obie rodziny nigdy nie były naprawdę zaprzyjaźnione. Whale's Turning nie wchodziło w rachubę. Umierająca Edmunda, piętro zrujnowane, nie wspominając o wielorybach tkwiących w zatoce i nie mających zamiaru odpłynąć... Benson-Wardsowie? Wykluczone. Ponure domiszcze, bez gustu...

Podniosła wzrok na Tory, wiotką, jędrną piękność z czarnymi jak heban włosami i cerą jak z kości słoniowej. W jej żyłach musi płynąć krew konkwistadorów, pomyślała. Może brazylijska? Może argentyńska? Victoria dobrze pielęgnowała swoją urodę, praca w kabarecie jej w tym pomagała. Tak naprawdę tylko ten drobiazg, poza mglistym pochodzeniem, Dove miała jej do zarzucenia.

- Nigdy nie śmiałabym o to prosić - powiedziała. - To naprawdę zbytek uprzejmości.

- Ależ nie ma o czym mówić - odparła Tory. - Będę uszczęśliwiona. Prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie, nieprawdaż, pani Peerce?

- Dove. Proszę. Wszyscy moi przyjaciele nazywają mnie Dove.

Tory bardzo, bardzo uważała, by poczucie triumfalnego zwycięstwa nie ujawniło się w jej uśmiechu.

Jutro Celeste odpływa do Gstaad. Przejść kurację odmładzającą, jak się wyraziła. Jest w ciąży i nie chce, aby coś się stało dziecku. Nie obchodzi ją to, że jej mąż był łajdakiem ani to, że została wdową.

- Nie zniosę przebywania tu teraz z wami - oświadczyła bratu. Gdy Audrey próbowała ją objąć, odepchnęła ją ze słowami: - Proszę, nie. Czy nie wyrzuciłaś mi już dość złego?

I wysoka, ciemnowłosa, wytworna Celeste poszła się pakować, a w ślad za nią pokojówka Joanna, gderająca pod nosem na tyle czekającej ją roboty.

- Wybacz jej - odezwał się Bay. - Przeżyła straszliwy wstrząs. Celeste nie jest przyzwyczajona do... takich rzeczy.

- Wróciłeś do mnie - powiedziała Audrey siadając u stóp Baya w jego pokoju, który mieli dzielić jak mąż i żona, do czasu, gdy jej

sypialnia - jej i już nigdy Virginii - będzie odnowiona. Ich sypialnia, jej i Bayarda...

Apartament Celeste, który można by przerobić na pokój dziecienny, zostanie nie zmieniony tak długo, jak Celeste będzie sobie tego życzyła. Pokój dla dziecka urządzi się na drugim piętrze, zdecydował Bay, tam, gdzie zawsze powinien być. A gdy Celeste wróci ze swoim maleństwem...

Audrey bezwiednie przyłożyła rozpostarte dłonie do brzucha, płaskiego i pustego. Nie było w nim nowego życia, wiedziała o tym. Thorne zabił dziedzica Lockholmów. Zamordował Virginie, omal nie zniszczył dobrego imienia i życia Baya i zabrał oba jego dzieciątka, to w łonie Virginii, i ten maleńki embrion jeszcze wczoraj śpiący w łonie Audrey...

Zeszłej nocy krwawiła. Bay sam zmienił prześcieradło i nie dopuścił do niej Sawyer, chociaż się tego domagała. Trzymając ją w objęciach, szeptał:

- Już nie będziesz miała koszmarnych snów, kochanie. Teraz łono Audrey było białe, suche i jałowe, a jej brzuch zimny i płaski. Siedziała u stóp Baya z głową opartą o jego kolana. Doktor Lake czuwał przy Edmundzie. Robił, co mógł. Obiecał, że gdy znajdzie chwilę, przyjdzie zbadać Audrey. Nie denerwowało ją czekanie. Wiedziała, co usłyszy.

Przyjemnie tu, myślała. Niewielki, kawalerski pokój Baya przypominał jej dom na Bridge Street. Był ładniejszy, o wiele ładniejszy, lecz tak samo mały i przytulny. Pili herbatę z koniakiem. Taran chrapał na poduszce Baya.

Chciałabym tak siedzieć, marzyła Audrey, aż śniegi spadną, rozbielą świat, uciszą wszystko dokoła. Chciałabym siedzieć tu z Bayem, aż wieloryby odpłyną na południe na zimowe łowiska, a potem skierują się na północ urodzić małe.

- Wróciłeś do mnie - powtórzyła bardziej do siebie niż do Baya. Lustro Josephine zostało rozbite. Straciła tym samym kontakt z matką. Josephine już nie powróci. Opiekowała się córką tak długo,

jak mogła. Teraz córka dorosła, wyszła za mąż. Jest samodzielna. Już prawie, prawie sama została matką...

- Powiedz, że mnie kochasz - poprosiła opierając podbródek o udo Baya i patrząc na niego ciemnoniebieskimi oczami, w których nie było ani niepewności, ani lęku. Może jeszcze nie była w stu procentach damą, lecz robiła postępy. Znała swoją wartość, mogła nosić nazwisko Lockholm lub Smoke. Być bogatszą lub biedniejszą...

- Kocham cię bardziej niż życie - odpowiedział Bay gładząc ją po włosach. - Jesteś dla mnie całym światem i wszystkimi jego skarbami. Drew i ja zajeździliśmy trzy konie, usiłując do ciebie dotrzeć. Przepraszam, że tak późno.

- A detektyw Smythe jechał tuż za wami. Myślał, że masz zamiar uciec.

- Bogu niech będą dzięki za niego. Wszystkim się zajął i nawet pomógł uratować młodego wieloryba, którego płetwy zaplątały się w takielunek mojego tonącego jachtu. Mówiłem ci o tym wczoraj, pamiętasz?

- Opowiedz mi jeszcze raz.

Ogień na kominku palił się równym płomieniem. Lekki wietrzyk wydymał muślinowe firanki w oknach. Był piękny, sierpniowy wieczór, chociaż Edmunda Lockholm umierała. Edmunda Lockholm, która nienawidziła Audrey, ocaliła ją. Dziecko niestety nie przetrwało... zbyt słabe... ledwo poczęte...

- Wieloryby śpiewały - mówił Bay. - Zupełnie jakby zapowiadały koniec świata. Huragan ryczał. Gdy przyjechaliśmy, nastąpiło już przesilenie, ale my jeszcze o tym nie wiedzieliśmy. Ktoś podał mi nóż. Morze było czarne jak Hades, wzburzone. W jednej chwili fale wyrastały wysokie jak góry, w następnej rozwierała się otchłań. Spojrzałem na twoje okno i zobaczyłem postać, która wydała mi się Virginią, Virginią przybyłą z zaświatów, żeby mnie po wieczne czasy prześladować. Wydawało mi się, że oszalałem. Pomyślałem o klątwie Phineasa Browna. Skoczyłem w głębinę.

Audrey wzdrygnęła się. Przytuliła się mocniej do nóg Baya.

- Wieloryby śpiewały...
- Tak, śpiewały oplakując jednego z nich, a wiatr poddawał żałobną melodię.
 - Nigdy nie słyszałam ich śpiewu - powiedziała Audrey i pocałowała kolana męża.
 - W życiu nie słyszałem podobnego dźwięku - opowiadał Bay. - Nie ma takiego drugiego na świecie. Dziwne, metaliczne kwilenie i skrzeczenie, i dudnienie, jak gdyby dzwony były pod wodą albo łańcuchy obijały się o podwodne skały. To było magiczne, hipnotyzujące, przerażające i jednocześnie piękne.
 - Bay zaczął czesać jej włosy. Grzebieniem podnosił długie pasma od dołu i wygładzał z wierzchu dłonią.
 - Skoczyłeś...
 - Tak. A Jeremy Smythe za mną! - Audrey usłyszała rozbawienie w głosie męża. - Myślał chyba, że mam zamiar się zabić i chciał temu zapobiec. Lubię naszego detektywa. Musimy go kiedyś zaprosić na kolację.
 - Dobrze. I co było potem?
 - Bay wyciągnął nogi przed siebie, skrzyżował stopy w samych skarpetkach.
 - Trudno to wszystko poukładać po kolei. Audrey czekała.
 - Śpiew stada działał na małego uspokajająco, mimo że tonął zaplątany w liny. Byłem przekonany, że mnie zabije, taki olbrzym w groźnej, czarnej toni. Nic nie widziałem, zbliżałem się po omacku. Ciąłem, wynurzałem się dla zaczerpnięcia oddechu i nurkowałem z powrotem. Smythe napinał liny. Trwało to bardzo długo.
 - Ale w końcu uwolniliście go?
 - Grzebień łagodnie pieścił jej włosy. Tak samo delikatnie Bay obchodził się z małym wielorybim dzieckiem, chociaż ratując je, sam mógł stracić życie.
 - Myślałem, że gdy przetnę ostatnią linę, rzuci się na mnie albo wywinie kozła, lecz nie. Odpłynął spokojnie, powoli, jak statek w nocy, jak cień. Potem wynurzył się na powierzchnię i machnął

płetwą. To mnie omal nie zabiło. Smythe doholował mnie do skał, pomost już się dawno zawalił. Wieloryb był ranny, na jego bokach widać było głębokie szramy...

- Popłynął do matki?
 - Nie wiem. Zacząłem szukać ciebie. Zapukano do drzwi.
 - Proszę - powiedział Bay, nie przestając czesać włosów Audrey.
- O co chodzi, Fisher? - spytał.

- Doktor Lake prosi państwa. Już czas.

Doktor Lake stał przed sypialnią Edmundy.

- Widziała się już z Celeste - szepnął. - Teraz chce zobaczyć syna. Samego.

Audrey skinęła głową i cofnęła się. Bay ścisnął jej rękę, potem otworzył drzwi i cicho zamknął za sobą.

- Niewiele jej życia zostało - odezwał się lekarz. Audrey ponownie skinęła głową.

- Nie zobaczy swojego dziedzica.

Jeszcze nic o mnie nie wie, pomyślała Audrey.

- Nie wyjedzie pan, zanim nie zbada i mnie, prawda?

- Oczywiście, pani Lockholm. Jak tylko pożegna się pani z matką Bayarda, zbadam panią. Jest pani silna, zdrowa. Nie przewiduję żadnych powikłań.

- W nocy miałam krwawienia. Bay wie o tym. Był ze mną.

- Obfite?

- Tak mi się wydaje, chociaż mogę się mylić.

- Zobaczymy, zobaczymy. To dopiero sam początek. Jeśli dziecko jest zdrowe... Zbadam panią. Proszę się nie martwić na zapas.

- Jak się czuje Celeste? Nic jej nie jest?

- Mogłaby urodzić dziesięcioro dzieci, gdyby chciała. Ale nie chce. Zbyt dba o figurę.

- Jest taka piękna. Rozumiem, jak musi się czuć.

- Nie tak piękna jak pani, ośmielę się powiedzieć. Audrey skwitowała komplement milczeniem. Sili się na uprzejmość,

pomyślała. Wie, co przeżyłam... A może jednak mówi szczerze? Bo właściwie dlaczego miałyby udawać?

Bay wyszedł z pokoju matki i wzięwszy Audrey za rękę powiedział:

- Teraz chce zobaczyć ciebie, kochanie. Jest bardzo słaba. Nie przestrasz się, jeśli nie dosłyszysz, co mówi. Po prostu pochyl się nad nią.

Audrey przytaknęła skinieniem głowy, lecz czuła strach. Pani Lockholm nigdy jej nie lubiła. Nawet nie pamiętała, a może tylko nie chciała używać jej imienia...

Spodziewała się, że pokój teściowej pogrążony będzie w półmroku, story w oknach zaciągnięte, aby nie widać było morza. Zielone zasłony były jednak odsunięte i przytrzymane aksamitnymi opaskami. Popołudniowe słońce sączyło się przez koronkowe firanki, a owalny pokój zalany był tańczącym światłem. Wspaniałe kryształowe żyrandol z elektrycznymi żarówkami świecił się jasno, zapalone też były wszystkie kinkiety na ścianach i stojące na stolikach lampy. Ogień na kominku płonął wesoło, a używany w lecie, ręcznie malowany w bukiety kwiatów ekran zasłaniający palenisko odsunięto.

Nad wielkim łóżem wisiał portret Virginii patrzącej w dal na coś znajdującego się poza ramami obrazu, na coś wywołującego uśmiech na jej twarzy... Na załęczoną Audrey w drzwiach buduaru.

Edmunda Lockholm leżała wsparta o poduszki. Jej twarz okolona falbanką czepka była żółta jak pergamin. Podchodząc, Audrey zauważyła nabrzmiałe żyły pod silnie zarysowanym podbródkiem oraz na skroniach.

- Mamo - przemówiła pierwsza, biorąc Edmundę za rękę. Poczuła, że dłoń umierającej zaciska się silnie na jej dłoni i przyciąga ją do siebie.

- Moja droga - szepnęła Edmunda.

- Chciałam... Chciałam podziękować za pomoc...

- Uratowałam cię, dziecko, prawda? - Edmunda głos miała

słaby, lecz słowa wymawiała wyraźnie. Podniosła wzrok, lecz nie patrzyła na Audrey. Spoglądała w lustro nad kominkiem, na widoczny w nim portret Virginii.

- Tak, mam, uratowałaś mnie. Mam nadzieję, że szybko wyzdrowiejesz.

Audrey usiadła na obitym gobelinem krześle przy łożku. Pani Lockholm nadal mocno ścisnęła jej rękę. Na krótką chwilę zaległa cisza, przerywana jedynie tykaniem zegara miarowo odmierzającego wieczność. Przypomniał jej się inny zegar, ten u Mildred Falk, bijący zgodnie z rytmem jej serca, złamanego, skołatanego... Ale odtąd jej serce będzie biło mocniej...

Edmunda znowu zaczęła mówić, przyciągając Audrey bliżej do siebie.

- Bay mówi, że nosisz w łonie dziedzica. Chcę go zobaczyć.

- Tak - odparła Audrey zastanawiając się w panice, co powiedzieć dalej. Nie powie umierającej, że straciła dziecko... Będą z Bayem próbowali znowu...

- Pokaż mi go.

- Jeszcze się nie urodził, mam.

- Nie dożyję jego urodzin, wiem o tym. Wiem. Audrey zaczęła protestować.

- Ciii - nakazała Edmunda. - Pokaż mi swoje ciało, dziewczyno. Pokaż mi dziedzica Lockholmów. Pozwól mi go dotknąć, wziąć na rękę. - Puściła jej dłoń.

Audrey wstała, niepewna, co robić. Nagle zrzuciła z siebie peniarz i stanęła przed teściową w rzęsim oświetleniu.

Głowa chorej powoli odwróciła się w jej stronę. W zamglonych oczach błysnął podziw.

- Zawsze wiedziałam, że nie jesteś Virginią - rzekła przenosząc wzrok na odbity w lustrze portret. - Chciałam tylko, kochanie, żebyś nią była.

- Tak - powiedziała Audrey. Bryza od morza chłodziła jej ciało, żar z kominka rozgrzewał. - Przykro mi, pani Lockholm - dodała. -

Postaram się, zrobię, co w mojej mocy, żeby być dobrą żoną dla Baya...

Edmunda machnęła ręką, nakazując Audrey milczenie.

- Chcę cię przeprosić - powiedziała.
- Nie trzeba, mam, nie trzeba...
- Kiedyś byłam taka jak ty, jędrna i biała. Słyszałam z pięknej, białej cery.

- Wciąż jest piękna - zapewniła ją Audrey.

- Nogi miałam szczuplejsze niż ty, ale talię nie taką cienką.

- Tak.

- Obróć się. Pokaż brzuch z profilu.

Audrey posłusznie ustawiła się bokiem. Nie ma co oglądać,, pomyślała. Jeszcze wczoraj może było coś widać, jakąś minimalną różnicę, ale dziś...

- Będzie dziewczynka - stwierdziła Edmunda bardzo znużonym głosem. - To miło. Dziewczynki ułożone są nisko i szeroko i nie widać ich, aż dopiero później. Chłopca zaś nosisz wysoko, pod samym sercem.

Audrey nie odpowiedziała. Położyła dłonie na brzuchu. Nie czuła niczego oprócz płaskich mięśni rozpiętych na kościach miednicy.

- Podejdź. Daj mi jej dotknąć, położyć na niej rękę. Audrey usiadła na łóżku. Silna, blada, rozgrzana dłoń z wyraźnymi niebieskimi żyłkami ścisnęła jej łono. Obie kobiety milczały. Po chwili Edmunda uśmiechnęła się i rzekła:

- Błogosławię nie narodzoną pannę Lockholm. Życzę jej urody i szczęścia.

Audrey wybuchnęła płaczem. Ten przyptyw nagłej miłości był ponad jej siły. Edmunda cofnęła dłoń.

- Dzięki, kochanie. A teraz się ubierz. Mam dla ciebie prezent.

Audrey włożyła peniuar. Niepohamowane łzy padały na biały jak mleko jedwab.

- Ofiarowała mi pani tyle czasu, nie chcę...

- Pomóż mi się podnieść, kochanie.

Audrey podciągnęła chorą wyżej, włożyła poduszki pod jej plecy.

- No, lepiej. Podejź do toaletki. Widzisz szkatułę? Złotą szkatułę na biżuterię?

- Tak.

- Widzisz inicjały wyryte na wieku? Przeczytaj je. Audrey spojrzała na kasetkę. Była duża, a na oprawionej w wieku plakietce z brązu widniały pięknie wygrawerowane litery: ASL.

- Och! - wykrzyknęła Audrey. - Nie... Nie rozumiem. - Odwracając się gwałtownie w stronę łóżka, spytała; - Co...

- Widzisz... - W głosie Edmundy zabrzmiało wzruszenie. - Widzisz, zawsze wiedziałam, kim jesteś. To kasetka na moje perły. Kazałam zmienić monogram, gdy wzięliście ślub. To twoje perły i teraz ty, Audrey, jesteś jedyną panią Lockholm. Gdy przyjdzie czas, daj je dziewczynie, którą poślubi twój syn, jeśli będziesz miała syna. Obiecuj.

- Ależ, ależ Celeste... Celeste jest twoją córką, mamó! Edmunda westchnęła.

- Mąż Celeste, kiedy go znajdzie, obsypie ją klejnotami swojej rodziny. To są perły Lockholmów. Bay ci wyjaśni.

- Nie wiem, co powiedzieć. Wyzdrowiej, mamó. Noś te perły jeszcze długo...

- Mnie już została niecała godzina życia - powiedziała Edmunda.

- Podejź bliżej, dziecko. Powiedz, jakie imię nadasz swojej córeczce na chrzcie?

Audrey nie myślała jeszcze o imionach. Podeszła do łóżka, usiadła z powrotem na obitym gobelinem krześle.

- Wysong Smoke Lockholm - postanowiła nagle. - Twoje panińskie nazwisko i moje.

Głowa Edmundy ciężko opadła na poduszkę. Chora przymknęła oczy. Audrey pomyślała, że powinna zawołać doktora Lake'a.

- Zmień kolejność - wymamrotała Edmunda. Znowu wzięła synową za rękę, lecz teraz jej uścisk był o wiele słabszy. - Nazwij ją Smoke Wysong Lockholm, kochanie, i módl się, żeby była piękna.

- Dobrze, mamó. Będę.

Dłoń Edmundy zwiła bezwładnie.

- Zawołaj mojego syna. Pragnę mieć was oboje przy sobie.

Odprowadzicie mnie tam.

- Nie możemy odprowadzić cię do końca, mamó - rzekła Audrey wzruszona do głębi. - Ale pójdziemy tak daleko, jak możemy.

- Dobrze. Zawołaj Baya. Widzę już bramy. To wcale nie tak daleko. Blisko... Już bardzo blisko.

Audrey pobiegła po Baya. Stanęli po obu stronach zalanego światłem łóżka.

- Doktor Lake poszedł po Celeste, mamó - powiedział Bay.

- Nie chcę, żeby przychodziła - zaprotestowała Edmunda, gwałtownie potrząsając głową. Oczy miała zamknięte. Jej palce słabły w dłoniach syna i synowej. - Celeste i ja już się pożegnaliśmy. Przebaczyła mi, że zabiłam jej męża, ale nie chcę, żeby była tu, gdy odchodzę ze świata.

Bay wygładził czoło matki, pocałował jej wysuszony policzek.

- Opowiedz nam, mamó, co widzisz. I czy jest pięknie. Oczy Edmundy były znowu szeroko otwarte i błyszczące.

- Bayardzie, Bayardzie - zawołała podniecona. - Widzę bramy... Wszystko faluje... Tak jak widok z mojego okna. Och, patrz, William! Kochany William! I... - Urwała, mocno ścisnęła ich ręce. Znowu była młoda. Znowu była silna. Zaśmiała się niczym beztroska dziewczyna. - I patrz! Bayardzie! Patrz! Jeoffry też tam jest, tuż za bramą. On i William wyciągają ramiona. Och, Jeoffry... - Umierająca opadła z powrotem na poduszki, zapadła się głęboko, głęboko w pościel. - Och, Jeoffry... - westchnęła z uśmiechem. - Tak długo na ciebie czekałam.

Audrey spojrzała na Bayarda. Drżącymi palcami zamykał niebieskoszare oczy matki.

- William to mój ojciec - powiedział. - Kim był Jeoffry, nie wiem i nie chcę się dowiedzieć.

Wręczył Audrey szkatułę z perłami i wyprowadził ją z pokoju.

Później było tyle do zrobienia. Formalności pogrzebowe załatwiono bez rozgłosu. Edmundę Lockholm pochowano na cmentarzu przy Farewell Street w dniu jej śmierci wieczorem. Celeste uparła się wyjechać do Nowego Jorku już następnego ranka, aby zdążyć na statek do Europy. Nie dbała o skandal, nie obchodziło ją, co ludzie pomyślą. Ciało Thorne'a Cockburna poddano kremacji wcześniej. Obecny był tylko detektyw Smythe. Służbowo.

- Muszę wyjechać jak najprędzej, bo zwariuję - oświadczyła Celeste po pogrzebie matki.

Bay nie próbował jej namawiać do zmiany decyzji.

A później przybyła Tory z krótką wizytą. Złożywszy rodzinie kondolencje, opowiedziała Audrey o odwiedzinach Dove oraz zakomunikowała, że nazajutrz Alabaster McGregor na złotym rumaku pojedzie wręczyć paniom Peerce zaproszenia na turniej i bal u państwa VanVoorstow.

- To jeszcze nie wszystko - szczebiotała Tory, olśniewająco piękna w czarnej sukni. - W Godsend odbędzie się wesele Nicoli. Weszłam do najlepszego towarzystwa, Audrey. Burtykins i ja zostaliśmy przez nich uznani!

Były ponadto sprawy natury prawnej. Astin Forbes przyniósł Bayowi jakieś papiery do podpisu, potem należało odszukać testament Edmundy.

Zella histerycznie rozpaczała.

Taran domagał się jedzenia.

Dopiero następnego ranka doktor Lake, który spędził noc w Whale's Turning, mógł zbadać Audrey. Nie ponaglała go. Wiedziała, że jedynie potwierdzi to, o czym była przekonana. A rozpacz,

pomyślała, może poczekać.

Nadszedł jednak ów moment, gdy leżąc na wąskim łóżku Baya musiała się poddać badaniu.

Dla odwrócenia uwagi od bólu starała się myśleć o innych sprawach.

Myślała o huraganie i klątwie Phineasa Browna. Dokonało się. Bay został uwolniony, nareszcie wszyscy zostaliśmy uwolnieni. Gdy to pojęła, doznała olśnienia. Nie czuła bolesnego ucisku i zimnego dotyku metalowych instrumentów w tych intymnych częściach ciała, których sama nigdy nie oglądała.

Próbowała myśleć o innych rzeczach, szczęśliwych rzeczach, o przyszłości swojej i Baya - i nagle z mroku pod powiekami wyłonił się kapitan Larcher.

Phineas Brown, niesłusznie powieszony, rzucał klątwę na potomków kapitana okrętu „Quicksilver”...

Ona straciła dziecko, Bay pierwszą żonę, dwóch potencjalnych dziedziców i matkę. Celeste straciła męża. Nieszczęścia spadły na życie, dom, rodzinę... Lecz Phineas Brown nie przeklął przecież Lockholmów...

On przeklął Abła Larchera.

Kapitana Abła Larchera, który był prawą ręką Johna Bayarda Lockholma I. To kapitan Larcher powiesił Phineasa Browna, Murzyna, człowieka wolnego, który wśliznął się na statek potajemnie, aby wykraść swą żonę, nielegalnie utrzymaną w niewoli... Stary John Bayard I już nie żył, podobno został zamordowany, wrzucony do morza. To Abel Larcher oskarżył Phineasa Browna o zabójstwo, uznał za winnego, kazał powiesić. To on był ławą przysięgłych, sędzią i katem. John Bayard I nie był mordercą Phineasa, gdyż wtedy już nie żył. Został zamordowany, wyrzucony za burtę za zgwałcenie żony czarnucha. Tak utrzymywał Abel Larcher.

Zawsze i wszędzie Abel Larcher.

I Thorne Larcher Cockburn... Racja. Słusznie.

Nigdy wcześniej sobie tego nie skojarzyła: jego umiłowanie morza i statków, marzenie, aby zostać kapitanem, armatorem, właścicielem „Sea Trains”, firmy przewozowej dla bogaczy. Tak jak jego pradziadek Abel Larcher, który przewoził niewolników z Afryki, kupionych za zyski ze sprzedaży rumu z Jamajki.

Cóż, klątwa Phinesa Browna się spełniła. Thorne Larcher Cockburn nie żyje. Odpokutował za winy w czas sztormu, przy akompaniamencie śpiewu wielorybów, przybyłych po zadośćuczynienie do zatoki pod WaterWalk.

Natychmiast po badaniu pobiegnę do Baya i mu to powiem, postanowiła Audrey. Zaczniemy nasze życie wolni. Klątwa została zdjęta, przepowiednia zagłady wreszcie wypełniona...

- Teraz trochę zaboli - usłyszała.
- Dobrze - odparła.

Istotnie bolało, jak gdyby kąsanie drobnych kłów, rwanie, kłucie...

- Już po bólu. Grzeczna z pani pacjentka - pochwalił ją lekarz. Przemywał ranę alkoholem. Piekło.

- Chciałaby pani zobaczyć, co spowodowało krwawienie? - spytał doktor Lake.

Nie chciała niczego widzieć, tylko Baya.

- Drzazga, moja droga. - W szczypcach pincety doktor Lake trzymał drzazgę sosnowego drewna. - Prawdopodobnie z ramy lustra. Szczęśliwie już jest po wszystkim. Zamykam swój kramik.

Audrey usiadła, spuściła nogi, obciągnęła sukienkę.

- A dziecko? Co z dzieckiem?

Doktor Lake powoli odwijął rękawy, wpinał spinki do mankietów. Małe lisie główki z oczkami ze szmaragdów.

- Ach, tak. Dziecko. Nie wiem, jak pani to powiedzieć.... Po prostu, odpowiedziała w duchu. Bez owijania w bawełnę. Proszę...

- Może też nie powinienem - dodał - ale co tam. Zaryzykuję.
- Proszę, doktorze. Proszę. Niech mi pan powie wszystko, całą prawdę.

Doktor Lake naciągnął surdut.

- Bliźnięta - zakomunikował. - Całkiem zdrowe. Mają się dobrze. Rozwiązania może się pani spodziewać pod koniec marca. Akurat na Wielkanoc.

- Bliźnięta? - Chyba się przesłyszała. Całkiem zdrowe. Mają się dobrze...

- Obawiam się, że tak. Podwójny kłopot, podwójna radość. Tak mnie nauczono mówić.

Bliźnięta!

- Zdrowe, mówi pan? Zdrowe?

- O ile mogę stwierdzić, to tak. Trudno jeszcze zobaczyć, wyczuć tętno, lecz dobry ze mnie położnik. Wszystko na to wskazuje, że będą bliźnięta. Pani też jest w dobrej kondycji. Przez tydzień, dwa będzie trochę bolało, lecz oprócz tego zadrapania jest pani zdrowa jak ryba.

Audrey wybiegła z pokoju.

- Bay! - zawołała. Nie było go w pobliżu.

- Bay! Bay! - wołała zbiegając po schodach.

- Proszę pani - powiedział Fisher, który pojawił się z czarną żałobną opaską na ramieniu. - Pan Lockholm jest za domem, poszedł na WaterWalk. Czeką na panią. Prosił, żeby pani tam przyszła...

Audrey nie słyszała ostatnich słów. Przemknęła przez wspianiały hol, teraz już znajomy i przyjazny, wybiegła na taras, pędziła przez wciąż grząski po deszczu trawnik pachnący kwiatami, minęła falochron, przerwany i uszkodzony, ścieżkę pokrytą połamanymi gałęziami i kępami wodorostów wyrzuconymi przez wysokie, sztormowe fale. Czeką nas wiele pracy, myślała wspinając się szybko na ich skałę.

Bay czekał na nią. Palił cygaro.

- Chcę ci coś pokazać, najdroższa. Audrey nie słuchała.

- Bay, mój kochany. Bay, słyszałeś?

Śmiała się podekscytowana. Czuła trzepotanie w środku, jak

gdyby dzieci uczestniczyły w jej radości i śmiały się, śmiały nie wiedząc, co to szczęście...

Bay objął ją. Pocałował. Odwrócił twarzą ku zatoce.

- Patrz, Audrey. Patrz, kochanie, na wieloryby. Odpływają. Kierują się na pełne morze.

Woda w zatoce była spokojna, błękitna jak tylko w Newport, z rzadka jedynie ozdobiona koronkową kryzą białej piany.

Wieloryby - potężne, obojętne, majestatyczne - paradowały w długim szarym szeregu od podnóża WaterWalk aż ku ujściu zatoki do oceanu, opasującego świat niczym dzika wstęga. Duże, małe, niemal setka.

- Tam - Bay wskazał ręką. - Tam, widzisz? Zaraz za tym puszczającym fontannę. Widzisz?

- Tak - szepnęła i przytuliła się do niego mocniej.

- To jego uwolniłem z lin. Wyliże się. Widzisz teraz te głębokie bruzdy na jego bokach?

Zobaczyła trzy długie szramy, już zaczynające się goić, trzy linie tworzące wydłużoną literę A.

- To twój. Gdy przyplynie w przyszłym roku, rozpoznamy go. Wtedy będzie już olbrzymi.

- Wróci? Po tym, co przeszedł, zechce tu wrócić?

- Pod koniec lata wieloryby odpływają. Następnego roku wracają. Tak już jest. I dlatego tutaj mieszkamy, pani Lockholm. Po to, żeby je obserwować i gościć.

Gościć, pomyślała. Królewscy goście, którzy przybywają i odjeżdżają, na których powrót się czeka...

- Klątwa - powiedziała. - Klątwa została zdjęta. Wytłumaczę ci zaraz.

Bay otoczył ją ramieniem, policzkiem wyczuła szorstki materiał jego surduta.

- Tak. Chyba masz rację. Klątwa Phineasa Browna została zdjęta.

- I odtąd wszystko będzie dobrze, prawda? Doktor Lake

powiedział mi właśnie, że będziemy mieli bliźnięta.

- Wszystko jest dobrze, przynajmniej na razie - powiedział Bay.
- Przynajmniej do końca lata.

I objęci przyglądali się parady wielorybów, płynących ku jasno wschodzącemu słońcu.

RRS